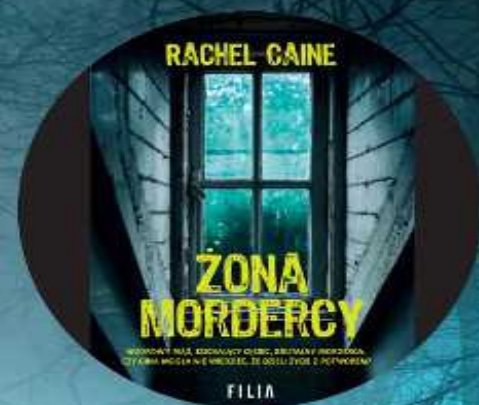


RACHEL CAINE

Thriller psychologiczny, bestseller na listach AMAZON CHARTS



MÓJ OJCIEC JEST MORDERCĄ

MÓJ OJCIEC TO POTWÓR. GWAŁCIŁ, TORTUROWAŁ
I ZABIJAŁ DZIEWCZINY NIEWIELE STARSZE OD NAS.
CZY TEN POTWÓR TKWIŁ W JEGO WNETRZU CAŁY CZAS?

FILIA

RACHEL CAINE

**MÓJ OJCIEC
JEST
MORDERCĄ**

Przełożyła
Kinga Markiewicz

FILIA

Rozdział pierwszy

Gwen

Dwunastej nocy po tym, jak mój były mąż uciekł z więzienia, leżę w łóżku. Nie śpię. Obserwuję grę światła i cieni na zasłonach. Leżę na wąskim, składanym łóżku polowym i czuję każde ukłucie wystającej z cienkiego materaca sprężyny. Moje dzieci, Lanny i Connor, zajmują dwa normalnej wielkości łóżka w tym umiarkowanym cenowo pokoju motelowym. Średni przedział cenowy to obecnie najlepsze, na co mnie stać.

Telefon jest nowy. Kolejna jednorazówka z nowym numerem. Tylko pięć osób ma ten numer, a dwie z nich śpią ze mną w tym samym pokoju.

Nie mogę ufać nikomu spoza tego malejącego kręgu. Myślę wyłącznie o duchu mężczyzny, który idzie pod osłoną nocy – idzie, nie biegnie, bo nie wierzę, żeby Melvin Royal uciekał, choć poluje na niego połowa policji w kraju – i o tym, że chce mnie dopaść. Dopaść nas.

Mój były mąż to potwór, a mnie się wydawało, że tkwi bezpiecznie w zamknięciu, czekając na egzekucję... Nawet zza krat udało mu się prowadzić kampanię terroru przeciwko mnie i moim dzieciom.

Owszem, miał pomoc, zarówno w więzieniu, jak i poza nim, a to, jak daleki miała ona zasięg, ciągle pozostaje niewiadomą, ale miał też plan. Dzięki doskonale ukierunkowanym groźbom i strachowi doprowadził mnie do miejsca, w którym chciał, abym się znalazła: do pułapki, z której udało się nam wyjść cało, ale tylko cudem.

Melvin Royal prześladowuje mnie w chwilowej ciemności, która pojawia się, gdy zamykam oczy. *Mrugnięcie*, i jest na ulicy. *Mrugnięcie*, wchodzi po schodach motelu na otwarty korytarz drugiego piętra. *Mrugnięcie*, stoi pod drzwiami. Nasłuchuje.

Buczenie wiadomości pojawiającej się na moim telefonie sprawia, że wzdragam się tak mocno, że aż boli. Chwytam za telefon, gdy włącza się kaloryfer. Jest głośny, ale skuteczny, a ciepło rozchodzi się po pokoju powolną, przyjemną falą. Cieszy mnie to. Koce na składanym łóżku zdecydowanie nie wystarczą.

Mrugam zmęczonymi oczami i przysuwam telefon do twarzy. „Numer zablokowany” – odczytuję. Wyłączam aparat i wsuwam pod poduszkę, próbując przekonać samą siebie, że już mogę zasnąć.

Wiem, że to nieprawda. Wiem, kto do mnie pisze. A podwójne zamki w drzwiach pokoju motelowego to stanowczo za mało.

Minęło dwanaście dni od chwili, w której uratowałam swoje dzieci przed potworem. Jestem wyczerpana, obolała i nękają mnie bóle głowy. Przybita, zmęczona, niespokojna i przede wszystkim – *przede wszystkim* – wściekła. Muszę taka pozostać. Ta wściekłość utrzyma nas wszystkich przy życiu.

„Jak śmiesz”, mówię w myślach do telefonu pod poduszką. „Jak, kurwa, śmiesz”.

Gdy udaje mi się podsycić gniew do niemal bolesnego punktu wrzenia, wkładam rękę pod poduszkę i ponownie wyciągam telefon. Gniew jest moją tarczą. Gniew jest moją bronią. Klikam w wiadomość, spodziewając się zawartości.

Jestem w błędzie. Wiadomość nie jest od mojego byłego męża. Jej

treść brzmi: TERAZ JUŻ NIGDZIE NIE JESTEŚ BEZPIECZNA, a na końcu znajduje się dobrze mi znany symbol: Å.

Absalom.

Szok rozprasza moją wściekłość, wysyłając gorące, podobne do prądu fale do klatki piersiowej i ramion, zupełnie jakby to telefon się na mnie rzucił. Mój mąż miał pomoc – pomoc w manipulowaniu nami, w porwaniu moich dzieci – i to Absalom mu ją zapewnił... Genialny haker, który wmanewrował mnie w pułapkę zaplanowaną przez Melvina. Miałam nadzieję, że wraz z końcem tej intrygi Absalom nie będzie miał powodów, aby dalej nam grozić. Powinnam była wiedzieć, że tak nie będzie.

Na chwilę całe moje ciało ścina fala czystego, instynktownego strachu, zupełnie jakby nagle okazało się, że wszystkie obawy z dzieciństwa przed duchami były uzasadnione, po czym biorę głęboki, powolny oddech i staram się zastanowić nad nieprawdopodobieństwem poradzenia sobie z tym wszystkim... po raz drugi. Nie jestem winna niczego prócz próby obronienia się przed człowiekiem, który chciał mnie zabić, a który w miarę upływu lat zaskarbił sobie moje zaufanie i stopniowo doprowadził mnie do miejsca przeznaczonego na moją egzekucję.

Jednak to nie sprawia, że wiadomość na ekranie telefonu znika.

Absalom wysłał za nami kogoś innego. Ta myśl krąży po moim ciele jak błyskawica, sprawia, że zasycha mi w ustach, a wszystkie nerwy stają w ogniu, bo wydaje się prawdziwa. Coś nie dawało mi spokoju przez te długie dni, w trakcie których ukrywaliśmy się i szukaliśmy bezpiecznego miejsca... Przeczucie, że nadal jesteśmy obserwowani. Przypisałam je swojej paranoi.

A co, jeśli się myliłam?

Usiłuję wstać po cichu, ale składane łóżko skrzypi, a po chwili słyszę jak Lanny, moja córka, szepcze:

– Mamo?

– Wszystko w porządku – mówię szeptem. Wstaję i wsuwam stopy w buty. Jestem całkiem ubrana. Mam na sobie wygodne spodnie, luźny sweter i grube skarpety. Zakładam kaburę na ramię i parkę, po czym otwieram wszystkie zamki i wychodzę na panujący na zewnątrz chłód.

Tutaj, w Knoxville, jest pochmurnie i zimno. Nie jestem przyzwyczajona do świateł miasta, ale w tej chwili przynoszą mi chwilową pociechę. Nie czuję się tak bardzo odizolowana. Wokół mieszkają ludzie. W razie czego usłyszą krzyki.

Wybieram jeden z niewielu numerów w telefonie. Rozlega się tylko jeden sygnał, po czym słuchawka zostaje podniesiona, a ja słyszę wiecznie zmęczony głos detektywa Prestera z Departamentu Policji w Norton – miasta znajdującego się najbliżej miejsca, w którym mieszkaliśmy, a raczej mieszkamy, ponieważ wrócimy do Stillhouse Lake, przysięgam, że tak – który mówi:

– Panno Proctor. Już późno. – Nie sprawia wrażenia ucieszonego moim telefonem.

– Czy jest pan stuprocentowo pewny, że Lancel Graham nie żyje?

To dziwne pytanie, a do moich uszu dobiega skrzypnięcie, które prawdopodobnie wydało z siebie krzesło, na którym Prester odchylił się do tyłu. Spoglądam na zegarek. Jest pierwsza w nocy. Ciekawe, dlaczego ciągle jest w pracy. Norton to małe, senne miasteczko, choć zdążyło już doświadczyć słusznej dawki zbrodni. Prester to jeden z dwójki pracujących w tamtejszej policji detektywów.

A Lancel Graham należał przecież do policji z Norton.

Odpowiedź Prestera jest powolna i ostrożna.

– Czy ma pani jakiś istotny powód, dla którego sądzi, że jest inaczej?

– Czy. On. Nie. Żyje?

– Już bardziej nieżywy być nie może. Na własne oczy widziałem,

jak wyjmują z niego organy na stole do autopsji. Dlaczego pani pyta... – Waha się, a potem pojękuje, zupełnie jakby sam dopiero co spojrział na zegarek. – Nie mogła pani zadzwonić rano?

– Dlatego, że trochę przeraziła mnie kolejna wiadomość z pogrówkami.

– Od Lancela Grahama?

– Od Absaloma.

– Ach. – Przeciąga westchnięcie. Robi to w taki sposób, że automatycznie wzmagam czujność. Detektyw Prester i ja nie jesteśmy przyjaciółmi. Do pewnego stopnia można nas nazwać sojusznikami, ale on nie ma do mnie pełnego zaufania, za co niespecjalnie mogę go obwiniać. – Skoro już o tym mowa... Kezia Claremont dokopała się do pewnych informacji. Twierdzi, że istnieje prawdopodobieństwo, że Absalom to nie tyle *on*, co raczej *oni*.

Szanuję Kezię. Była partnerką Grahama, przynajmniej przez jakiś czas, jednak w odróżnieniu od niego jest do szpiku uczciwa. Była kompletnie zdruzgotana, gdy odkryła, że jej partner okazał się mordercą.

Nie tak bardzo jak ja.

Mój głos staje się wściekły i napięty.

– Dlaczego, *do cholery*, mnie pan nie ostrzegł? Przecież wie pan, że jestem tu z dziećmi!

– Nie chciałem, żeby wpadła pani w panikę – odparł. – Nie ma jeszcze żadnych dowodów. To tylko podejrzenia.

– Przez cały ten czas, odkąd zdążył mnie pan poznać, uważa pan, że jestem skłonna do ataków ślepej paniki?

Pozostawia to bez komentarza, bo wie, że mam rację.

– Nadal jestem zdania, że lepiej by było, gdyby wróciła pani do Norton i pozwoliła nam się ochraniać.

– Mój mąż zmienił jednego z pańskich policjantów w mordercę. –

Zmuszam się, aby przełknąć gulę morderczej furii. – Zostawił pan Grahama samego z moimi dziećmi, pamięta pan? Bóg jeden wie, co mógł im wtedy zrobić. Niby dlaczego miałabym wierzyć, że będą u was bezpieczne?

Nadal nie dowiedziałam się wszystkiego o tym, co zrobił Lancel Graham, gdy porwał moje dzieci. Ani Connor, ani Lanny nie chcą mi niczego powiedzieć, a ja znam ich na tyle dobrze, by nie naciskać. Przeżyli traumę i choć lekarze powiedzieli, że są w dobrym zdrowiu i nie zostali skrzywdzeni pod względem fizycznym, to nadal zastanawiam się, przez jakie psychiczne tortury musieli przejść. I jak bardzo skrzywi ich to w przyszłości.

Ponieważ skrzywienie ich, ukształtowanie na nowo i złamanie to coś, czego pragnie Melvin Royal. To właśnie z tych rzeczy czerpie głęboką, niepokojącą satysfakcję.

– Jakież wieści o Melvinie?

Melu, odzywa się we mnie cichy głosik, nieśmiały i denerwujący. Nigdy nie lubił, gdy nazywano go Melvinem, tylko Melem, i właśnie dlatego postawiłam sobie za cel używać jego pełnego imienia. Nawet tak błahy rodzaj władzy to nadal władza.

– Obława jest zakrojona na szeroką skalę, a z tych, którzy uciekli, jakieś siedemdziesiąt pięć procent zostało już wsadzone z powrotem za kratki.

– Ale nie on.

– Nie – zgadza się Prester. – Nie on. Jeszcze nie. Chce pani uciekać do momentu, w którym nie zostanie złapany?

– Taki był plan – mówię. – Ów plan właśnie uległ zmianie. Jeśli Absalom ma w zanadrzu więcej ludzi, których może za nami wysłać w pościg, to oni mnie dla niego znajdą. Właśnie tego chce. Właśnie dlatego się ujawnił. Uciezka tylko przedłuża ten koszmar i oznacza, że nie mam nad swoim życiem żadnej kontroli. Nie mam zamiaru mu jej oddać. Nigdy więcej.

Znów rozlega się skrzypnięcie jego krzesła. Tym razem jestem prawie pewna, że pochylił się do przodu.

– W takim razie co, u diabła, zamierzasz, Gwen?

Nadal mnie tak nazywa, używając nowej tożsamości, a ja to doceniam. Kobieta znana wcześniej jako Gina Royal, żona wyjątkowo okrutnego seryjnego mordercy, już dawno odeszła. Kolejne ciało, które pozostawił za sobą Melvin. Lepiej, że nie żyje. Jestem teraz Gwen. A Gwen nie zniesie kolejnych numerów.

– Nie sądzę, aby to się panu spodobało, więc podaruję sobie szczegóły. Dziękuję, detektywie. Za wszystko – mówię poważnie. Prawie.

Zanim zdąży zadać mi więcej pytań, wyłączam telefon, chowam do kieszeni kurtki i stoję przez chwilę na wilgotnym, zimnym wietrze. Knoxville nie zdążyło jeszcze opustoszeć na noc. Do moich uszu dolatują strzępy melodii z przejeżdżających ulicą samochodów. Widzę cienie ludzkich postaci poruszające się za zasłonami w innych pokojach. Na wewnętrznym dziedzińcu widać migotanie telewizora widocznego przez szparę między zasłonami. Nad moją głową przelatuje przecinający niebo samolot.

Słyszę, jak otwierają się drzwi pokoju, a na zewnątrz wychodzi Lanny. Założyła buty i kurtkę, ale pod spodem nadal ma piżamę. To sprawia, że niespokojny supeł w moim wnętrzu rozluźnia się nieco. Gdyby przebrała się w dzinsy i luźną, flanelową koszulę oraz buty do biegania, oznaczałoby to, że się boi.

– Smarkacz nadal śpi – mówi, opierając się o barierkę obok mnie.
– Mów.

– To nic takiego, kochanie.

– Nie wciskaj mi kitu, mamó. Ty nie wstajesz z łóżka i nie dzwonisz gdzieś bez powodu.

Wzdycham. Jest na tyle zimno, że wiatr porywa ze sobą mój oddech i rozciąga go w biały pióropusz.

– Rozmawiałam z detektywem Presterem.

Widzę, że jej dłonie na barierce tężeją. Chciałabym móc wziąć to na siebie, ten strach i nieustanne, przytłaczające poczucie zagrożenia. Ale nie mogę. Lanny wie doskonale, jak niebezpieczna jest nasza obecna sytuacja. Zna już prawie całą prawdę o swoim ojcu. Muszę na niej polegać i liczyć na to, że mając niecałe piętnaście lat, nie załamie się pod ciężarem tej świadomości.

– Och. Chodziło o niego? – pyta moja córka.

Niego, czyli jej ojca, rzecz jasna. Posyłam jej nieznaczną i, mam nadzieję, podnoszącą na duchu, uśmiech.

– Na razie nie ma żadnych nowych wieści. Pewnie jest daleko stąd. Ścigają go. Większość więźniów, która uciekła razem z nim, została już schwytana. Niedługo z powrotem trafi za kratki.

– Nie wierzysz w to.

Nie wierzę. Nie chcę okłamywać córki, więc zmieniam temat.

– Wracaj do łóżka, skarbie. Wyjeżdżamy wczesnym rankiem.

– Już jest rano. Dokąd jedziemy?

– Gdzieś indziej.

– Czy już zawsze tak będzie? – pyta, i tym razem w jej głos wkrada się cicha furia. – Na litość boską, mamó, wiecznie tylko *uciekasz*. Nie możemy pozwolić, żeby ciągle nam to robił! Nigdy więcej. Nie chcę uciekać. Chcę *walczyć*.

I walczyła. Oczywiście, że walczyła. Była odważnym dzieckiem, które zostało zmuszone do stawienia czoła paskudnej prawdzie o swoim ojcu, gdy miała zaledwie dziesięć lat, i wcale mnie nie dziwiło, że w głębi duszy nadal była wściekła.

Poza tym ma rację.

Odwracam się w jej stronę, a ona robi to samo, aby spojrzeć mi w twarz. Wytrzymuję jej spojrzenie, mówiąc:

– Będziemy walczyć. Ale jutro udamy się w bezpieczne miejsce, żebym mogła mieć wolną rękę i zrobić to, co trzeba. Zanim więc

zacziesz się ze mną kłócić, chcę, żebyś została z bratem i upewniła się, że jest chroniony. To twoje zadanie, Lanny. To *twoja* walka. Rozumiemy się?

– *Rozumiemy?* Znowu nas komuś podrzucisz? Nie, to wcale nie jest w porządku! Proszę, tylko mi nie mów, że chodzi o babcię.

– Myślałam, że kochasz swoją babcię.

– Bo kocham. Jako babcię. Nie kogoś, z kim mam zostać. Chcesz, żebyśmy byli bezpieczni? Ona nas nie ochroni. Nikogo nie jest w stanie ochronić.

– Zadbam o to, aby nie musiała. W międzyczasie twój ojciec będzie obserwował *mnie*, ponieważ znalezienie mnie to jego priorytet.

Modłę się, aby to była prawda. To ogromne ryzyko, ale mam bardzo ograniczoną grupę zaufanych ludzi, którzy mogą zaopiekować się moimi dziećmi. W pierwszym odruchu chcę je zabrać do mojej matki, ale muszę przyznać, że Lanny ma rację. Moja mama nie jest wojowniczką. Nie tak jak my. A to zupełnie inny poziom niebezpieczeństwa.

Nie mówię jej o tym od razu, ponieważ muszę się nad tym zastanowić, ale Javier Esparza i Kezia Claremont zaproponowali, że zaopiekują się moimi dziećmi, jeśli będę tego potrzebowała. Są niezrównaną, budzącą grozę parą. Javier jest emerytowanym żołnierzem piechoty morskiej i właścicielem strzelnicy, a Kezia twardym, byстрыm i kompetentnym oficerem policji.

Minusem tej sytuacji jest fakt, że mieszkają poza granicami Norton, stosunkowo blisko Stillhouse Lake. Tamto piękne, ustronne miejsce objawiło mi się jako schronienie, sanktuarium, i szybko zmieniło się w pułapkę, a ja nie wiem, czy kiedykolwiek poczuję się tam bezpiecznie. Z pewnością nie możemy wrócić do naszego domu nad jeziorem. Bylibyśmy łatwym celem.

Jednak dom Javiera nie znajduje się nad jeziorem. To leżąca

w sporym oddaleniu, obwarowana chata, a ja podświadomie wierzę, że Melvin i Absalom sprawdziliby każde miejsce oprócz tego, z którego dopiero co uciekliśmy.

– Zostawiasz nas z Samem? – pyta Lanny.

– Nie, ponieważ Sam jedzie ze mną. – Nie zdążyłam go jeszcze o to spytać, ale wiem, że się zgodzi. Pragnie odnaleźć Melvina Royała równie rozpaczliwie jak ja, z tak samo osobistych powodów.

– Sam i ja znajdziemy waszego ojca i powstrzymamy go, zanim zrobi komuś krzywdę. Zanim w ogóle pomyśli, że mógłby skrzywdzić ciebie i twojego brata. – Daję jej chwilę, aby się nad tym zastanowiła, po czym mówię: – Musisz mi pomóc, Lanny. To najlepsze wyjście, jakie mamy, nie licząc ponownej ucieczki i ukrywania się. Nie mam ochoty tego robić tak samo jak ty. Musisz w to uwierzyć.

Odwraca wzrok z wystudiowaną obojętnością i wzrusza ramionami.

– Jasne. Wszystko jedno. Nadal *nas* do tego zmuszasz.

Poprzednie ucieczki były konieczne. W tamtym czasie to była jedyna właściwa decyzja. Rozumiem jednak, jak głęboko odbiło się na moich dzieciach życie w stanie ciągłej czujności.

– Tak mi przykro, skarbie.

– Wiem – mówi w końcu, a po chwili obejmuje mnie w szybkim, nieoczekiwanym uścisku i wraca do pokoju.

Stoję i rozmyślam przez chwilę na zimnie, po czym wybieram numer Sama i mówię:

– Jestem na zewnątrz.

Wyjście na wąski korytarz na drugim piętrze zajmuje mu niecałą minutę. Jego pokój znajduje się tuż obok naszego. Podobnie jak ja, jest ubrany od stóp do głów. Gotowy do walki. Opiera się o poręcz w miejscu, w którym stała wcześniej Lanny, i mówi:

– To chyba nie jest zaproszenie na szybki numerek.

– Zabawne – odpowiadam, patrząc na niego z ukosa.

Nie jesteśmy kochankami. Owszem, łączy nas pewna zażyłość i chyba w którymś momencie nabierze ona bardziej intymnego charakteru, ale w tej chwili żadne z nas się nie śpieszy. Bóg jeden wie, że mamy za sobą bolesną przeszłość. Była żona seryjnego mordercy, żyjąca w ciągłym strachu przed fanami Melvina, jego sprzymierzeńcami i samozwańcami, internetowymi obrońcami. A Sam? Jest bratem jednej z ofiar mojego byłego męża. Ostatniej ofiary Melvina. Nadal mam przed oczami ciało tamtej biednej, młodej kobiety wiszące na drucianej pętli. Torturowanej i zamordowanej dla czystej, sadystycznej przyjemności.

Nasza relacja jest skomplikowana. Gdy spotkałam Sama po raz pierwszy, myślałam, że jest przyjaźnie nastawionym nieznanym, niemającym żadnych powiązań z moim dawnym życiem. Odkrycie, że celowo mnie namierzał i śledził w nadziei na znalezienie dowodów, że byłam współwinna zbrodni swojego męża... prawie wszystko zniszczyło.

Wie, że nie jestem i nigdy nie byłam winna, ale między nami nadal zieją głębokie otchłanie, a ja nie mam pojęcia, czym je zapełnić i czy w ogóle powinnam próbować. Sam mnie lubi. Myślę, że w innym życiu, bez trującej obecności stojącego między nami ducha Melvina Royała, bylibyśmy razem szczęśliwi.

Na razie skupiam się wyłącznie na przeżyciu i zapewnieniu przetrwania moim dzieciom. Sam to jeden ze środków umożliwiających osiągnięcie tych celów. Dzięki Bogu, doskonale to rozumie. Jestem pewna, że postrzega mnie w ten sam sposób.

– O co chodzi? – pyta, a ja wyjmuję telefon, klikam w wiadomość i podaję mu urządzenie.

– Niech to szlag. Przecież Graham nie żyje, prawda? – Słyszę w jego głosie identyczną dezorientację, ale szybko odzyskuje przytomność. – Wysyłają kogoś innego, tak?

– Prawdopodobnie więcej niż jedną osobę. Prester jest zdania, że Absalom może być czymś w rodzaju zespołu hakerów. Kto wie, ile osób liczy ich siatka? Musimy teraz zachować jeszcze większą ostrożność. Pozbędę się tego telefonu i kupię nowy. Posługujemy się gotówką i trzymamy z dala od kamer.

– Gwen, nie dam rady tego ciągnąć. Ukrywanie się nie jest...

– Nie ukrywamy się – przerywam mu. – Polujemy.

Prostuje się i odwraca twarzą do mnie. Sam nie ma wielkiej postury i nie jest szczególnie wysoki, ale jest gibki i silny, a ja wiem, że poradzi sobie w walce. Jednak przede wszystkim – i właśnie to jest dla mnie najważniejsze – wiem, że mogę mu ufać. Nie jest sługusem Melvina i nigdy nim nie będzie. Czego nie mogę powiedzieć o wielu innych ludziach.

– Nareszcie – mówi. – Co z dziećmi?

– Skontaktuję się z Javierem. Zaproponował wcześniej, że je do siebie weźmie, i w dodatku możemy mu zaufać.

Sam kiwa potakująco głową.

– Pozostawienie ich wiąże się z ryzykiem, ale nie aż tak wielkim jak wtedy, gdybyśmy próbowali je chronić i jednocześnie ścigać Melvina. Brzmi nieźle – stwierdza. – Jesteś tego pewna? – pyta prawie łagodnym tonem. – Moglibyśmy zostawić tę sprawę policji. I FBI. W rzeczywistości tak właśnie powinniśmy zrobić.

– Oni nie znają Melvina. I nie rozumieją Absaloma. Jeśli to faktycznie większa grupa, mogą ukrywać Melvina w nieskończoność i namierzać nas dla niego. Sam, nie możemy sobie pozwolić, aby przeczekać całą sytuację. Ukrywanie się nie zdaje egzaminu. – Wciągam gwałtownie haust zimnego powietrza i wydmuchuję w postaci ogrzanego kłębu pary. – Poza tym, chcę go dorwać. Nie chcesz tego samego?

– Wiesz, że tak. – Taksuje mnie bezosobowym spojrzeniem, oceniając niczym drugiego towarzysza broni. – Jesteś pewna, że nie

potrzebujesz więcej odpoczynku?

Parskam nieco gorzkim śmiechem.

– Wyśpię się po śmierci. Jeśli chcemy dotrzeć do Melvina przed policją, będziemy musieli być twardsi od niego, szybsi i lepsi. Będzie nam potrzebna pomoc. Informacje. Wspominałeś coś kiedyś o przyjacielu, który byłby w stanie udzielić nam wsparcia.

Kiwa potakująco głową. Ma mocno zaciśniętą szczękę i błysk w oczach. Zwykle Sam jest chodzącą enigmą, ale w tej chwili widzę całą jego wściekłość i rozpacz jak na dłoni. Melvin przebywa na wolności, mając możliwość śledzić i zabijać kobiety takie jak siostra Sama. Zabije ponownie. Jeśli nauczyłam się czegoś o swoim byłym mężu, to tego, że będzie pragnął umrzeć w chwale egoistycznej, morderczej furii rodem z teatru grozy Grand Guignol.

Ściga go FBI. Policja z każdego stanu sąsiadującego z Kansas również. Jednak mało prawdopodobne, aby odnaleźli go szybko na środkowym zachodzie, ponieważ jestem pewna, że pierwszą rzeczą, jaką zrobił Melvin, jest dotarcie na południowy wschód, czyli do nas.

Absalom wyśledził nas aż tutaj, więc to oznacza, że Melvin nie znajduje się po drugiej stronie kraju ani nie jest w drodze do granicy jakiegoś państwa, w którym nie ma ekstradycji. Jeszcze go tu nie ma, ale wiem, że się zbliża. Czuję to w powietrzu.

– Wyruszamy o siódmej rano. Niech dzieci odpoczną jeszcze trochę. – Zerkam na telefon. – Zadzwonię do Kezii i Javiera, żeby wszystko przygotowali.

Sam odbiera mi telefon szybkim ruchem i wsuwa go do kieszeni.

– Jeśli Absalom ma ten numer, nie możesz go użyć do załatwienia schronienia dla swoich dzieci – mówi, a ja momentalnie czuję się jak idiotka, że o tym nie pomyślałam. Chyba jestem bardziej zmęczona, niż mi się wydawało. – Usunę rozmowy i kontakty i zostawię, żeby ktoś mógł go ukraść. Lepiej, żeby nadal był

włączony i jeszcze przez jakiś czas wprowadzał Absaloma na fałszywy trop. – Kiwa głową w stronę oświetlonego sklepu całodobowego po drugiej stronie ulicy. – Wieczorem kupię nowy. Zadzwonimy z niego do Javiera i natychmiast się go pozbędziemy. Nie kupimy już żadnego nowego aparatu w pobliżu tego adresu. To pierwsze miejsce, które Absalom sprawdzi w poszukiwaniu jakichkolwiek dokonanych transakcji.

Ma absolutną rację. Muszę teraz myśleć jak myśliwy, ale nie wolno mi zapominać, że jestem też ofiarą. Melvin uczynił mnie bezbronną przez zwodzenie i manipulowanie, dzięki którym trafiłam do miejsca, w którym od samego początku miałam się znaleźć. Teraz musimy zastosować tę samą taktykę wobec niego.

Przez lata trzymałam się kurczowo okropnej małżeńskiej fikcji – życia, w którym Melvin Royal kontrolował każdy aspekt mojej rzeczywistości, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy. Gina Royal, dawna ja, bezbronna ja... Ona i dzieci były przykrywką dla sekretnego, potwornego życia Melvina. Z mojej perspektywy wszystko wydawało się *normalne*. Tyle że nigdy takie nie było, a po tym, jak pozostawiłam za sobą dawną tożsamość, widzę to jasno i wyraźnie.

Nie jestem już Giną. Gina była nieśmiała, przejęta i słaba. Bałaby się tego, że Melvin wyruszy w pościg, aby ją odnaleźć.

Gwen Proctor jest na niego gotowa.

W głębi serca wiem, że wszystko sprowadza się do nas. Pani i pana Royal. Zawsze tak było.

Rozdział drugi

Lanny

Connor, mój młodszy brat, jest zbyt cichy. Przez cały dzień prawie się nie odzywał i chodzi z wiecznie spuszczoną głową. Schował się za wzniesionym przez siebie wewnętrznym murem, a ja mam ochotę go zburzyć, wywlec go stamtąd i zmusić do krzyku, walnięcia w ścianę, *czegokolwiek*.

Nie mogę jednak zamienić z nim nawet dwóch słów bez wykrywającego problemu radaru mamy... a przynajmniej do czasu, w którym drzwi zamykają się za nią, a ona wychodzi na motelowy balkon. Znam swoją matkę. Kocham ją, przez większość czasu. Ale czasami wszystko utrudnia. Nie wie już, jak to jest opuścić na moment gardę.

Connor nie śpi. Jest świetny w udawaniu, że śpi, ale ja wiem, co go zdradza. Przez dwa lata, kiedy mamy nie było z nami – siedziała w areszcie i uczestniczyła w procesie, oskarżona o bycie współniczką ojca – dzieliliśmy pokój, bo u babci nie było zbyt wiele miejsca, choć miałam wtedy dziesięć lat, a on siedem i byliśmy zdecydowanie zbyt duzi na mieszkanie w jednym pokoju. Musieliśmy być dla siebie sprzymierzeńcami i opiekować się sobą

nawzajem. Nauczyłam się rozróżniać, kiedy naprawdę spał, a kiedy tylko udawał. Nigdy zbyt wiele nie płakał, tak samo jak ja. Teraz w ogóle tego nie robi.

Chciałabym, żeby płakał.

– Hej – mówię. Cicho, ale tak, żeby usłyszał. – Wiem, że udajesz, cieniasie. – Nie odpowiada. Nie rusza się. Oddycha gładko i miarowo. – Ej, Squirtle. Przestań ściemniać.

W końcu wydaje z siebie westchnięcie.

– Czego? – Jest całkiem rozbudzony. Nawet nie sprawia wrażenia poirytowanego. – Śpij. Jesteś gderliwa, gdy nie uda ci się zażyć tej swojej drzemki nie dla urody.

– Zamknij się.

– No co, sama chciałaś rozmawiać. Nie moja wina, że nie podoba ci się to, co mówię.

Brzmi całkiem normalnie.

On nie jest normalny.

Opadam z powrotem na łóżko. Śmierdzi jak w jakimś tanim sklepie, jak stary pot i cuchnące stopy. Cały ten pokój capi jak wnętrze taniego sklepu. Nienawidzę go. Chcę wracać do domu... a dom to budynek, nad którym mama, Connor i ja napracowaliśmy się, by uczynić go pięknym. Ten, w którym mam własny pokój i ścianę, którą pomalowałam w fioletowe kwiaty. Ten ze schronem Connora na wypadek apokalipsy zombie.

Nasz dom znajduje się w Stillhouse Lake i uosabia coś, o czym sądziłam, że już nigdy tego nie zaznamy: bezpieczeństwo. Moje wspomnienia po dniu, w którym musieliśmy opuścić nasz pierwszy dom – ten w Wichicie – przez lata wiązały się z serią nijak urządzonych pokojów i szarymi, nudnymi miasteczkami. Nigdy nie zatrzymaliśmy się w jednym miejscu na tyle długo, aby móc poczuć, że jesteśmy *w domu*.

Stillhouse Lake było inne. Miałam poczucie, że to coś trwałego, na

stałe, jakby cała nasza trójka naprawdę zaczynała nowe życie. Miałam tam przyjaciół. Dobrych przyjaciół.

Miałam Dahlię Brown, dziewczynę, której z początku nienawidziłam, a która stała się moją najlepszą przyjaciółką na świecie. Bolało mnie to, że muszę ją tam zostawić, niczym porzuconą, zepsutą zabawkę. Nie zasługiwała na to. Ja też nie zasługuję. Miałam nawet kogoś w rodzaju chłopaka, ale małym szokiem było dla mnie to, że uświadomiłam sobie, że wcale za nim nie tęsknię. Ani przez chwilę o nim nie pomyślałam.

Tylko o Dahlii.

Zostawiliśmy nasz dom tak, jak stał. Ciekawe, czy do tej pory nie został już kompletnie zniszczony. Pewnie tak. Wieści o tym, kim jesteśmy, kim jest nasz ojciec, pojawiły się w samym środku szaleństwa z oficerem Grahamem, a ja pamiętam, co działo się z naszymi starymi domami, gdy ludzie dowiadawali się prawdy. Bazgroły z farby w spreju na ścianach. Martwe zwierzęta na progu. Wybite szyby w oknach i zdewastowane samochody.

Ludzie potrafią być naprawdę tragiczni.

Nie mogę przestać zastanawiać się nad tym, jak może teraz wyglądać nasz dom w Stillhouse Lake, po tym jak ludzie wyładowali swoją agresję na nim, zamiast na nas. Czuję ściskanie w piersi i skurcze w żołądku. Przewracam się na bok i w złości uderzam pięścią w tanią poduszkę, próbując nadać jej lepszy kształt.

– Jak myślisz, od kogo była ta wiadomość?

– Od taty – mówi. Mojej uwadze nie umyka nieznaczna zmiana tonu, ledwie słyszalne zajknięcie, ale nie wiem, co one oznaczają. Gniew? Strach? Tęsknotę? Prawdopodobnie wszystkie te rzeczy. Wiem o czymś, o czym moja mama raczej nie ma pojęcia: że Connor tak *naprawdę* nie pojmuje, że tata jest potworem. To znaczy tak, ale miał siedem lat, gdy nasze życie wywróciło się do góry nogami.

Pamięta ojca, który czasem był dla niego świetny, i tęskni za tym. Ja byłam starsza. I jestem dziewczyną. Inaczej postrzegam pewne rzeczy. – Chyba w końcu go dopadnie. – Znów słyszę inny ton w jego głosie. Taki, który rozpoznaję.

Próbuję wybadać sytuację.

– Złości cię to?

– A ciebie nie? Pozbędzie się nas jak przybłąd – mówi. Tym razem zimny, stanowczy ton jego głosu jest pozbawiony wszelkiej subtelności. – Pewnie zostawi nas u babci.

– Przecież lubisz być u babci. – Staram się mówić o tym z entuzjazmem. – Robi nam ciasteczka i te kule z popcornu, które tak lubisz. Daleko temu do tortur. – Ogarnia mnie przerażenie w tej samej sekundzie, w której ostatnie słowo wychodzi z moich ust, ale jest już za późno. Jestem na siebie wściekła. Pałaca, czerwona błyskawica złości sprawia, że nerwy skwierczą mi tak, jakby zmieniły się w lonty fajerwerków. W następnej chwili jestem w chacie wysoko na wzgórzach, ciągnięta w stronę piwnicy. Zamknięta razem z bratem w mikroskopijnej celi, niewiele większej od trumny.

Wiem, że mama zastanawia się, co się z nami stało w tamtej piwnicy. Connor i ja nie rozmawialiśmy o tym, a ja nie wiem, kiedy, i czy w ogóle kiedykolwiek, to zrobimy. Prędzej czy później mama nas do tego zmusi.

Ja chcę tylko móc zamknąć oczy i nie widzieć pod powiekami wyciągarki, zwisającej z niej drucianej pętli, noży, młotków i pił połyskujących na tablicy z kołkami przytwierdzonej do ściany. Pomieszczenie wokół celi wyglądało jak garażowy warsztat mojego ojca – a przynajmniej jak przedstawiające go zdjęcia. Wiem, co tam się działo. Wiem, co mogło się nam stać w replice sali tortur Lancela Grahama.

Jednak przede wszystkim chciałabym móc zapomnieć o głupim

dywaniku. Jakimś cudem Graham znalazł identyczną kopię dywanika mojego taty. Tak naprawdę to był *mój* dywanik, ponieważ był jednym z moich pierwszych wspomnień – miękki, pleciony spiralnie dywanik w pastelowych odcieniach zieleni i błękitu. Uwielbiałam go. Kładłam się na nim twarzą w dół i zasuwiałam po podłodze, a mama i tata śmiali się, po czym mama podnosiła mnie i kładła dywanik z powrotem na swoje miejsce pod drzwiami. Ten głupi dywanik był symbolem *miłości*.

Któregoś dnia, gdy miałam pięć lat, dywanik zniknął ze swojego miejsca w korytarzu, a tata położył tam nowy. Był całkiem fajny. Miał pod spodem antypoślizgową matę, więc nikt nie mógł się na nim poślizgnąć. Powiedział nam, że wyrzucił stary dywanik.

Jednak w dniu, w którym nasze życie dobiegło końca, a tata stał się potworem, ten dywanik, *mój* dywanik, leżał na podłodze w garażu tuż pod wyciągarką, pętlą i dyndającym z niej ciałem martwej kobiety.

Widok *identycznego* dywanika w makabrycznej piwnicy Lancela Grahama sprawił, że coś we mnie pękło. Gdy nocą zamykam oczy, właśnie to widzę pod powiekami. Mój dywanik, który stał się elementem tego koszmaru.

Ciekawe, co widzi Connor. Może dlatego nie potrafi zasnąć. Gdy człowiek śpi, nie jest w stanie kontrolować swoich wspomnień.

Connor nie skomentował mojej gafy, więc dalej drążę temat.

– Na serio chcesz pojechać z mamą, gdy będzie zajęta polowaniem na ojca?

– Zachowuje się tak, jakbyśmy nie umieli o sobie zadbać – mówi.

– A przecież umiemy.

Zgodzę się co do tego, że *ja* umiem, ale jestem też na tyle dorosła, aby stawić czoła okrutnej prawdzie o naszym tacie i temu, do czego jest zdolny. Nie chcę być zmuszona do walki z nim. Już sam pomysł jest straszny i przerażający. Nie chcę jednak także, żeby

zostawiono mnie samą z Connorem i bym musiała być odpowiedzialna za bezpieczeństwo nas obojga. Prawie nabieram ochoty, by pojechać do babci, nawet jeśli jej ciasteczka są ciut niejadalne, kule z popcornu zbyt lepkie, a ona sama traktuje nas, jakbyśmy byli małymi dziećmi.

Zwałam winę na co innego.

– Mama nigdy nam nie pozwoli z nim walczyć. Dobrze to wiesz.

– A zatem jedziemy do babci. Jakby tata nie umiał się tego domyślić.

Wzruszam ramionami, ale wiem, że nie widzi mnie w ciemności.

– Babcia też się przeprowadziła i zmieniła nazwisko. Poza tym, będziemy tam tylko przez chwilę. Jak na wakacjach.

To upiorne, że Connor w ogóle się nie rusza, nie reaguje. Nigdy nie słyszę nic więcej prócz cichutkiego szelestu sztywnej pościeli i głosu odzywającego się w mroku.

– Tak. Jak na wakacjach. A jeśli mama już nigdy po nas nie wróci? Co będzie, jeśli to *on* zjawi się zamiast niej? Zastanowiłaś się nad tym?

Otwieram usta, aby z pełnym przekonaniem powiedzieć mu, że *nigdy do tego nie dojdzie*, ale nie mogę. Nie mogę zmusić się, by to powiedzieć, ponieważ jestem wystarczająco dorosła, aby wiedzieć, że mama nie jest nieśmiertelna ani wszechpotężna, a dobro nie zawsze wygrywa. Wiem też – podobnie jak Connor – że nasz tata jest *potwornie* niebezpieczny.

– Jeśli faktycznie nas znajdzie – mówię w końcu – uciekniemy mu. Albo powstrzymamy go w jakiś sposób.

– Obiecujesz? – Nagle jego głos znów brzmi, jakby należał do jedenastolatka. Jest zbyt młody, aby użerać się z czymś takim. Czasami zapominam, jak bardzo młody. Sama mam prawie piętnaście lat. To duża różnica wiekowa, a mój młodszy brat od zawsze był niańczony.

– Tak, głupku, obiecuję. Nic nam nie będzie.

Wypuszcza z ust powolny, przeciągły oddech, który brzmi prawie jak westchnięcie.

– W porządku. Ty i ja. Razem.

– Zawsze – mówię.

Nie odpowiada. Słyszę, jak mama rozmawia z kimś na zewnątrz przyciszonym głosem. To chyba Sam Cade. Słucham cichego szmeru ich głosów, a po chwili dociera do mnie, że oddech Connora pogłębił się i zwolnił. Chyba w końcu udało mu się zasnąć.

To znaczy, że ja też mogę pójść spać.

Mama zaskakuje nas pączkami i kartonami mleka o nieludzko wczesnej godzinie. Ona i Sam są już ubrani i na nogach, i w dodatku mają kawę. Proszę o trochę, ale spotykam się z odmową. Connor nawet się tym nie przejmuje. Wypija swoje i moje mleko, które podsuwam mu, gdy mama nie patrzy.

Jesteśmy zdziwieni, gdy mama oznajmia, że *nie* wyśle nas do babci aż na wybrzeże. Zamiast tego wysyła nas z powrotem do Norton. Nie do domu, ale blisko. Nie mogę powstrzymać ogarniającej mnie jednocześnie ulgi i niepokoju. Przebywanie blisko domu jest niebezpieczne pod wieloma względami... Nie chodzi o to, że tata by nas odnalazł, a o to, że momentalnie dociera do mnie, że tak naprawdę nie mogę wrócić do naszego starego domu. Do swojego pokoju. Być tak blisko i *nie być w domu*? To okropne. A jeszcze gorsze jest to, że nie mogę rozmawiać ani pisać z Dahlią. Nie mogę nawet dać jej znać, że wróciłam. To jest dopiero *do bani*.

Nie mówię tego mamie.

Connor ożywia się nieco, gdy odkrywa, że zamiast tygodni

spędzonych u babci będzie mógł widywać się z Javierem Esparzą, który jest milczącym supertwardzielem. Jego obecność zawsze przynosi spokój i dodaje otuchy, a ja nie mam wątpliwości, że będzie w stanie nas obronić. Connor potrzebuje towarzystwa innego faceta, z którym może się zaprzyjaźnić. On i Sam Cade nawiązali nie porozumienia, ale wiem, że Sam ma do pokonania własne demony. W dodatku jedzie razem z moją mamą, mam co do tego absolutną pewność.

A zatem zamieszkamy w chacie pana Esparzy, którą czasami dzieli z policjantką z Norton, Kezią Claremont. Ona też jest milczącą twardzielką. Założę się, że ze sobą sypiają, choć raczej nie powinniśmy tego wiedzieć. Mimo to nie mam nic przeciwko Kezii. To znaczy, że mamy przy sobie dwa razy więcej osób z bronią do ochrony. Wiem, że mama robi to właśnie z tego powodu, ale nadal się cieszę, przez wzgląd na Connora. Mam nadzieję, że obecność pana Esparzy przełamie jego notoryczne milczenie.

Pakowanie się nie stanowi wielkiego problemu. Uciekamy od tak dawna, że Connor i ja jesteśmy specami od wrzucania rzeczy do toreb i bycia gotowym do wyjścia w ciągu paru minut. Prawdę mówiąc, Connor wcale nie musi tego robić. Spakował się wcześniej, gdy ja nadal spałam. Rywalizujemy w tej dziedzinie. Wskazuje na swoją torbę w milczeniu, by dać mi znać, że wygrał. Znowu. Po chwili siedzi już z nosem w książce, co jest jego sposobem na uniemożliwienie jakichkolwiek prób nawiązania rozmowy. W dodatku uwielbia czytać.

Szkoda, że pod tym względem nie jesteśmy tacy sami. Kolejny raz obiecuję sobie w duchu, że pożyczę od niego jakąś lekturę.

Po półgodzinie od momentu, w którym mama postawiła na stole pudełko z pączkami, siedzimy już w samochodzie i jedziemy zalaną mgłą autostradą.

Przez większość czasu drzemię ze słuchawkami w uszach, które

tłumią całkowity brak rozmów. Mama i Sam są wyjątkowo milczący. Connor przewraca kolejne kartki. Umilam sobie czas tworzeniem nowej playlisty: PIOSENKI DO KOPANIA TYŁKÓW i ZABIJANIA. Jazda samochodem jest nudna, a rytmiczny łoskot muzyki sprawia, że mam ochotę pobiegać. Może pan Esparza pozwoli mi na to, gdy już dotrzemy do jego chaty, choć szczerze w to wątpię. Po raz kolejny jesteśmy objęci aresztem domowym i ukrywamy się przed czającymi się w mroku potworami – nie tylko przed tatą i jego przyjaciółmi, ale także przed plującymi jadem internetowymi trollami. Wystarczy, że ktoś udostępni jedno zdjęcie na Reddicie albo 4chanie, a sytuacja w mgnieniu oka przybierze naprawdę kiepski obrót.

A zatem bieganie odpada.

Jedziemy przez dwie godziny, po czym zatrzymujemy się przed dużym sklepem dyskontowym, gdzie Sam kupuje cztery nowe, jednorazowe telefony. Przez chwilę jestem podekscytowana odkryciem, że musiał kupić *prawdziwe smartfony*, choć nadal są nieco toporne. W sklepie nie mieli telefonów z klapką. To zwykłe, czarne modele, nic szczególnego. Rozpakowujemy je w samochodzie i wymieniamy się numerami. Zdążyliśmy się już do tego przyzwyczać. Wcześniej mama kupowała mnie i Connorowi różnokolorowe telefony, żebyśmy ich nie pomylili, ale Sam o tym nie pomyślał. Wszystkie cztery aparaty są identyczne. Mama konfiskuje mój i Connora, i majstruje przy nich, odcinając dostęp do internetu i wyłączając inne funkcje, po czym oddaje je z powrotem. To całkiem normalne. Nigdy nie chciała, abyśmy zobaczyli masę okropieństw wypisywanych o naszym tacie i o nas samych.

Wsuwam telefon do kieszeni, podłączam słuchawki do iPod'a i podgłaśniam muzykę. Przechodzę do Florence + The Machine, gdy uświadamiam sobie, że Sam nie uruchomił silnika. Ma w dłoni

skrawek papieru i wpisuje numer telefonu w swoim urządzeniu, po czym wykonuje telefon.

– Witam, czy mogę rozmawiać z agentem Lustigiem? – Słucha przez kilka sekund. – W porządku. Czy mogę zostawić mu wiadomość? Proszę mu przekazać, żeby zadzwonił do Sama Cade'a. Zna moje nazwisko. Oto mój numer... – Czyta numer z opakowania. – Proszę mu powiedzieć, żeby zadzwonił najszybciej, jak tylko będzie mógł. Będzie wiedział, o co chodzi. Dzięki.

Rozłącza się i uruchamia silnik. Gdy wyjeżdżamy na drogę i ruszamy dalej w trasę, uświadamiam sobie, że nie ma zamiaru podzielić się z nami informacjami. Postanawiam poświęcić się dla reszty.

– Kim jest agent Lustig?

– Moim przyjacielem – mówi Sam. Jest z nami szczery, a przynajmniej na tyle szczery, na ile może. To jedna z rzeczy, które naprawdę w nim lubię.

– Dlaczego rozmawiałeś z FBI? Bo on jest z FBI, prawda?

– Dlatego, że zajmują się ustaleniem miejsca pobytu waszego taty. Poza tym musimy wyjaśnić coś na temat Absaloma. Liczę na to, że FBI będzie miało więcej informacji.

Wiem o Absalomie. Marszczę brwi.

– Czemu?

– Istnieje możliwość, że oprócz oficera Grahama Absalom wysłał za nami kogoś jeszcze – tłumaczy, po szybkim zerknięciu na mamę, potwierdzającym, że może mi o tym powiedzieć. – Mogli dotrzeć za nami aż tutaj. Właśnie dlatego używamy teraz nowych telefonów.

– Absalom może być zorganizowaną grupą, niekoniecznie jedną osobą – wtrąca w końcu mama. – Jeśli tak, mogą pomagać waszemu ojcu w ukrywaniu się, jednocześnie pracując nad tym, aby nas dla niego odnaleźć.

– Skoro istnieje realne zagrożenie, po co zabieracie nas

z powrotem do Norton? Dlaczego nie możemy zostać z wami? – pyta Connor. Opuszcza książkę, ale zaznacza palcem miejsce między stronami.

– Ty tak na poważnie? – Mama stara się, aby zabrzmiało to wesoło, ale jej słowa są ponure. – Dobrze wiecie, że ostatnią rzeczą, do jakiej dopuszczę, jest zbliżenie was do jakichkolwiek kłopotów. Moim zadaniem jest trzymanie was od nich z daleka. Poza tym, przeżyliście już wystarczająco dużą traumę. Oboje musicie znaleźć się w bezpiecznym miejscu i musicie wreszcie odpocząć.

„A ty nie?”, myślę sobie, ale nie mówię tego na głos, co w moim przypadku jest dziwne. Zamiast tego się odzywam:

– Wcale nie musisz nigdzie jechać. Ściga go policja. I FBI. Dlaczego nie możesz zostać z nami?

Mama nie śpieszy się z odpowiedzią. Ciekawe, czy sama to wie.

– Skarbie, znam waszego ojca. Jeśli pozostanę na widoku, może zrobić coś głupiego i ujawnić się, żeby mnie dopaść. To znaczy, że zostanie złapany dużo szybciej i ucierpi na tym mniej ludzi. Nie mogę jednak podjąć tego ryzyka, jeśli będziecie przy mnie. Rozumiesz?

Sam znów milczy. Obserwuję jego dłonie na kierownicy. Jest świetny w ukrywaniu swoich myśli i uczuć, ale najwyraźniej *nie aż tak* dobry, bo widzę, że kłykcie nieznacznie mu bieleją.

– Tak – mówię przyciszonym głosem. – Rozumiem. Jesteś przynętą. – Majstruję przy iPodzie, ale nie zakładam słuchawek. – Zabijesz go? – Nie wiem, jaką odpowiedź chcę usłyszeć.

– Nie, kochanie – mówi mama, ale nie słyszę w jej słowach żadnego przekonania.

Wiem, że Sam chce wpakować ojcu kulę w łeb. Może nawet więcej niż jedną. I doskonale to rozumiem. Rozumiem, że tata jest potworem, którego należy zgładzić.

Jednak jest dla mnie również wspomnieniem. Silnym,

kochającym ojcem, kładącym mnie spać do łóżka i całującymi w czoło na dobranoc. Roześmianym człowiekiem, obracającym mnie w kółko w słońcu. Ojcem całującym mnie w palec, gdy zrobiłam sobie kuku, i sprawiającym, że od razu było mi lepiej. Olbrzymim cieniem podnoszącym mnie z tamtego miękkiego, plecionego dywanika i tulącym w ciepłych, dających poczucie bezpieczeństwa ramionach.

Odwracam wzrok, wyglądam przez szybę i się nie sprzeciwiam. Myślenie o moim ojcu, który jest zarówno potworem, jak i człowiekiem, sprawia, że dostaję zadyszki i robi mi się niedobrze. Nie mam pojęcia, co powinnam czuć. Nie, to kłamstwo. Wiem, że powinnam go nienawidzić. Mama go nienawidzi. Sam również. Wszyscy go nienawidzą i mają absolutną rację.

Ale to przecież mój ojciec.

Connor i ja nie rozmawiamy o tym – nigdy – ale wiem, że on też to czuje... tę wewnętrzną szamotaninę przy próbie poskładania w całość dwóch kompletnie różniących się od siebie rzeczy. Znów wracam myślami do tamtego ślicznego, kolorowego dywanika, kawałka domu we wnętrzu jaskini potwora. Nie mogę zdecydować, czy robił to mimo usilnych prób bycia *ojcem*, czy też potwór tkwił w jego wnętrzu przez cały ten czas, a *ojciec* był maską, którą przywdziewał, aby z nas zakpić.

Może obie te rzeczy są prawdziwe, a może żadna. To wyczerpujące, więc włączam z powrotem muzykę i próbuję wszystko zagłuszyć.

Na jakiś czas zapadam w sen. Gdy się budzę, jesteśmy już prawie na miejscu. Sam zjeżdża z głównej autostrady na mniejszą drogę stanową. Mijamy tuziny małych miasteczek, zanim pojawia się skręt do Norton i Stillhouse Lake. Przyglądam się mijanej starej tablicy podziurawionej śrutem z głębokim bólem świdrującym brzuch. Mam ochotę wyskoczyć z samochodu i pobiec drogą prosto

do domu, rzucić się na łóżko i zakryć głowę kołdrą.

Nie wjeżdżamy na główną drogę w Norton. Zamiast tego wybieramy boczną trasę przecinającą las. Droga jest błotnista, wyboista i pokryta koleinami. Nawet Connorowi trudno jest czytać przy podskakiwaniu na wybojach, więc sfrustrowany zaznacza odpowiednią stronę zakładką. Jedziemy tak przez jakieś osiemset metrów, po czym objeżdżamy szeroko zakręt i stajemy przy małej, starej, starannie utrzymanej chacie otoczonej wysokim, żelaznym ogrodzeniem.

Javier Esparza siedzi na werandzie. Jest przynajmniej dwanaście lat starszy ode mnie, jeśli nie więcej. Ma na sobie koszulkę w kolorze khaki i ciemne dżinsy. Wygląda bardziej jak żołnierz niż policjant. Gdy wstaje, widzę, że ma strzelbę w łatwo dostępnym miejscu. Ma przy sobie również półautomatyczny pistolet w kaburze przy pasku – nosi go w sposób bardziej oczywisty od mojej mamy, której broń jest ukryta w kaburze na ramieniu pod skórzaną kurtką. Ma też wielkiego psa mordercę – rottweilera – który leży mu u stóp, dysząc.

Gdy pan Esparza podnosi się z miejsca, jego pies robi to samo, skupiając na nas całą swoją uwagę.

Mama wysiada z auta jako pierwsza, a ja widzę, że pan Esparza nieznacznie się odpręża. Spogląda na psa i mówi coś po hiszpańsku, a zwierzę ponownie kładzie się na ziemi. Pies jest spokojny, ale w dalszym ciągu obserwuje.

– Witaj, Gwen – mówi do mojej mamy, podchodząc, aby otworzyć bramę. – Jakież kłopoty po drodze?

– Żadnych.

– Nikt was nie śledził?

– Nie – mówi Sam, opuszczając samochód od strony kierowcy. – Nie było nikogo z przodu ani z tyłu. Żadnych dronów.

Przy wysiadaniu posyłam swojemu bratu spojrzenie znad wysoko

uniesionych brwi i mówię bezgłośnie „Drony?”.

– Żyjemy w jakimś głupim filmie szpiegowskim czy co?

– Nie – odpowiada Connor bez śladu uśmiechu na twarzy. –
Raczej w horrorze.

Przełykam kąśliwą uwagę i podchodzę do bagażnika po swoją torbę. Connor bierze swoją. Otwarta klapa na chwilę ukrywa nas przed dorosłymi, więc wykorzystuję tę szansę i pytam szybko:

– Nic ci nie jest? Mów prawdę.

Mój brat zastyga w bezruchu na ułamek sekundy, jakby się zaciął, po czym przenosi na mnie swój wzrok. Jego oczy są jasne. Nie wygląda na zdenerwowanego. W ogóle nie okazuje żadnych emocji.

– Nie. Tobie też nie, więc przestań próbować być za nas odpowiedzialna.

– *Jestem* za nas odpowiedzialna – mówię wyniosłym tonem, ale ubodła mnie jego uwaga. Ignoruję go, bo w tej chwili to najlepsze, co mogę zrobić, i podchodzę, żeby stanąć obok mamy. Przyglądam się psu, który przygląda się mnie. One umieją wyczuwać strach. Potwornie boję się wielkich, hałaśliwych i agresywnych psów od momentu, gdy jeden z nich rzucił się na mnie, kiedy miałam cztery lata.

Postanawiam zmusić go do odwrócenia wzroku.

Connor podchodzi i szturcha mnie w plecy. Mocno. Krzywię się i rzucam mu mordercze spojrzenie znad ramienia.

– Psy tego nie lubią – mówi. – Przestań się na niego gapić.

– A ty co jesteś, Zaklinacz Psów?

– Uspokójcie się – mówi mama, a ja daję mu kuksańca, żeby zostawił mnie w spokoju. Robi unik z wrodzoną zwinnością wkurzającego młodszego brata. – Javier, dziękuję ci, że to robisz. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile to dla mnie znaczy. Na całym świecie jest tylko trójka ludzi, którym powierzyłabym opiekę nad

swoimi dziećmi, a ty i Kez jesteście na tej krótkiej liście.

Nadal nie mogę przyzwyczaić się do tego, że zwraca się do niego po imieniu. Stojąc tak blisko niego (choć w rzeczywistości wcale nie aż tak blisko), nie umiem sobie tego wyobrazić. Wypowiadam jego imię w myślach. *Javier*. Sam ma wystarczająco dużo lat, aby być moim ojcem, a poza tym, to w końcu Sam. Pan Esparza jest... inny. Jest spoko. To facet, w którym powinnam się zabujać, i wcześniej przez pół sekundy chyba nawet tak było... Ale to już przeszłość. Tak jest łatwiej, skoro mamy z nim zamieszkać.

Nie lubię być wyprowadzona z równowagi, więc robię to, co przychodzi mi naturalnie. Patrzę na Javiera Esparzę spod byka, jakbym nie mogła uwierzyć, że ma na mnie taki wpływ, pozwalam, aby włosy zakryły mi połowę twarzy, i jęczę pod nosem, jakby moja torba miała w środku sto kilo cegieł.

– Będziemy mieli własne pokoje? Czy mamy spać w stodole z kurczakami?

Gdy czuję się niekomfortowo, atakuję. Dzięki temu ludzie schodzą mi z drogi, a ja mam czas, żeby zastanowić się, gdzie iść. Tym razem nie czekam. Ruszam prosto na werandę. Udaje mi się zrobić dwa kroki, gdy przypominam sobie o psie.

Psie, który zrywa się z drewnianej podłogi niczym wystrzelony z procy i wpatruje się we mnie tymi wielkimi, przerażającymi ślepiami. Bardziej wyczuwam niż słyszę jego bardzo cichy warkot. Zatrzymuję się, nagle uświadamiając sobie, że jestem całkiem odsłonięta. *Idiotka, idiotka, idiotka*.

Pan Esparza nawet nie ruszył się z miejsca, a teraz powoli wyciąga dłoń w stronę psa. Warkot milknie. Rottweiler oblizuje kły i siada, ziewając. Znów jest posłuszny. Nie kupuję tego. Nawet przez sekundę.

– Może najpierw przedstawię cię Rekrutowi. Hej, mały, zachowuj się.

Rekrut wydaje z siebie szczeknięcie. Potężny dźwięk uderza we mnie i sprawia, że mam ochotę zwiewać gdzie pieprz rośnie, ale nie robię tego. Ledwie. Rekrut podnosi się, zbiega ze schodów, przypominając kłębowisko mięśni i jedwabistej sierści, i zaczyna krążyć wokół mnie. Nie ruszam się, nie bardzo wiedząc, do mam robić. W końcu Rekrut zatrzymuje się i siada naprzeciwko mnie.

– Uhm... – mówię. Genialna uwaga. Nie jestem w stanie wymyślić niczego innego. W ustach mi zaschło. Boję się choćby spojrzeć na tego psa. – Cześć?

Powolutku odkładam torbę na ziemię. Rekrut ani drgnie. Wpatruje się we mnie, gdy wyciągam dłoń w jego stronę, po czym odwraca się i spogląda na pana Esparzę takim wzrokiem, jakby chciał spytać „Ona tak na poważnie?”. Potem obwąchuje moje palce i pozwala sobie na ich lekceważące liźnięcie. Prycha, jakby nie spodobał mu się mój płyn do kąpieli czy coś w tym stylu, wreszcie odwraca się tyłem i rzuca na ziemię w cieniu, opierając pysk na przednich łapach. Wygląda na absolutnie zawiedzionego. Najwyraźniej oczekiwał porządnej bójki, od której mógłby zacząć dzień.

Rekrut i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

Nie podnosząc głowy i w ogóle nie patrząc na pana Esparzę, pytam:

– Mogę już wejść do środka?

– Jasne – odpowiada. Głos ma spokojny, z ledwie wyczuwalną nutą rozbawienia. Nie spuszczam wzroku z Rekruta, gdy podnoszę torbę i idę powoli przez otwartą przestrzeń w kierunku schodów werandy.

– Dobry piesek – mówię do Rekruta.

Odwraca wzrok, ale w odpowiedzi macha mi nieznacznie ogonem. W następnej chwili wchodzę już po schodach. Stoi tam stare, wytarte krzesło, a przy drzwiach widać opartą o róg strzelbę.

Nachodzi mnie szalona ochota, aby jej dotknąć, ale mama dostałaby świra, gdyby tak się stało, więc otwieram tylko drzwi do chaty i wchodzę do środka.

– Świetnie – mruczę cierpko pod nosem, rozglądając się wkoło. Nie ma tego zbyt wiele. Dochodzę do wniosku, że jest tu nawet całkiem przyjemnie. Na kominku płonie ogień odpędzający chłód, a kanapa wygląda na wielką i wygodną. Krzesła również. Niewielki stół jadalny stoi obok równie małej kuchni. Wszystko jest schludne i czyste.

Od głównego salonu odchodzi troje drzwi: do łazienki (tylko jednej, rany boskie) oraz dwóch małych sypialni. Ciskam torbę na pierwsze łóżko, jakie widzę, i rzucam się na nie twarzą do dołu. Biorę głęboki wdech.

Pachnie sosnami i świeżo praną pościelą. Ściskam kurczowo poduszkę. Przynajmniej ma dobry kształt.

– Hej – odzywa się od drzwi Connor. – A gdzie ja mam spać?

– Nie obchodzi mnie to – mamroczę w poduszkę. – Przejmuję tę ziemię w imieniu Atlanty.

– Nie zachowuj się jak su...

– Jeśli powiesz słowo, o którym myślę, to skopię ci tyłek.

– Wstręciuch – mówi, co jest na tyle dziecinne, że chce mi się śmiać, szczególnie że powiedział to w tak pełen godności sposób. – Muszę *gdzieś* spać.

– Zajmiesz drugi pokój – odzywa się zza jego pleców pan Esparza, a szybkie zerknięcie w jego stronę uświadamia mi, że się uśmiecha. – Ten większy, skoro Lanny zdążyła już zaklepać swój.

– Hej! – Natychmiast zrywam się z miejsca, ale jest za późno. Connor zdołał już dopaść do drzwi drugiego pokoju. Zza zasłony czarnych włosów wpatruję się morderczym wzrokiem w pana Esparzę. – To nie fair! – Wzrusza ramionami. – Chwileczkę... a *pan* gdzie będzie spał?

– Na kanapie. Nic mi nie będzie. Jestem przyzwyczajony do gorszych warunków, a ona w dodatku się rozkłada i jest całkiem wygodna.

Myśli zupełnie jak mama, która zawsze wybiera pokój znajdujący się najbliżej drzwi... stając między nami a niebezpieczeństwem, które może nadejść.

– Mam nadzieję, że pan nie chrapie – odpowiadam zgryźliwie.

– Och, ależ oczywiście, że chrapię. Jak rębak spalinowy do drewna. Mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą stopery do uszu.

Wydaje mi się, że żartuje. Chyba. Nie chcę pytać, na wypadek gdyby było inaczej. Rzucam się z powrotem na łóżko, jakby mnie ktoś postrzelił, i gapię się w sufit. Całkiem nijaki. Pokój jest... nudny, choć czysty i ładnie pachnie. Mam w torbie kilka osobistych drobiazgów. Connor ma całą masę książek. Może uda mi się którąś podkraść.

Pan Esparza odwraca się, a do środka wchodzi mama i Sam.

– Javi, jesteś pewien, że dobrze robimy? – Nagle w głos mamy wkrada się niepewność, co jest do niej zupełnie niepodobne. – Wiem, że ta prośba jest niedorzeczna. Narażam cię na niebezpieczeństwo i jednocześnie przysparzam kłopotów...

– Nie martw się – mówi pan Esparza. – Miło będzie mieć przez jakiś czas gości. Słuchaj, ta chata może i wygląda jak szopa, ale jest wzmocniona. Mam alarmy i reflektory. Mam też Rekruta, broń i szkolenie wojskowe. Nic im nie będzie. Dopilnuję tego. – Robi pauzę, a ja dostrzegam spojrzenie, które posyła Samowi. Nie wiem, co ono oznacza. – Ściganie twojego eks to kretyński pomysł, Gwen.

– Zdaję sobie z tego sprawę – zgadza się. – Ale spędziłam już zbyt wiele lat w ukryciu i zobacz, do czego to doprowadziło. Manipulował mną. Doprowadził do miejsca, w którym od początku miałam się znaleźć. Teraz to on ucieka i jest ścigany, a ja *nie dopuszczę* do tego, aby znów ścigał moje dzieci.

To pierwszy raz, kiedy miałam okazję usłyszeć, jak mama mówi o tym bez ogródek. To znaczy wiem, że o tym myśli. Musi być cały czas pomiędzy nami i nim. Rozumiem to. Martwię się tylko, do czego może dojść.

Mama wchodzi do mojego pokoju i siada na łóżku obok mnie. Nie mam ochoty na pożegnalną rozmowę, więc zaczynam się rozpakowywać.

– Obojętnie dokąd pojedziemy, ty zawsze zaczynasz od rozpakowywania się – mówi mama, a ja waham się, składając koszulkę. – Wiesz o tym?

– Wszystko jedno.

Otwieram szufladę komody. Jest pusta i wyłożona cedrem, którego ciepły zapach uwalnia się ze środka. Będę pachniała jak drzewo. Super. Wkładam tam stertę bielizny i skarpetek, po czym wrzucam koszulki do drugiej szuflady.

– Connor nigdy tego nie robi – dodaje mama. – Zostawia wszystko w torbie.

– Tak, no cóż, on zawsze jest gotowy do ucieczki. Lubię mieć poczucie, że ja nie muszę.

Choć jest odwrotnie. Wiem dokładnie, gdzie są wszystkie moje rzeczy, i w razie niebezpieczeństwa jestem w stanie spakować torbę w mniej niż minutę.

Wyjmuję z niej resztę koszulek i wygładzam zmarszczki na ubraniach, po czym odkładam je na miejsce.

– Myślałam, że już się tego pozbyłaś – mówi, a ja uświadamiam sobie, że chodzi jej o wyblakłą koszulkę z postacią z kreskówki *Truskawkowe ciastko*, którą trzymam w ręku. Muszę przyznać, że wygląda dziwnie na tle mojej mrocznej szuflady pełnej czarnych, czerwonych i ciemnogrnatowych ubrań. Wyrosłam już z tej bajki. Noszę luźne bojówki ozdobione suwakami i brzęczącymi kółkami, wielką koszulę do gry w kręgle z gigantyczną, wyhaftowaną na

plecach czaszką jak z meksykańskiego święta zmarłych. Długie i proste włosy mam w kolorze granatowej czerni. Nie pomalowałam dziś oczu eyelinerem. Brakuje mi tego.

– Lubię jej materiał – mówię, zatrzasnąwszy szufladę ze wspomnieniem dziewczyny, którą kiedyś byłam. – Gotowe. Nie ma jak w domu. Na jak długo nas tu zostawiasz?

Uwaga jest kąśliwa, ale nie robi to na niej wrażenia.

– Nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że będzie trudno, ale nie możecie kontaktować się ze swoimi przyjaciółmi z Norton, okej?

Okej, przecież żaden z nich i tak nie chce ze mną rozmawiać. Jestem nie tylko miejscowym dziwadłem, ale złem wcielonym z powodu powiązań z ojcem. Poza tym wszyscy i tak są w szkole.

– Jak rozwiążemy kwestię zajęć?

– Wybacz. Wiem, że jest ciężko, ale sytuacja jest tymczasowa. Javier i Kezia dopilnują, żebyście mieli lekcje podczas mojej nieobecności. Mam nadzieję, że potrwa to tydzień, najwyżej dwa. Ale musisz...

– Być odpowiedzialna, opiekować się Connorem, i tak dalej, i tak dalej. Wiem. – Przewracam oczami, bo najwyraźniej dotarliśmy do tej konkretnej części rozmowy. – Hej, może uda nam się zapolować na własne jedzenie. Będzie świetnie. Zupa z wiewiórki. Pychota.

Wkładam rękę do torby. Na wierzchu leży zdjęcie przedstawiające naszą roześmianą trójkę stojącą przed domkiem w Stillhouse Lake. Zrobił je Sam. To był dobry dzień. Stawiam fotografię na komodzie i przez chwilę majstruję przy niej, ustawiając pod różnymi kątami. Mama nie dała się nabrać na moją przynętę. Wcale mnie to nie dziwi.

– Powiedziałaś nam, że nie zastrzelisz taty – mówię w końcu.

– Nie jadę po to, aby to zrobić – odpowiada, co biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, jest całkiem szczerze.

– Szkoda. Wolałabym, żeby już nie żył. Powinni byli zabić go już

w Kansas. Chyba dlatego nazywa się to cela śmierci, prawda? – Staram się mówić spokojnym głosem i się nie garbić. – Zabije kogoś innego, zgadza się? Możliwe, że nas też.

– Nie dojdzie do tego. – Mama odzywa się łagodnie. Wiem, że chce mnie uściskać, ale stała się ekspertką w odczytywaniu Języka Lanny, więc trzyma się na wyciągnięcie ręki. Nie chcę się przytulać. Chcę kłótni. Ale ona nie ma zamiaru mi tego dać, co jest do bani. – Złapią go i wróci do więzienia. A gdy nadejdzie właściwa chwila, państwo wykona wyrok. To jedyny właściwy sposób. W przeciwnym razie to tylko zemsta.

– A co jest złego w zemście? Nie widziałaś zdjęć zwłok? Gdybym to ja zwiślała z tej pętli, nie pragnęłabyś zemsty?

Zastyga w bezruchu. Wyłącza się. Chyba dlatego, że nie chce, abym wiedziała, jak bardzo chciałyby się zemścić. Potem mruga szybko powiekami i mówi:

– Czy Connor widział te zdjęcia?

– Co? Nie! Oczywiście, że nie. Nie jestem głupia. Nie pokazałabym mu ich. Ale nie o to chodzi, mam. Chodzi o to, że tata nie zasługuje na to, żeby żyć, prawda?

– Mam do tego emocjonalny stosunek. Ty również. Dlatego to nie my powinniśmy decydować o tym, co się z nim stanie.

Mówi z pełnym przekonaniem, ale wiem, że go nie czuje. Chce go posłać do piachu, i to tak bardzo, że aż się trzęsie. Stara się jednak jak może nie przekazać mi takiego wzorca. Całkiem słusznie z jej strony.

Odwracam torbę do góry dnem, a zawartość wysypuje się na łóżko. Głównie są to kosmetyki do makijażu. Album z wycinkami z ostentacyjnym, łatwym do otwarcia zamkiem, o którym Connor powiedział, żeby mógłby go podważyć spinaczem do papieru. Do tego pamiętnik, również na kłódkę. Lubię pisać na papierze. Lubię myśleć, że moje zapiski przetrwają, podczas gdy rzeczy w internecie

to tylko zbiór pikseli, które mogą zniknąć w ułamku sekundy. Tak jakby nigdy nie istniały.

– Lanny, moim zadaniem jest stać między wami a ojcem. Właśnie dlatego muszę jechać. Rozumiesz to?

Majstruję coś przy opakowaniu szminki o nazwie Pąsowy Cień i kładę na komodzie.

– A ja jestem jedyną osobą stojącą między nim a Connorem. Rozumiem. Po prostu tego nienawidzę, to wszystko. Nienawidzę faktu, że bez względu na to, co robimy i jak bardzo się staramy, wszystko kręci się wyłącznie wokół *niego*.

Tym razem mama obejmuje mnie ramionami i ściska. Mocno.

– Nie. Chodzi o to, żeby wreszcie przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie należymy do niego, tylko do *siebie*.

Odwzajemniam uścisk, ale szybko, po czym się wyłączam. Rzucam się na łóżko i zakładam słuchawki na szyję.

– Kiedy odzyskam laptop, Pani Naczelnik?

– Kiedy wszystko dobiegnie końca.

– Wiem, czego nie robić. Mogłabyś nawet włączyć kontrolę rodzicielską.

Uśmiecha się.

– Jesteś bystrym dzieciakiem, który rozgryzie to w dwie sekundy po tym, jak znajdę się za drzwiami, więc nie. Wybacz, ale dopiero jak to wszystko się skończy.

Rzucam jej swoje słynne spojrzenie. Nie robi na niej żadnego wrażenia.

– Zadzwoń wieczorem – mówi, a ja wzruszam ramionami, jakby fakt, że nie zadzwoni wcale, nie miał dla mnie znaczenia. Tyle że ma. Obie to wiemy.

Po ułożeniu zestawu kosmetyków w zadowolający mnie sposób rozglądam się i widzę, że mama poszła do salonu i jest przy kuchennym stole. Siedzi naprzeciwko Connora. Javier postawił

przed moim bratem szklanę wody, ale on ją ignoruje. Całą swoją uwagę skupia na czytanej stronie. Mama bierze jego szklanę i upija łyk. To również ignoruje.

– To musi być wyjątkowo dobra lektura – mówi.

Siadam na jednym z foteli przy oknie. Miałam rację. Jest wygodny. Przerzucam nogę przez podłokietnik i przyglądam się rozgrywającej się na moich oczach szopce, w której mama próbuje delikatnie przedostać się za mur obronny Connora, a Connor udaje, że jej tam nawet nie ma.

W końcu poddaje się odrobinę i mówi:

– Bo jest. – Ostrożnie wkłada podniszczoną zakładkę między strony książki, zamyka ją i kładzie na stół. – Mamo? Czy ty jeszcze wrócisz?

Widzę jego oczy. Martwię się tym, jak wyglądają. Już nie wiem, co właściwie myśli sobie mój brat. Odkąd porwał nas Lancel Graham, nie czuł się bezpiecznie. Wiem to. Pokładał tak wielką wiarę w to, że mama zapewni nam całkowitą ochronę, osłoni przed złym światem, więc dla niego ta wpadka miała epickie rozmiary. To nie była jej wina. Uratowała nas, tak jak się tego spodziewałam.

Nie wiem jednak, jak naprawić swojego brata.

Rzecz jasna, mama mówi właściwe rzeczy i ściska go mocno. Connor wyrywa się szybko z jej ramion, jak zawsze zresztą... Connor nie przepada za uściskami, szczególnie gdy w pobliżu są inni ludzie. Ale tu chodzi o coś więcej niż to.

Mama całuje mnie w czoło, a ja ją mocno przytulam, z prawdziwym uczuciem, choć nie mówię ani słowa. Sam, który w milczeniu opiera się o drzwi, podchodzi do mnie i mówi:

– Opiekuj się bratem, dobrze?

Sam to dobry człowiek. Przez długi, długi, *długi* czas byłam nieufna w stosunku do niego, ale widziałam, jak robi dla nas dyskretne, niesamowite rzeczy, wliczając w to walkę o uratowanie

nas, gdy nasze życie wisiało na włosku. Gdy mówi, że się o nas troszczy, wierzę mu.

Wierzę również, że to dla niego potwornie trudne, ponieważ nasz pieprzony ojciec zabił jego niewinną siostrę, a gdy na nas patrzy, nie może oprzeć się wrażeniu, że widzi we mnie i Connorze ślady Melvina Royała. Czasami godzinami oglądam w lustrze swoją twarz, wyłapując cechy upodabniające mnie do taty. Włosy mam bardziej jak mama, ale wydaje mi się, że kształt nosa mam raczej po tacie. Oraz podbródek. Sprawdziłam już, ile muszę mieć lat, żeby zrobić operację plastyczną, tylko po to, by pozbyć się wszelkich śladów.

Connor czasami wygląda dokładnie tak jak nasz ojciec na zdjęciach z dzieciństwa. Wiem, że strasznie mu to przeszkadza. Wiem, że spędza mnóstwo czasu na obsesyjnym myśleniu o tym, kiedy się okaże, że jest... zły.

Mama musi znaleźć dla niego pomoc, i to szybko. Jeśli tego nie zrobi, ja się tym zajmę.

– Zaopiekuję się nim – mówię Samowi, po czym wzruszam dla zasady ramionami, jakby wcale nie chodziło o nic wielkiego. Sam rozumie.

– I sobą, twardzielko.

– Kogo nazywasz *twardzielką*? – pytam rozkazującym tonem, posyłając mu szeroki uśmiech. Nie ściskamy się. Robimy żółwika, a po chwili Sam robi to samo z Connorem.

Potem Sam i mama wychodzą, a my schodzimy na werandę z Javierem Esparzą i Rekrutem, aby pomachać im na pożegnanie. No tak, przecież Rekrut nie macha. Nadal wygląda na niezadowolonego, że nie udało mu się odgryźć mi twarzy. Częstuje go ostrożnym klepieniem w czubek głowy. Znowu prychnął, po czym odwraca się w stronę Connora, a mój brat, nie okazując najmniejszego nawet strachu, siada obok psa i drapie go między

uszami. Rekrut zamyka oczy i opiera się o niego.

Chłopcy, myślę sobie i przewracam oczami.

Patrzę, jak mama i Sam wsiadają do samochodu. Przyglądam się, jak odjeżdżają. Oczy mam suche, z czego jestem dumna.

Pan Esparza mówi, że zrobi na lunch chili dogi. Przydziela Connorowi zadanie w postaci siekania cebuli.

Idę do swojego pokoju, zamykam drzwi i płaczę w poduszkę, ponieważ boję się jak jeszcze nigdy wcześniej w całym swoim życiu, że już nigdy więcej nie zobaczę swojej mamy.

I że tata w końcu nas znajdzie.

Rozdział trzeci

Sam

Po godzinie jazdy Gwen nadal zachowuje milczenie. Wyczuwam ból w wibrującym wokół niej powietrzu.

– Dobrze się czujesz?

Pytanie jest nieadekwatne do sytuacji, ale muszę spróbować. W sposobie, w jaki wpatruje się pustym spojrzeniem w migające za szybą drzewa, jest coś upiornego, zupełnie jakby usiłowała zahipnotyzować samą siebie, aby poczuć namiastkę spokoju.

– Właśnie porzuciłam swoje dzieci – mówi. Jej głos brzmi dziwnie. Obrzucam ją szybkim spojrzeniem, ale droga jest wąska i kręta, a ja nie mogę się zbyt rozpraszać. – Zostawiłam je z... obcymi.

– To nie są obcy. Daj spokój. Wiesz, że to dobrzy ludzie. Zrobią wszystko, co w ich mocy, by zapewnić twoim dzieciom bezpieczeństwo.

– Powinnam była z nimi zostać. – Wiem, że marzy o tym, by poprosić mnie o zawrót samochodu. – Chcę je wziąć w ramiona i już nigdy nie spuszczać z oczu. Jestem przerażona... – Na kilka sekund jej głos staje się ledwie słyszalny, po czym znów nabiera siły. – A jeśli już nigdy do nich nie wrócę? Co będzie, jak zostaną

porwane w trakcie mojej nieobecności?

Jest taka wstrząśnięta, że zjeżdżam SUV-em na pobocze, w niebieskawy cień drzew.

– Chcesz wrócić?

Wyłączam silnik i odwracam się, aby na nią spojrzeć. Nie oceniam jej. Okazuję jedynie troskę. Jeśli to ma się udać, muszę mieć pewność, że jest w stanie to zrobić. Nie będę jej obwiniał, jeśli nie jest gotowa, ale w głębi duszy wiem, że muszę jechać, z nią lub bez niej. Melvin Royal jest na wolności. Przyjdzie po Gwen i po dzieci. Wcześniej traktowałem to jako osobistą zemstę, wymierzenie sprawiedliwości dla mojej siostry, Callie, ale teraz to coś znacznie więcej.

– Oczywiście, że chcę wrócić – mówi Gwen, po czym bierze głęboki oddech. – Ale nie mogę, prawda? Jeśli nie zawalczę o swoje dzieci i nie ochronię ich teraz, to jak będę mogła spojrzeć im kiedykolwiek w oczy? On po nie przyjdzie, a ja muszę stanąć mu na drodze do celu, gdy już się zjawi.

Gwen to uosobienie czystego bólu, tłumionego za pomocą żelaznej samokontroli. Gdy się na nią patrzy, człowiek nie ma wątpliwości, że mówi serio. A ja w nią nie wątpię. Zwłaszcza gdy mówi o Melvinie Royalu. Stawi mu czoła i na pewno nie ucieknie.

– Zabijemy go – stwierdzam. Sposób, w jaki to mówię, jest pozbawiony dramatyzmu. To nie jest pytanie. – Chyba rozumiemy się w tej kwestii? Nie robimy tego, żeby go znaleźć, wezwać gliny i wsadzić go z powrotem za kratki. Ten facet będzie cię krzywdził do końca swojego życia na różne możliwe sposoby. Nie ma opcji, żebym mu na to pozwolił.

Nie miałem zamiaru zdradzać aż tyle, ale taka jest prawda. Jeśli to, co czuję do tej kobiety, można nazwać miłością, to jest to trudna miłość, niebezpieczna dla nas obojga, dopóki na dobre nie pozbędziemy się ducha Melvina Royała.

– Tak – zgadza się Gwen. – Zabijemy go. To jedyny sposób, aby mieć pewność, że dzieci będą bezpieczne.

Przytakuję powoli głową, po czym uśmiecham się do niej. Odwzajemnia się uśmiechem wyrażającym żal, poczucie winy i przeprosiny.

– Muszę przyznać, że nigdy nie sądziłem, że będę z kimś rozmawiać o zostaniu zdeklarowanym mordercą. Zabawne, jakich rzeczy człowiek dowiaduje się o sobie, gdy zostaje popchnięty do ostateczności.

Gwen kładzie mi dłoń na ramieniu, a ja czuję jej dotyk przez materiał, gorący niczym żagiew. Puszczam kierownicę i wsuwam dłoń w jej rękę. Nasze palce się splatają. Nie odzywamy się przez bardzo długi czas, a spokój panujący na leśnej drodze, drzewa i odległy śpiew ptaków tak bardzo różnią się od zalegającej w nas ciemności, że mam wrażenie, jakbyśmy byli w innym świecie.

Ciszę przerywa dzwonek telefonu. Oboje sięgamy do swoich kieszeni.

– To mój – mówię, a ponieważ rozpoznaję numer wyświetlający się na ekranie, odbieram. – Hej, Mike. Co słychać?

– A ja ci się, do cholery, zdaje, Sammy? Myślisz, że dzwoniłbym, żeby pogadać o bzdurach? Mam sprawę, synu. Znalazłem parę poszlak dotyczących potencjalnych członków Absaloma. Chcesz jedną?

– Jasne. Domyślam się, że to nie jest oficjalna informacja.

– Oficjalnie nie uzbierałem wystarczająco dużo dowodów, aby zapytać któregoś z tych skurwieli, którą mamy godzinę, więc wykorzystasz to, jak zechcesz. Mogę mówić?

Nie mam przy sobie kartki ani długopisu, więc robię w powietrzu taki gest, jakbym pisał, a Gwen natychmiast orientuje się, o co chodzi. Znajduje długopis i umowę wynajmu SUV-a. Słucham dwóch opcji, które odczytuje Mike Lustig, i podejmuję

natychmiastową decyzję. Zapisuję informację.

– Mam to. Zajmiemy się tą najbliższą, w Markerville.

– Uważajcie na siebie, dobrze?

– Dobrze. Ty też.

Mike rozłącza się bez pożegnania, co jest zupełnie w jego stylu. Podaję Gwen odręcznie spisana notkę.

– „Arden Miller, Markerville, Tennessee” – odczytuje. –
Mężczyzna czy kobieta?

– Tego nie wiem.

– A gdzie jest Markerville, poza tym, że w Tennessee?

Informacja z nazwiskiem i adresem sprawia, że wszystko nabiera rzeczywistości. Tempa. Posyłam jej niespodziewany, szeroki uśmiech i włączam silnik.

– Tego też nie wiem. Po pierwsze, musimy kupić mapę.

W dzisiejszych czasach większości ludzi wydałoby się to co najmniej dziwne, ale żadne z nas nie może ryzykować i korzystać z internetu. Nie, kiedy Absalom wszystko obserwuje.

Im dłużej uda nam się pozostać poza siecią i nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, tym lepiej. Mapa, którą kupujemy, nie pokazuje Markerville, więc pytam o nie starszego mężczyzny siedzącego przed sklepem w bujanym fotelu. Już bardziej wiejsko być nie może. Spogląda na mnie, mrużąc oczy – wyblakłe, złotawe tęczówki, które kiedyś były chyba w kolorze ciemnego brązu – i kręci głową.

– W Markerville nic się nie dzieje – informuje mnie. – Miejsce jest od lat opuszczone. Nawet poczta została tam zamknięta w latach sześćdziesiątych. Nic tam nie ma, prócz starych, rozpadających się chałup.

Nie brzmi to obiecująco, ale mimo wszystko udaje mi się zdobyć wskazówki, jak dotrzeć na miejsce. To długa droga, co najmniej kilka godzin. Gdy docieramy na przedmieścia Nashville, powoli

zaczyna się ściemniać.

– Chcesz jechać dalej, spać w samochodzie czy wynająć pokój? – Staram się, aby nie znalazł się w tym żaden podtekst sugerujący, że to jakaś dwuznaczna propozycja, bo Bóg jeden wie, że to wyjątkowo kiepski moment, nawet gdyby w ogóle istniała taka możliwość. – Chciałem powiedzieć, dwa pokoje.

Z nas dwojga to Gwen wykazuje się pragmatyzmem.

– Jeden pokój, wystarczą dwa łóżka – mówi. – Coś taniego. Nie ma sensu, żebyśmy dojechali do Markerville zmęczeni i musieli czekać aż do zachodu słońca, prawda?

– Prawda. Coś taniego. W porządku.

Pół godziny później zauważam miejsce o nazwie French Inn, motel, który lata swojej świetności miał chyba w latach pięćdziesiątych. To zwykły, ceglany budynek w kształcie litery U, usytuowany na zboczu wzgórza, prezencją przypominający dom pogrzebowy. Na małym parkingu stoją dwa samochody. Motel liczy dwadzieścia pokoi i wszystkie znajdują się na pierwszym piętrze.

Zerkam na nią z uniesionymi brwiami.

– Dzwonił Norman Bates, chce dostać z powrotem swoją zasłone prysznicową.

Gwen parska śmiechem, który brzmi autentycznie. Ciepło.

– Wygląda cudownie.

– A zatem witamy w centrum pluskiew – mówię, skręcając. Wjeżdżamy na parking, który jest tak samo nierówny jak farba na drzwiach pokoi, i zajmuję jedno z wielu wolnych miejsc. – Zaczekaj tutaj. Jeśli jest tu kamera, nie chcę, żebyś się na niej znalazła.

Gwen jest bardziej rozpoznawalna ode mnie. Przy odrobinie szczęścia Absalom nie wysłał jeszcze żadnych pomagierów, aby odszukali zdjęcia mojej twarzy. Zakładam czapeczkę z daszkiem drużyny Florida Marlins, którą znalazłem w ostatnim sklepie

spożywczym, naciągam nisko na twarz i wchodzę do środka. Zanim zamykam drzwi, posyłam jej stanowcze spojrzenie.

– Zamykaj drzwi.

– Zawsze.

Jest też uzbrojona i świetnie strzela, więc niespecjalnie się martwię tym, że zostawiam ją tu samą. Gwen Proctor nigdzie się nie wybiera. Nie po cichu. A jeśli jakiś przypadkowy złoczyńca spróbuje zrobić jej krzywdę, będzie na niego czekała niespodzianka.

Recepcja jest równie mało zachęcająca, czego można się było spodziewać. Zastanawia mnie facet o obwisłej twarzy siedzący za kontuarem. Ma szkliste oczy osoby, która niejedno w swoim życiu widziała. Biorę klucz z zatłuszczonym plastikowym brelokiem, podaję mu gotówkę i po dwóch minutach wychodzę na zewnątrz.

Zostawiamy samochód na parkingu, ponieważ stoi niedaleko silnego reflektora, i zabieramy ze środka wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. Mamy pokój numer trzy, a gdy otwieram drzwi, w powietrzu unosi się znajomy, przytłaczający zapach wybielacza i rozpaczy. Kiedy włączam światło, to przynajmniej nie ma żadnych widocznych karaluchów pierzchających w poszukiwaniu schronienia. Wszystko wygląda na czyste, choć z pewnością nie odważyłbym się zaświecić ultrafioletem po powierzchniach.

Stan mebli jest za to mniej niż pocieszający, wyglądają jak najgorsza na świecie zbieranina gratów w wyprzedaży garażowej; widać mokre plamy na uginającym się suficie. Tak jak prosiłem, w pokoju stoją dwa łóżka. Gestem ręki zapraszam Gwen, żeby zajęła to bliżej łazienki, z tego tylko powodu, że znajduje się dalej od drzwi wejściowych. Przyglądam się, jak podnosi burą narzutę, która opada aż na dywan, i schyla się, żeby zajrzeć pod spód. Bierze latarkę z plecaka i sprawdza ponownie.

– Czego właściwie tam szukasz? – pytam.

– Odrażających facetów. Trupów. Schowków w metamfetaminą.
Kto wie?

Sprawdzenie tego nagle wydaje mi się cholernie dobrym pomysłem, więc pożyczam latarkę. Klęcząc na podłodze i przypatrując się zmumifikowanej prezerwatywie i co najmniej trzem butelkom piwa oraz żałując dokonanych przez siebie życiowych wyborów, wykorzystuję zasłonę, aby zapytać:

– Wolisz nocną czy poranną zmianę w łazience? Bo według mnie to miejsce ma wystarczająco dużo ciepłej wody na jeden ekspres do kawy i dwuminutowy prysznic co kilka godzin.

– Nocną. Potrzebujesz najpierw skorzystać z łazienki?

Prostuję się i kręcę głową, a Gwen unika bezpośredniego kontaktu wzrokowego ze mną. Bierze swoją torbę i niesie ją ze sobą do łazienki. Słyszę, jak zamyka za sobą drzwi.

Mam do wyboru siedzieć tu i słuchać, jak się rozbiera, albo zrobić coś pożytecznego.

Postanawiam załatwić nam coś do jedzenia.

Gdy wracam, Gwen jest już wykąpana, a woń desperacji w pokoju zastąpił ciepły, owocowy zapach. Jest ubrana od stóp do głów, nie licząc butów. Świetnie. Spanie w tym miejscu bez bycia przygotowanym na wszystko nie jest rzeczą, którą bym polecał. Podaję jej torebkę z hamburgerem i frytkami oraz napój w puszcze. Siadamy na przeciwległych łóżkach i jemy w milczeniu przez jakiś czas.

– Powinnam była zapytać wcześniej – mówi. – Czy osobą, z którą rozmawiałeś wtedy przez telefon, był twój przyjaciel z FBI? Mike?

Kiwam głową, nie odzywając się. Te hamburgery to istna zbrodnia przeciwko porządnym wołowym kotlecikom, ale jakimś cudem udaje mi się przełknąć ostatni kęs. Potrzebuję paliwa.

– A właściwie to dlaczego pomaga nam agent FBI?

– Dlatego, że czasami robię mu przysługi. W tej chwili jest mi

winien przynajmniej trzy. Poza tym brakuje mu pracowników do śledzenia poszlak i jest zdania, że chyba jestem bardziej godny zaufania niż policja stanowa.

– Tylko chyba?

Wzruszam ramionami.

– Mike nie jest typem faceta, który potrafi komuś w pełni zaufać. Nie posiadał wszystkich szczegółów dotyczących tej wyprawy, więc dał mi tylko tyle, ile widziałaś. Arden Miller, Markerville. Nie miał adresu i powiedział, że nie będzie nam potrzebny. Jeśli to faktycznie jest wymarłe miasto, to pewnie ma rację.

– A jaki związek z Melvinem ma Arden?

– Lustig kieruje oddziałem specjalnym badającym niebezpieczne grupy internetowe. Absalom jest na jego celowniku, a Arden najwyraźniej ma z nimi coś wspólnego.

– Zatem mamy do czynienia z pustelnikiem? Surwiwalistą?

– Nie mam pojęcia. Ale musimy zachować cholernie dużą ostrożność.

– Skoro już o tym mowa, to zanim tam pojedziemy, spróbujmy się dowiedzieć, kim jest Arden Miller, i przekonajmy się, czy możemy ułożyć jakiś przyzwoity plan. Rano wpadniemy do miejscowej biblioteki. Ja zajmę się szukaniem w internecie, a ty w książkach...

– Całkiem dobry pomysł.

Zdążyliśmy już zjeść swoje hamburgery, pożerając je w tempie sugerującym, że za wszelką cenę staraliśmy się uniknąć poczucia ich smaku. Zgarniam opakowania do śmieci, a skoro już jestem na nogach, poświęcam chwilę, żeby przyjrzeć się bacznie drzwiom. Mają zamek z łańcuszkiem, który najwyraźniej został już kilkakrotnie wyrwany. Ani drzwi, ani futryna nie wyglądają na wystarczająco solidne, aby oprzeć się silnemu wiatrowi, a co dopiero porządному kopniakowi.

– Jak łazienka? Pod względem zabezpieczeń.

– Ma okno, ale jest małe, zakratowane i nie otwiera się w razie pożaru.

– W takim razie postarajmy się żadnego nie wzniecić. – Przyciągam fotel z tapicerką w kolorze dziecięcej kupy i wpycham go pod klamkę. Nie zda się na wiele, ale to lepsze niż nic.

– O której chcesz wstać? – pyta Gwen.

W jej głosie słyszę lekkie napięcie. To nerwy. Pytanie jest zwyczajne, ale jest z rodzaju tych, które zadałoby się małżonkowi albo kochankowi. Oboje wyczuwamy implikacje, jakie za sobą niesie. Podchodzę do łóżka, zdejmuję odpinaną kaburę z tyłu spodni i kładę ją na nocnym stoliku. Kabura na ramię Gwen wisi już na słupku łóżka, niczym wyjątkowo frywolny element sprzętu do krępowania.

„Lepiej o tym nie myśl”, mówię sobie w duchu. Pochyliłam się i zaczynam rozsznurowywać buty.

– O siódmej. Albo wtedy, kiedy atakują wilkołaki.

– Wydaje mi się, że jesteśmy raczej na terytorium zombie. – Siedzi po turecku na posłaniu, ale po chwili wstaje, odsuwa pościel, sprawdza, czy nie ma robali, i wpełza do środka. – No cóż, w takim razie dobranoc.

Brzmi niezręcznie. I takie też się wydaje.

Mój drugi but uderza w podłogę. Kładę je pod stolikiem, żeby były pod ręką na wypadek, gdybym ich potrzebował, po czym opieram się o poduszki. Materac jest nierówny i sfatygowany. Pasuje do mojego nastroju.

– Dobranoc, Gwen.

Brzmi to naprawdę niedorzecznie.

Milczymy przez kilka długich sekund. Śmiech rodzi się głęboko w moich trzewiach, równie głupawy i zaraźliwy co wstrząśnięty szampan, a kiedy już dłużej nie mogę go w sobie zdusić, wybucham nim.

Gwen również parska śmiechem. Jest dobry i oczyszczający, a dzięki niemu nawet ponury pokój wydaje się jaśniejszy.

– Wybacz – udaje mi się w końcu wykrztusić. – To wszystko było takie *uprzejme*. Cholera, przecież jesteśmy dorośli, prawda? Dlaczego to jest takie...

– Dobre pytanie – mówi, przekręcając się na bok, żeby na mnie spojrzeć. Jej słowa sprawiają, że mój śmiech cichnie. – Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

– Choć raz wolałabym to usłyszeć od ciebie.

– Dlatego, że stoją między nami martwi ludzie – mówię, i cały dobry nastrój szlag trafia, a prawda jest tak przerażająca, że przypomina ducha, przez co dostaję gęsiej skórki. – Po pierwsze, moja siostra.

Gwen nawet nie drgnie.

– I te wszystkie kobiety, którym powinnam była umieć pomóc. Nawet przyrodni brat Melvina... popełnił samobójstwo. Wiedziałeś o tym? Nie mógł znieść małomiasteczkowego ostracyzmu i internetowych mścicieli. – Z trudem przetyka ślinę, a ja żałuję, że zacząłem ten temat. – Ostatni wpis, jaki zamieścił w mediach społecznościowych, był o tym, że to moja wina i że gdybym była dobrą żoną, Melvin nigdy...

– Co za brednie – przerywam jej. Jestem wściekły, choć wcale tego nie chcę. – To nigdy nie była twoja wina. Obwinianie ciebie to przejaw zwykłej małostkowości. – Mija sekunda. I jeszcze jedna. Jestem o krok od przyznania się do czegoś, choć wcale nie zamierzałem tego robić. Postanawiam zaryzykować. – Odnalazłem brata Melvina, w ten sam sposób, w który wysłodziłem ciebie. Wiedziałem, gdzie mieszka. Wiedziałem, gdzie wszyscy mieszkacie.

Gwen zastyga w bezruchu, a ja widzę, że się waha. Wcale nie ma zamiaru pytać, ale tak jak zawsze, nie unika tematu.

– Wysyłałeś mu listy z pogrózkami, Sam?

Gapię się na nieregularną, rdzawą plamę po wodzie na suficie. Wygląda jak Australia. Moje wahanie trwa o wiele za długo, nim udaje mi się zebrać odwagę, by wyznać:

– Tak, wysyłałem. Tobie również. Wtedy to wydawało się całkiem łatwe. Miałem poczucie, że wymierzam sprawiedliwość. A w rzeczywistości niszczyłem was w zwolnionym tempie, jedna koperta po drugiej. Strasznie cię za to przepraszam, Gwen. Wybacz mi.

Pod koniec mój głos jest potwornie udręczony i wiem, że to słyhać. Jest równie autentyczny co śmiech, który to wszystko zapoczątkował.

Kątem oka dostrzegam, że Gwen wstaje z łóżka. Siada na krawędzi mojego i ujmuje w dłoń moją rękę. Gdyby to był hollywoodzki film, to rozległaby się muzyka, zaczęlibyśmy się całować, między nami zniecka wybuchłaby namiętność, a potem rozegrały się sceny jak z romansu, czyli pełno złocistej, nagiej skóry i same niezdarne pozycje.

Jednak to jest rzeczywistość, a ona boli. Zamiast tego opowiadam jej półszepem o nienawiści, którą kiedyś czułem. To jak nacinanie zainfekowanej rany. Opowiadam jej o swojej obsesji dotyczącej wymierzenia cholernej sprawiedliwości. Nie ma w tym za grosz romantyzmu. Wyznania są zatrważające. Jednak tak samo jak w przypadku śmiechu, gdy już jest po wszystkim, atmosfera w osobliwy sposób zostaje oczyszczona.

Na koniec Gwen ściska moją dłoń i mówi:

– Nienawidziłeś go przez cały ten czas. Nie mnie. Przynajmniej teraz oboje jasno określiliśmy swoje cele.

W tym, co właśnie zrobiła, jest rzadko spotykana przyzwoitość. To jednocześnie wybaczenie, litość i zrozumienie. Bez żadnego namysłu przenoszę jej dłoń do ust i delikatnie całuję palce. Mógłbym narysować każdy jej szczegół prosto z pamięci. Odcisk jej

dłoni wypalił się na mojej skórze z namacalną precyzją.

Puszczam ją. Nie mówię niczego. Nie potrafię.

Gwen czeka przez kilka sekund, a gdy nie wykonuję żadnego ruchu, wraca na swoje łóżko. Słyszę szelest jej kołdry. Gdy wyłącza światło, wkoło zapada ciemność.

Śpię naprawdę kiepsko, a w snach jestem prześladowany przez postać skaczącą z dachu sześciopiętrowego budynku w centrum Topeka. Czytałem artykuły w gazetach o tym samobójstwie. Brat Melvina poszedł do pracy ubrany w nowiutki garnitur. Podeszedł do krawędzi dachu i zdjął krawat oraz buty. Zostawił je ułożone w schludną kupkę razem z zegarkiem, portfelem i listem, w którym przeproszał swojego szefa za powstały bałagan, po czym zeskoczył z dachu w bezchmurny, czerwcowy dzień, dokładnie dwa lata temu.

Gdy jednak widzę we śnie twarz upadającego mężczyzny, okazuje się, że wcale nie jest bratem Melvina.

To ja.

Rozdział czwarty

Gwen

Po całym dniu spędzonym w publicznej bibliotece na przetrząsaniu półek i internetu – i zapłaceniu astronomicznej kwoty za wydruki – udało nam się skompletować niesłychanie cieniutką teczkę, zawierającą jedyne dostępne informacje zarówno na temat Markerville, jak i Arden Miller. Zlokalizowaliśmy czternaście osób o nazwisku Arden Miller, z czego tylko dwie mieszkające w Tennessee. Jedna z nich znajduje się w domu opieki – mało prawdopodobne, abyśmy to właśnie jej szukali. Ostatnia osoba o nazwisku Arden Miller jest wysoka i ruda, ma trzydzieści trzy lata i jak na kogoś w takim wieku, cechuje się dziwną nieobecnością w mediach społecznościowych. Znaleźliśmy kilka zdjęć, na których została oznaczona, ale nie ma ich zbyt wiele, a na żadnym nie jest dobrze widoczna. Na najlepszym ma na sobie chroniący przed słońcem kapelusz z miękkim, opadającym rondem, gigantyczne okulary przeciwsłoneczne i stoi częściowo odwrócona od aparatu, przytrzymując kapelusz z powodu silnego wiatru.

Nie mam zielonego pojęcia, czemu jej szukamy ani dlaczego, na litość boską, miałyby mieszkać na kompletnym odludziu w mieście

opuszczonym od czterdziestu lat. Ani dlaczego Mike Lustig chce, żebyśmy jej szukali, nie licząc faktu, że ma związek ze sprawą mojego byłego męża.

Ponownie spędzamy noc w Hotelowym Piekiełku. Dzięki Bogu, udało się nam zmniejszyć panujące między nami napięcie. Jest o wiele łatwiej. Przejrzyściej. Gdy zasypiam, po raz pierwszy od bardzo dawna czuję się bezpieczna. Niezłe dokonanie, zwłaszcza że motel French Inn sprawia wrażenie, jakby na przestrzeni lat był milczącym świadkiem setek zbrodni.

Nazajutrz droga do Markerville prowadzi nas do odległych, niezamieszkanym krain, gdzie łatwo uwierzyć, że jest się jednym człowiekiem na Ziemi, nie licząc wszechobecnych smug kondensacyjnych unoszących się za samolotami lecącymi nad naszymi głowami. Droga ciągnie się przez serię stale zwężających się i coraz bardziej nieprzystępnych zjazdów, prowadząc na wzgórze, które są strome i niebezpieczne zarówno dla pieszych wędrowców, jak i dla samochodów terenowych.

Na bieżąco liczyłam, ile pokonaliśmy kilometrów, i daję znać Samowi, kiedy jesteśmy blisko celu. Zjeżdżamy na pobocze i parkujemy SUV-a na małej, leśnej drodze za zasłoną drzew. Jest całkiem niewidoczny z głównej drogi. Idziemy szlakiem w górę do miejsca, w którym leżało dawniej Markerville. Według archiwów, miasteczko nigdy nie przeżyło prawdziwego rozkwitu. Gdy kolej przestała przyjeżdżać, kilka otwartych tu przedsiębiorstw upadło, a większość mieszkańców przeniosła się albo umarła, trzymając się kurczowo swoich zrujnowanych domów. Ostatnimi ofiarami upadku tutejszej koniunktury były poczta będąca jednocześnie sklepem wielobranżowym oraz sklep z antykami, który najwyraźniej został porzucony z dnia na dzień, z otwartymi drzwiami i tabliczką w oknie z napisem BIERZCIE, CO CHCECIE. Natknęliśmy się na wycinek prasowy opłakujący upadek miasta

w pełen samozadowolenia sposób, w jaki mieszkańcy miast wyrażają się o niedoli mieszkańców wsi, a potem... cisza.

Nie spodziewamy się, że wiele tu znajdziemy, a gdy przedzieramy się przez ścianę drzew w popołudniowym słońcu, aby rzucić okiem na małą dolinę, w której znajdowało się miasto, wszystko wygląda jak żywcem wyjęte z planu filmowego. Główna ulica, przy której stoją cztery budynki, zachowała się, chyba głównie dzięki temu, że domy są z cegły; większość pozostałych, drewnianych budynków jest w różnym stadium rozkładu – chylące się ku ziemi, wysmagane przez wiatr, zapadające się do środka albo w kompletnej ruinie. Katastrofa w zwolnionym tempie. Zajmujemy pozycje i kucamy, obserwując przez chwilę okolice, ale nic się nie rusza, prócz ptaków i wychudzonego, skradającego się kota. Wiszące na zawiasie drzwi skrzypią niemiłosiernie na wietrze.

– Jeśli faktycznie tu mieszka – mówię – na pewno zajmuje któryś z ceglanych budynków.

– Racja – przytakuje Sam i podnosi się z miejsca. – Ustalmy teraz jedną rzecz: strzelamy dopiero, jak zaczną strzelać do nas. Okej?

– Czy możemy zrobić wyjątek dla noży? Albo kijów?

– Jasne, ale nie zadajemy żadnych śmiertelnych ran. Musimy zadać Arden parę pytań, a nie od razu ją ukatrupić.

Jesteśmy przez to w bardzo niekorzystnym położeniu, ale Sam zdaje sobie z tego sprawę.

Gdy schodzimy ze wzgórza, dostrzegam błysk szkła spomiędzy sterty desek i zatrzymuję Sama, aby pokazać mu, co zobaczyłam. To samochód. I wcale nie wygląda jak relikw z dawnych czasów. To w pełni sprawny, średnich rozmiarów środek transportu, który nie może mieć więcej jak pięć lat. Mam szczęście, że go zauważyłam. Ktoś sporo się natrudził, żeby go zamaskować. Sądząc po fragmentach, które udaje mi się dojrzeć, auto nie wygląda na zaniedbane. Raczej na takie, które ktoś niedawno tu zaparkował.

Daję znak Samowi i razem zbliżamy się do samochodu, aby lepiej mu się przyjrzeć. Maskę jest zimna, gdy ostrożnie kładę na niej dłoń. Uważam, żeby nie uruchomić przypadkiem żadnych czujników... Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Wymieniam się spojrzeniami z Samem. Doskonale się ze sobą rozumiemy.

– Zrób to – mówi.

Szarpię z całych sił za klamkę w drzwiach – zamkniętą – a ciszę przerywa ryk wyjącej syreny dzwoniący boleśnie w moich uszach. Sam i ja chowamy się cieniu i czekamy. Chwilę później smukła, rudowłosa kobieta wybiega przez otwarte drzwi jednego z ceglanych budynków, rzuca deski na bok i wlepia oczy w samochód. Migające na zmianę światła awaryjne i przednie reflektory sprawiają, że jej twarz jest raz skąpana w bieli, a potem w złocie. Wyciąga klucze z kieszeni płaszcza i wyłącza alarm.

– Arden Miller? – odzywam się w ciszy, która zapadła.

Kobieta prawie się przewraca, szybko się wycofując, ale Sam odciął jej drogę, więc odbija się od niego i wpada na samochód, po czym prawie wspina się na maskę. Dostrzegam wypisany na jej twarzy strach.

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyczy, po czym odpycha się, aby na mnie natrzeć w nadziei, że uda jej się uciec.

Spokojnie wyciągam broń i celuję w nią, a ona zatrzymuje się gwałtownie w deszczu gałązek, liści i kamyków. Jej dłonie wystrzelują w powietrze, jakby były na sznurkach.

– Nie zabijajcie mnie – mówi, wybuchając pełnym przerażenia płaczem. – *Boże*, nie zabijajcie mnie, proszę, mogę wam zapłacić, dam wam pieniądze, zrobię wszystko...

– Spokojnie – przerywam jej rozkazującym tonem, co, jak zaraz sobie uświadamiam, nie przynosi zamierzonego skutku. Pozbywam się go. – Panno Miller, nikt nie zrobi pani żadnej krzywdy. Proszę głęboko oddychać. Rozluźnić się. Nazywam się Gwen, a to jest Sam.

Proszę się uspokoić.

Trzecie powtórzenie najwyraźniej do niej dociera, bo wciąga łąpczywie powietrze i kiwa potakująco głową. Nie przypomina siebie z tamtego zdjęcia. Włosy nadal ma rude, ale są obcięte w krótkiego, stylowego boba, a grube okulary na nosie powiększają jej niebieskie oczy. Jest ładna w konwencjonalny sposób, ale ma w sobie coś takiego...

Chwilę zajmuje mi, aby to ogarnąć. Arden Miller nie urodziła się kobietą, ale jej transformacja jest niemalże idealna. Porusza się w odpowiedni sposób, roznosząc ciężar ciała w odpowiednich miejscach. Jeśli miała jakieś operacje plastyczne, są one bezbłędne. Wygląda bardziej kobieco ode mnie i tak też się zachowuje.

– Przysłali was? – pyta, przenosząc zamglone od łez spojrzenie na mnie, potem na Sama i z powrotem na mnie. – Ja ich nie mam! Przysięgam, że nie. Błagam, nie róbcie mi krzywdy, wszystko wam powiem!

– Czego nie masz? – pyta Sam, a ona wzdraga się, zaskoczona. Nieznacznym ruchem dłoni pokazuję mu, aby się cofnął, i robi to. Chowam broń do kabury.

– Wiesz co, Arden, najpierw usiądźmy. Czy jest tu jakieś miejsce, w którym poczujesz się bardziej komfortowo?

Pociąga nosem i ociera oczy z wprawą osoby, która wie, jak nie rozmazać sobie tuszu do rzęs.

– W środku – mówi. – Miejsce jest dość skromne. Przyjeżdżam tu, żeby popracować.

– W porządku. Wejdźmy do środka.

Jak się okazuje, *prace* Arden są oszałamiające. Nie znam się na sztuce, ale nawet ja jestem w stanie przyznać, że to, co tworzy za

pomocą farb i płótna, jest fenomenalne. Dokumentuje zniszczenie, rozkład i piękno. Z makabrycznego Markerville uczyniła coś naprawdę wyjątkowego. Pod ścianami stoi sześć obrazów do wyschnięcia. Pracuje w starym budynku poczty i sklepu wielobranżowego, który nadal ma – na przekór wszystkiemu – szyby we frontowym oknie zapewniającym dopływ wschodniego światła. W środku płoną teraz lampiony. Znalazła też starą sofę, która jest względnie czysta. Myślę, że czasami zostaje tu na noc, bo zauważam zwinięty śpiwór i schludny zestaw sprzętu kempingowego. Arden wykorzystwała zabytkowy sekretarzyk – z całą pewnością będący kolekcjonerskim unikatem – stojący pod daleką, północną ścianą, i trzyma na nim laptopa. Nie ma tu wi-fi, więc pewnie używa jednorazowego telefonu, aby mieć kontakt ze światem, oraz urządzenia maskującego adres IP, aby połączyć się z siecią. Ja bym tak zrobiła.

W znajomym otoczeniu Arden czuje się lepiej. Widok obrazów i osobista przestrzeń dają jej siłę i spokój. Zaprasza nas na kanapę. Siadamy, a Sam zajmuje się podziwianiem obrazów. Arden co chwilę zerka w jego stronę, ale skupia się na mnie.

– Czego chcecie? – pyta niespokojnym głosem. – Czy to oni was przysłali?

– Nikt nas nie przysłał – mówię, co nie do końca jest prawdą, choć wystarczająco bliskie prawdy. – Pomyśleliśmy, że będziesz w stanie nam pomóc.

Prostuje odrobinę plecy, a mojej uwadze nie umyka błysk nieufności w jej oczach.

– Z czym?

– Z Absalomem. – Wypowiadam to słowo z rozmysłem i widzę, jak ogarnia ją czysta, dzika panika. Zachowuje całkowity bezruch, jakby zaraz miała się załamać. Podejmuję ryzyko. – Mnie też ścigają. I jego. Musimy się dowiedzieć, jak ich powstrzymać.

Powietrze ucieka z niej jak z przebitej dętki. Krzyżuje ręce na piersi w obronnym geście, lecz nie jest on skierowany do mnie.

– Ja trzymam się z dala od sieci, żeby mnie nie znaleźli. Wy też powinniście.

– Staram się – mówię, wykorzystując kolejne, nachodzące mnie przeczucie. – Kiedy opuściłaś grupę?

Tym razem prawie nie dostrzegam w niej wahania. Wyczuwam, że rozpaczliwie próbuje podzielić się z kimś tą historią i jest spragniona zwykłego kontaktu z drugim człowiekiem. Szuka przyjaźni, choćby tylko tymczasowej.

– Jakiś rok temu – mówi. – Nigdy nie weszłam do zaufanego, wewnętrznego kręgu. Z początku to była zwykła gra. Wyłapywanie i trollowanie pedofilów. Szydzenie z ludzi, którzy na to zasługiwali. Albo o których myśleliśmy, że zasługiwali. Dostawaliśmy za to pieniądze.

Tym razem to ja się prostuję, bo to sprawa, której *nigdy* wcześniej nie wzięłam pod uwagę.

– Pieniądze? Od kogo?

Arden parska śmiechem, który brzmi jak szelest liści w uschniętym, martwym lesie.

– Skąd mam wiedzieć? Forsa była naprawdę niezła. Nie przeszkadzało mi to, dopóki... dopóki nie dowiedziałam się, *dłaczego* to robimy. Nie żeby rozpowiadali to przed szeregowymi członkami grupy, ale wygadał się jeden ze stojących wyżej w hierarchii.

Z trudem przełykam ślinę. Z jakiegoś powodu ogarnia mnie rozpaczliwa potrzeba napicia się wody, zupełnie jakbym czołgała się po pustyni. Wkraczam teraz na dziwne, obce terytorium.

– Nie bardzo rozumiem.

– Słuchaj, robiliśmy to dla jaj, co do tego nie ma wątpliwości. Byliśmy w tym świetni i właśnie dlatego zwerbowano nas do

wykonywania specjalnych projektów. Myślałam, że to coś w rodzaju krucjaty. Niewinne głupoty. Wtedy zaczęli nas nasyłać na ludzi, którzy przestawali płacić pieniądze z szantażu. Wysyłali nas, żebyśmy ich ukarali i zmusili do tego, żeby znów odkręcili kurek z forszą – mówi. – Byliśmy tylko wirtualnymi zbirami. Gdy ludzie okazują się uparci, ogary takie jak ja są za nimi spuszczone z łańcucha. Wiem, że jestem suką, ale daj spokój. – Arden ponownie parska śmiechem, w którym nie ma ani krztyny wesołości. – Świadomość, że ktoś zarabiał grubą kasę na nieszczęściu innych ludzi... tak się nie robi.

– Lepiej rujnować im życie za darmo? – pytam. Jestem lekko oszołomiona.

Tym razem ogranicza się do przepraszającego wzruszenia ramion.

– Jeśli robisz coś złego i korzystasz z internetu, musisz się tego spodziewać, tak?

Zdażyłam polubić Arden, ale jej uwaga wytrąca mnie z równowagi. To martwy punkt, założenie, że okrucieństwo jest usprawiedliwione we właściwym kontekście. *Robić coś złego*. Każdy zrobił kiedyś coś złego drugiej osobie. Nawet teraz nie jest w stanie dostrzec toksycznego wpływu posiadania łatwego dostępu do ofiary.

Muszę zacząć zmieniać całkowicie swoje wyobrażenie na temat Absaloma. Uważałam ich za manipulujących fanatyków, zajmujących się tym wyłącznie dla siania chaosu i zniszczenia. Część z nich zdecydowanie pasuje do tego opisu. Jednak ze słów Arden wynika, że... to coś znacznie większego. Bardziej cynicznego. Czy Melvin zapłacił im, żeby mnie ścigali? Jak? W więzieniu nie miał dostępu do gotówki. Może wymieniał się przysługami.

Użeranie się z oddanymi, psychopatycznymi do szpiku kości internetowymi trollami to jedno. Użeranie się z nimi, gdy ich *pracą* jest odnalezienie mnie, może być jeszcze gorsze.

– Arden. – Pochyliłam się w jej stronę, wkładając w to wszystkie

dobrze zamiary i szczerść. – Dlaczego grupa Absaloma zwróciła się przeciwko tobie?

Jej twarz wykrzywia się w grymasie. Przesuwa dłonią po ciele.

– Dowiedzieli się. Wielu z nich nienawidzi kobiet. *Każdy* nienawidzi transów. Zaczęli o mnie pisać w sieci. Zaczęłam się bronić. Kiedy nie przestawali mnie nękać, ściągnęłam część ich historii wpłat z serwera i zagroziłam, że ujawnię te informacje publicznie, jeśli któryś odważy się mnie zaatakować. Myślałam, że ich powstrzymam. – Odwraca wzrok. – Tamtego dnia zatrzymała się u mnie przyjaciółka. Wysłałam, żeby kupić nam chińszczyznę. Gdy wróciłam do domu, moje mieszkanie stało w ogniu. Spłonął cały budynek. Siedem osób zmarło.

– A ty... nie sądzisz, aby to był przypadek, prawda? Bardzo mi przykro.

Kiwa głową, tłumiąc kolejną falę łez.

– Przez jakiś czas myśleli, że mnie załatwili. Tyle że ja ciągle zmieniałam adres, wyszukując miejsca, w których mogłam się przyczaić. Jedyny plus to to, że zajęłam się malowaniem, a galeria, której zaprezentowałam swoje prace, powiedziała, że jestem w tym naprawdę dobra. Muszę je sprzedać i wydostać się z tego kraju. Może w innym miejscu będzie łatwiej. Na przykład w Szwecji.

– Pliki, które ściągnęłaś... Arden, nadal masz je przy sobie?

Modlę się, żeby powiedziała „tak”, ale rzuca mi smutne spojrzenie i kręci przecząco głową.

– Zapisalam je na pendrivie. Spłonął wraz z całą resztą. Teraz nie mam już na nich żadnego haka. Śmiertelnie się boję, Gwen. Ty nie?

– Ja też – przyznaję. – Jesteś pewna, że nie wiesz nic, co pomogłoby mi ich znaleźć...?

Zastanawia się przez chwilę. Zdejmuje z dzinsów zabłąkany, rudy włos i pozwala mu opaść na ziemię w promieniach słońca. Patrzy, jak upada.

– Wiem jedno. Znam dupka, który był na mnie najbardziej wkurzony. Wiem, gdzie mieszka. To ostatnia rzecz, której się dowiedziałam, zanim ze strachu przestałam drażnić dalej temat.

Kątem oka zerkam na Sama. Odwraca się, aby na nas spojrzeć, i kiwa głową.

– W takim razie... zdradzisz nam, kto to? Pozwolisz, żebyśmy go za ciebie dorwali?

Arden splata dłonie na podolku i się prostuje. Napotyka moje spojrzenie, a ja widzę w jej oczach bunt. Gniew. Strach. I przede wszystkim determinację.

– Nie byłam dobrym człowiekiem – mówi. – Nienawidziłam samej siebie, myślałam, że świat to jedno wielkie bagno, a wszyscy zasługiwali na swój parszywy los. Chciałam, żeby wszyscy cierpieli tak jak ja. Ale nie jestem już tamtą osobą. I współczuję tym wszystkim ludziom, których nękałam w sieci. Nigdy nie chciałam...

– Urywa i kręci głową. – Wiem, że to niewiele znaczy, ale jeśli uda wam się dopaść tego faceta, to może być krok w dobrym kierunku. Masz długopis?

Zostawiłam kartki i długopis w samochodzie, ale Arden wzrusza ramionami, podchodzi do sekretarzyka i wyciąga, co trzeba. Zapisuje coś, podchodzi i wręcza mi kartkę. Mrugam zaskoczona, bo spodziewałam się adresu.

– To współrzędne GPS – wyjaśnia. – Pokazują chatę na jakimś zadupiu między Atlantą i Chattanooga. Tylko uważaj, Gwen. *Naprawdę* uważaj. Byłam okropnym człowiekiem, ale ten gość to *zło wcielone*. Na samą myśl o nim dostaję gęsiej skórki.

– Dziękuję – mówię, chowając kartkę. Wstaję z kanapy. Ogarnia mnie wahanie. – Na pewno nic ci nie będzie?

Arden podnosi na mnie wzrok. Oczy ma przenikliwe, a idealnie wyrzeźbioną szczękę zaciśniętą. Rozpoznaję ten wyraz twarzy. Widziałam go w lustrze. Pojawia się, gdy zaczynasz panować nad

własnym strachem i wykorzystujesz go jako paliwo napędzające cię do działania.

– Jeszcze nie teraz – mówi. – Ale któregoś dnia tak. Na pewno.

Wymieniamy uścisk dłoni. Sam podchodzi bliżej, a ja zauważam, że ogarnia ją widoczne napięcie. Jest potwornie nieufna w stosunku do mężczyzn, a ja zastanawiam się, jak wiele okropności zniosła już w swoim życiu. Ale Sam tylko wyciąga rękę, którą Arden w końcu ściska.

– Jesteś naprawdę świetna – mówi. – Maluj dalej. I uważaj na siebie.

Posyła mu słaby, ostrożny uśmiech.

– Będę. Ty też. Oboje na siebie uważajcie.

Dzwonię do dzieci z budki telefonicznej, która lepi się od potu i innych substancji i cuchnie jak rozlane piwo. Connor jest małomówny jak zawsze, a Lanny przybiera chłodną, obojętną pozę, która mówi mi, jak bardzo jest wściekła na to, że mnie nie ma. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego, że musiałam ich zostawić. *To nie potrwa długo. Ta krótka przerwa może nam wszystkim wyjść na dobre.*

„Może pozwolę Samowi wyruszyć beze mnie”, myślę, rozłączając się. Jednak ta myśl sprawia, że nachodzi mnie poczucie winy. I tak pewnie tego nie zrobię. *Muszę powstrzymać Melvina.*

Jeszcze tylko kilka dni.

Dotarcie w pobliże współrzędnych od Arden zajmuje nam cały kolejny dzień. Mam nadzieję, że to nie są jakieś przypadkowe liczby, które dała nam, żeby się nas pozbyć... Okazuje się, że miała rację, a one prowadzą nas na kompletne zadupie gdzieś w Georgii. Już chyba dalej się nie da. Po krótkiej rozmowie Sam dzwoni do

swojego kumpla, agenta Lustiga, i przekazujemy mu wszystkie informacje, które uzyskaliśmy od Arden. Lustig mówi, że sprawdzi to, jak tylko będzie miał więcej ludzi.

Dochodzimy do wniosku, że to może nigdy nie nastąpić i że nie zamierzamy czekać.

Śpimy w SUV-ie kilka godzin na drodze prowadzącej do wyrębu, a gdy Sam w końcu mnie budzi, jest już ciemno. A do tego chłodno i wilgotno. Na przedniej szybie widać delikatną, kryształową pajęczynę szronu.

– Musimy jechać – informuje mnie Sam. – Sprawdźmy, czy ten facet jest w domu.

– Powiedz Lustigowi, że wchodzimy do akcji.

– Mike będzie nam to odradzał.

– Cóż, w takim razie niech tu przyjdzie i nas powstrzyma.

Sam uśmiecha się, wybiera numer i zastaje pocztę głosową. Daje Lustigowi krótkie sprawozdanie na temat tego, gdzie jesteśmy i co zamierzamy zrobić, po czym wyłącza telefon i chowa go do kieszeni. Robię to samo ze swoim.

– Gotowa? – pyta. Kiwam potakująco głową.

Ruszamy.

To ciężka wspinaczka pod górę po stromej, trudnej do pokonania skarpie. Gdybyśmy nie wiedzieli, dokąd podążać, kompletnie byśmy ją przeoczyli.

Kucam za zasłoną gęstych zarośli, w cieniu górującej nade mną sosny. Chata jest mała, ma najwyżej dwa pokoje, świetnie utrzymana. W oknach wiszą zasłonki w drobną kratkę. Niedaleko stoi schludnie poukładana sterta drewna na opał, czekająca na to, by ogrzać pomieszczenie i uczynić je przytulniejszym. Dziś w nocy nie widać żadnego ognia. Z komina nie unosi się dym.

W głównym pokoju zapala się światło. *Ktoś jest w środku.* Sam kazał mi obserwować i zdawać na bieżąco raport, a do akcji

wkroczyć tylko i wyłącznie wtedy, gdy upewnimy się, że nikogo nie ma w domu. Po ostrzeżeniu Arden żadne z nas nie ma ochoty znaleźć się oko w oko z groźnym socjopata. Zaczekamy, aż sam wyjdzie... albo wrócimy później. Jestem tak zmarznięta, że zdecydowanie wolę to drugie rozwiązanie, ponieważ zdążyło się już niebezpiecznie ściemnić, a powiewy wściekłego lodowatego wiatru wyciskają mi łzy z oczu. Każdy oddech pali mi płuca. Jestem obolała i zeszywniała. Chcę wracać do domu i już do końca życia przytulać swoje dzieci.

Zachowuję jednak skupienie w ciągu następnych, dłużących się godzin, gdy światła wewnątrz chaty co jakiś czas zapalają się i gasną, a telewizor włącza i wyłącza. *Wyjdź już*, błagam w myślach siedzącego w środku mężczyznę, ale tak się nie staje. W głowie wyliczam rzeczy, które chcielibyśmy mieć, nim się stąd wydostaniemy. Odręcznie spisana lista prawdziwych nazwisk pozostałych hakerów z grupy Absaloma byłaby niezłym początkiem. Rzecz jasna, to marzenie nigdy się nie spełni. Zadowolilibym się internetowymi pseudonimami, na których śledzenie *moglibyśmy* namówić FBI. Przyjaciel Sama w biurze mógłby dostarczyć użytecznych informacji. W najgorszym razie udało się nam zidentyfikować podejrzanego, którego Mike Lustig może przesłuchać. A to już musi być coś.

W chacie gra radio. Coś cichego i melodyjnego, pewnie jazz. Może to trochę stereotypowe, ale po hakerze spodziewałam się raczej trash metalu.

Muzyka Johna Coltrane'a wydaje się być całkiem nie w jego stylu. Zauważam to tylko dlatego, że cichnie, a jakąś minutę później w oknie od frontu zapala się światło. Z miejsca, w którym klęczę, nie widzę boku chaty, ale dostrzegam światło, które pada na ziemię niczym złocista aureola. Mojej uwadze nie umyka też moment, w którym zostaje wyłączone.

Nasz cel kładzie się do łóżka. *Nareszcie*. Sprawdzam godzinę w telefonie. Dochodzi druga nad ranem.

Sam staje bezgłośnie na równe nogi, a ja próbuję zrobić to samo. Jestem atletyczna i silna, ale skradanie się po ciemnym lesie nie należy do moich najwybitniejszych umiejętności. Staram się nie popełnić żadnego oczywistego, kretyńskiego błędu. Sam wykonuje taki gest, jakby chciał poderżnąć sobie gardło. Chce zakończyć naszą misję i spróbować ponownie jutro. Musimy wybrać czas, w którym naszego celu nie ma w domu, by uniknąć konfrontacji. Rozumiem powody, ale to takie frustrujące – być tak *blisko* i nie móc uzyskać odpowiedzi. Jakichkolwiek odpowiedzi.

Nie chcesz robić nikomu krzywdy, Gwen, mówię sobie w duchu. Tak mówi lepsza część mnie. Ta gorsza podpowiada, że to absolutnie konieczne, że powinnam przyłożyć broń do głowy tego człowieka i zażądać odpowiedzi na to, *jakim prawem* uważa, że musi zamienić moje życie i życie moich niewinnych dzieci w piekło na ziemi. Który chory drań bierze stronę bezwzględnego psychopaty, torturującego i zabijającego niewinne, młode kobiety? I jeszcze dostaje za to *pieniądze*?

Wcale nie chcę stąd odchodzić. Chcę tam wejść i zadać kilka pytań. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że Sam ma rację, a ja podchodzę do tego w potwornie emocjonalny sposób. Pragnę śmierci swojego byłego męża, bo każda minuta, którą spędza na wolności, jest kolejną minutą, w której krzywdzi innych ludzi. I poluje na mnie oraz dzieci.

Zmuszam się, żeby kiwnąć głową do Sama, potwierdzając tym, że przerywamy akcję i wrócimy tu jutro.

Jakiś ruch przykuwa mój wzrok. Przekręcam głowę w prawo akurat w chwili, w której mały królik wyłania się z kryjówki i pędzi przez otwartą przestrzeń przed chatą. Tuż za nim biegnie skupiony na swojej ofierze czarny kot. Żadne z nich nie wydaje najmniejszego

dźwięku. Oto śmierć i życie rozgrywające się na naszych oczach.

Uciekający królik jest mniej więcej w jednej czwartej drogi do polany, gdy nagle włącza się oślepiająco jaskrawy reflektor, ustawiony tak, by oświetlać całe półkole przed domem. Światło z czujnikiem ruchu. Opadam na czworaka i widzę, że Sam robi to samo. Besztam się w duchu za przeoczenie tego elementu, ale trudno było go dostrzec, dopóki nie zapalił się niczym kula białego ognia. Jest zamocowany głęboko pod krawędzią podstrzesza. Gdy unoszę dłoń, aby zasłonić oczy przed oślepiającym blaskiem, wydaje mi się, że jest schowany w czymś na kształt klosza z drucianej siatki.

Nie będzie łatwo go osiągnąć, wyłączyć lub oszukać.

Królik przegrywa wyścig w połowie drogi przez podwórko. Kot rzuca się na niego jednym skokiem, a królik wydaje z siebie odgłos dziwnie przypominający krzyk, gdy zostaje schwytyany za kark. Jego krótki wrzask zostaje przerwany, gdy kot potrząsa nim wściekle i gryzie. To świetni, skuteczni mordercy.

Po zabiciu królika kot porzuca bezwładną kupkę futra na ziemi, przez chwilę uderza w nią łapą, po czym odchodzi spacerowym krokiem. Zostawia ją tam, gdzie leży.

Przez myśl przechodzi mi mój eks.

Gdy kot znika, światło z czujnikiem ruchu wyłącza się po upływie kolejnych trzydziestu sekund, a ja spoglądam na Sama. Przygląda się całemu zajściu z ponurym wyrazem twarzy, po czym kręci głową. Uważa, że ta chata to wyjątkowo złe miejsce. Roztacza wokół siebie aurę – sama nie wiem, jak to inaczej ująć – *grozy*. Wyobrażam sobie okropne rzeczy, które mogły tu się dziać. Prawie czuję obecność otaczających mnie duchów. Co zrobił ten anonimowy mężczyzna? Arden była nim przerażona.

Po raz pierwszy przez głowę przechodzi mi myśl, czy aby na pewno nasz cel jest w chacie sam. Czy podziela upodobania mojego

męża? Czy przetrzymuje tam więźnia? Jeśli odejdziemy, kogo możemy skazać na cierpienie?

Nie ma dobrej odpowiedzi na te pytania. Prawo nie stoi po naszej stronie. Informacje, które mamy na temat tego człowieka, są skąpe, a poza tym nie posiadamy żadnego dowodu na to, że zrobił coś złego. W dodatku bezprawnie wtargnęliśmy na czyjś teren. Do tego dochodzi prawdopodobnie stalking, ponieważ obserwowaliśmy to miejsce od wielu godzin. Nadal nie udało się nam zobaczyć choćby śladu osoby będącej właścicielem tej posesji.

Przez cały czas nie dawało mi spokoju coś, co nagle z szeptu przechodzi w krzyk. *Powinien był wyjrzeć na zewnątrz.*

Włączył się reflektor ochronny. Skoro facet jest tak wielkim paranoikiem w stosunku do obcych, *powinien był wyjrzeć na zewnątrz.*

Wmawiam sobie, że może jest rozkojarzony, w innym pokoju albo w łazience, ale to w dalszym ciągu nie ma żadnego sensu. Chata nie jest duża. Mógłby przynajmniej odsunąć zasłonę albo otworzyć drzwi i ponownie aktywować reflektor, aby sprawdzić najbliższą okolicę.

Myślę o tych wszystkich światłach, włączających się i wyłączających od zachodu słońca. Według określonego *wzoru*. Teraz to widzę, gdy odtwarzam to w pamięci.

Wszystko jest ustawione w trybie włącznika czasowego. Jezu Chryste. Nikogo tu nie ma.

Oczywiście, mogę się mylić, ale mam to gdzieś. Obserwowanie, jak umiera królik, widok krwi rozbryzgującej się w powietrzu, gdy potrząsał nim kot, sprawiają, że przypominam sobie zdjęcia, które wysyłał mi *ten* mężczyzna. On albo któryś z jego obleśnych przyjaciół. Zdjęcia, które uwłaczały ofiarom zbrodni mojego męża, z twarzami moich dzieci doklejonymi do ciał ofiar morderstw lub gwałtów, ukazujące je w poniżający i okropny sposób. Ten facet to

tchórz. Ukrywa się w totalnej głuszy i dręczy moją rodzinę, a ja jestem *tutaj*, dokładnie w tym samym miejscu, i nie zamierzam odejść stąd bez poinformowania go, że nie jest bezpieczny. Nie ukryje się przede mną. Już nie.

Nie zważając na reflektor z czujnikiem ruchu, podnoszę się z ziemi i biegnę w stronę frontowych drzwi.

Światło zapala się, gdy tylko wychodzę dwa kroki dalej ze swojej kryjówki, ale nie waham się ani chwili. Słyszę za sobą Sama. Nie zawołał do mnie po imieniu. Jestem lekko zaskoczona, że w ogóle za mną poszedł. Wiem, że będzie wściekły. Pokonujemy otwartą przestrzeń i przypadamy do ściany po obu stronach drzwi. Po chwili, która zdaje się ciągnąć w nieskończoność, światło gaśnie, a ja muszę zamrugać oczami, aby pozbyć się z nich jaskrawych powidoków.

– Co my, do cholery, wyprawiamy? – pyta szeptem Sam.

– Wchodzimy do środka!

– Gwen, nie!

– Tak!

Nie ma czasu na długą debatę i on dobrze o tym wie. Rzuca mi spojrzenie pełne furii i frustracji, ale obraca się na pięcie, przyjmuje pozycję i trafia butem w drzwi w miejscu, gdzie jest zamek. Drzwi dygoczą, ale się nie otwierają. Sam próbuje jeszcze raz. I jeszcze.

I nic. Drzwi są zaprojektowane tak, aby przetrwać coś znacznie gorszego niż naszą dwójkę.

Ale nie okna.

Obchodzę budynek i zatrzymuję się pod boczną ścianą. Okno jest zamknięte, jednak skoro zrobiliśmy już pierwszy krok, nie mam zamiaru się wahać. Szkło wygląda na łatwe do zbiccia, choć jest grube i podwójne. Po tym, jak udaje mi się roztrzaskać dostatecznie duży kawałek, wkładam rękę do środka, otwieram zapadkę

i przesuвам je, aby wspiąć się do środka.

Wyciągam z kabury schowaną aż do tej pory broń. Sam trzyma już swoją w gotowości, przeskakując przez okno i zrywając się na równe nogi.

Wokół panuje cisza. Żadnych świateł. Zauważam abażur lampy i gorączkowo macam wkoło w poszukiwaniu włącznika. Gdy wreszcie go znajduję, pomieszczenie zalewa światło. Naszym oczom ukazują się dwa pluszowe fotele, dziergany dywanik, mały stolik z lampą, regały zawalone różnymi szpargałami oraz kuchnia z malutką kuchenką i lodówką, które wyglądają jak z lat pięćdziesiątych.

Nikogo tu nie ma.

Sam jest w ciągłym ruchu. Po naszej prawej są drzwi. Otwiera je i wpada do środka z wyciągniętą bronią, gdy ja włączam górne oświetlenie.

W środku jest duże łóżko dla jednej osoby. Starannie zaścielone, z ciemnozielonym kocem służącym za narzutę. Za niewielkim przepierzeniem znajduje się prysznic i toaleta.

Pokój jest całkiem pusty.

Sam sprawdza łazienkę i zaraz wychodzi.

– W prysznicu nadal jest trochę wody. To pewnie pozostałości sprzed kilkunastu godzin. – Rzuca mi wymowne spojrzenie. – Miałaś szczęście, Gwen. Facet mógł tu być.

– Daj spokój, wszystko było na ustawieniu czasowym, co znaczy, że wcale go tu nie było – warczę. – Cackanie się donikąd nas nie zaprowadzi, Sam. I z pewnością nie ochroni moich dzieci.

Sam kręci głową, ale nie może winić moich uczuć... wiem, że on również je kocha. Nasza przyjaźń jest specyficzna pod każdym względem. Nie powinna istnieć. Czasami mam wrażenie, że igramy z ogniem, poruszając się po wyjątkowo niepewnym gruncie nad strasznie mroczną przepaścią. Jednak Sam pragnie tego samego co

ja. To się nigdy nie zmieni.

Stojąc w chacie nieznanego, znów czuję ogarniającą mnie ciemność. Facet prowadzi podwójne życie. Nie wiem, w jakiego rodzaju deprawacji się lubuje, ale domyślam się, że to coś strasznego.

Trudno jest patrzeć na to normalnie wyglądające, emanujące spokojem i schludnością miejsce, skoro jego właściciel postawił sobie za cel niszczenie życia innym ludziom. Jestem wściekła. Chyba nawet za bardzo wściekła. Mam ochotę rozbić wszystko w drzazgi. I co mnie przed tym powstrzymuje? Prawda jest taka, że popełniamy przestępstwo już samą swoją obecnością w tym miejscu. Włamanie i naruszenie własności. Wandalizm to całkiem sensowny dodatek.

– Rozejrzyj się – mówię Samowi. – Musi tu być coś, co możemy ze sobą zabrać. Co powie nam, czym się zajmuje, a może nawet, pod warunkiem że się nam poszczęści, znajdziemy jakąś korespondencję z Melvinem.

Sam kiwa głową, ale spogląda wymownie na swój zegarek. Jeśli zainstalowano tu jakiś system alarmowy, to mamy kłopoty. Jednak szczerze w to wątpię. Ktoś, kto mieszka tak daleko od cywilizacji, nie polega na pomocy numeru alarmowego 911. *Bezpieczeństwo gwarantuje firma Smith&Wesson*. Gdyby faktycznie tu był, lub gdziekolwiek indziej w pobliżu, już dawno zaczęłyby do nas strzelać. Jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie.

– Szukaj dokumentów – instruuję go. – Zapisów elektronicznych. Wszystkiego, co wygląda na użyteczne. Mamy dziesięć minut.

– Pięć – mówi, po czym zostawia mnie samą.

Wciśnięte w róg pokoju stoi niewielkie biurko. Tak jak cała reszta, jest nieznośnie czyste i schludne, wykonane z polerowanego drewna klonowego w prostym stylu country. Otwieram szuflady, wyciągam je i odkładam, aby obejrzyć wszystko z tyłu i pod

spodem. Nie możemy ukryć śladów swojego najścia, więc równie dobrze możemy być dokładni w tym, co robimy.

Nie znajduję niczego, co od razu mogłabym zidentyfikować jako istotne. Głównie są to paragony. Wydruki, które nie rzucają na nic światła. Zgarniam wszystkie i wpycham do plecaka.

Mam na dłoniach rękawiczki, więc nie zostawiam po sobie śladów. Wkładam resztę rzeczy do szuflad i wsuwam je na prowadnice na swoje miejsce. Sprawdzam szafę wnękową. W środku znajduje się gigantyczny sejf na broń i gdy tak się na niego gapię, dostrzegam stojące na wierzchu pudełko na buty. Otwieram je. W środku jest jeszcze więcej paragonów. Wciskam je do plecaka. Jeden upada za sejf, a gdy macam na oślep w jego poszukiwaniu, moje palce ocierają się o ostrą krawędź czegoś, co niezupełnie pasuje do reszty.

Naciskam, a to coś się przesuwa.

Pudełko magnetyczne. Odłączam je od sejfu. To płytkie pudełko z przesuwным wieczkiem, podobne do starej skrytki na klucze, którą moja babcia wkładała do komory podwozia swojego samochodu.

W tym pudełku znajduje się pamięć masowa USB.

Nigdy bym go nie znalazła, gdybym nie upuściła paragonu za sejf. Znajdował się w miejscu, które przeoczono by podczas przeszukań, a sejf na broń jest zbyt duży i za ciężki, aby z łatwością go przesunąć.

Wyjmuję zabłąkany paragon i wkładam USB do plecaka.

– Znalazłaś coś? – woła Sam.

– Paragony, trochę wydruków i pendrive – mówię. – Żadnego komputera, tylko ładowarkę. Najwyraźniej musiał go ze sobą zabrać. A ty?

Staje w drzwiach. Nie umiem odszyfrować wyrazu jego twarzy, ale jest w nim coś takiego, co każe mi odsunąć się od szafy i podejść

do niego.

– Lepiej, żebyś zobaczyła to na własne oczy.

Wiem, że widok na pewno mi się nie spodoba, ale idę w ślad za nim do głównego pokoju. Wszystko jest na swoim miejscu. Wszystko jest czyste i uporządkowane. Ciekawe, czy facet ma wojskową przeszłość, bo każda powierzchnia lśni. Jeśli są tu jakieś odciski palców, to żadnych nie widzę.

Sam otwiera drzwi komórki. Wygląda mi to na zwykłą spizarnię, głęboką na tyle, by móc wsadzić do niej rękę. W środku jest osiem półek wypełnionych puszkowanym jedzeniem i innymi drobiazgami. Kimkolwiek jest ten należący do organizacji Absaloma dupek, lubi tuńczyka z puszki i gotowe zestawy do zapiekanek.

Sam przykłada palec do ust i popycha półki. Cofają się z cichutkim skrzypnięciem, a za nimi ukazują się schody. Włącza się światło z czujnikiem ruchu, ujawniając ścianę z tanich paneli drewnopodobnych. Poniżej, u stóp schodów, znajdują się metalowe drzwi z zamkiem, które wyglądają jak żywa istota. Czuję przebijający z nich mrok unoszący się w lodowatym powietrzu i przez chwilę się nie ruszam. Nie mogę. Mam wrażenie, że mnie obserwują, oceniając w poszukiwaniu słabości.

Jestem sparaliżowana wspomnieniami i mentalnie przenoszę się do sali tortur mojego byłego męża, starannie ukrytej we wnętrzu mojego własnego domu. Do piwnicy zrujnowanej chaty Lancela Grahama na wzgórzach nad Stillhouse Lake, gdzie pieczołowicie odtworzył tamto makabryczne wnętrze.

To pomieszczenie wydaje mi się równie okropne.

Powoli schodzimy na dół, uważając na każdy krok. Sam pewnie niepokoi się, że hałasujemy, ale ja mam to gdzieś. Martwią mnie ukryte pułapki i biegnące nisko nad ziemią linki, które mogą je wyzwolić. To miejsce ma w sobie piętno śmierci. Gróźb i konsekwencji.

– Stop – szepczę, gdy Sam pokonuje ostatni schodek. Stoi jakieś metr dwadzieścia od drzwi. Nasłuchuje i zatrzymuje się, po czym spogląda na mnie. Cały czas gapię się na metalowe drzwi i powoli kręcę głową. – To nie jest w porządku. Nie rób tego.

– Gwen...

– Proszę, Sam. – Jest mi niedobrze. Zaczynam się trząść. Goni nas czas. – Musimy już iść. Teraz. W tej chwili.

Nie jestem medium i nie posiadam żadnych zdolności parapsychologicznych ani mocy, ale mam za to instynkt. Instynkt, który latami ignorowałam przy Melvinie Royalu. Powinnam była wiedzieć, co robi, co za horror dzieje się pod moim własnym dachem. Nigdy się nie domyśliłam, przynajmniej nie w żaden świadomy sposób.

Nigdy więcej. Nie wiem, co się stanie, gdy Sam otworzy te drzwi, ale wiem, że tak nie można. Od tej chwili to zadanie dla FBI, a nie dla pary zbuntowanych złodziei amatorów. Miejsce wygląda na klaustrofobiczne. Mam wrażenie, że jestem obserwowana.

Sam akceptuje moją decyzję. To dar, którego nie sposób ocenić. Jestem zdania, że większość mężczyzn zignorowałaby mnie i wkroczyła do akcji. W konsekwencji docieramy już prawie do szczytu schodów, gdy nagle drzwi na dole otwierają się z ledwie słyszalnym kliknięciem.

Sam zatrzymuje się w pół ruchu. Nie wiem, co stamtąd wyszło, i nie chcę wiedzieć. Łapię Sama, rzucam się do przodu – mijając po drodze półki i wyskakując z szafy – i ciągnę go za sobą.

Udało mu się przejść przez drzwi w momencie, gdy coś podrywa nas w górę i rzuca nami gwałtownie przez pokój. Krzyżuję ręce przed twarzą i kulę nogi w instynktownej próbie osłonięcia głowy i brzucha, i prawie nie czuję, kiedy uderzam w ścianę. Z całą pewnością nie czuję momentu, w którym spadam na podłogę, ponieważ w następnej sekundzie już tam leżę, patrząc, jak powódź

pomarańczowego światła zalewa pokój. Nie rozumiem, co to takiego. Odczuwam falę gorąca, a potem, co dziwne, sufit odsuwa się ode mnie, zupełnie jakby podniosła nas gigantyczna ręka. Światła, które włączyliśmy, gasną jak świece, ja patrzę na gwiazdy i drzewa, a cała reszta stoi w ogniu.

Rozdział piąty

Gwen

Odzyskuję przytomność i zanoszę się kaszlem, a ktoś oblewa mi twarz wodą. Jest zimna, a moim ciałem wstrząsa dreszcz. Przetaczam się na brzuch i przez kilka minut kaszlę bez opamiętania. Wraca mi świadomość, informując o bólu w plecach, nodze i ręce. Mój mózg jest świetny w analizowaniu tych rzeczy i podpowiada, że obrażenia nie są poważne. Mam nadzieję, że mnie nie okłamuje. Boli mnie głowa, co jest dla mnie o wiele większym zmartwieniem. W ustach mam posmak popiołu i macam na ślepo w poszukiwaniu butelki z wodą, z której oblano mi twarz, i opłukuję usta. Wypluwam wszystko na ziemię, po czym łapczywie wypijam haust wody. To błąd. Masa wody trafia gwałtownie do mojego żołądka.

Podciągam się na kolana, chwieję odrobinę, odzyskuję równowagę i wstaję na równe nogi. Jestem na polanie przy linii drzew. Sam klęczy obok mnie. Wygląda gorzej ode mnie – jest cały zakrwawiony od rany na głowie, trzęsie się i oszczędza jeden bok, próbując wstać. Pomagam mu. Krzywi się i przyciska dłoń do żeber.
– Jak udało nam się... – Odwracam się w stronę chaty.

Przypomina piekło. Na jej widok odbiera mi mowę. Dociera do mnie, że przed chwilą *tam* byliśmy. Gapię się jak zahipnotyzowana. *Jakim cudem udało się nam uciec?*

– Wyciągnąłem was. Co to ma, do cholery, znaczyć, Sam? – odzywa się nieznajomy głos.

Należy do stojącego nieopodal mężczyzny, który przygląda się buchającym płomieniom. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, jest ubrany w czarną parkę z futrzanym kapturem, której mu w tej chwili zazdroszczę, a gdy przestępuje z nogi na nogę, w jego złotej odznace na łańcuszku odbija się blask. *Policjant*, myślę, zamierając. Jednak odznaka jest jakaś inna. Nie rozpoznaję jej od razu. Mój wzrok nie odzyskał jeszcze całkowitej ostrości. Jest Afroamerykaninem, a w jego głosie słychać niski, leniwy akcent z Południa, sprawiający, że wygląda na sympatycznego. Mimo to widzę, jak mi się przygląda, kalkulując, oceniając moją wartość. Zauważam, że pod parką ma kamizelkę kuloodporną, gdy wiatr przynosi ze sobą gorący podmuch od strony płonącej chaty i odwija na bok połę kurtki.

FBI, głosi napis na jego kamizelce.

– Mike Lustig – przedstawia się. – A wy jesteście dwójką skończonych idiotów. Co tu się stało? – Ostatnie pytanie skierowuje do mnie, a Sam krzywi się, zmieniając ułożenie ciała.

– Czy to pytanie ogólne, czy chce się pan dowiedzieć czegoś konkretnego?

– Mówiłeś, że się *rozejrzycie*. Co wyście, do kurwy nędzy, zrobili?

W głowie nieco mi się przejaśnia. Mike Lustig. Przyjaciół Sama z FBI. Jego przekleństwa stają się coraz bardziej wulgarne. Wolałabym, aby ściszył odrobinę głos, bo stale dzwoni mi w uszach, a w głowie dudni jak w pralce.

– Tam była jakaś bomba-pułapka – informuję go. – Na dole, w piwnicy. Nie otworzyliśmy drzwi, ale zrobił to ktoś inny.

Mieliśmy szczęście, że wydostaliśmy się stamtąd, zanim wybuchła.

– To nie była kwestia szczęścia – poprawia mnie Sam. – Wyczułaś pułapkę, a ja nie.

Mike przenosi spojrzenie z jednego na drugie.

– Nie wiecie przypadkiem, co było w tym ukrytym pokoju?

– Nie.

– Niech to szlag. Mógł tam ukryć dosłownie wszystko. Nawet jakiegoś więźnia.

Robi mi się zimno.

– Chcesz powiedzieć... że tam na dole mógł ktoś być? Ktoś, kogo mogliśmy uratować?

Mike patrzy na nas bez słowa. Sam w końcu rusza się z miejsca i pyta:

– Jezu Chryste, Mike. Co ty właściwie wiesz o tym facecie?

Lustig ignoruje pytanie.

– Muszę zawieźć cię do miasta na badania. Te rany potrzebują szwów. Oszczędzasz żebra? Pewnie są złamane. A pani jak się czuje, pani Proctor?

– Nie zmieniaj tematu! – wrzeszczy Sam.

Mike spogląda ponad nami na płonąca chatę. Zniszczenia są nieodwracalne. Budynek zapada się do środka. Wzdycha.

– To z pewnością przykuje czyjaś uwagę. Straż pewnie jest już w drodze na miejsce. Pożary na tych wzgórzach są traktowane bardzo poważnie. Chodźcie. Wyjaśnię wam wszystko w samochodzie.

Odwraca się i odchodzi w stronę drzew, a ja stoję oszołomiona przez jedną, długą chwilę, próbując zrozumieć, co tu się, do cholery, dzieje. Nic nie ma sensu. Może to przez szok. Może dlatego, że mój mózg doznał poważnego wstrząsu.

Dopiero dotyk dłoni Sama na ramieniu sprawia, że ruszam w ślad za Lustigiem. Co jakiś czas zerkam przez ramię na pożogę. Iskry

strzelają wysoko w niebo.

Co kryło się w tamtym pomieszczeniu? Kim, u diabła, są ci ludzie? To nie jest zwykła banda hakerów ani grupa dokonująca internetowych szantaży.

Nie jestem pewna, czy mam wystarczająco dużo odwagi, aby chcieć poznać odpowiedź.

Siedzimy na tyłach SUV-a agenta FBI, co podnosi mnie na duchu i jednocześnie martwi. Jestem prawie pewna, że te drzwi nie otworzą się za pomocą jednego pociągnięcia zasuw. Lustig częstuje nas mocną, czarną kawą z termosu, po czym wychodzi, aby wykonać kilka telefonów. Piję łąpczywie, bardziej po to, aby się ogrzać, niż dla smaku. Sam jest małomówny. Ja również. Obserwujemy ogień, który nadal jest widoczny spomiędzy drzew, oraz korowód mrugających, czerwono-niebieskich świateł przedzierających się przez wzgórze w naszą stronę.

– A więc to jest ten twój przyjaciel, agent Lustig – odzywam się w końcu.

– Tak, wspólnie odbywaliśmy służbę – mówi Sam. – Dołączył do FBI, a ja zostałem zawodowym żołnierzem. – Wpatruje się w ogień, ale jego wzrok podąża nagle za Lustigiem, który rozmawia na zewnątrz przez telefon. Chodzi w tę i we w tę, prawdopodobnie po to, aby utrzymać ciepło, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jego zachowanie zdradza lekki niepokój. – On wie coś, o czym nam nie powiedział.

– Domyśliłam się tego – mówię, krzywiąc się, gdy zmieniam pozycję, aby mnie mniej bolało. Ruch sprawia, że w środku czuję jeszcze bardziej przenikliwy ból. Mimo wszystko niczego sobie nie złamałam, choć na pewno nadwyreżyłam organizm. – Przyszło ci do

głowy, że może wykorzystuje cię w ten sam sposób, w jaki ty wykorzystujesz jego?

Wydaje mi się, że nie odpowie, ale jestem w błędzie.

– To dobry facet – mówi, nie spuszczać Lustiga z oczu.

– Pozabija nas.

– Nie – sprzeciwia się Sam, patrząc teraz prosto na mnie. – To przez *ciebie* prawie zginęliśmy. Mieliśmy zostać na zewnątrz, nie wparowywać do środka. To był *twój* pomysł.

Ma rację. Jestem zła, bo ma rację, i wiem, że to z mojej strony okropna reakcja, więc przygryzam dolną wargę i powstrzymuję się przed eskalacją kłótni. Jestem zmęczona, obolała i mam paskudne przeczucie, że zapoczątkowaliśmy coś, co jest absolutnie poza naszą kontrolą. Co dostaliśmy w zamian? Niewiele. Plecak wypchany paragonami, które pewnie zaprowadzą nas donikąd.

Mój głos jest nieco roztrzęsiony, gdy pytam:

– Jak myślisz, co było w tamtym pokoju...?

– Nie zaprzętaj sobie tym głowy – mówi Sam, obejmując mnie ramieniem. To nieoczekiwany, choć miły gest. Oboje cuchniemy śmierdzącym dymem, ale nie przeszkadza mi to. – Nie dowiemy się już, co tam ukrywał. Nie miał zamiaru pozwolić, abyśmy się tego dowiedzieli.

– A jeśli na dole był ktoś...

– Nie – przerywa mi. – Wyprujesz sobie flaki, jeśli będziesz się tym zadrećzać. Przestań.

Wyczuwam, że nie chce sobie tego wyobrażać. Robię to, ponieważ muszę: młoda kobieta, prawdopodobnie w wieku wybranych ofiar Melvina. Zamknięta, być może związana. Skazana na spłonienie żywcem, gdyby ktoś za bardzo zbliżył się do jej odnalezienia.

– Może to był on – sugeruję. – Może zszedł na dół i otworzył drzwi.

– To dopiero myśl – zgadza się Sam, ale kręci głową. – Patrzyłem

na drzwi w momencie, w którym się otworzyły. Klamka się nie obróciła. Po drugiej stronie nikogo nie było. To raczej coś w rodzaju... zdalnego sterowania.

– Chcesz powiedzieć, że uruchomiliśmy jakiś czujnik?

– Możliwe. Ale z drugiej strony... ktoś mógł nas obserwować. Czekać, aż połkniemy przynętę. A kiedy tak się nie stało...

Mogło tak być. Elementy układanki wskakują na swoje miejsce. Miałam obezwładniające przeczucie, że jestem obserwowana na tamtych schodach. I nie myliłam się. *Ktoś* stał za kamerą. Prawdopodobnie widział, jak przeszukujemy cały dom. Jednak przystąpił do działania dopiero wtedy, gdy natknęliśmy się na ukryty pokój w piwnicy.

– Obserwował nas. I nie było go na miejscu. Otworzył drzwi dzięki zdalnemu sterowaniu i doprowadził do wybuchu. Musiał być gdzieś w pobliżu.

– Niekoniecznie. Mógł ustawić wszystko za pomocą aplikacji. – Sam posyła mi ledwie zauważalny uśmiech. – W ten sam sposób, w jaki ty ustawiłaś kamery w swoim domu.

Ma rację. Wykorzystałam kamery sterowane przez internet do monitorowania domu w Stillhouse Lake, do których miałam dostęp na odległość i mogłam oglądać nagrania z dowolnego miejsca na świecie. Taki sprzęt był popularny i szeroko dostępny.

– A drzwi?

– Niektóre bezprzewodowe aplikacje ochronne pozwalają na ich zamykanie i otwieranie. Facet obserwował nas pewnie od chwili, w której się włamaliśmy. Gdy znaleźliśmy sekretne schody, zaczekał, aż zejdziemy na dół i otworzymy drzwi, które najwyraźniej były zabezpieczone ładunkiem wybuchowym. Możliwe, że posiada jakiś sygnał rozbijający bombę, który wysyła, zanim sam wchodzi do środka. A kiedy nie daliśmy się nabrać...

– Uruchomił go za nas – dokańczam. – W takim razie może być

wszędzie. Nic na niego nie mamy.

– Niezupełnie – mówi, kiwnięciem głowy wskazując na plecaki leżące na podłodze między naszymi stopami. Są wypchane papierami. To już coś. Przynajmniej taką mam nadzieję. – Gwen, pamiętaj...

Cokolwiek chce mi powiedzieć, przerywa mu Lustig, który szarpnięciem otwiera drzwi i mówi:

– Dobra, oto co się stanie. Za chwilę rozpęta się piekło i wszyscy będziemy mieli przesrane. Szeryf hrabstwa, straż pożarna, pogotowie. Ogłoszę jurysdykcję federalną. Zostaniecie przewiezieni do szpitala, ale macie się stamtąd *nie ruszać*, dopóki nie przyjadę. W czasie mojej nieobecności *nie odpowiadajcie* na żadne pytania. Zrozumiano?

– Mike, w co my się, u diabła, wpakowaliśmy? – pyta Sam.

Spojrzenie, które rzuca mu Mike Lustig, składa się z dwóch części: jedna mówi „Nie tutaj”, a druga wskazuje, że nie jestem odpowiednią osobą, którą chciałby wtajemniczać w tę historię. Czemu miałby to robić? Mike wie, kim jestem. Wie, kim jest mój były mąż. Jego zaufanie do mnie sięga nie dalej jak rzut czołgiem. To uczciwe z jego strony. Ja *ani trochę* mu nie ufam, a fakt, że posiada odznakę i broń, a te drzwi nie otwierają się od środka, sprawia, że dostaję gęsiej skórki. Owszem, to przyjaciel Sama, ale nie mój. Zaufanie nie jest zaraźliwe.

Lustig ponownie zatrzaskuje drzwi, odcinając lodowaty podmuch wiatru niosący w sobie zapowiedź zimy, i opiera się o SUV-a, gdy jako pierwszy na miejscu zjawia się czarno-biały SUV szeryfa hrabstwa, wyjeżdżający zza zakrętu i zatrzymujący się obok nas. Syreny nie są włączone, ale pulsujące światła reflektorów sprawiają, że wszystko wygląda na zimne i obce, nawet twarz Sama. Ciągnę za drzwi. Nie chcą się otworzyć. Serce bije mi mocniej. Rozglądam się dokoła w poszukiwaniu czegoś,

czegokolwiek, co nadawałoby się do użycia. „Mogę prześlizgnąć się na przednie siedzenie i wydostać stamtąd na zewnątrz”, zapewniam się w duchu. Możliwe, że w schowku jest zapasowa broń. Jeśli nie, mogę w sekundę wybiec z samochodu, a w tym lesie i w takich ciemnościach będą mieli niezłą zabawę ze znalezieniem mnie.

Mój plan ucieczki to czysta teoria. Robię tak w przypadku każdej sytuacji, w której czuję, że tracę choćby odrobinę kontroli nad nią. To pomaga. Latami ćwiczyłam w myślach sztukę unikania, atakowania i uciekania, i opanowałam ją po mistrzowsku. Moje życie – i życie moich dzieci – zależy od niej.

– Więc jaka jest nasza wersja? – pytam Sama. – Bo prawda tutaj nie przejdzie. Nie w naszym przypadku.

– Trzymaj się jej tak blisko, jak tylko się da. Przyszliśmy się czegoś dowiedzieć. Zastaliśmy drzwi szeroko otwarte. Weszliśmy do środka, by sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało, odkryliśmy sekretny pokój i wydostaliśmy się stamtąd w ostatniej chwili.

Nie wychodzimy przez to na niewinnych, ale nie wskazuje też, że przynieśliśmy ze sobą dynamit i wysadziliśmy to miejsce na kawałki, z czym absolutnie się zgadzam. Kiwam głową. *Szeroko otwarte drzwi*. Wizualizuję je w myślach, wyobrażając sobie nasze ostrożne skradanie się, nawoływanie, sprawdzanie, czy ktoś nie ucierpiał. Wyobrażam to sobie, dopóki nie staje się to tak realne, że mogłoby być prawdą, a potem wyobrażam sobie dalej, aż w końcu to staje się *prawdą*, a ta druga wersja jest już tylko odległą możliwością. To jedyny sposób, aby kłamać przekonująco i konsekwentnie: trzeba w to wierzyć.

Sprawiam więc, że zaczynam w to wierzyć. Oczywiście, jeśli drzwi nie spłoną doszczętnie, a policja ustali, że były zamknięte, to mamy przerąbane. Jednak biorąc pod uwagę szalejący ogień, sądzę, że chyba nam się upiecze.

Wokół tłoczy się coraz więcej pojazdów, zamykając nas jak w klatce: dwa wozy straży pożarnej, karetka, kolejny urzędowo wyglądający SUV, prawdopodobnie należący do Służby Leśnej. Strażacy niosą przez las całe naręczna węży strażackich w stronę pożaru, a ja słyszę nad głową szum jakiegoś lekkiego statku powietrznego, sprawdzającego, czy ogień się nie rozprzestrzeni.

Całkowite ugaszenie ognia zajmuje prawie całą godzinę, a potem noc rozświetlają już tylko jarzące się światła pojazdów ratowniczych i błyskające przednie reflektory. Różne źródła światła nadają wszystkiemu niejednolity odcień fioletu, z chaotycznymi przebłyskami błękitu i czerwieni. Przez jakiś czas siedzę z zamkniętymi oczami, więc jestem zaskoczona, gdy drzwi obok mnie zostają otwarte. Szybko prostuję się na siedzeniu i dociera do mnie, że patrzę na młodego, smukłego Afroamerykanina w źle dopasowanym uniformie ratownika medycznego.

– Proszę pani – mówi, a jego akcent z Georgii słychać od razu ze zdwojoną siłą. – Muszę panią zbadać. Czy może pani ze mną podejść do karetki?

– Jasne – odpowiadam, wychodząc z SUV-a z lekkim westchnięciem ulgi. Jednak obyło się bez ucieczki. Przynajmniej na razie. Inny ratownik prowadzi Sama. Oboje lądujemy na tyłach ambulansu i jesteśmy opatrywani. Podejrzewają u Sama lekkie wstrząśnienie mózgu i pęknięte żebra. Musi zostać przewieziony do szpitala. Mój ból głowy sprawia, że przysługuje mi ten sam przywilej, ale nie mam zamiaru zostawiać naszych plecaków w SUV-ie Mike'a Lustiga ani pozbawiać nas środka transportu potrzebnego na wypadek ucieczki. Odmawiam. Gdy umieszczają Sama w karetce, przenoszę nasze rzeczy do samochodu, który wynajęliśmy i który na całe szczęście stoi wystarczająco daleko na uboczu, tak że mogę nim objechać blokadę.

Jestem w połowie trasy, gdy Mike Lustig staje mi na drodze, a ja

muszę ostro wyhamować, aby nie trafić go zderzakiem. Gdy się zatrzymuję, podchodzi do mnie od strony kierowcy i stuka w szybę. Opuszczam ją w dół.

– Jadę do szpitala. Zaczekam tam.

– W porządku. Wasze wersje muszą się zgadzać. Gotowa? – Jego spojrzenie mówi mi, że lepiej dla mnie, aby tak było. Kiwam głową.

– Nie opuszczaj szpitala. Przyjadę tam najszybciej jak się da.

Przytakuję, po czym cofam się i jadę za karetką po krętej, górskiej drodze, zostawiając za sobą zgliszcza tego, co mieliśmy nadzieję odkryć.

Pierwsze, co robię po zakończeniu lekarskich oględzin, to siadam i dzwonię do Javiera, mimo że dochodzi prawie piąta rano. Nie mówię mu o pożarze ani o tym, że prawie otarliśmy się o śmierć. Przekazuję mu, że nic nam nie jest. Po odgłosach w tle na pewno poznał, że jesteśmy w szpitalu, ale na całe szczęście nie zadaje zbyt wielu pytań, więc nie muszę kłamać.

– Co u nich słyhać? – pytam. Obudziłam Javiera i czuję się źle z tego powodu, ale dźwięk jego głosu w słuchawce przynosi mi olbrzymią ulgę. – Przystosowują się?

– Na razie nie umiem tego stwierdzić. – Szczera odpowiedź. Mówi ściszym głosem, a ja słyszę szelest ubrania i odgłosy kroków. Wyobrażam sobie jak zakłada kurtkę i wychodzi na werandę, bo w głośniku słyhać cichy świst wiatru oraz skrzypienie drewna, gdy siada na krześle, które tam trzyma. – Rany boskie, ale zimno. Z dziećmi wszystko w porządku, ale nie powiedziałbym, że są szczęśliwe. Zaczyna do nich docierać, że jesteś w niebezpieczeństwie. Lanny marzy o tym, by wyrwać się z domu. Connor tylko... czyta. Czy to normalne?

– Mniej więcej. Powiedz im, że je kocham, dobrze?

– Nie ma sprawy. – Waha się przez kilka sekund, po czym ziewa. Jego ziewanie jest zaraźliwe, bo robię to samo i nagle uświadamiam sobie, jak bardzo jestem wyczerpana. Znowu. – Coś jest u ciebie nie w porządku, Gwen. Czuję to.

– Jest wystarczająco dobrze.

– Wracasz niedługo?

– Nie wiem – mówię cichym głosem. – Staram się.

Gdy się rozłączam, czuję ściskanie w piersi, a gardło boli mnie od niewylanych łez.

Po kolejnych, dłużących się ośmiu godzinach na ostrym dyżurze obrażenia Sama zostają sklasyfikowane jako pęknięte żebra i lekkie wstrząśnienie mózgu. Zostałam ostrzeżona, że głowa będzie mnie bolała jak jasna cholera przez co najmniej jeden dzień (już boli, pomimo hojnej dawki leków przeciwbólowych dostępnych bez recepty). Gdy żebra Sama zostają zabandażowane, a my zwolnieni z opłat, na które nas nie stać, napotykamy w korytarzu na czekających na nas trzech umięśnionych, białych mężczyzn. Są prawie identyczni, o kanciastej sylwetce facetów, którzy dni chwały przeżyli jako futboliści w szkole średniej. Wszyscy mają krótko obcięte włosy i opaleniznę, która kończy się przy kołnierzykach i mankietach. Mike Lustig, ubrany w kuloodporny pancierz FBI, odznakę i czerń, stoi kawałek dalej ze złożonymi ramionami, opierając się o ścianę. W lepszym oświetleniu widać, że jego pociągła, przyjazna twarz jest skłonna bardziej do ironicznych uśmiechów niż gniewnych grymasów.

Nie mogę powiedzieć tego samego o mięśniakach z Georgii. W najlepszym razie wyglądają na niewzruszonych i obojętnych, w najgorszym na wrogo nastawionych.

– Panie Cade? Pani Royal?

– Panno – poprawiam automatycznie, po czym dociera do mnie,

że zwrócił się do mnie po starym nazwisku. – Nie nazywam się Royal, tylko Gwen Proctor.

– Moja notatka mówi co innego – odzywa się rzecznik z ponurym grymasem wykrzywiającym usta, który nie sposób uznać za uśmiech. – Pójdzie pani ze mną, *panienko*.

Zerkam na Mike'a Lustiga, który wzrusza ramionami.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Idź.

Sam i ja wymieniamy się szybkimi spojrzeniami, a ja kiwam głową, dając mu znak, że wszystko w porządku. W rzeczywistości *nie wiem*, czy tak jest, ale nie ma sensu rozpętywać awantury na korytarzu. Skręcamy z oficerem do cichej poczekalni, a on gestem ręki wskazuje, abym usiadła na krześle w rogu. To miejsce znajdujące się najdalej od wyjścia, a ja automatycznie oszacowuję drogi ucieczki, tak dla wprawy. Agent Lustig nie poszedł za nami.

Co ciekawe, oficer niemal natychmiast wymyśla pretekst, aby wyjść, i zamyka drzwi. Spoglądam na zegarek i zaczynam odliczać. Spodziewam się, że pozwoli mi ochłonać przez co najmniej godzinę. Standardowa technika. Im bardziej wytrącony z równowagi i zmęczony jest podmiot, tym większa szansa na wpadkę.

W podręczniku policyjnym Georgii najwyraźniej napisano, że dwie godziny to optimum, bo dochodzi trzecia, gdy facet wraca. Wciska się na siedzenie tuż obok mnie, zbyt blisko, aby czuć się komfortowo. Domyślam się, że chce mnie zastraszyć. W rzeczywistości tylko mnie wkurza. Jeśli naprawdę wie, kim jestem, to z całą pewnością rozumie, że moja skala metod zastraszania jest zupełnie inna. Pachnie potem i dymem, co znaczy, że był przy chacie lub tym, co z niej zostało. Na lewym rękawie ma małą plamkę, która wygląda jak stara, zaschnięta krew, a ponieważ już ją zauważyłam, nie jestem w stanie odwrócić od niej wzroku. Czy znalazła się tam, gdy komuś pomagał? A może kogoś uderzył? Czasami trzeba komuś przywalić, żeby pomóc drugiej

osobie.

– A zatem, panie funkcjonariuszu...

– Turner, proszę pani.

– Funkcjonariuszu Turner, czy zwracanie się do mnie po starym nazwisku było pokazem siły, czy zwykłym przejęzyczeniem?

Odchyła się do tyłu przy akompaniamencie skrzypienia plastiku i przygląda mi się wypranymi z emocji oczami kogoś, kto od lat pracuje w policji. Zastanawia się, jakie przyjąć nastawienie: zastraszanie czy małomiasteczkowy urok. Żadna z tych rzeczy nie zadziała, ale obserwowanie jego wewnętrznej debaty jest całkiem ciekawe.

Wybiera małomiasteczkowy urok. Gdy znów się odzywa, jego głos jest cieplejszy, z bardziej słyszalnym akcentem. Udaje mu się nawet przywołać nieśmiały uśmiech na twarzy.

– Przyznaję, proszę pani, myślałem, że wytrąci to panią z równowagi. Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Może zacniemy jeszcze raz?

– Jasne – odpowiadam z równie fałszywym uśmiechem. – Co mogę dla pana zrobić, funkcjonariuszu Turner?

– Proszę zacząć od samego początku i powiedzieć, jak to się stało, że zjawiała się pani w pobliżu chaty. Skąd wziął się pomysł, żeby tam pójść, co się stało, i tym podobne rzeczy.

Wzdycham.

– Myśli pan, że uda mi się go namówić na kubek kawy w zamian za te informacje?

Łyka to, choć ogranicza się wyłącznie do wyjścia na korytarz, przywołania kogoś ręką i prawdopodobnego zamówienia dla mnie kawy. Po powrocie jest cały w uśmiechach. W rewanżu przywołuję jeden na twarz, choć wcale go nie czuję.

– A teraz wróćmy do tego, co pani mówiła.

Przez chwilę kusi mnie, by powiedzieć, że *nic nie mówiłam*,

i poprosić o prawnika. Nadal nie jestem pewna, czy go potrzebuję. Dowody są niejednoznaczne, a ani ja, ani Sam nie zamierzaliśmy odpowiadać na żadne z tych pytań. Mówię zatem:

– Mogę zadać jedno pytanie?

Turner zastanawia się przez chwilę, po czym kiwa głową.

– Śmiało.

– Znaleźliście tam jakieś zwłoki?

Jeszcze więcej zastanawiania, po którym następuje powolny, przeczący ruch głową.

– Nie mogę powiedzieć. Co zatem skłoniło panią do znalezienia się w pobliżu chaty, pani Proctor?

Wolno mu mnie okłamywać, rzecz jasna. To starodawna, uświęcona tradycja, będąca elementem przesłuchań. W dalszym ciągu nie zostałam poinformowana o przysługujących mi prawach, co samo w sobie dużo mi mówi.

Trzymam się swojej wersji, której pierwsza część jest prawdziwa: że mieliśmy nadzieję znaleźć jakieś informacje o kimś, kto pomagał mojemu byłemu mężowi uniknąć schwytania. Turner unosi pytająco brew, ale nie komentuje. Sam powie dokładnie to samo. Ustaliliśmy już, że prawda jest naszą najlepszą linią obrony, oczywiście do pewnego momentu... każde inne wyjaśnienie wzbudzi podejrzenia, nie wspominając już o moim złowieszczym byłym. Opowiadam mu o otwartych drzwiach i o tym, jak weszliśmy ostrożnie do środka. Dokładnie tak, jak przeciwiczyłam to w myślach.

– I co znaleźliście?

– Nic – mówię, z łatwością go okłamując. Nie mam zamiaru oddać tego, co udało się nam stamtąd wynieść. – Nie mieliśmy czasu.

– Weszliście tam... ot tak?

– Drzwi były otwarte – mówię beznamiętnym tonem. – Pomyśleliśmy, że ktoś mógł zostać ranny albo miał kłopoty.

– Nie przeszło wam przez myśl, że facet taki jak ten może zastrzelić was za takie najście?

Wzruszam ramionami. Nie odpowiadam. Głupota nie jest zbrodnią. Nic nie ugra. Fakt, że ja i Sam byliśmy uzbrojeni. Ale legalnie. Bezprawne wtargnięcie na czyjś teren to w najlepszym razie słabe oskarżenie. Facet nie będzie się fatygował, chyba że wydaje mu się, że może do tego dorzucić jakiś poważniejszy zarzut.

Funkcjonariusz Turner zmienia język ciała na „bądźmy ze sobą szczerzy”. W jego przypadku jest to pochylenie się do przodu, oparcie łokci na udach i złączenie wielkich dłoni.

– Pani Proctor, w tej chwili lokalne władze w Tennessee przeszukują pani dom w Stillhouse Lake, szukając wszystkiego, co łączy panią z byłym mężem. Pani rozmowy telefoniczne są analizowane. Wiemy, że widziała się z nim pani, zanim uciekł z więzienia. Czy jest coś, o czym chciałaby mi pani powiedzieć, zanim zostaną ujawnione wyniki śledztwa? To może polepszyć pani sytuację.

Amator. Mam za sobą więcej lat przesłuchań – ze znacznie lepszymi i gorszymi śledczymi niż on. Przez chwilę przyglądam mu się w zamyśleniu, po czym mówię:

– Nienawidzę Melvina Royała. On *na mnie poluje*, funkcjonariuszu Turner. Wie pan, jakie to uczucie? Naprawdę pan sądzi, że chcę mu pomóc? Gdyby postawił mnie pan przed nim i dał pistolet, nie zawahałabym się ani chwili i wpakowała mu cholerną kulę w łeb.

Mówię to zupełnie szczerze, z intensywnością, która nawet mnie zapiera dech w piersiach.

Turner powoli odchyła się na krzesło, kładąc dłonie na udach. Ma te pozbawione blasku, bezlitosne oczy, które są cechą wspólną chyba wszystkich policjantów. Takie, które nieustannie wszystko rejestrują i niczego nie ujawniają. Za całą jego małomiasteczkową,

niezgrabną fasadą, kryje się prawdziwy rekin.

Rozlega się pukanie do drzwi. Turner wstaje, aby wziąć dwa cienkie, papierowe kubki. Wręcza mi jeden, a ja z wdzięcznością obejmuję go zziębniętymi dłońmi. Kawa to lura w najczystszej postaci, ale przynajmniej jest ciepła i niweluje cierpki, szpitalny zapach. To miejsce cuchnie strachem, rozpaczą, nudą i niemytymi ciałami ludzi, których woń wniknęła w kanapy. W rogu pomieszczenia znajduje się smętny kącik do zabawy dla dzieci. W tej chwili jest pusty, a ja myślę o Lanny i Connorze, którzy mieli zaledwie dziesięć i siedem lat, gdy samochód wjechał w garaż Melvina i ujawnił światu jego makabryczne hobby. W mojej głowie już zawsze będą w tym wieku. Bezbronnym, doszczętnie zdruzgotanym wieku.

– Powie mi pan, co było w piwnicy? – pytam Turnera, zaszczycając go nagłym spojrzeniem. Jest lekko zaskoczony. – Bo nasz zainteresowany nie chciał, aby ktokolwiek ją zobaczył. Bez względu na to, co tam miał.

– Piwnica uległa poważnemu zniszczeniu. Na razie nikt tam nie zejdzie, aby cokolwiek obejrzeć. Miną godziny, zanim będzie tam bezpiecznie. Nadal możemy znaleźć jakieś ciała.

Mam rozpaczliwą nadzieję, że nie. Kiwam głową, po czym jednym haustem dopijam kawę.

– W porządku. W takim razie ja już sobie pójdę. Dziękuję za kawę. – Wstaje razem ze mną, blokując mi przejście. Wpatruję się w niego, pozwalając, aby kąciki moich ust uniosły się powoli w nikłym uśmiechu. – No chyba, że chce mnie pan aresztować...?

Nie ma żadnych konkretnych zarzutów i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Blefuje, kiedy mówi:

– Proszę usiąść, pani Proctor. Mamy więcej spraw do omówienia.

Nie odpowiadam. Po prostu idę w jego stronę. Odsuwa się dosłownie w ostatniej chwili. Nielegalne zatrzymanie nie

przyniesie mu niczego dobrego. Jest wystarczająco inteligentny, aby wiedzieć, że nie dam się zastraszyć perspektywą potencjalnego powodu. Owszem, mamy doszczętnie spaloną chatę. Owszem, byłam w środku. Ale istnieją wystarczające dowody na to, by stwierdzić, że chata została zaminowana, a ja miałam fart, że udało mi się ująć z życiem. Poza tym, mają całe mnóstwo mylących dowodów to zbadania, które nie mają nic wspólnego ze mną i moim rzekomym-lecz-nieвозмоżliwym-do-udowodnienia nielegalnym naruszeniem czyjejs posesji.

Mijając go, ani na chwilę nie zwalniam kroku.

– Porozmawiamy później, *pani Royal* – odzywa się za moimi plecami.

To zwykła złośliwość, której nie zaszczytam nawet jednym spojrzeniem przez ramię na Turnera. Idę przed siebie. Gdy tylko wychodzę przez drzwi, czuję się, jakby ktoś zdjął mi z ramion ciężar. Biorę gwałtowny wdech, przefiltrowany przez świeży zapach kawy, którą dopiero co wypiałam, pozbywam się kubka i idę szukać miejsca, w którym umieścili Sama.

Nadal przebywa za zamkniętymi drzwiami z jednym z policjantów, a gdy rozglądam się naokoło w poszukiwaniu Mike'a Lustiga, nigdzie go nie ma. Niespecjalnie mi się to podoba. Nie podoba mi się, że porzucił nas, żebyśmy troszczyli się o siebie samych. Siadam na krześle i czekam, obserwując drzwi i wlokące się wskazówki zegara. Rozmowa Sama trwa przynajmniej dwa razy dłużej od mojej, a gdy wreszcie wyłania się z pokoju, dochodzi szósta. Nie wygląda na zdenerwowanego i kończy pić swoją kawę. Dopija resztę jednym haustem, wyrzuca pusty kubek i zatrzymuje się koło mnie.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Nie dzieje się nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić – mówi. Ma nachmurzone oczy. Ciekawe, co powiedział mu policjant.

Pewnie nie było to nic miłego.

– Gdzie twój kumpel Mike? Oddał nam naprawdę wielką przysługę.

– Musiał wyjść i pojechać na miejsce zdarzenia.

– Co ci właściwie powiedział, o ile w ogóle coś mówił?

– Żeby wracać do domu. I zapomnieć, że to się w ogóle wydarzyło.

Jestem pewna, że ma na myśli powrót do Stillhouse Lake. Przycząć się, z bronią gotową do użycia, na mojego męża, aż po nas przyjdzie. Gdy jednak próbuję to sobie wyobrazić, jakoś nie widzę, abyśmy umieli się obronić. Widzę Melvina zjawiającego się za naszymi plecami niczym zły duch. Widzę, jak zabija Javiera i Kezie. Widzę martwego Sama na podłodze.

Widzę siebie i swoje dzieci, samotne w starciu z ciemnością, którą uosabia ich ojciec. I wcale nie jestem pewna, że mogę je uratować.

– Nie możemy się poddać – mówię. – Najpierw sprawdzimy to, co udało się nam zdobyć. Czy Lustig powie nam, co znaleźli w tamtej piwnicy?

– Może – odpowiada Sam, co nie napełnia mnie entuzjazmem. – Bardzo możliwe, że tym incydentem spaliłem za sobą jeden z mostów. Zobaczymy. Nie, nie przepraszaj. – Zdażyłam otworzyć usta, aby to zrobić, i szybko je zamykam. – Spaliłbym za sobą każdy most, jaki kiedykolwiek zbudowałem, żeby dorwać Melvina. Zrozum to.

Ciekawe, czy zalicza do tego most, który tak starannie wznieśliśmy między sobą. Wydaje mi się, że rozumiem Sama, przynajmniej przez większość czasu. Lecz jeśli chodzi o to... może okłamuję samą siebie. Może, pomimo wszystkiego co zrobił dla mnie i dzieci, pomimo faktu, że pozwoliłam sobie na otwartość i bezbronność w jego obecności, a on wykazał wszelkie oznaki, że to docenia... może w ostatecznym rozrachunku, gdy będzie musiał wybrać między mną a dorwaniem Melvina, przejdzie nade mną, by

zaciśnięć dłoń wokół jego gardła.

Niech będzie. Ja pewnie zrobiłabym to samo. Lepiej będzie, jeśli w ogóle nie poruszymy tego tematu.

Otocza nas grupa funkcjonariuszy, ale nikt nie zachodzi nam drogi. Nas samochód nadal stoi na parkingu i w dalszym ciągu jest zamknięty. Sam wypuszcza wstrzymywane powietrze, gdy skręcamy na główną drogę, i przyspiesza – mieszcząc się w ograniczeniu prędkości – jadąc na południe.

– Wynośmy się stąd. Dokąd teraz jedziemy?

– Do następnego miasta. Trzymajmy się w pobliżu, ale nie tuż pod ich nosami. Poszukajmy jakiegoś motelu. – Już mam powiedzieć „coś taniego”, ale się powstrzymuję. To moja wrodzona skłonność, ale jeśli Melvin został poinformowany o ostatnich wydarzeniach, to on i Absalom będą nas szukać. W tym rejonie nie mamy zbyt wielu opcji. W pierwszej kolejności sprawdzą wszystkie tanie i anonimowe miejsca. – Poszukajmy noclegu ze śniadaniem. Czegoś mało znanego i na uboczu.

Kiwa głową i rzuca mi ulotkę.

– Wziąłem to ze sklepu z upominkami ze szpitala. Powinny tam być jakieś ogłoszenia.

Rozdział szósty

Connor

Oficer Graham powiedział mi: „Nikommu o tym nie wspominaj”, i tak też zrobiłem. Nie dlatego, że nie wiem, że oficer Graham był złym człowiekiem – dobrze to wiem. Wystraszył nas na śmierć. I zrobił nam krzywdę, gdy wywłókł nas siłą z naszego domu.

Nikommu o niczym nie powiem z powodu tego, co mi dał. Wiem, że mama by mi to zabrała, a ja nie jestem gotowy na coś takiego.

Telefon, który dał mi Lancel Graham, zostawiam wyłączony. Próbowałem go użyć wtedy w piwnicy w chacie, w której nas przetrzymywał, ale nie było sygnału. Wyłączyłem go i wyjąłem baterię, gdy znalazła nas mama, ponieważ nie chciałem, aby zaczął dzwonić, i nie chciałem, żeby ktoś zaczął nas namierzać.

Tak naprawdę nie wiem, dlaczego go nie wyrzuciłem, nie zakopałem ani nie powiedziałem komuś, że go mam... Wiem tylko, że jest *mój*.

Oficer Graham powiedział: „To od twojego ojca i należy wyłącznie do ciebie, Brady. Nikogo innego”.

Mój tata coś mi przysłał i choć wiem, że powinienem się tego pozbyć, nie potrafię. To jedyna rzecz, którą od niego mam. Czasami

wyobrażam sobie, jak stoi w sklepie, oglądając różne modele telefonów, i znajduje ten, który według niego mi się spodoba. Może wcale tak nie było, ale właśnie tak to sobie wyobrażam. Że mu zależało. Że włożył w to trochę wysiłku.

Szczęśliwie wygląda prawie jak tani telefon, który już mam. Oba są jednorazowe, ale nauczyłem się je odróżniać po dotyku – ten, który dała mi mama, jest lekko chropowaty, a telefon od taty jest gładki jak szkło. Do obu pasuje ta sama ładowarka. Staram się, żeby obydwa były naładowane. Gdy jeden ładuje się pod łóżkiem, drugi mam przy sobie.

Telefonu od taty nie włączam. Jest stale wyłączony, z baterią w mojej kieszeni, gotowy do użycia.

Właśnie go z niej wyjąłem – nie żeby użyć, tylko na niego spojrzeć – gdy Lanny opiera się o futrynę drzwi mojego pokoju i pyta:

– Hej, wchodziłeś do mojego pokoju?

Dopada mnie poczucie winy, a w sekundzie, w której słyszę jej głos, mam wrażenie, że ktoś wycelował we mnie jaskrawe, palące światło reflektora. Upuszczam telefon od taty i patrzę, jak prześlizguje się po podłodze i zatrzymuje przy jej stopie. W ustach mi zasycha. Jestem śmiertelnie przerażony, że zaraz zmarszczy brwi i powie „To nie jest twój telefon. Skąd go wzięłeś?”, a wtedy wszystko się wyda, a inni będą na mnie wściekli, że od razu go im nie oddałem, i znów zaczną obrzucać mnie tymi *spojrzeniami*. Jakby zastanawiali się, czy jestem taki jak on.

Jednak Lanny prycha tylko pod nosem i mówi:

– Dobra robota, niezdaro.

Kopniakiem posyła telefon w moją stronę. Podnoszę go i chowam do kieszeni. Ręce mi się trzęsą. Stopą popycham nadal podpięty do ładowarki telefon od mamy w cieniu zalegające pod łóżkiem. Lanny go nie zauważyła.

– To wchodziłeś do mojego pokoju, czy nie?

– Nie. Czemu pytasz?

– Drzwi były otwarte.

– To nie ja.

Lanny krzyżuje ramiona na piersi i spogląda na mnie spod zmarszczonych brwi, co oznacza, że nie kupuje mojej ściemy.

– W takim razie dlaczego wyglądasz, jakbyś był winny?

– Wcale nie! – Sprzeciwiam się, zdając sobie sprawę, że w moich ustach *brzmi* to tak, jakbym był winny. Marny ze mnie kłamca.

– Zabrałeś coś? Dobrze wiesz, że wszystko sprawdzę!

W tym momencie przestaję myśleć. Wstaję, wypycham ją na zewnątrz i zatrzaszukuję drzwi. Zamek wchodzi na swoje miejsce. Świetnie, bo sekundę później Lanny zaczyna szarpać za klamkę.

– Nie gadam z tobą! – krzyczę i kładę się na łóżku.

Wyjmuję telefon od taty z kieszeni i obracam go w palcach. Ekran jest ciemny.

Wpatruję się w niego długi czas, po czym wyjmuję z kieszeni baterię. Otwieram tył i wsuwam ją na miejsce, a potem przykładam palec do przycisku z napisem „włącz”. Lanny odeszła spod drzwi, pewnie żeby ponarzekać komukolwiek, kto zechce jej wysłuchać, że jestem nieznośnym bachorem. Zazwyczaj to byłaby mama. Zazwyczaj.

Dociskam delikatnie guzik, ale nie na tyle mocno, aby włączyć aparat. Co się stanie, jeśli go włączę? Czy tata będzie wiedział? Zadzwoni do mnie? Po co w ogóle chciał, żebym go miał?

Dobrze wiem dlaczego. Jeśli telefon zostanie włączony, będzie mógł go śledzić. Może znaleźć nas oraz mamę, a ja nie mogę na to pozwolić.

„Ale na to potrzeba czasu”, odzywa się jakaś część mnie, ta, która zna na pamięć wszystkie zagrożenia i podpowiada mi, co jest bezpieczne, a co nie. „Nie będzie w stanie cię wysledzić, jeśli tylko włączysz telefon, sprawdzisz, co na nim jest, i ponownie wyjmiesz

baterię. To nie magia”.

To może być prawda. I pewnie tak jest. Mogę włączyć telefon i sprawdzić, czy do mnie dzwonił albo przysłał jakąś wiadomość. To chyba w porządku, prawda? Nie muszę niczego *czytać*. Ani odsłuchiwać poczty głosowej. Tylko rzucę okiem.

Ponownie przesuwam palcem po przycisku. Tym razem przytrzymuję go nieco dłużej. Ale najwyraźniej znowu za krótko, bo gdy zdejmuję palec, ekran nadal jest czarny.

I wtedy telefon wydaje z siebie buczenie, jakby chciał mnie ukąsić, a ekran podświetla się i pokazuje napis WITAJ złożony z podskakujących liter, po którym pojawia się komenda SZUKAM SYGNAŁU.

Nie mogę oddychać. Serce mnie boli. Pochylam się do przodu, jakby ktoś walnął mnie w brzuch, ale nie jestem w stanie oderwać wzroku od ekranu, który ciemnieje i ożywa. Pojawia się na nim zbiór ikonek tak małych, że ledwie je widać, ale od razu zauważam, że nie ma żadnych powiadomień o przychodzących połączeniach ani wiadomości głosowych.

Żadnych esemesów.

Wybieram ikonkę KONTAKTY. W pamięci telefonu zapisano jeden numer.

Numer do taty.

Powinienem natychmiast przestać. Powinienem przestać i oddać telefon komuś innemu. Najlepiej dorosłemu. Z pewnością nie Lanny, bo ona po prostu rozwaliłaby go kamieniem. Gdyby pan Esparza i pani Claremont mieli numer taty, może udałoby im się znaleźć go, zanim wyrządziłby komuś krzywdę. Zanim znajdzie mamę, albo mama znajdzie jego.

„Jeśli to zrobisz, skazesz go na śmierć”. Nie lubię tego głosu w swojej głowie. Jest cichy, ale nieustępliwy. I brzmi zupełnie jak mój, tylko w dorosłej wersji. „Jeśli nie zastrzelą go na miejscu, jak

tylko go zobaczą, zabiorą go z powrotem do więzienia. Do celi śmierci. A to jednoznaczne z zabiciem go. I to będzie wyłącznie twoja wina”.

Nie podoba mi się to, ale głos ma częściową rację. Nie chcę myśleć o tym, że to *przeze mnie* tata został zabity. Odstrzelony jak wściekły pies. Tym razem naprawdę do tego dojdzie, jeśli przekażę telefon w inne ręce.

Zaufał mi, że tego nie zrobię. *Zaufał* mi.

Telefon był włączony zbyt długo. Szybko wciskam i przytrzymuję przycisk „włącz”, dopóki na ekranie nie pojawiają się głupkowate, machające litery układające się w napis „do widzenia”, i nie wybuchają małe fajerwerki, po czym cały ekran robi się czarny. Wyciągam baterię. Ręce mi drżą.

Nie wysłałem mu żadnej wiadomości. Nie zadzwoniłem do niego. Nie zrobiłem niczego złego, ale jest mi niedobrze i trzęsę się na całym ciele tak, jakbym złapał grypę.

Prawie spadam z łóżka, gdy Lanny puka do drzwi. Dźwięk wydaje się supergłośny, ale wcale taki nie jest, co uświadamiam sobie w następnej sekundzie. Chce być miła.

– Hej, Connor? Idę zrobić słodkie przekąski z Rice Krispies. Te z masłem orzechowym i czekoladą, twoje ulubione. Chcesz tu przyjść i mi pomóc? – Chwila ciszy. – Przepraszam, Squirtle.

Rozpaczliwie potrzebna mi teraz obecność mojej siostry. Nie chcę czuć się samotny i pozbawiony kontroli. Wpycham wyłączony telefon od taty z powrotem do kieszeni, otwieram drzwi i posyłam jej uśmiech, który z całą pewnością wygląda kretyńsko. Mam wrażenie, jakbym go sobie dokleił.

– W porządku – mówię, po czym starannie zamykam za sobą drzwi. – Pod warunkiem, że dostanę pierwsze trzy kwadraciki.

– Pierwsze *dwa*.

– Myślałem, że jest ci przykro.

– Dwa mówią, że jest mi przykro. Trzy, że jestem głupia.

Wydaje się, że wszystko jest w porządku. Wszystko *powinno* sprawiać tutaj takie wrażenie. Pan Esparza siedzi na werandzie i czyta książkę, a pani Claremont szykuje się do wyjścia do pracy na kilka godzin. W domu panuje serdeczna, przyjacielska, pełna uśmiechów atmosfera.

Mam wrażenie, że tylko ja odstaję od reszty, jakby telefon w mojej kieszeni był bombą, która tylko czeka, by wybuchnąć i wszystko zniszczyć.

Patrzę na panią Claremont, gdy ta bierze do ręki swoją torebkę. Rzuca mi krótki, szeroki uśmiech, który znika, gdy zaczyna mi się baczniej przyglądać. Lanny idzie do kuchni wyjąć z szafek potrzebne składniki, więc stoi zwrócona plecami do nas, a ja nie staram się już wyglądać na szczęśliwego.

– Connor? – pyta pani Claremont przyciszonym głosem. – Dobrze się czujesz?

Jestem w stanie to zrobić. Mogę wyjąć telefon z kieszeni, przekazać go jej i wyznać całą prawdę, tu i teraz. To moja szansa.

Wtedy przypominam sobie o filmie dokumentalnym, który obejrzałem na YouTube, o mężczyźnie przypiętym pasami do stołu w więzieniu oraz o truciźnie podanej mu dożylnie w ramię, aby umarł, i wracam myślami do swojego taty.

– Nic mi nie jest, pani Claremont – mówię w końcu.

– Kez – przypomina mi, znowu. Wspomniała o tym co najmniej cztery razy. Może naprawdę zależy jej, żebym tak się do niej zwracał.

– Kez – mówię, zmuszając się do kolejnego uśmiechu. – Wszystko w porządku. Dzięki.

– Rozumiem, ale gdyby było inaczej, wiesz, że zawsze możesz do mnie zadzwonić, tak?

Stukam palcami w telefon spoczywający w mojej kieszeni.

– Wiem.

Rozdział siódmy

Gwen

Broszurka turystyczna Sama jest na wagę złota. Znaleźliśmy idealną propozycję noclegu, a gdy sprawdzam składaną mapę, okazuje się, że znajduje się niecałe trzydzieści dwa kilometry stąd – wystarczająco daleko, by nie wzbudzać podejrzeń, i ukierunkowaną na pary, więc będzie ostatnim miejscem, w którym Melvin – lub Absalom – będą szukać. „Potwornie urzekające”, myślę sobie.

Gdy zjawiamy się na miejscu, okazuje się, że to idealny opis. Budynek jest uroczy, schludny i idealnie utrzymany, z przylegającym do niego małym parkingiem. Jest zbyt ciemno, aby zobaczyć cokolwiek poza zamontowanymi na zewnątrz światłami, ale wyobrażam sobie unoszącą się co rano mgiełkę przydającą całości magicznej atmosfery. Wygląda jak typowy pensjonat, kosztowne hobby emerytowanego analityka finansowego, który utopił fortunę w odrestaurowaniu starego, ale wspaniałego domu na kompletnym pustkowiu. Z pewnością nie żałowano pieniędzy, co widać już od samego progu, gdy wchodzimy: miejsce jest czyste, eleganckie, pełne świetnie utrzymanych antyków. Pachnie świeżymi pomarańczami.

Kobieta stojąca za wiekową ladą niezupełnie pokrywa się z moim wyobrażeniem. Wygląda na trzydzieści parę lat i jest hinduskiego pochodzenia. Ma na sobie wyjątkowo piękne sari w kolorze królewskiego błękitu ozdobionego złotą lamówką, a jej włosy są związane w schludny kok. Uśmiecha się z autentyczną serdecznością.

– Dobry wieczór – mówi. – Witam w Morningside House. Szukają państwo pokoju?

W jej głosie słyhać lekki, środkowozachodni akcent pozbawiony jakichkolwiek śladów południowego zaciągania. Pod jej uśmiechem kryje się ledwo zauważalny cień, a w spojrzeniu ślad zmęczenia. Zastanawiam się, jak ciężkie musiało być dla niej życie na tej głębokiej, południowej prowincji. Pewnie bardzo.

– Zgadza się – mówi Sam, gdy kobieta otwiera księgę hotelową. Zapisuje nazwiska, ale w kompletnie nieczytelny sposób. – Jeden pokój z dwoma łózkami wystarczy.

Obrzuca nas szybkim spojrzeniem, ponownie rozpatrując swoje wcześniejsze domysły.

– Och, no cóż. Niestety, ale we wszystkich naszych pokojach jednoosobowych stoją łóżka tylko dla jednej osoby. Mogę zaproponować dwupokojowy apartament. – Wskazuje dłonią na prawie pusty parking i wzrusza nieznacznie ramionami. – Mogę państwu zaoferować znaczną zniżkę.

Podaje szokująco niską cenę, a my płacimy należność gotówką, czego nie uznaje za zbyt dziwne. Nie prosi nas o dowody tożsamości. Pewnie ma serdecznie dość ludzi, którzy domagają się tego samego od niej. Pod wpływem impulsu wyciągam do niej rękę. Patrzy na nią z zaskoczeniem, po czym ujmuje i ściska.

– Dziękujemy za miłe powitanie – mówię. – To miejsce jest naprawdę piękne.

Rozpromienia się, rozglądając po starannie utrzymanych

pomieszczeniach.

– Tak, bardzo nam się tu podoba – mówi. – Mój mąż i ja kupiliśmy je pięć lat temu. Renowacja trwała dwa lata. Cieszę się, że państwu przypadło do gustu.

– I to bardzo. Tak przy okazji, jestem Cassandra. – Imię wybrałam przypadkowo, ale wcale nie umknął mi fakt, że pochodzi z greckiej tragedii.

– Aisha. Mój mąż, Kiaan, jest na zapleczu... – Jest zmuszona urwać, ponieważ drzwi za ladą otwierają się z hukiem i wybiega z nich mała postać, zatrzymująca się gwałtownie na nasz widok. To niewiarygodnie słodki mały chłopczyk o wielkich, ciemnych oczach i nieśmiałym uśmiechu, który natychmiast chowa w fałdach sari swojej mamy.

Wzdycha i podnosi go z wrodzoną gracją każdej matki, po czym kładzie sobie na biodrze.

– A to Arjun – mówi. – Przywitaj się, Arjun.

Nie ma najmniejszej ochoty tego robić, wykazując się uporem typowego dziecka w jego wieku, ale wpatruje się we mnie i w Sama z nieskrywaną fascynacją. Macham mu, a on odwzajemnia się tym samym, po czym znów chowa buzię. Mimo to uśmiecha się. Pamiętam ten wiek aż za dobrze. Czuję niemal fizyczny ból. Nagle czuję w ramionach ciężar Connora. Znajomy ucisk na biodrze. Słodki, karmelowy zapach jego włosów i skóry.

Te same drzwi, przez które wpadł Arjun, otwierają się ponownie i wyłania się z nich starsza dziewczynka w wieku około czternastu lat, smukła i ubrana w dzinsy oraz jasnoróżową koszulę. Długie, proste włosy spływają jej na plecach niczym lśniaca zasłona, podtrzymywana ozdobionymi kamieniami spinkami. Obrzuca nas ciekawskim spojrzeniem, po czym odbiera Arjuna od matki.

– Wybacz, mamó. Uciekł mi. – Wygląda bardziej na zrezygnowaną niż poirytowaną.

– Nic się nie stało – mówi Aisha. – Powiedz ojcu, że mamy gości. I wstaw bułeczki do pieca.

Sam patrzy na mnie i mówi bezgłośnie „bułeczki” z uniesionymi wysoko brwiami, a ja ledwie powstrzymuję się od wybuchnięcia śmiechem. Nocowaliśmy w beznadziejnych motelach i w SUV-ie, więc to luksusowe, cudownie pachnące miejsce wydaje się prawdziwym rajem.

Gdy córka ponownie znika za drzwiami, Aisha prowadzi nas po dwóch kondygnacjach wypolerowanych schodów do drugich drzwi, które otwiera, po czym wręcza Samowi i mnie identyczne klucze zwisające ze srebrnych zawieszek z napisem MORNINGSIDE HOUSE.

– Niedługo każę zanieść na górę bułeczki. Dobrej nocy.

To mówiąc, wychodzi, zamykając drzwi z cichym kliknięciem. Natychmiast zasuwam stary, solidny rygiel i odwracam się, aby obejrzeć, za co właściwie zapłaciliśmy.

Wnętrze jest wspaniałe. W pokoju dziennym stoją dwie wygodne sofy, wystarczająco stare, aby pasować do reszty wystroju, ale pozbawione sztywności, którą zwykle utożsamiam z antykami. Są tu urocze małe stoliczki, nowoczesny telewizor z płaskim ekranem i dwa biurka (sekretarzyk i drugie płaskie) z zabytkowymi krzesłami na kółkach. Pod panoramicznym oknem, które rankiem z pewnością daje spektakularny widok na góry, stoi wyściełana ławeczka. W tej chwili jestem zbyt świadoma panującej na zewnątrz ciemności oraz faktu, że dzięki oświetleniu w pokoju praktycznie widać nas z kosmosu. Zaciągam zasłony, po czym odwracam się do Sama z uśmiechem.

– No i jak? – Rozkładam ręce, wskazując na pokój.

Podziwia kunszt wykonania lampy witrażowej w stylu Tiffany z wiszącymi, ślicznymi szkiełkami w kolorze fioletu i zieleni, przypominającymi liście wisterii.

– Mieliśmy fart – mówi, prostując plecy. Krzywi się. Rzuca plecak na fotel uszak stojący przy kominku. – To miejsce jest niesamowite. I dostaniemy bułeczki.

– Założę się, że śniadanie też wymiata.

– Pewnie tak.

Patrzemy na siebie przez kilka sekund, po czym kładę swój plecak na biurku. Wyjmuję dokumenty, znajduję USB i wyciągam laptopa. Na ścianie widnieje znaczek wi-fi z hasłem, ale na razie z niego nie korzystam. Nie chcę podłączać się jeszcze do internetu. Podpinam ładowarkę, a potem obracam w palcach pendrive. Laptop jest włączony, gotowy do użycia, a mimo wszystko się waham.

Czuję za plecami ciepło bijące z Sama.

– Musimy wiedzieć – mówi. Jest do tego tak samo niechętnie nastawiony jak ja.

Wsuwam pendrive do portu USB, a na ekranie wyskakuje okienko z plikami do przejrzania. Część z nich to dokumenty. Niektóre to złowieszczo się zapowiadające pliki wideo. Reszta to pliki audio.

Dochodzę do wniosku, że najlepiej od razu uporać się z najgorszym, więc klikam na pierwszy plik wideo.

Z początku trudno jest się domyślić, co właściwie oglądam, ale gdy to do mnie dociera, odruchowo odsuwam się do tyłu, po czym odjeżdżam z krzesłem na bok i wpatruję w sztywny, kojący materiał zasłon w oknie, zamiast w ekran. Słyszę, jak Sam mamrocze pod nosem „Niech to szlag”, po czym on również się odwraca. Głośność w laptopie jest ustawiona dość nisko, ale to i tak nie zagłusza przerażających, potwornych wrzasków. Uświadamiam sobie, że trzęsę się na całym ciele. Tętno nagle zaczyna mi walić w skroniach, a ręce dygotać, aż w końcu zaciskam je tak mocno, że bolą. Pokój wydaje się chłodniejszy, a ja nagle czuję zapach zimnej

ziemi, pleśni i tego okropnego odoru krwi i metalu, które wiele lat temu buchnęły z roztrzaskanych drzwi mojego garażu, gdy sekretne życie Melvina Royała wreszcie ujrzało światło dzienne.

Sam wyciąga rękę ponad mną i wciska kombinację klawiszy wyciszających krzyk. Jestem mu za to tak wdzięczna, że mogłabym się rozplakać, ale nie robię tego. Po prostu oddycham. Robię to do momentu, w którym czuję się na tyle bezpiecznie, aby odwrócić się i ponownie spojrzeć na komputer.

Sam odsuwa się o kilka kroków ze spuszczoną głową i dłońmi zwiniętymi w pięści po bokach. Żyje przeszłością, tak jak ja, ale nasze historie się różnią. Nie wiem, dokąd zaprowadziła go jego przeszłość, ale sądząc po napiętych ramionach i gwałtownym, szybkim oddechu, to miejsce, do którego nie chciałabym trafić.

– Znajdą ciała – mówi, a ja się z nim zgadzam.

Strasznie się cieszę, że nie otworzyliśmy tamtych drzwi, aby sprawdzić, co się za nimi kryje. Jestem wdzięczna, że ten makabryczny widok nie był ostatnią rzeczą na ziemi, którą mogłam oglądać. Głos Sama jest ochrypły i niski. Zamykam laptop i wstaję. Podchodzę do niego, ale go nie dotykam. Stoję przed nim tak długo, aż w końcu podnosi na mnie wzrok. Z jego oczu bije dystans, który wyraża zarówno ból, jak i samoobronę.

– Nie mogę... – urywa. – Po prostu... – Milknie. Wiem, że myśli o makabrycznej, potwornej śmierci swojej siostry, Callie. O zdjęciach, które zrobił mój były mąż, powiększonych i zaprezentowanych w sądzie. Lubił uwieczniać na fotografiach coś, co określał mianem *procesu*. Na pierwszym zdjęciu jest przerażona, żywa i nietknięta. Na ostatnim... widok jest niewyobrażalny. Choć Sama nie było wtedy na sali sądowej, widział nagrania. Wideo nakręcone na miejscu zbrodni.

Nawet jak dla weterana wojennego, którym przecież jest, to po prostu zbyt wiele.

– Hej – mówię łagodnym tonem i tym razem go dotykam. To tylko lekkie muśnięcie palców na rękawie, nie na obnażonej skórze. W tej chwili muszą istnieć między nami bariery. – Sam. Nie odpływaj myślami.

Wraca do rzeczywistości, zupełnie jakby jego dusza znów wróciła do ciała. Mruga parę razy i skupia na mnie wzrok. Przez chwilę widzę na jego twarzy przypływ emocji tak intensywnych, że nie jestem w stanie określić, czym właściwie są. To miłość? Nienawiść? Odraza? Znikają tak szybko, jak się pojawiły.

Sam Cade kiwa głową, wyciąga dłoń i ujmuje moją. Gest jest nieoczekiwany, a mnie ogarnia lekkie napięcie. Jednak Sam jest delikatny, a ciepło jego dotyku tłumi nieco ten bezgłośny, zwierzęcy skowyt w moim wnętrzu.

– Nie musimy oglądać wszystkiego na raz. Nie teraz, dobrze?

– Dobrze – zgadzam się. Jestem wdzięczna, że mnie do tego nie zmusza, ani samemu tego nie robi. Jest odwaga i jest kara. Nie ma w tym żadnego masochizmu, ponieważ żadne z nas nie odczuwa wyzwolenia z faktu stawienia czoła demonowi. Po prostu przybywa nam więcej blizn. Więcej nieodwracalnych uszkodzeń. – Może zabierzemy się za papierowe dokumenty?

– Jasne, dobry pomysł.

Zabieramy dłonie i dzielimy na pół stertę pomiętych papierów, które udało się nam uratować z pożaru. Nadal cuchną dymem. Uświadamiam sobie, że my także. Końcówki moich włosów są szorstkie i kruche. Mieliśmy ogromne szczęście.

W mojej kieszeni brzęczy telefon. Marszczę brwi i sprawdzam go. Nie rozpoznaję numeru. Ignoruję go.

Po sekundzie odzywa się telefon Sama. Patrzy mi prosto w oczy, po czym przykładając telefon do ucha.

– Halo?

Zastygam w bezruchu, szukając wskazówek w wyrazie jego

twarży i języku ciała. Dostrzegam nieznaczną bruzdę między brwiami oraz – paradoksalnie – rozluźniające się mięśnie ramion.

– Hej, Mike. Skąd wzięłeś numer Gwen? Nie dzwoniłem z niego do ciebie.

Włącza tryb głośnomówiący i kładzie aparat na błyszczącym drewnianym stoliku między nami.

– A jak myślisz? – pyta Mike Lustig, a jego głęboki, basowy głos wprawia mały głośnik w drzenie. – Na miejscu zbrodni oboje byliście nieprzytomni. Wtedy skopiowałem jej numer. Tak na marginesie, nie dziwię się, że pani Proctor zignorowała telefon ode mnie. Z tego, co słyszałem, jest twardym orzechem do zgryzienia.

– I jest na głośnomówiącym – dodaje Sam.

– Domyśliłem się. Jak się pani miewa, pani Proctor?

– Proszę sobie odpuścić ten małomiasteczkowy urok, agencje Lustig. Nie jestem w nastroju. Co właściwie znaleźliście w chacie?

Przygotowuję się na coś wstrząsającego. Wspomnienie tego przerażającego wideo drażni moją podświadomość, a ja uciekam od niego najdalej jak się da. Podczas gdy ja zadaję pytania, Sam wstaje i idzie na prawo do łazienki, co wydaje mi się dziwne, dopóki nie uświadamiam sobie, że szuka okna z najlepszym widokiem na drogę, którą przyjechaliśmy. Wraca, kręcąc głową. Ani śladu policji.

Czekam na potwierdzenie, aż Lustig powie nam, że znaleźli salę tortur, ciała i inne okropieństwa... ale zamiast tego mówi:

– Nic szczególnego. Trochę szaf z aktami, jednak trudno uratować z nich cokolwiek prócz popiołu. Sprzęt fotograficzny i tego typu rzeczy. Jakieś staroświeckie kasety wideo, ale ich zawartość uległa całkowitemu stopieniu. Laboratorium już się tym zajęło, a wyniki będzie można zobaczyć wtedy, gdy zdołają coś odratować. Bardzo prawdopodobne, że nie poznamy rezultatów jeszcze przez wiele miesięcy. Staram się wywrzeć na nich lekki nacisk, ale każda sprawa, nad którą obecnie pracują, to priorytet, więc istnieje mała

szansa, że zyskamy pierwszeństwo.

Jestem tak zaskoczona, że nie wiem, co mam myśleć. *Przecież przed chwilą sami widzieliśmy...* Wyciągam rękę i wciskam guzik „wycisz” na telefonie Sama.

– Nie znaleźli kajdanek, łańcuchów i wyciągarek? W takim razie to wideo zostało nagrane gdzie indziej. Na pewno nie w tej piwnicy!

Sam stoi teraz przy mnie, kołysząc się na piętach w przód i w tył, jakby nie do końca umiał pozostać w bezruchu.

– Sukinsyn. W takim razie po co spalił chatę?

– Szafy z aktami – przypominam mu. – Może zawierały dokumenty, które mogły powiązać go z filmami. Albo informacje o Absalomie. Nadal nie wiemy, jak duża jest ta grupa, prawda?

Ciekawe, czy Arden wie. Kolejna rozmowa z nią może się okazać bardzo ważna – mam jednak nadzieję, że zdążyła już uciec. Wyobrażam sobie, jak ląduje w Sztokholmie i odchodzi wolna. Mam nadzieję, że właśnie tam jest.

I że Absalom jej nie dopadł.

Zanim Sam zdąży cokolwiek powiedzieć, Mike Lustig pyta:

– Jesteście tam jeszcze? Wyłączcie wyciszenie, bo jeśli urządzacie sobie pogaduszki beze mnie, to jesteście zwyczajnie niegrzeczni.

Zaczynam lubić Mike’a Lustiga. Podchodzę do tego z ostrożnością, czyli w jedyny znany mi obecnie sposób na polubienie kogokolwiek. Włączam guzik, aby przywrócić go do rozmowy.

– Wybacz – mówię, prawie na serio. – W takim razie wracamy do punktu wyjścia. W chacie nie było żadnych innych poszlak?

– Posłuchaj... – Milknie, po czym wzdycha, a ja oczami wyobraźni widzę, jak kręci głową. – Zaryzykowałem, że wy dwoje zachowacie trzeźwość umysłu i nie narobicie bałaganu, *który jednak zrobiliście*. Czemu, do diabła, miałbym dać wam jakikolwiek inny trop, o ile w ogóle bym taki miał? Lubię swoją pracę. Cholernie trudno będzie mi ją utrzymać, jeśli zostanę w oczywisty sposób powiązany z tak

lekkomyślnymi durniami jak wy.

Zwracam uwagę na to, że wcale nie wspomina o wykluczeniu nas z gry. Zdaje się raczej mówić: „Nie pociągnijcie mnie na dno ze sobą”, a to coś zupełnie innego. Mike Lustig jest cholernie dobrym kumplem, a ja zastanawiam się, czy Sam będzie miał coś przeciwko, jeśli spytam go, jak udało im się tak do siebie zbliżyć. Przeważnie nie obchodzi go to, czy grzebię w jego przeszłości... ale z drugiej strony, przeważnie o nic nie pytam.

– Więc czemu jednak *dasz* nam jakiś trop?

– Świetne pytanie, stary.

– Chcesz znać odpowiedź?

– Możliwe.

– Za chwilę popchniemy twoje śledztwo do przodu. Jesteśmy w posiadaniu USB, które znajdowało się w chacie. Oraz paragonów. A tobie został tylko popiół.

Odwracam głowę, żeby na niego spojrzeć, ale jest już za późno, aby go powstrzymać. Sam nie tylko wypuścił kota z worka, ale właśnie go podpalił, a kot znajduje się teraz na granicy stanu. Mówię bezgłośnie „Co jest, do cholery?”, ale Sam nie spuszcza wzroku z telefonu.

– *Hmmm.* – Lustig wydaje z siebie przeciągłe mruknięcie, które wstrząsa leżącym na stoliku telefonem. – Przypuszczam, że nie mieliście jeszcze okazji go podłączyć i sprawdzić co jest w środku.

– Niekoniecznie.

– W takim razie chyba nie znaleźliście na nim niczego wartego uwagi.

– Wręcz odwrotnie. Słuchaj, Mike. Oddam ci to bez żadnych zobowiązań, ale *musisz* podzielić się z nami tym, co wiesz. Możemy powstrzymać tego drania pod warunkiem, że zaczniemy współpracować. Jeśli dalej nie będziesz nas dopuszczał do sprawy...

– Gdybym to zrobił, tak jak *powinienem*, to miałbym ten

przeklęty pendrive w swoich rękach, a łańcuch dowodowy pozostałby nienaruszony!

– Wielce prawdopodobne – mówię, pochylając się do przodu. – Ale możliwe, że ty albo któryś z twoich kolegów otworzyłby tamte drzwi i wysadził się w powietrze, a wszystkie dowody szlag by trafił i nie byłoby z tego żadnego cholernego pożytku. Nie popełniliśmy tego błędu, bo doskonale rozumiemy, z kim mamy do czynienia.

Jego głos nabiera stalowej barwy, pozbywając się wszelkiego uroku.

– Myślicie, że ja nie mam o tym zielonego pojęcia?

– Spotkałeś kiedyś Melvina Royała? – pytam. Czuję lodowatą kulę formującą się w żołądku, ciężką niczym ołów, tylko dlatego, że wymówiłam jego nazwisko. – Rozmawiałeś z nim? Przesłuchiwałeś go? Czy kiedykolwiek przebywałeś z nim w jednym pomieszczeniu?

– Nie.

– Ja żyłam z tym człowiekiem przez *lata*. Spałam obok niego w łóżku. Widziałam, kiedy się wściekał, był szczęśliwy i zestresowany. Znam tok jego myślenia.

– Z całym szacunkiem, proszę pani, gdyby znała pani tok jego myślenia, wiedziałaby pani, co wisi na wyciągarce w pani własnym przeklętym garażu.

Jego uwaga jest bolesna, ale już wcześniej doświadczyłam tego typu kąśliwych komentarzy. Nie pozwalam, aby mnie zatrzymały.

– Istnieje pewna różnica. Wiem, jaki jest *teraz* i jaki był *dawniej*. To wszystko jest ze sobą połączone. Jestem twoim asem w rękawie, agencie Lustig. Będziesz mnie potrzebował. – Biorę głęboki oddech.

– Melvin Royal w niczym nie przypomina morderców, których ścigasz. Gdyby tak było, już dawno byś go złapał, prawda? Schwytaliście wszystkich, którzy uciekli razem z nim.

Lustig milczy. Zerkam na Sama. Mamy mnóstwo spraw do omówienia, ale na razie tylko kiwa głową, zgadzając się ze mną.

– Hej, Mike? – mówi Sam i kuca, prawie zrównując się z wysokością mojego krzesła. Tak jak ja, nadal cuchnie dymem i potem. W tym czystym, eleganckim wnętrzu zapach jest jeszcze bardziej duszący. – Nie wykluczaj nas. Lepiej dla ciebie, żebyśmy byli na widoku. Razem stanowimy świetną przynętę. Prawda?

– Dobijacie mnie – mówi Lustig, a ja słyszę, jak się porusza, i świst wiatru w słuchawce oraz szum przejeżdżających samochodów. – Powiedz mi, gdzie jesteście. Przyjadę po USB i wtedy porozmawiamy.

Wciskam guzik, aby natychmiast wyciszyć rozmowę, i mówię:

– Po moim trupie...

– Nie zrobię tego – zapewnia mnie Sam, po czym włącza przycisk.

– Jutro, Mike. Spotkamy się, gdzie tylko chcesz. Zadzwoń jutro rano.

Rozłącza się, zanim Lustig ma szansę cokolwiek powiedzieć. Wpatrujemy się w telefon, czekając, aż zadzwoni po raz drugi, ale tak się nie dzieje. Po upływie pełnej minuty Sam wstaje z podłogi. Wygląda na równie zmęczonego jak ja.

– Mógł go namierzyć – zauważam.

– Wiem, ale dopóki nie dojdzie do jakiejś diametralnej zmiany sytuacji, nie zrobi tego. Idę wziąć prysznic. Gdy wyjdę z łazienki, a na miejscu będzie brygada antyterrorystyczna, to przynajmniej pójdę do więzienia czysty.

Chce mi się śmiać. Ma rację. Musimy zaufać Lustigowi w tej sprawie, o ile nie bardziej. A skoro już Sam o tym wspomniał, perspektywa wzięcia gorącego prysznica staje się wyjątkowo kusząca. Na jedną oszałamiającą chwilę nasze spojrzenia spotykają się, a ja zaczynam się zastanawiać, jakby to było stać razem z nim pod prysznicem, zupełnie nago z drugą osobą, po raz pierwszy od czasów... Melvina. Odruch jest mimowolny. Wizja pojawia się w mojej głowie, podnosząc mi tętno i przyspieszając oddech.

W końcu Sam odwraca wzrok.

– Pójdę pierwszy.

– Dżentelmen w każdym calu.

– A żebyś wiedziała. – Wchodzi do sypialni po lewej, tej znajdującej się bliżej schodów, i zamyka za sobą drzwi – prawie – po czym otwiera je ponownie i wychyla się ze środka. – Tylko nie oglądaj tego pieprzonego filmu beze mnie, Gwen.

Zna mnie aż za dobrze. Wie, że zmusiłabym się do tego, skoro wiemy już, że został nagrany w innym miejscu niż piwnica. Zmusiłabym się do obejrzenia go w poszukiwaniu wskazówek, czegokolwiek, co powiedziałoby mi, gdzie powstał i przez kogo został nakręcony. Może znajome szczegóły okażą się dla mnie buforem odgradzającym mnie od uchwyconego na filmie ludzkiego cierpienia.

Kiwam głową, ale niczego nie obiecuję, a on znika w łazience. Słyszę dźwięk odkręcanej wody. Nie otwieram pliku wideo, ale biorę parę niebieskich, nitrylowych rękawiczek z paczki, którą noszę w torbie, po czym zgarniam naręcz papierów i przenoszę je z powrotem na ławę. Zachowanie odcisków palców jest już pewnie bezużyteczne. Jeśli miały jakąś wartość jako materiał dowodowy, utraciły ją w momencie, w którym wykradliśmy je z chaty. Mimo to zachowanie ostrożności w niczym nie zaszkodzi.

Paragony wyglądają jak zapis normalnego życia prawie każdej osoby na świecie – potwierdzenia zakupu różnych materiałów, internetowy zakup gier elektronicznych i innych gadżetów, rachunki za prąd i gaz. Wszystkie wystawione na jakąś nazwę korporacji, którą FBI może z łatwością namierzyć, pod warunkiem że dokądkolwiek prowadzi. Ponieważ nie ma takiego rachunku, zakładam, że wodę i szambo miał własne. Znajduję trochę zamówień na ubrania, wszystkie z działu męskiego, w rozmiarach, które zapisuję na kartce różowego papieru wziętego z biurka.

Jestem pewna, że znalezienie właściciela chaty będzie trudne, jeśli nie niemożliwe. To z pewnością robota dla FBI. Facet został powiadomiony i jest w trakcie ucieczki. Niezły z niego kolekcjoner paragonów. Nie tylko kupuje hurtem, ale ma historię każdej transakcji. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się, aby istniało jakiegokolwiek rozróżnienie między zwykłymi sprawunkami – jak na przykład, hurtową ilością papieru toaletowego i papierowych ręczników – a tym co potencjalnie jest istotne, jak dowodem kupna zestawu stalowych łańcuchów o różnych długościach. Zaczynam segregować strony na dwie kupki – pierwszą, która pewnie nie ma żadnego znaczenia, i drugą, która może je mieć. Miarowy szum wody prysznicza Sama uspokaja mnie, a gdy ją zakręca, czuję się prawie skoncentrowana.

Gdy otwiera drzwi i wychodzi, ma na sobie prawdopodobnie zapewnione przez hotel szlafrok i klapki, a jego włosy w kolorze piaskowego blondu są prawie suche, nie licząc lekko wilgotnych końcówek. Wygląda na zrelaksowanego i spokojnego.

- Wybacz – mówi, wskazując machnięciem ręki na swoje ubranie.
- Moim ciuchom przydałoby się pranie. Strasznie cuchną.
- Moim też. Nie sądzę jednak, aby mieli na miejscu pralnię...

Mamy w plecakach zapasowe ubrania, ale nie wiem, kiedy nadarzy się kolejna okazja do wyprania rzeczy. Sam idzie zadzwonić do recepcji, a ja udaję się pod prysznic.

Jest wspaniale. Stoję nieco dłużej w wodzie, pozwalając, aby strumienie rozpryskujące się na czubku mojej głowy odpędziły widok tego, co ujrzałam na tamtym filmie. Znów mam ochotę zadzwonić do dzieci. Chcę się upewnić, że nic im nie jest, choć przecież już to zrobiłam i wiem, że uznają moje zachowanie za wariackie. Wychodzę spod prysznicza, wycieram się, znajduję szlafrok – miękki i puszysty – i wsuwam stopy w nowe, czyste klapki.

To luksus, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałam. Teraz rozumiem, jak łatwo można się do tego przyzwyczaić.

Słyszę buczenie telefonu i biorę go do ręki. Sprawdzam numer, który na pierwszy rzut oka wydaje się znajomy – podobny do numeru Mike’a Lustiga z poprzedniego razu – i wciskam guzik.

– Halo?

Cisza, potem szum zakłóceń, a chwilę później podnoszę swoje bariery ochronne.

– Mike?

– Mike? – mówi głos na drugim końcu, a ja zamieram. Zapominam, jak się poruszać, choć nachodzi mnie nagła potrzeba wyrzucenia telefonu, zupełnie jakbym miała w garści pająka. – Kim jest Mike? *Znowu* mnie zdradzasz, Gina? To rozczarowujące.

Zamykam oczy i otwieram je ponownie, ponieważ nie chcę być uwięziona wraz z nim w ciemności: z Melvinem Royalem, seryjnym mordercą, byłym mężem, ojcem moich dzieci. Nieświadomie usiadłam na krawędzi łóżka. Nogi ugięły się pode mną. Wpatruję się pustym wzrokiem w ścianę w radosnym odcieniu jasnej żółci i reprodukcję ogrodu Moneta oprawioną w ramkę, ale jedyne, co widzę, to strzaskane cegły i ziejąca, czarna dziura w miejscu ściany. Zburzoną ścianę garażu na dwa samochody, który Melvin zaadaptował na swój warsztat.

Czuję odór śmierci, rozkładu, metalu i przerażenia.

Widzę zwłoki kołyszące się na drucianej pętli wyciągarki.

Dopada mnie nagłe, okropne wrażenie, że martwa siostra Sama stoi tuż za mną. Melvin stworzył tego upiora, ale to ja jestem przez niego nękana.

Lodowata pustka w mojej piersi rozpływa się, a mnie zalewa niespodziewana powódź ciepła, krwi i furii. Ręka mi drży, więc zaciskam ją mocniej na telefonie.

– Gdzie jesteś, Melvin? No dalej, powiedz mi. Chyba się mnie nie

boisz, co?

Instynktownie wiem, jak bardzo gardziłby tym pomysłem, i jak można było się tego spodziewać, moja uwaga wywołuje natychmiastową odpowiedź. Nie tak bardzo kontrolowaną jak pierwsza.

– Ciebie? – Wyplute z nienawiścią słowo oraz wybuch śmiechu zawierają w sobie tyle pogardy, że są jak rany zadane nożem. Jednak mam teraz o wiele grubszą skórę, więc ostrze nie rani mnie do krwi. – Nie, Gina. Nie boję się ciebie. A przy okazji, jak tam pogoda w Georgii? – *Gina*, nie Gwen. Zawsze będzie mnie tak nazywał.

– Świetnie – odpowiadam spokojnym głosem. – Jak ci idzie ukrywanie się niczym zapędzony w kozi róg szczur?

– Och, ja wcale się nie ukrywam, skarbie. – Ton jego głosu nabiera dziwnego brzmienia. Jest lekko przerażający. – Patrzę na płamę ciepłego światła, w którym jesteś skąpana. Jeśli wyłączysz wszystkie lampy, zobaczysz mnie. Odsłoń zasłony, Gina. Dobrze się przyjrzyj.

Moja wolna ręka zaciska się mimowolnie na pościeli. To gest przemocy, na który ten piękny pokój nie zasługuje. Zaciągam się powoli i głęboko powietrzem, w którym unosi się subtelny zapach lawendy.

– Nie ma, kurwa, mowy. Jesteś skończonym kłamcą. Wcale cię tam nie ma. Nie masz zielonego pojęcia, gdzie jestem.

– Udowodnij to. Idź i sama zobacz.

– Pieprz się z tymi swoimi gierkami, Melvin. *Nie ma cię tam*. Gdybyś tu był, to już pukałbyś do moich drzwi.

Zrywam się na równe nogi, bo akurat *w tym samym momencie* rozlega się energiczne pukanie do drzwi. Trzy stuknięcia w główne drzwi pokoju.

Rozłączam się, upuszczam telefon i rzucam się przez pokój, aby

otworzyć drzwi mojej sypialni.

– Sam! Nie!

Chwytam pistolet z kabury wiszącej na oparciu krzesła, a on zatrzymuje się w pół ruchu otwierania drzwi. Pośpiesznie przypadam plecami do ściany. Serce mi wali i choć *nie* wierzę, że Melvin jest potworem, za jakiego chce, żebym go uważała, wycucie czasu jest zbyt dziwne. Uspokajam się, po czym kiwam głową do Sama. Jestem gotowa, ale trzymam broń z boku, z lufą wycelowaną w podłogę.

Sam otwiera drzwi i szybko się odsuwa, a moim oczom ukazuje się nasza przemiła gospodyni w niebieskim sari i z uśmiechem na twarzy. Istnieje jeszcze jedna zaleta skierowanej ku dołowi broni. Mogę ją szybko wsunąć do kieszeni szlafroka, zanim zdąży na mnie spojrzeć.

– Wybaczcie, ale przyszedłam po wasze ubrania...

Kompletnie zapomniałam o praniu. Czuję się jak skończona idiotka. Jest mi na zmianę zimno i zarazem gorąco. Idę po swoje rzeczy. Sam dokłada swoje i wręcza jej szeleszczącą, plastikową torbę, a ona kiwa głową, uśmiecha się i usuwa się spod drzwi. Zamykając je, odwraca się.

– Jedną chwilę, proszę pana – mówi, odsuwając się z drogi. Tuż za nią stoi jej córka ze srebrną tacą. – Wasze bułeczki.

– Przepraszam, że tak długo to trwało – odzywa się córka. – Mam nadzieję, że będą państwu smakować.

Wyglądają smakowicie, o czym nie omieszkałam wspomnieć. Dziękuję jej. Moją twarz wykrzywia grymas, gdy Sam zamyka i rygluje drzwi.

– Wybacz. Jestem podminowana

Serce wali mi jak szalone. Ręce mi drżą. Melvin wstrzyknął mi w żyły truciznę, zupełnie jakby ten telefon był ukąszeniem węża.

– Zauważyłem – mówi, biorąc bułeczkę z tacy, którą trzymam

w obu rękach. Jego uwadze nie umyka fakt, że się trzęsą. – O co chodzi?

Nie chcę mu o niczym mówić, nie teraz, więc odkładam tacę na drugi pusty stolik, kręcę głową i wracam do sypialni. Wkładam broń z powrotem do kabury. Wyłączam światła i po sekundzie wahania podchodzę do okna i odsuwam zaciągniętą zasłonę na bok, tylko odrobinę, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Na pierwszym piętrze jest taras z drewnianymi stołami i krzesłami ustawionymi wokół nich we wręcz matematycznym porządku. Parasole słoneczne są ciasno zwinięte. Za tarasem jest trawnik ciągnący się do pagórka i znikający w podszyciu, a za nim rośnie las i pną się wzgórza. To miejsce jest jak z obrazka.

Nikogo tam nie ma. Ani śladu żywej duszy.

Odwracam się w stronę łóżka, a moją uwagę przykuwa buczenie telefonu. Tym razem przyjmuję połączenie, ale się nie odzywam. Czekam. Cisza przeciąga się, aż w końcu Melvin mówi:

– Spojrzałaś.

Słyszę zadowolenie w jego głosie. Pewność siebie. Nieustępliwość.

– Nie boję się ciebie, ty psychopatyczny dupku. Odpieprz się.

Rozłącza się. Wyczuwam, że Sam kręci się pod moimi drzwiami, nie bardzo wiedząc, jak o to spytać, więc bez podnoszenia głowy mówię:

– To był on. Wybacz. Pozwoliłam mu się zmanipulować. To się już więcej nie powtórzy.

– Hej. – W końcu unoszę wzrok, a na jego twarzy maluje się napięcie, ale także współczucie. Troska. – To nie jest twoja wina, Gwen. Nigdy nie była. Pamiętaj o tym.

Kiwam głową, ale bez przekonania. Przez lata miałam wyjątkową okazję powstrzymać tego potwora. Niemożliwością jest tego nie czuć. Wiedzieć w głębi duszy, że ponoszę częściową odpowiedzialność za tamtą winę, choćby tylko we własnej głowie.

– Powiedział, że tu jest. Na zewnątrz. A potem rozległo się pukanie...

– Złe wycucie czasu – podsumowuje Sam. – I tak przez całe życie. Skąd, u diabła, wziął twój numer?

Biorę głęboki oddech i kręcę głową. Nie mam pojęcia skąd, ale się domyślam. Absalom. Policjanci z Georgii zażądali numerów naszych komórek. Ta informacja została wpisana gdzieś do systemu, a Absalom z pewnością szukał odpowiednich raportów. „On wie, że jesteśmy w Georgii”, myślę, a tętno znowu skacze mi w górę. „Nie powinniśmy się tu zatrzymywać. Powinniśmy uciekać”.

Te słowa podszeptuje mi jednak dawna Gina. Skończyłam z uciekaniem. Czas zapolować.

Mówię Samowi, że Melvin wie, w którym stanie jesteśmy, ponieważ nie mogę *nie* wyjawić mu tej informacji, a gdy wzrusza ramionami, czuję się tak, jakby ktoś zdjął ze mnie ciężar.

– Musimy się tego spodziewać. W końcu narobiliśmy niezłego cyrku w tamtej chacie. On nie wie, że tu jesteśmy. Miałaś rację. Próbował cię zmanipulować.

– Powinniśmy się stąd wynosić?

– Chcesz tego? – Kręcę w milczeniu głową. – W takim razie powinniśmy się porządnie wyspać.

Sam wchodzi do pokoju, ale zachowuje odległość. Opiera się o futrynę drzwi. Oboje bardzo uważamy, by zachować odpowiednie dystans. Rozumiemy doskonale rozciągające się między nami pole minowe, składające się ze wspomnień, kłamstw i krwawej, smutnej przeszłości.

To jednak nie znaczy, że pragnienie wejścia na to pole wcale nie jest realne. Czuję przyciąganie między nami, nieśpieszne i spokojne, nieustające napięcie, które utrzymujemy na kontrolowanym poziomie, przez wzgląd na bezpieczeństwo. Co

prawda śpimy w tym samym pomieszczeniu, ale nigdy *razem*. Wiem, że w pewnym stopniu oboje się nad tym zastanawiamy, szczególnie w tak spokojnym, urokliwym miejscu, ubrani wyłącznie w szlafroki, które tak łatwo można rozwiązać.

Nagle jednak zasycha mi w ustach, a moja pewność siebie zostaje zachwiana, zaczynam się bowiem zastanawiać się, czy to potężne zauroczenie, które w tej chwili czuję, nie jest wynikiem reakcji na głos Melvina. Chcę spokoju ducha. Pragnę bezpieczeństwa. I wiem, że szukanie tego w ramionach innego mężczyzny – nawet Sama – jest niebezpieczne. Muszę odnaleźć bezpieczeństwo w sobie samej.

Sam raczej nie przejmuje się aż tak szczegółową autoanalizą, choć z drugiej strony, nie robi żadnego kroku naprzód. Trzyma się ostrożnie swojej strony.

– Nadal możemy coś znaleźć w tych kwitach – mówi, a mnie się wydaje, że zrobił to tylko po to, aby przełamać ciszę. – Niektóre z zakupionych materiałów nie pasują. Nie zauważyliśmy w domu żadnych ciężkich łańcuchów, prawda? Ani pił?

Wziąwszy pod uwagę wiejską chatę, nie są to niecodzienne sprzęty, ale mimo to Sam ma rację. Nie natknęliśmy się na żadną z tych rzeczy, przynajmniej nie w chacie. Mike Lustig raczej wspominałby o tym, gdyby znalazł je pośród zgliszczy piwnicy.

– Myślisz, że kupił je dla kogoś innego?

– Myślę, że to może być początek długiej drogi, którą możemy pójść. Nie uważasz?

Kiwam głową, zgadzając się. Nagle coś mi się przypomina. Wstaję z łóżka i podchodzę do sekretarzyka. Sam robi to samo i przygląda się z bliska, jak kartkuję paragony, szukając najbardziej niewinnie wyglądającej rzeczy ze wszystkich.

Papierowe ręczniki. Papier toaletowy. Hurtowa ilość tych produktów znajduje się na tej samej internetowej liście zakupów, co odświeżacz powietrza i wybielacz, w ilościach zwykle

zarezerwowanych dla wielkich firm. Nie mam pojęcia, dlaczego to przykuło moją uwagę.

Gapię się na wydruk przez jakiś czas, nie bardzo wiedząc, co właściwie w tym widzę. Pewnie nic. Ludzie kupują rzeczy hurtowo. Papierowe ręczniki się nie psują. Dlaczego tak bardzo mnie to zastanawia?

– Niech to szlag – mówię, gdy w końcu zauważam zależność. Pokazuję kartkę Samowi i patrzę, jak dochodzi w myślach do identycznej konkluzji. Zabiera mu to prawie tyle samo czasu. Jesteśmy naprawdę zgrani, Sam Cade i ja.

– Adres – mówi. – Te rzeczy nie zostały wysłane do chaty.

– Nie. – I choć jestem do tego nastawiona niechętnie, dodaję: – Lepiej zadzwoń do Mike'a.

Mike Lustig wyraźnie się rozchmurza, gdy informujemy go o swoim odkryciu. Chce, byśmy wysłali mu faks, ale idziemy na kompromis i wysyłamy adres bezpośrednio do niego. A raczej ja to robię. Sam jest zajęty szukaniem adresu z faktury w internecie. Zachowuje ostrożność i używa programu maskującego, żeby ukryć adres IP, o czym w ogóle nie muszę mu przypominać. Google Maps pokazuje nam odpowiednią lokalizację. To niewiele mówiący adres w przemysłowej części Atlanty. Poniekąd spodziewałam się jakiejś firmy zajmującej się przekazywaniem dalej poczty i przesyłek, ale to mi wygląda na magazyn, równie anonimowy, co reszta otaczających go budynków. Na zdjęciu satelitarnym nie widać żadnych samochodów. Budynek jest z betonu oraz zardzewiałego i powyginanego metalu. Otaczają go wysokie ściany chwastów, które przeniknęły przez uginające się ogrodzenie z siatki. Widać tablice z napisem ZAKAZ WSTĘPU, tak gęsto usiane dziurami po

śrucie, że aż prawie nieczytelne.

To miejsce nie potrzebuje hurtowych ilości papieru toaletowego.

– Jezu Chryste – mówię, wpatrując się ponad jego ramieniem w nieruchomy obrazek. – Co to, do cholery, jest? – Boję się jednak, że już to wiem. Mój głos cichnie. – Myślisz, że to tam...

– Został nagrany ten film? Nie wiem – przyznaje Sam.

Mike oddzwania po pięciu minutach. Nie wygląda na zadowolonego.

– Mogę pojechać z wami i sprawdzić to miejsce, ale nie ma opcji, żebym dostał nakaz przeszukania w oparciu o to, co macie – wyjaśnia. – A to dlatego, że przywłaszczycielcie sobie dowody, a każdy sędzia, który nie jest pijany w sztok, powie, że nie mam żadnych podstaw prawnych, na których mógłbym się oprzeć. I wiecie co? Jutro przyniesiecie ze sobą ten cholerny pendrive i faktury, i przekażecie je w moje ręce. Przejdziemy się po okolicy, a ja każę moim ludziom odszukać właściciela. Może uda nam się podejść do tego z innej perspektywy, która ostatecznie zaprowadzi nas do sądu.

Jest sfrustrowany. Wcale mu się nie dziwię. FBI jest przeciążone, walcząc jednocześnie z przestępstwami i terroryzmem, a on nie potrzebuje komplikacji, których mu przysporzyliśmy. Jednak, z drugiej strony, chyba ma świadomość, że podarowaliśmy mu ogromny atut. A przynajmniej taką mam nadzieję.

– W porządku – zgadza się Sam. – Gdzie chcesz się z nami spotkać?

Lustig podaje adres, który znajduje się na przedmieściach Atlanty. To sześć godzin jazdy od miejsca, w którym obecnie jesteśmy. Ustalamy, że spotkamy się o dziesiątej rano. To znaczy, że musimy wstać i ruszyć w trasę przed nastaniem świtu, ale żadnemu z nas to nie przeszkadza. Jest mi nieco lżej, gdy Sam kończy rozmowę. Jestem trochę oszołomiona. *Tak. Nareszcie.*

Bez namysłu kładę dłoń na ramieniu Sama. Podnosi swoją i nakrywa palcami moje palce. Jego dotyk jest tak nieoczekiwany, tak ciepły, że dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo jestem spokojna. „Czemu nie?”, myślę sobie, czując się prawie upojona tym wrażeniem. Dzieci są bezpieczne. Czeka nas krótki odpoczynek w pięknym, spokojnym, bezpiecznym miejscu.

Sam patrzy na mnie, a ja widzę w jego oczach tę iskrę. Czuję ją.

Uśmiecha się odrobinę smutno.

– Wiem – mówi. Nie do końca jest to pytanie i niezupełnie stwierdzenie. To swoiste naruszenie granicy, zaproszenie, abym do niego dołączyła.

I pragnę tego, *z całego serca*. Patrzę na Sama i myślę, że w innym życiu spotkałabym tego mężczyznę, polubiła go, a potem pokochała, a razem udałoby się nam stworzyć coś dobrego. Trwałego.

Ale to nie jest inne życie.

Pochylam się do przodu i całuję go delikatnie w usta, a pieśczoła jest czuła i słodka i w niczym nie przypomina pola minowego ani pułapek. To dobre uczucie.

I zarazem niewłaściwe. Mam wrażenie, że upiory przeszłości krzyczą na mnie, a mój były śmieje się w głos. Zwyczajnie *nie mogę*.

Zatem wychodzę. I to szybko. Słyszę, jak Sam wymawia moje imię, ale nie oglądam się za siebie. Wchodzę do sypialni. Zamykam drzwi na klucz. *Zamykam* je – przed Samem, przed sobą, przed wspomnieniem Melvina wpłzającego do łóżka, które dzieliliśmy. Chowam się pod pachnącą lawendą kołdrę, nadal mając na sobie szlafrok, i cierpię. Cierpię z powodu wszystkich utraconych rzeczy, chwil, ceny, jaką przyszło mi zapłacić za wybranie Melvina Royała, mimo że byłam młoda, naiwna i dziewicza, gdy zalecał się do mnie, a potem poślubił. Za niektóre błędy człowiek płaci już do końca życia. Wyjście za mąż za potwora takiego jak Melvin... to błąd, o którym nigdy, przenigdy się nie zapomina.

Będę mogła pozwolić sobie na odrobinę szczęścia, gdy to wszystko dobiegnie końca. Gdy *on* zostanie schwytany. Chyba.

Albo to ja umrę. Przynajmniej w całości spłacę swój dług.

Gdy zamykam oczy, widzę stojącego u stóp wzgórza Melvina, ukrytego w cieniu linii drzew, z oczami lśniącymi niczym dwie srebrne monety. Uśmiechającego się.

– Tylko poczekaj, ty sukinsynu. Idę po ciebie – szepczę.

Idę po ciebie.

Rozdział ósmy

Sam

Dlaczego, *kurwa*, na nią naciskałem?

Wołam Gwen po imieniu, ale nie odpowiada. Chcę powiedzieć na głos te wszystkie rzeczy, które kołaczą w mojej obolałej głowie, jak „Potrzebuję cię” i „Nie zrobię ci krzywdy”, ale prawda jest taka, że choć w tej chwili oba te stwierdzenia są dla mnie prawdziwe, nie mogę zagwarantować, że będą takie rankiem. Być może pozostanie ta część, że jej potrzebuję. Czułem to od... od kiedy? Najpierw zapamiętałem jej twarz ze zdjęć zamieszczonych w sieci. Z całą cholerną pewnością jej wtedy nie potrzebowałem. Była dla mnie tylko nic nieznaczącym zbiorem pikseli, czymś, w co mogłem przelać swoją wściekłość. Obejrzałem chyba z tysiąc jej zdjęć i nie czułem nic poza pogardą i ślepą nienawiścią. „Ta kobieta pomogła zabić Callie”. Pamiętam, jak o tym myślałem. W kółko, bez przerwy. Pamiętam, że chciałem zrobić Ginie Royal krzywdę, odpłacić jej za każdą ranę, którą musiała znieść moja siostra.

Poświęciłem prawie dwa lata na znalezienie jej, płacąc za informacje, jeżdżąc za nią krok w krok, aż w końcu osiedliła się w Stillhouse Lake razem z dziećmi, a ja mogłem wpasować się

w otoczenie. Wtopić się w tło. Przyglądać się, jak załatwia swoje sprawy. Zostałem członkiem tej samej strzelnicy co ona, by nie wyjść z wprawy i móc zobaczyć ją z bliska, w sytuacjach, w których nie miała się na baczności.

Nie wiem, w którym momencie zacząłem widzieć coś więcej prócz obrazka. Może to przez pełen wdzięczności, płochy uśmiech, który mi posłała, gdy przytrzymałem dla niej drzwi. Nie wydaje mi się, żeby w ogóle zorientowała się, z kim ma do czynienia. Pewnie uznała mnie za przyjaznego nieznanego. Może to przez sposób, w jaki zniszczyła na strzelnicy swój cel, a po fakcie w jej oczach zalśniły furia i smutek. Doskonale znam to uczucie.

Może stało się to w chwili, w której zobaczyłem ją w otoczeniu dzieci, roześmianą, zainteresowaną tym, co miały do powiedzenia, obsesyjnie przewrażliwioną na punkcie ich bezpieczeństwa. Byłem ostrożny. Obserwowałem z oddali, próbując przyłapać ją na tym, jak ujawnia swoją prawdziwą twarz, chcąc zobaczyć kryjącego się pod spodem potwora, który pozwolił na to, aby moja siostra umarła w tak koszmarny sposób. Osobę, która była współwinna nieludzkich zbrodni popełnionych przez mężczyznę, za którego wyszła i z którym mieszkała. Mężczyznę, który porwał, torturował i zgwałcił moją siostrę, gdy ja przebywałem za granicą, walcząc w obronie ojczyzny.

Nie zobaczyłem jednak kobiety, która skrywała pod maską potwora. Zamiast Giny Royal – której ani razu nie spotkałem – zobaczyłem Gwen Proctor, kobietę prawie w niczym nieprzypominającą tej drugiej. Kogoś obdarzonego pełną, ludzką osobowością. Kto traktował innych z życzliwością, choć podchodził do tego z ostrożnością.

To wtedy uświadomiłem sobie, że te internetowe trolle, z którymi się zadawałem, które próbowały wysledzić jej następne ruchy, rywalizowały ze sobą o to, kto będzie w stosunku do niej bardziej

agresywny, bardziej mściwy... były w błędzie. Myliły się co do tego, kim była. Na co zasługiwała. Myliły się w kwestii jej dzieci. W czym jeszcze mogły nie mieć racji? Roli, jaką odegrała w morderstwach?

Pamiętam dzień, w którym otworzyła przede mną drzwi swojego domu. Jej syn zniknął ze szkoły, a ja znalazłem go z zakrwawionym nosem przy jeziorze. Zobaczyłem na jej twarzy ulgę, że nic mu nie jest, a potem przebłysk czystej, pełnej przerażenia wściekłości, że mogłem wyrządzić jakąś krzywdę jej dziecku, które zastąpiła wdzięczność, gdy już oceniła, że mówię szczerze i że nie zrobiłem nic prócz zachowania się jak odpowiedzialny dorosły.

Wmówiłem sobie, że kręcę się w ich pobliżu po to, aby zebrać dowody świadczące o jej winie, ale od tamtej pory to wcale nie była prawda.

Potrzeba przyszła później, ale powoli. Stopniowo. Wbrew mojej woli.

Nie jestem gotowy, aby powiedzieć, że ją kocham. Jestem za to skłonny przyznać przed sobą samym, że to coś więcej niż ciekawość, sympatia i ten rodzaj pożądania związany z jednorazową przygodą, które przechodzi ci rankiem.

Są chwile, kiedy mam wrażenie, że znam ją od zawsze. Oraz momenty takie jak dziś, kiedy wydaje mi się, że w ogóle jej nie znam. Jakby była zagadką, której nigdy nie rozwiążę, pudełkiem z niespodzianką owiniętym drutem kolczastym, ozdobionym kolcami i różami.

Wracam myślami do tego, co powiedziała. *Melvin Royal zadzwonił do niej*. Jak udało mu się zdobyć jej numer to tajemnica, choć z drugiej strony nadal pracuje z Absalomem. Może znaleźli nagranie z kamery w sklepie spożywczym, w którym kupiłem jednorazowe telefony. Może wysledzili nas poprzez agencję wynajmu samochodów, w której posłużyliśmy się fałszywymi dowodami osobistymi. Policja w Georgii. Może, może, może.

Spekulowanie „jak” jest całkiem bez sensu, bo w rzeczywistości istotne jest... „dlaczego”. W pierwszej kolejności zawsze chodzi o to, by zadać jej ból. Podziałało. Zdenerwował ją. Wytrącił z równowagi.

A to oznacza, że zbliżamy się do niego. Melvin robi uniki. Podrzuca fałszywe tropy. Uderza w jedno miejsce, a ucieka w drugie. Klasyczne zagranie, ale wykonane ze sprytną, irytującą pewnością siebie prawdziwego socjopaty. Nie mogę grać z nim w szachy. Nie mam nawet diabolicznej planszy, którą się posługuje. Ale rozumiem, że w tym wszystkim wcale nie chodzi o Gwen. Jest figurą, którą przesuwam, albo próbuje przesunąć, kiedy mu to pasuje. Przestała być pionkiem, którym była, gdy za niego wyszła, i jest potężniejszą figurą: gońcem, wieżą, królową.

A ja? Jestem skoczkiem. Poruszam się w nieprzewidywalny sposób. I właśnie dlatego, gdy słyszę, jak Gwen zamyka swoje drzwi na klucz, wydaję z plecaka słuchawki, wkładam do uszu i włączam nagranie z tortur.

Tym razem zmuszam się, żeby obejrzeć je bez mrużenia oczu i pauz. Film jest długi. Pełne piętnaście minut tortur, upokarzania i okropieństw. Ludzka postać wisząca za ręce na łańcuchu, przykuta do podłogi kolejnymi dwoma. Rozciągnięta i bezbronna, mogąca jedynie krwawić i krzyczeć. Obraz jest rozchwiany i dość ciemny, ale teraz oglądam film ze zdwojoną uwagą, odcinając się od rozgrywającej się na moich oczach makabry i skupiając na szczegółach. „To nie jest człowiek”, mówię do siebie w myślach. „To echo. Zbiór światła i cieni”. Redukuję cierpiącego człowieka do tego samego zbioru pikseli, do którego zredukowałem dawniej Gwen. Odzieram go z człowieczeństwa, ponieważ to jedyny sposób, w który mogę się ochronić i dalej oglądać to zatrważające okrucieństwo. Wyszukuję szczegółów. Przyglądam się pomieszczeniu. Robię wszystko, co w mojej mocy, aby zidentyfikować miejsce, ofiarę lub oprawców.

Moje pierwsze założenie – jestem stuprocentowo pewien, że założenie Gwen byłoby identyczne – jest kompletnie błędne. Osobą, która krzyczy, znosi niewyobrażalne katusze i umiera na tym nagraniu, jest *mężczyzna*.

I nie są to tortury zadawane wyłącznie dla sadystycznych upodobań. To przesłuchanie.

Nie słyszę pytań. Jakość dźwięku jest straszna. Jest zniekształcony i słychać pogłos, co – jak szybko zauważam – oznacza wielkie, metalowe pomieszczenie, prawdopodobnie ten magazyn, który zdążyliśmy namierzyć. Nie potrafię też rozróżnić odpowiedzi, które podaje mężczyzna. Są wymieszane z przenikliwymi wrzaskami bólu, sapaniem, kaszlem i bełkotem. Zamykam oczy i cofam nagranie, zaczynając od początku. Wsłuchuję się w pytania i odpowiedzi.

W końcu udaje mi się kilka rozróżnić.

– Od jak dawna nas śledzisz?

– Od miesięcy.

– Naprawdę sądziłeś, że cię nie złapiemy?

– Proszę, przestań, na litość boską...

– Dla kogo pracujesz?

Otwieram oczy, ponieważ wreszcie udaje mi się zrozumieć jego ostatnią odpowiedź. To jedno słowo. Nazwisko.

Zapisuję je, odchylam się na krześle i wpatruję w nie.

Biorę telefon i dzwonię do Mike'a Lustiga. Jest późno – dochodzi druga nad ranem – ale wiem, że odbierze. Robi to po drugim sygnale, a w jego głosie nie słychać ani śladu senności.

– Stary, wiesz, która jest godzina? – pyta, co w jego przypadku zastępuje słowo „cześć”. Pozostawiam to retoryczne pytanie bez komentarza.

– Znasz nazwisko Rivard?

Zapada długa cisza, po której Mike mówi:

– Może być ich tysiące, ale jedyna osoba o tym nazwisku, która przychodzi mi na myśl, to Ballantine Rivard, właściciel Rivard Luxe. Ulubieniec tabloidów od jakichś czterdziestu lat. To Howard Hughes sprzedaży detalicznej. Długoletni członek klubu miliarderów, razem z Buffetem, Gatesem i Trumpem... Od lat siedzi zamknięty w swoim wieżowcu.

– To może być ktoś inny?

– Zależy od kontekstu, ale to dość rzadkie nazwisko.

– Kontekst jest taki, że facet torturowany na nagraniu, które zabraliśmy z chaty, mówi, że został zatrudniony przez osobę o nazwisku Rivard. Wiemy już, że Absalom specjalizuje się w szantażu. Ktoś tak bogaty stanowi doskonały cel.

– Możliwe – zgadza się Mike. – Lepiej miej stuprocentową pewność, zanim weźmiemy się za tę grubą rybę. Jesteś pewien, że nadal chcesz ją w to wplątywać?

– Tak.

Ją, czyli Gwen. Mike nie jest przekonany o jej niewinności. Jak większość ludzi, nie umie sobie wyobrazić, jakim cudem mogła o niczym nie wiedzieć, skoro Melvin sprowadzał ofiary do garażu znajdującego się po drugiej stronie ściany ich kuchni.

I właśnie tym się różnimy. Dałem się wciągnąć internetowi. Pozwoliłem zrobić sobie pranie mózgu fanatykom, którzy wierzyli, że Gina Royal była winna, dałem sobie wmówić to samo. Moja własna nienawiść zaślepiła mnie do tego stopnia, że planowałem, jak dokładnie zabić Ginę Royal. Nie był to miłosierny koniec. Chciałem zadać jej ten sam ból i cierpienie, które musiała znieść Callie.

Dostałem nauczkę odnośnie do tego, jak łatwo można się pogubić, zatracić we własnym gniewie i złudzeniach innych ludzi. Rozumiem, że Gina Royal była nieświadoma zbrodni swojego męża. Była niewinna. Zbyt niewinna, aby zrozumieć prawdziwą głębię zła

drzemiącego po drugiej stronie muru.

I wiem, że Mike tego nie pojmie. Jeszcze nie teraz.

– Jesteś tam, synu? – pyta Mike. Mówiąc „synu”, ma na myśli to, co większość ludzi, gdy mówi „bracie”. Jesteśmy w zbliżonym wieku, choć on wydaje się nieco starszy. – Bo przez ciebie nie ma mnie w łóżku.

– A nie przez żonę?

Wybuchają śmiechem.

– Vivian śpi jak kamień. Po tych wszystkich latach, gdy pracowałem jako agent terenowy, jest w stanie przespać nawet wybuch bomby, niech ją Bóg błogosławi. To jednak nie przydaje się w przypadku spontanicznych nocnych igraszek. – Szybko wraca do rzeczywistości. – Nie pozwól, żeby ta kobieta za bardzo się do ciebie zbliżyła, Sam. To twoja słabość.

– Wiem. Do zobaczenia rano.

– Żebyś wiedział. A teraz idź się wyśpij.

Rozłącza się.

Wyłączam komputer, wyjmuję USB z portu i po chwili namysłu wkładam go do zasuwanej na zamek kieszeni mojego plecaka. Zabieram go ze sobą do swojej sypialni i zamykam drzwi na klucz.

Nie chcę, żeby Gwen wstała i zrobiła to samo, co ja przed chwilą. Wolę jej tego oszczędzić, choć może mnie za to nienawidzić.

Tylko jedno z nas musi żyć ze świadomością obejrzenia filmu. Z tego ogromu cierpienia udało mi się wydobyć to, co najważniejsze.

Ballantine Rivard. Bogaty, ekscentryczny starzec, który lata temu odszedł na emeryturę z firmy, którą założył – Rivard Luxe – i od tamtej pory ani razu nie widziano go poza murami jego fortecy. Przed telefonem do Mike’a Lustiga nie znalazłem żadnych nekrologów. Facet nadal żyje i ma się dobrze.

Jutro go znajdziemy i zapytamy, dlaczego wynajął kogoś, aby zinfiltrować Absaloma.

I co właściwie wie o Melvinie Royalu.

Gwen i ja pijemy kawę z ciepłych, wielkich kubków na dole w jadalni. Jest o wiele za wcześnie, aby śniadanie było gotowe, ale wcinamy resztę zimnych już, w dalszym ciągu przepysznych bułeczek z jagodami z zeszłego wieczora. Właścicielka zdążyła już wstać i przekazać nam nasze starannie złożone, wyprane ubrania, które wkładamy do plecaków. Wyjeżdżamy, nim pierwsze promienie słońca w ogóle mają szansę ukazać się na horyzoncie. Gdy Morningside House znika za naszymi plecami, mam nadzieję, że sobie poradzą. Zaslugują na to. Może któregoś dnia, gdy cały ten horror dobiegnie końca, przyjedziemy tu na prawdziwy weekendowy wypad.

Droga do Atlanty przebiega bez zakłóceń. Jesteśmy w granicach miasta, gdy dzwoni Mike Lustig. Daje nam wskazówki, jak dojechać do kawiarni na śródmieściu. Po drodze do niej mijamy wiele miejsc mających w nazwie słowo „Peachtree”, a gdy w końcu ją znajdujemy, dochodzi prawie dziesiąta rano.

Mike siedzi zrelaksowany przy stoliku w ruchliwym miejscu, ze stojącym przed nim ogromnym kubkiem kawy na wynos. Sprawdza telefon, podobnie jak dwadzieścia parę innych osób w lokalu. Na pierwszy rzut oka nie wygląda na agenta FBI. Ma na sobie elegancką, sportową marynarkę, czarne spodnie i ciemnozłoty krawat. Marynarka praktycznie maskuje broń, którą nosi przy pasku na biodrze, ale każdy policjant, lokalny, stanowy czy federalny, ma ten sam nawyk skanowania pomieszczeń niczym laser w poszukiwaniu anomalii. Skan zatrzymuje się na nas, a on kiwa głową w moją stronę.

– Hej – mówi. – Sami idźcie po swoje cholerne napoje. Nie mam

budżetu nawet na swój.

Postanawiam zaryzykować. Zostawiam Gwen przy jego stoliku i ustawiam się w kolejce po kawę. Stawiam na prostotę bez żadnych zbędnych dodatków i co chwila zerkam w stronę stolika. Z pozoru wygląda to tak, jakby Mike i Gwen prowadzili uprzejmą rozmowę.

Pozory bywają błędne.

Docieram z kawą do stolika i stawiam przed Gwen jej kubek. W jej oczach widzę twardy błysk. Ten wyraz nie jest mi obcy, tak samo jak nieustępliwie zaciśnięta szczęka. Patrzą na siebie w milczeniu, a ja zajmuję ostatnie krzesło, tak że tworzymy razem trójkąt, i mówię:

– Widzę, że świetnie się dogadujecie.

– O tak – rewanżuje się Mike obcesowym tonem. Z doświadczenia wiem, że to nic nie znaczy. – Pani Proctor właśnie opowiadała mi ze szczegółami, dlaczego nie mam pojęcia, jak postępować z jej byłym mężem. Proszę, niech się pani nie krępuje i wytłumaczy mi, jak mam wykonywać swoją cholerną robotę.

Nie umiem określić, czy Mike jest wściekły, czy tylko udaje. Mike osiągnął mistrzostwo w oddzielaniu tego, jak wygląda na zewnątrz, od tego co dzieje się w środku. W czasach działań na froncie potrafił uśmiechać się jak wariat i pić z chłopakami na umór przez całą noc, a potem, gdy chwiejnym krokiem wracaliśmy do domu, mówił mi, że przez cały wieczór chciało mu się wycić i miał ochotę wydrapać sobie oczy. Ja nigdy nie byłem zbyt dobry w ukrywaniu emocji.

– Lepiej nie – mówię, po czym upijam zbyt szybki, zbyt duży łyk wrzącej kawy. Język piecze mnie z bólu i miłosiernie drętwieje. – Masz dla nas informacje na temat tamtego adresu, pod którym znajduje się magazyn?

– Tak. Powiecie mi, skąd, do diabła, wziął się w tym wszystkim Ballantine Rivard?

– Chwileczkę – wtrąca się Gwen. – *Ten* Ballantine Rivard?

Mike posyła mi pytające spojrzenie.

– Macie dla mnie to nagranie?

– Tak. Ale tutaj bym go nie oglądał. – Mike zastanawia się, co jej powiedziałem. Przyznałem się do obejrzenia wideo w trakcie jazdy, więc udało nam się uniknąć nieuchronnej kłótni. Gwen wyraziła się jasno, że nie podoba jej się, że wziąłem to na siebie, ale rozumie, dlaczego tak postąpiłem. – Ona wie, że je widziałem.

– Uhm. – Mike stuka przez chwilę w telefon, po czym odwraca go w naszą stronę, żeby pokazać zdjęcie starego, białego człowieka z rzadkimi włosami wokół głowy, w okularach z czarnymi oprawkami przesłaniającymi wyblakłe, brązowe oczy. Ma twarz podobną do basseta, ale mimo wszystko przebija z niej inteligencja. Chyba chodzi o sposób, w jaki patrzy na osobę poza kadrem, do której się zwraca. Ma na sobie ciemnoniebieski, jedwabny garnitur i krawat. Prawdopodobnie szyty na miarę. Wygląda stylowo i elegancko, pomimo siedzenia na zmotoryzowanym wózku inwalidzkim. – Widziałas go kiedyś na żywo? – pyta ją, a ona natychmiast kręci głową.

– Znam go tylko z nazwiska. Raczej nie robię zakupów w Rivard Luxe.

– Raczej nie, chyba że należysz do tego jednego procenta ludzi, którym się wydaje, że Neiman Marcus sprzedają tanie wyroby drugiej jakości – mówi Mike. – To dom towarowy dla ludzi z tak olbrzymią ilością gotówki, że używają jej jako dywanów. Zaletą sprzedawania bogatym idiotom jest to, że nigdy nie przestają kupować, bez względu na to jak bardzo inni dookoła głodują. Rivard zamienił kilka milionów w dziesięć miliardów w niecałe dziesięć lat. Jego wartość rynkowa wzrosła do czterdziestu miliardów dolarów.

– A mężczyzna, który zginął na tamtym nagraniu,

prawdopodobnie dla niego pracował. A przynajmniej tak powiedział. Rivard wydaje się pasować zarówno jako cel szantażysty, jak i ktoś, kto ma wystarczająco dużo środków, aby próbować walczyć z tym na własnych zasadach.

– Poza tym... sądzymy, że ludzie na nagraniu, którzy go torturowali, należą do organizacji Absaloma.

– Nie mam pojęcia, skoro nie zdążyłem jeszcze obejrzeć tego cholerstwa – mówi Mike.

Wyciąga rękę. Odsuwam zamek plecaka i wręczam mu USB. Gwen mruży oczy. Widzę, jak powstrzymuje się od rzucenia jakiejś kąśliwej uwagi w moją stronę. Jestem pewien, że przyjdzie mi się z nią zmierzyć później. Będziemy się kłócić o to, że nie mam żadnego prawa jej chronić, i będzie miała rację. Jednak Gwen nie potrzebuje mojego pozwolenia, a ja nie potrzebuję jej, więc prędzej czy później ona również mnie ochroni. Już to zrobiła, i to więcej niż raz.

Wystarczy jeden szybki, płynny ruch ręki Mike'a, a pendrive znika niczym asystent magika. *Było i nie ma*. Cieszę się, że zrobiłem kopię i umieściłem ją w chmurze. Tak na wszelki wypadek.

– A dokumenty? – Teraz kolej Gwen. Przekazuje mu je w brązowej kopercie. Mike wygląda na zadowolonego, choć po założeniu rękawiczek używanych na miejscach zbrodni dokładnie przegląda zgromadzone papiery. Kartka z adresem magazynu leży na wierzchu. Mike kiwa głową. – W porządku. Wypijmy tę kawę i bierzmy się do pracy.

Moja kawa nadal jest za gorąca, aby ją pić, a Gwen wygląda tak, jakby w ogóle nie miała ochoty na swoją. Szkoda, ale wyrzucam oba kubki do kosza w drodze do drzwi. Mike idzie za nami. Patrzę na niego spod zmarszczonych brwi.

– Nie bierzesz swojego auta?

– Nie. Mój oficjalny samochód ma monitoring.

Dociera do mnie, że nie chce, by pojawił się na jakiegokolwiek rutynowej kontroli GPS prowadzonej przez FBI. Wciska się z trudem na tylne siedzenie, co wcale nie jest takie łatwe, gdy ma się tak długie nogi, ale w końcu musi sobie jakoś radzić w samolotach, a FBI z całą pewnością nie płaci za przeloty klasą biznesową. Podczas gdy ja jestem zajęty uruchamianiem silnika, Mike wyciąga telefon i wyłącza go.

– Wy też powinniście zrobić to samo ze swoimi – sugeruje. – Wierzcie mi.

Podaję swój telefon Gwen. Wyłącza oba. Lustig podaje mi lakoniczne wskazówki co do kierunku, gdy przemierzamy Atlantę. Opuszczamy centrum i kierujemy się do mniej zamożnej części miasta. Okolica zmienia się na przemysłową, a potem przechodzi w pokryte rdzą, w większości opuszczone budynki, które wyglądają, jakby miały się zawalić przy następnym podmuchu silnego wiatru. Kilka osób, które zauważam, jest bezdomnych, albo pozbawionych nadziei. Grupa młodych, ponurych mężczyzn ubrana w coś, co w Atlancie uchodzi za zimowe ubranie, siedzi na rogu ulicy i przygląda się z biernym zainteresowaniem, jak przejeżdżamy obok. Symbole różnych gangów są dosłownie wszędzie.

Mijam nasz adres, skręcam na następnym rogu i zatrzymuję samochód.

– Lepiej weźmy ze sobą wszystko – mówię. – To nie jest miejsce, w którym zostawia się rzeczy na widoku.

– Dobry plan – stwierdza Mike. – Zdrowy rozsądek podpowiada, żeby nie parkować w takich dzielnicach, o ile nie ma się kogoś, kto popilnuje fury.

– Zgłaszasz się na ochotnika? – pyta cierpkim tonem Gwen i wysiada. Wiem, że ma broń pod kurtką. Ja trzymam swój pistolet w kaburze z płetwą po lewej stronie. Gdy wyciągam broń, lubię to

robić zamaszystym łukiem przez całą szerokość klatki piersiowej, ponieważ to daje mi czas na ocenę sytuacji, zanim broń znajdzie się w dłoni. Można oddać zbyt wiele strzałów, zanim mózg nadąży za mięśniami. – Jak się za to zabieramy?

Zamykam drzwi wynajętego samochodu i w myślach żegnam się z depozytem.

– Rozdzielamy się?

– Nie – mówią zgodnym chórem Mike i Gwen. Wymieniają się spojrzeniami, jakby zdziwiło ich to, że się w czymś zgadzają. – Sprawdzimy zewnętrzne ogrodzenie – dodaje Mike. – Zaczniemy od tyłu i obejdziemy wszystko dokoła. Jak tylko zauważymy coś podejrzanego, wynosimy się stąd. Będziemy się kręcić w pobliżu, dopóki nie uda mi się sprowadzić tu moich chłopców.

– I co im wtedy powiesz? – pyta Gwen, gdy zaczynamy iść. Po naszej prawej stoi stary, zabity deskami sklep spożywczy. Spomiędzy desek patrzą na nas czyjeś oczy, więc pewnie ktoś zrobił z niego melinę. – Wszystkie dowody, które posiadasz, nie nadają się do przyjęcia.

– Powiemy, że usłyszeliśmy wołanie osoby będącej w niebezpieczeństwie. Gdy znajdziemy to nagranie, łatwo będzie uwierzyć w naszą wersję. W odpowiednim momencie upuszczę je gdzieś w środku na ziemię.

– Ty naprawdę myślisz, że to przejdzie.

Mike wzrusza ramionami.

– Dzięki temu posuniemy się o krok naprzód. W tej chwili progres to jedyne, co mam.

Skręcamy w zaułek, przez co dostaję gęsiej skórki, a włoski na karku stają dęba. Z popadającymi w ruinę, dwupiętrowymi magazynami po obu stronach, zaułek jest idealnym miejscem dla zalegających cieni. Wolałbym nie zostać tu zasztyletowany. Mike nie ma na sobie kamizelki ochronnej. To pułapka, która tylko

czeka, żebyśmy dali się schwytać.

Pierwszy magazyn, który mijamy po prawej stronie, to betonowy blok, więc jest w lepszym stanie, choć skorodowany dach pokrywa gruba warstwa rdzy. Ogrodzenie z siatki jest przecięte w dwóch miejscach. Za to następny magazyn, ten, którego szukamy, prezentuje się znacznie gorzej. Mimo to otaczające go ogrodzenie jest nowe i lśniące, a na szczycie siatki zamontowano spiralę z drutu kolczastego powstrzymującą każdego, kto chciałby nad nim przeskoczyć. Tablice z napisem ZAKAZ WSTĘPU są nowe i jaskrawoczerwone, pozbawione śladów po śrucie, które widziałem na tych z przodu na Google Street View. Ciekawe, czy ktoś tu przyszedł, aby je odnowić. Wielce prawdopodobne.

– Tutaj – mówi Gwen, ciągnąc za siatkę tuż przy najdalej wysuniętym słupku. Ogrodzenie grzechocze, a kiedy podchodzę bliżej, zauważam, że zostało przecięte i przymocowane paroma spinaczami do papieru. Wyjmuję je, a Gwen popycha siatkę do przodu. Otwór jest wystarczająco duży, by można przez niego wpełznąć do środka.

Spoglądam na Mike'a, który unosi w górę obie ręce.

– Nie mój cyrk, nie moje małpy – mówi. – Uważajcie na siebie.

Wykorzystuje nas. Ale rozumiem dlaczego. Obejrzałem nagranie. Mam niejasne przeczucie dotyczącego tego, co naprawdę kryje się za spokojnym wyrazem twarzy Mike'a i jego niewzruszonym uśmiechem.

„Mam ochotę wydłubać sobie pieprzone oczy”, powiedział, opierając się o mnie ciężko, gdy chwiejnym krokiem wracaliśmy tamtego wieczora do naszej kwatery. „Chce mi się wyć tak długo, aż zwymiotuję”.

Przez całą noc miał na ustach ten sam uśmiech.

Rozdział dziewiąty

Gwen

Gdy wchodzimy za ogrodzenie, mam wrażenie, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na Ziemi. Instynktownie rozglądam się dokoła w poszukiwaniu dróg ucieczki. Nie jest dobrze. Tylko jedno wyjście, za naszymi plecami. Wolę, gdy jest więcej opcji do wyboru. Jeśli będę musiała, przeskoczę ogrodzenie i poświęcę kurtkę, żeby zapewnić sobie ochronę przed ostrym drutem kolczastym. *A jeśli on tutaj jest...*

„Nie ma go”, mówię sobie w duchu. Choć z drugiej strony, w jakim innym miejscu mógłby zadekować się Melvin Royal? Opuszczony magazyn, do którego wielbiciele przynosiliby mu jedzenie, zapewniając wygody i kolejne ofiary. To jest tak niewyobrażalnie możliwe, że aż zwalniam, prawie się zatrzymując, czym zwracam uwagę Sama. On tego nie rozumie. Jest skupiony wyłącznie na znalezieniu wskazówek.

Boję się, że zaraz natkniemy się na coś znacznie bardziej niebezpiecznego.

Mam wrażenie, jakby na podwórku doszło do apokalipsy zombie. Niebo nad Atlantą zachmurzyło się, a zbita warstwa chmur wisi

tak nisko, że nie widzę przelatujących przez nie samolotów przypominających o tym, że świat nadal się kręci. Nie słyszę nic prócz świstu wiatru w ogrodzeniu i grzechotu wyblakłych, plastikowych śmieci dryfujących w powietrzu. Teren, na którym stoimy, był kiedyś parkingiem, ale już dawno przegrał z atakującymi go chwastami, trawą i pogodą. To istne pole minowe złożone z wystających kawałków połamanego asfaltu i uschniętych łodyg. Łatwo stracić tu równowagę. Niemożliwością jest *biegać tu bezpiecznie*. Nawet z miejsca, w którym stoję, widzę błyszczącą kłódkę na tylnych drzwiach. Spinająca ją klamra wygląda na dopiero co założoną.

– Gwen? – pyta Sam, który cofnął się nieco, aby stanąć obok mnie. – Dobrze się czujesz?

„Nie mam ochoty tego robić”, chcę mu powiedzieć. I przypomnieć, że miałam rację co do piwnicy. Znam jednak różnicę między autentycznym, instynktownym ostrzeżeniem a chaotycznym, niesprecyzowanym wytworem strachu. Co z tego, że Melvin urządził tu sobie kryjówkę? Jesteśmy tu we dwójkę, świetnie strzelamy i oboje mamy powód, aby pragnąć jego śmierci. To znaczy, że mój koszmar może się skończyć za parę minut, zamiast dni, tygodni albo wcale.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, zmuszając się do kiwnięcia głową. Nadal jestem na niego zła za to, że obejrzał makabryczne nagranie beze mnie, bo mam wrażenie, że to sposób ochrony, że ktoś podejmuje za mnie decyzje. Porozmawiamy o tym później. W tej chwili mamy sprawę do załatwienia. – Zróbmy to. Lepiej patrz pod nogi.

Idziemy wzdłuż ściany. We wszystkie miejsca, w których pofałdowany siding mógłby odpaść całymi płatami, wbito gwoździe. Ich główki są nadal lśniące, bez śladu korozji. Okna z powybijanymi szybami są umieszczone wysoko i całkiem

nieosiągalne. W pobliżu nie ma żadnych nadających się do użycia palet ani porzuconych drabin, które moglibyśmy wykorzystać, aby się do nich wspiąć. Nawet gdybym stanęła Samowi na ramionach, do celu nadal brakowałoby mi kilkudziesięciu centymetrów. Powoli zaczynam myśleć, że ta cała wyprawa to kompletna strata czasu, gdy nagle dostrzegam boczne drzwi. Podobnie jak na tyłach, ktoś umieścił w nich nową kłódkę. Nie pokwapił się jednak, aby wymienić oryginalną, stalową klamrę. Gwoździe wyglądają na stare i zardzewiałe.

Pokazuję je palcem Samowi, a on kiwa głową. Wyciąga z plecaka wielofunkcyjny scyzoryk, którego nie można już wnieść ze sobą na lotniska. Wybiera najgrubsze ostrze i podważa nim gwoździe. Po chwili cała klamra wraz z zamkiem i przytwierdzoną do niego kłódką odchodzą od drzwi, nie wydając z siebie niemal żadnego dźwięku.

Sam zatrzymuje mnie i wręcza parę niebieskich, nitrylowych rękawiczek. On też jedne zakłada. Sprytne posunięcie. Ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, jest zostawienie w tym miejscu odcisków palców. Im mniej śladów, tym lepiej.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka, ostrożnie i tak cicho, jak tylko jestem w stanie. Pomimo skupienia i samokontroli czuję krople potu występujące mi na czoło, pod pachami i na plecach. Drzę pod wpływem wyrzutu adrenaliny do krwioobiegu i jestem absolutnie przerażona tym, że zaraz zobaczę bladą twarz Melvina wyłaniającą się z mroku, z oczami pustymi jak u lalki. Strach jest tak realny, że muszę poświęcić sekundę na zamknięcie tego obrazu za wyimaginowanymi drzwiami, gdzie będzie mógł w nie łomotać i wściekać się bez wyrządzania komukolwiek krzywdy.

Jego tu nie ma.

A jeśli jest, zabiję go.

Powtarzam w myślach tę mantrę. Pomaga.

Podłoga to siermiężny, popękany beton, ale przynajmniej nie potrzebuję latarki, aby widzieć, po czym stąkam. Mleczne światło przenikające przez okna odbija się refleksami od wirujących drobinek kurzu. Jest wystarczająco jasno, aby przekonać się, że ta część magazynu to otwarta przestrzeń usiana gdzieniegdzie pordzewiałymi częściami, porzuconym silnikiem i stertą gruzu.

– Patrz pod nogi – szepcze do mnie Sam głosem tak cichym, że ledwie go rozumiem. – To miejsce to kopalnia tężca.

Ma rację. Oboje mamy buty na grubej podeszwie, ale i tak uważam na gwoździe, potłuczone szkło i inne tego typu przedmioty. Tłuczone szkło jest często wykorzystywane przez bezdomnych jako tani system ostrzegawczy, a gwoździe są wbijane w deski tak, by wystawały, i układane ostrymi czubkami do góry jako ochrona lokum. Ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest nadeptanie na jedną z tych prowizorycznych pułapek.

Zatrzymujemy się i nasłuchujemy. Nie licząc szumu wiatru świszczącego w szczelinach dachu i oknach, nie słychać żadnych innych dźwięków. Panuje tu całkowity bezruch. Ale wszędzie unosi się *zapach*. Rdzy. Krwi. Rozkładu. Jest tak znajomy, tak ohydny, że kręci mi się w głowie.

Ulubione perfumy Melvina.

Z przodu widać otwarte drzwi. Ostrożnie przedzieram się w ich stronę. Trzymam się z daleka od pola widzenia osoby, która może kryć się po drugiej stronie, i przystaję w miejscu, gdy zauważam coś, co wygląda na stertę ubrań leżących pod ścianą. Wyciągam broń. Sam robi to samo. Przesuwa się na moją flankę po drugiej stronie drzwi i unosi do góry trzy palce. Odlicza do zera. Oboje obracamy się i wparowujemy cicho do środka.

Prawie wpadam na wiszące łańcuchy. Odsuwam się w ostatniej chwili, ale nie mogę powstrzymać świstu powietrza, który uchodzi ze mnie bezgłośnie. Przynajmniej nie jest to okrzyk. Patrzę w dół.

Jeszcze więcej łańcuchów zaczepionych o nowe, lśniące, metalowe obręcze zatopione w betonie. Łańcuchy pod sufitem są połączone z systemem krążków. Podążam wzrokiem za liną ciągnącą się aż do pętli na ścianie za moimi plecami.

Podłoga jest pokryta grubą warstwą starej krwi, dawno zakrzepłej i wysuszonej na szorstką, łuszczącą się, czarną skorupę. Nadal unoszą się nad nią muchy, ale nie ma ich aż tyle, ile byłoby wtedy, gdy krew nadal była świeża. Staram się zablokować wszystkie emocje, lecz drzwi, za którymi zamknęłam swój strach, wyłamują się pod wpływem wysiłku, jaki w to wkładam. Pocę się i trzęsę. Mam wrażenie, że nie mogę normalnie oddychać. Jestem o krok od hiperwentylacji i wiem, że muszę się natychmiast uspokoić.

„Skup się”, powtarzam sobie w duchu. „Odetnij się od tego. Przestań o tym myśleć”. Wiem, dlaczego mi odbija. To wszystko za bardzo przypomina garaż mojego byłego męża, nawet zapach. Wracają wspomnienia, a ja pragnę jedynie opuścić to miejsce.

Ale nie mogę.

– Gwen – mówi Sam. Tym razem nie przejmuję się, żeby zachować ciszę. Gdy się odwracam, zastaję go przykucniętego nad stertą ubrań i podchodzę, aby do niego dołączyć.

Odór rozkładu uderza mnie w nos po zaledwie jednym kroku, tym razem znacznie gorszy, a ja wiem, co zaraz zobaczę, zanim jeszcze udaje mi się rozróżnić kształt w przytłumionym świetle.

Ciało leżało tu od dawna, na tyle długo, aby zamienić się w poszarpane truchło przeżute przez drapieżniki. Co najmniej połowa szkieletu została oczyszczona z tkanki przez bakterie. Resztki skóry, które na nim zostały – zakładam, że to ten sam mężczyzna, którego widzieliśmy na nagraniu – są równie cienkie i suche co papier woskowy. Larwy już dawno zniknęły. Na podłodze leżą pozostawione przez nie osłonki poczwarek, wyglądające jak

porozrzucane ziarenka ryżu.

– Od jak dawna... – Głos mi drży. Przestaję się odzywać. Sam spogląda na mnie.

– Jest teraz zimno, ale bardzo możliwe, że nadal było ciepło, kiedy został zamordowany. Minęły pewnie ze dwa miesiące. – Sam milczy przez chwilę z pochyloną głową, po czym wstaje z ziemi. – Rozejrzyj się. Jeśli jest tu coś jeszcze...

Staram się zignorować zwłoki, ale to trudne. Nieustannie czuję ich obecność, zupełnie jakby martwe, puste oczodoły śledziły każdy mój ruch. Reszta tej części magazynu składa się ze sterty starych desek pokrytych szczurzymi odchodami i stosu pomarszczonych, zapomnianych faktur sprzed dwudziestu lat, prawdopodobnie bez żadnej wartości.

W dalekim końcu hali znajduje się biuro. Podczas gdy Sam jest zajęty sprawdzaniem swojej strony magazynu, ja kieruję się do biura. Są tam metalowe drzwi z szerokim, szklanym panelem wzmocnionym drucianą siatką. Podziurawione i popękane w paru miejscach, ale nadal mocno się trzymają. Naciskam klamkę.

Zamknięte. Zamek wygląda na stary i oryginalny. Wystarczy kilka solidnych kopniaków, aby dostać się do środka. Jeden z zawiasów na dole odskakuje, a drzwi przechylają się i szorują po podłodze dla utrzymania równowagi.

Ktoś korzystał z tego miejsca. Nadal jest w opłakanym stanie i mocno zakurzone, a pająki zrobiły z szafek na dokumenty wiszących wzdłuż ściany swój teren łowiecki, ale stojące na drugim końcu pomieszczenia staroświeckie biurko o topornej, funkcjonalnej strukturze rodem z drugiej wojny światowej jest względnie czyste. W pokrywającej podłogę warstwie kurzu widać jakieś ślady, jednak nie ma żadnych znaczących odcisków stóp.

W rogu stoi sterta papieru – zwykłego papieru do drukarki, bez wodnych znaków i jakichkolwiek notatek. Wypróbuję sztuczkę,

której nauczyłam się ze starych powieści Nancy Drew. Biorę garść drobnego, miałkiego pyłu i przesiewam na wierzch pierwszej kartki, a potem delikatnie przesuwam nim po całej stronie, aby sprawdzić, czy pokażą się jakieś ślady wgłębień po długopisie.

Nic nie widać.

Zaczynam otwierać szuflady. Udaje mi się wystraszyć kilka pajaków, ale sama również jestem zaskoczona, i to bynajmniej nie obecnością ósmionożnych drapieżników.

W przedostatniej szufladzie znajduję męski portfel. Jest sfatygowany i widać, że od długiego noszenia w tylnej kieszeni dopasował się do pośladka swojego właściciela. Kładę go na blat biurka i ostrożnie otwieram. Nie wyskakują z niego pajaki, a w tylnej przegródce zauważam gotówkę. Całe mnóstwo gotówki, co najmniej dwieście, trzysta dolarów. Nie liczę pieniędzy. Patrzą na prawo jazdy wsunięte w plastikową osłonkę po lewej stronie. To prawo jazdy wystawione w Luizjanie na nazwisko Rodney Sauer. Telefonem robię zdjęcie adresu podanego na dokumencie. Znajduje się w Nowym Orleanie. Za prawem jazdy odkrywam inne plastikowe prostokąty, typowe dla realiów współczesnego życia: karty debetowe, karty kredytowe i kilka kart lojalnościowych z supermarketów oraz galerii handlowych.

Po prawej znajduję zdjęcie pulchnej, zadowolonej blondynki tulącej do siebie dwójkę uroczych szkrabów. Z tyłu napisano dziecinną, niezgrabną kursywą: „Tatusiu, kochamy Cię. Mama, Kat i Benny”.

Z trudem wciągam powietrze z powodu bólu, który eksplodował w mojej piersi. Czy ta śliczna, szczęśliwa kobieta wie, że on nie żyje? Czy któregoś słonecznego, letniego dnia po prostu rozpląnął się w powietrzu? Czy dzieci nadal dopytują się, kiedy wróci do domu?

Wsuwam zdjęcie z powrotem do środka i szukam dalej. Znajduję

zapas wizytówek z nazwiskiem Rodneya Sauera i czymś, co wygląda jak wytłaczany czarnym tuszem, oficjalny symbol gwiazdy organów ochrony porządku publicznego.

Rodney nie był policjantem, tylko prywatnym detektywem. Wyciągam jedną z wizytówek i chowam do kieszeni. W portfelu nie ma już nic użytecznego. Jeśli miał przy sobie notatnik, dyktafon czy coś w tym stylu – tutaj tego nie ma.

Zostawili tu wszystko, co nie było im potrzebne, wliczając w to Rodneya.

– Gwen? – pyta Sam przyciszonym głosem od strony drzwi. Kiwam głową, wkładam portfel z powrotem do szuflady, zamykam ją i wychodzę.

Mijamy ciało, przechodzimy przez drugie pomieszczenie, boczne drzwi i wychodzimy na zewnątrz, w pochmurne popołudnie, które jest najjaśniejszą, najbardziej przyjazną rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałam. Jest mi wściekle niedobrze. Łykam łąpczywie powietrze, żeby się uspokoić. Adrenalina w moim organizmie osiągnęła toksyczny poziom. Po wydostaniu się stamtąd zaczynam się trząść jak galareta.

Lustig czeka na nas przy ogrodzeniu. Nadal mam wyciągniętą broń, więc chowam ją do kabury. Lustig podtrzymuje siatkę, żebyśmy mogli przejść przez wycięty w niej otwór, po czym starannie przypina ją na swoje miejsce spinaczami do papieru.

Streszczamy mu wszystko. Jediną rzeczą, jaką po sobie zostawiliśmy, są odciski butów. Nasze ślady są świeże i nie pokrywają się z makabrycznymi wydarzeniami, jakie rozegrały się w tym miejscu. Wracamy do samochodu – który, na całe szczęście, jest cały, choć zamki wyważono łomem, a radio zostało wyrwane z konsoli. Korzystając z automatu telefonicznego na żetony po drugiej stronie miasta, dzwonię, aby poinformować o znalezieniu ciała.

– Dzięki – mówi Lustig, gdy się rozłączam. – Teraz zadzwoń do mnie.

Odczytuje swój numer, a ja wrzucam do automatu kolejną garść ćwierćdolarówek. Zostawiam mu tę samą wiadomość i mówię, że istnieje jakieś powiązanie z toczącym się śledztwem FBI. Rozłączam się i patrzę na niego pytającym wzrokiem, a on unosi kciuki w górę w wyrazie aprobaty. Ponieważ jego telefon nadal jest wyłączony, nie może zostać powiązany z tym miejscem. Ma teraz przykrywkę w postaci anonimowego cynku.

Siedząc z powrotem w samochodzie i będąc w drodze do kawiarni, zaczynam się czuć nieco lepiej. Skórę mam cieplejszą, a nerwy mniej zszargane. Wiem, że będzie mi się śniła okropna cisza panująca w tamtym miejscu, stwarzająca pozory spokoju. Dziś wieczorem znajdzie się tam taśma policyjna oraz śledczy badający miejsce zbrodni, a Mike Lustig będzie próbował wymyślić, jak włączyć w to wszystko miejscowy oddział FBI. Może uda im się namierzyć właściciela budynku, ale wątpię, aby dokąds ich to zaprowadziło. Grupa Absaloma na pewno nim nie jest. Prawdopodobnie nic ich z nim nie łączy, nie licząc tego, że korzystali z niego, gdy właściciel nie patrzył. Korporacje nie są specjalnie dobre w pilnowaniu zrujnowanych budynków. Gdyby ktoś faktycznie przeprowadził inspekcję, zobaczyłby świeżo pomalowane tablice, nowe ogrodzenie, nowe kłódki i założył, że ktoś inny w firmie zdążył już o to zadbać. Biurokracja w najgorszym wydaniu.

Absalom zamieszkuje szczeliny. Zupełnie jak karaluchy. I Melvin.

– I co teraz? – pytam, odwracając się do Sama, który zerka na Mike'a.

– Odstawiamy go na miejsce – mówi Sam. – A potem złożymy wizytę Ballantine'owi Rivardowi.

– Dlaczego myślisz, że was przyjmie? – pyta Lustig.

– Powiemy mu, co się stało z jego człowiekiem.

Rozdział dziesiąty

Connor

Rozejm po zjedzeniu słodkich przekąsek z ryżowych płatków śniadaniowych Rice Krispies pomiędzy mną a moją siostrą utrzymuje się do popołudnia, a potem wszystko psuję. Lanny stała się humorzasta i zrzędliva. Warczy za każdym razem, gdy wezmę oddech. Świdruje mnie morderczym wzrokiem, tak jakbym to ja był odpowiedzialny za to, że utknęła w chacie bez żadnego zajęcia. Staram się nakłonić ją do czytania, ale kiedy zrobiłem to ostatnim razem, rzuciła we mnie książką i nazwała offermą, co zwykle mi nie przeszkadza, ale tym razem nie spodobał mi się sposób, w jaki to powiedziała.

Błaga, dosłownie *błaga* o dostęp do internetu, którego pan Esparza w końcu niechętnie jej udziela, ale tylko na pół godziny. Ostrzega ją, że włączył ochronę rodzicielską, tak jak poprosiła go o to mama. Żadna mi nowość. Mama podchodzi do tych rzeczy bardzo poważnie, i ma ku temu świetny powód.

Podchodzę i przyglądam się, co Lanny porabia, bo jest w dziwnym humorze, a ja nie wiem dlaczego.

Jedyne, co robi, to oglądanie zdjęć. Szkolnych zdjęć jej znajomych

znajdujących się na jej koncie w chmurze, o którego istnieniu mama nie wie. Po jakichś dwóch minutach gapienia się w monitor uświadamiam sobie, że na każdym zdjęciu jest ta sama osoba.

Pochyliłam się nad oparciem jej krzesła i pytam:

– Zabujałaś się w swojej najlepszej przyjaciółce?

Lanny wpada w furję. Jej twarz pokrywają szkarłatne plamy. Odpycha mnie w stronę kuchennego blatu i wrzeszczy:

– Zostaw mnie w spokoju!

Ucieka do pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi tak mocno, że obrazki na ścianach podrygują.

Przyglądam się zdjęciu przedstawiającemu Dahlię Brown. Jest ładna. Zawsze byłem tego zdania.

– Ma absolutnego świra na twoim punkcie – mówię do obrazka. Nic dziwnego, że Lanny zachowała się jak wariatka. Pewnie nie chciała, żeby ktokolwiek o tym wiedział, a tu proszę.

Otwierają się drzwi frontowe. Pan Esparza zagląda do środka, widzi mnie i pyta:

– Co to było?

Wzruszam ramionami.

– Nic takiego.

Dobrze wie, że to nieprawda, ale czyszczę przeglądarkę i zamykam laptopa. Biorę do ręki książkę, zamiast mówić mu coś jeszcze, więc w końcu zamyka drzwi. Jest zajęty czyszczeniem broni na werandzie. Wszystkie części leżą na czystym ręczniku, a ja czuję stąd zapach smaru, którego używa.

Lanny ma tajemnicę. Czuję przyływ radości na myśl o tym, ale nikomu jej nie zdradzę. My tak nie postępujemy. Nie ujawniamy swoich sekretów, chyba że chodzi o sprawę życia i śmierci. Ta nią nie jest, ale Lanny pewnie ma wrażenie, że jest inaczej. Jest mi trochę głupio, że tak ją zawstydziłem. W końcu zrobiła mi słodkie przekąski.

Wracam i otwieram laptopa, znajduję zdjęcia i drukuję jedno. Na odwrocie piszę „To nic takiego, że ją lubisz”. Wsuwam kartkę pod drzwi pokoju siostry, ponownie zamykam komputer (bo wiem, że gdybym tego nie zrobił, usiadłbym i zaczął szukać rzeczy, których nie powinienem, jak informacje na temat poszukiwań taty) i wychodzę na werandę. Pan Esparza siedzi pochylony nad lufą strzelby, ale gdy tylko mnie zauważa, prostuje plecy z cichym jęknięciem.

– Robi się coraz chłodniej – mówi. – Nic jej nie jest?

Kiwam twierdząco głową. Nie wspominam ani słowem o tym, że Lanny ma sekretną dziewczynę.

– Siedzi w swoim pokoju.

Posyła mi przeciągłe spojrzenie, a ja uciekam wzrokiem.

– A ty? Wszystko u ciebie w porządku, Connor?

Wzruszam ramionami. Nie wiem co na to odpowiedzieć. Jak właściwie wygląda „w porządku”?

– Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać, jeśli tego potrzebujesz.

Siadam na schodach, a Rekrut podchodzi i kładzie się obok mnie. Głaskam go po głowie, a on oblizuje szczękę i kładzie mi łeb na nodze. Jest ciężki. Nigdy nie widziałem go naprawdę wściekłego, ale wyobrażam sobie, że to musi być przerażający widok.

– Zna pan prawdę o moim tacie – mówię. Wpatruję się w drzewa za ogrodzeniem. Szeleszczą i kołyszą się na wietrze, a chmury nad naszymi głowami wyglądają jak przemierzający się, ciekły ołów.

– Tak, to i owo. – Pan Esparza starannie dobiera słowa. Założę się, że wie znacznie więcej niż to i owo. – To musi być trudne, prawda?

– Co takiego? – Wiem, co ma na myśli. Ale nie chcę, żeby tak uważał.

– Myślenie o tym, że twój tata zrobił coś okropnego.

Kręcę głową. Nie wiem, czy po prostu chcę tym przekazać, że się

z nim nie zgadzam, czy odrzucam coś innego. Już nie wiem, co sam właściwie czuję.

– Mama o tym nie rozmawia.

– A czy ty chcesz o tym porozmawiać?

– Nie.

Pan Esparza kiwa głową i wraca do czyszczenia broni. Widok jest znajomy. Pamiętam, jak mama robiła dokładnie to samo, starannie rozkładając broń na części, czyszcząc, oliwając i składając ją z powrotem w całość. Pan Esparza jest znacznie porządniejszy w tej kwestii niż mama. Każdy element jest ułożony w równym rzędzie na ręczniku.

– A nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli ja coś powiem?

Ponownie wzruszam ramionami. Nie mogę powstrzymać dorosłych od robienia tego, co chcą. Poza tym, jestem ciekaw.

– Wiem, co zrobił. Pisali o tym w gazetach, w internecie i pokazywali materiały w wiadomościach. Nie żebym śledził tę historię z zapartych tchem, ale nie sposób było jej uniknąć. Wszyscy mówili, że musiał być potworem, skoro robił coś takiego. Słyszysz czasem takie rzeczy?

Tym razem kiwam twierdząco głową. Słyszałem. Mnóstwo razy.

– On nie jest potworem – mówi pan Esparza. – On ma go w swoim wnętrzu.

– Jaka jest różnica?

– Nadal w porządku jest myśleć o nim jak o osobie. Ale nie zapominaj, w jego wnętrzu wciąż czai się potwór.

– Tak jakby był opętany? – pytam. – Zupełnie jak w horrorach.

Nie żeby mama pozwalała nam je oglądać. Czasami oglądam je jednak z przyjaciółmi, kiedy ona o tym nie wie.

– Niezupełnie. Opętani ludzie nie mogą poradzić nic na to, co robią. Twój ojciec dokonał pewnych wyborów. – Pan Esparza waha się, a ja domyślam się, że musi teraz starannie dobierać słowa. –

Wiesz, że byłem kiedyś marine, prawda? Żołnierzem piechoty morskiej?

– Tak.

– Nie raz widziałem, jak ludzie podejmują takie decyzje. Może kochają swoje rodziny, swoje zwierzęta. To jednak nie powstrzymuje ich przed byciem potworami, gdy tylko nadarza się okazja. Ludzie są skomplikowani. Łatwo byłoby nazwać twój tatę potworem, bo wtedy łatwo byłoby mówić o zabiciu go, a my przecież zabijamy potwory, prawda? Jednak dla ciebie nie zawsze był potworem, i ja to rozumiem. A to nie powinno dać się łatwo zabić. Nigdy.

W końcu udaje mi się na niego spojrzeć.

– Ale pan zabijał ludzi.

Dłonie pana Esparzy nieruchomieją, w końcu bierze kolejną część i zaczyna ją czyścić, ale wzrok ma utkwiony we mnie. Jestem w stanie znieść zaledwie sekundę jego intensywnego spojrzenia. Przenoszę wzrok na jego dłonie.

– Tak – mówi. – *Es verdad*. Wiesz, co to znaczy?

– To prawda.

– Zgadza się. Zabijałem ludzi. I zabiję ponownie, jeśli będę musiał, aby ochronić innych. Jednak posiadanie tej zdolności to wielka odpowiedzialność, a ja nie mogę jej lekceważyć.

– Jednak w przypadku mojego taty tak nie jest.

– Nie – zgadza się ze mną. – Nie jest. Dla niego to zabawa. On to lubi. I właśnie dlatego wasza mama jest taka ostrożna, gdy o was chodzi. Rozumiesz?

– Na pewno by mnie nie zabił.

Pan Esparza nie komentuje moich słów. Pozwala mi się zastanowić. Wszystko, co powiedział, ma sens. Wiem, że ma rację. A mimo to, *czuję* zupełnie co innego. Mam wrażenie, że tacie... zależy.

– Jak długo jeszcze będziemy musieli tu zostać? – pytam.

Moje słowa wywołują sekundowe wahanie w jego gładkich, wyćwiczonych ruchach. Skończył czyścić broń. Teraz zaczyna składać ją z powrotem do kupy.

– Nie wiem. – Przynajmniej jest szczerzy. – Ale bez względu na to, jak długo to potrwa, będziecie bezpieczni. Obiecuję.

– Kto z was lepiej strzela, pan czy pani Claremont?

– Ja. To moja praca. Jej zadaniem jest rozwiązywać zbrodnie. Mimo to jest całkiem dobra.

– Naucz nas pan jak strzelać? Mnie i Lanny?

– Jeśli wasza mama się zgodzi. I pod warunkiem, że będziecie się chcieli nauczyć.

Kiwam głową, zastanawiając się nad czymś przez chwilę. Potem wstaję ze schodów i zsuwam łeb Rekruta ze swojej nogi.

– Czy mogę pospacerować trochę po podwórku? Nie chcę przez cały czas siedzieć w środku.

– Jasne, tylko nie wychodź beze mnie poza ogrodzenie, okej?

Kiwam potakująco.

– Ja i Lanny musimy mieć jakieś zajęcie, które nie jest tylko...

– Siedzeniem w domu na tyłku? Tak, wiem – mówi pan Esparza. Wzdycha, a powietrze z jego ust rozchodzi się na zimnie niczym mglisty pióropusz. – Pracuję nad tym. Może wybierzemy się na kemping albo na ryby. Co o tym myślisz?

Myślę, że to smutna i dołująca perspektywa, ale przynajmniej się stara, więc kiwam głową.

– A może od czasu do czasu wybierzemy się do innego miasta na jakiś film? Na przykład do Knoxville?

– Może. Hej, jeśli chcesz zostać na dworze, lepiej załóż kurtkę. I rękawiczki. Nie chcę, żebyś się przeziębiał.

– Człowiek nie przeziębienia się w ten sposób – tłumaczę mu absolutnie poważnym tonem. – Najpierw trzeba złapać wirusa.

Pan Esparza wybucha śmiechem.

– Wiem. Ale to w dalszym ciągu sensowna rada.

Wracam do środka, zakładam kurtkę i rękawiczki, a kiedy wychodzę, pan Esparza kończy składać broń i idzie do środka się ogrzać. Rekrutowi zimno zdaje się w ogóle nie przeszkadzać, ale z drugiej strony ma przecież grubą sierść. Zeskakuje radośnie z werandy i biega wokół mnie. Przez chwilę bawimy się w aportowanie, a potem siadam sobie na dalekim końcu pnia drzewa. Wybieram tę stronę domu, po której jest najmniej okien. Rekrut chodzi w kółko, patrząc na mnie. Inni ludzie sądzą, że jest przerażający – wiem, że Lanny tak uważa – ale dla mnie stanowi pociechę. Nie patrzy na mnie tak, jakbym był tykającą bombą albo kimś, kto zaraz pęknie niczym bańka mydlana. Myśli, że jestem normalny.

Dobrze jest mieć odrobinę prywatności. Nikt na mnie nie patrzy, nie monitoruje tego, jak się *czuję*. Wiem, że wszyscy chcą pomóc, ale ja tego nie chcę. Nie w tej chwili.

Jestem na tyle oddalony od chaty, że przy zamkniętych oknach nikt mnie nie usłyszy. Ponieważ mam za plecami pień drzewa, nie mogą się na mnie gapić. Rekrut siada obok mnie i znów kładzie mi łeb na nodze, a ja głaskam go przez kilka minut.

W końcu wsuwam dłoń do kieszeni. Wyjmuję telefon i baterię. Obracam je w palcach. Wiem, że źle robię. Bardzo źle.

Przecież i tak jestem w połowie zły, prawda? Mam w sobie połowę taty, a on skrywa w sobie potwora.

Posiadanie telefonu, który łączy mnie bezpośrednio z tatą, przypomina trochę bawienie się zapalkami. Jest jednocześnie ekscytujące i przerażające, a mimo to, kiedy raz zaczniesz, nie możesz się powstrzymać.

Do momentu, aż się sparzysz.

Myślałem o tym, co by się stało, gdybym do niego zadzwonił.

Wyobrażałem sobie, co mi powie. Jak będzie brzmiał jego głos. Jak zaskoczony i zadowolony będzie z faktu, że zatrzymałem telefon. „Witaj, synu”, powie. „Wiedziałem, że dasz radę”.

Wciąż pamiętam, gdy tak do mnie powiedział – „Wiedziałem, że dasz radę” – kiedy nauczył mnie pływać na osiedlowym basenie. Śmiertelnie się bałem, ale on był przy mnie przez cały czas. Podtrzymywał mnie, gdy młóciłem wodę rękami i nogami, do chwili, w której sam nauczyłem się utrzymywać na powierzchni. Pokazał mi, jak pływać na plecach.

Zabrał mnie też ze sobą, aby popływać, nad jedno z jezior, w którym, jak się później okazało, pozbywał się martwych ludzi. Wiem, że powinienem tego nienawidzić, ale pamiętam, jak cudowny był to dzień, jak cieszył się z tego, że zabrał mnie na łódź, z której skakaliśmy do tyłu prosto w zimną, mętłą wodę i ścigaliśmy się dookoła łodzi. Pozwalał mi wygrać. Zawsze pozwalał mi wygrać.

Powodem, dla którego pamiętam to tak wyraźnie, jest fakt, że prawie nigdy nie zwracał na mnie uwagi, więc kiedy w końcu to robił, gdy naprawdę był *tatą*, były to najpiękniejsze i najszcześniejsze dni mojego życia.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że mama i Lanny nigdy nie towarzyszyły nam podczas pływania. Zawsze byliśmy tylko my dwaj. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby zapytać dlaczego.

„Nie rób tego”, mówię sobie w duchu. Nieustannie się nad tym zastanawiałem. „Oddaj telefon panu Esparzy. Albo pani Claremont. To może pomóc złapać tatę i wysłać go z powrotem do więzienia”.

Ale jeśli to zrobię, tata znajdzie się o krok bliżej od śmierci.

Patrzę na Rekruta.

– Głodny? – pytam, na poły żartując, na poły nie. – Pomożesz koledze? – Przynajmniej jeśli pies pogryzie telefon, to nie będzie

moja wina. Nic z tego nie będzie moją winą.

Rekrut oblizuje pysk i znów kładzie łeb na moim udzie. Nie jest zainteresowany.

Zdejmuję tylny panel i wkładam baterię. Włączam telefon, przyglądając się skaczącemu WITAJ, i czekam, aż włączy się ekran. „Nie masz zbyt wiele czasu. Pomyśl, co chcesz zrobić i zrób to”.

Nie chcę do niego dzwonić. Nie jestem na to gotowy. To zbyt wiele jak na jeden raz.

Zamiast tego, zaczynam pisać wiadomość.

Cześć, tato. Tęsknię za tobą.

Wpatruję się w nią przez bardzo długi czas. Czuję, jak ślina Rekruta wsiąka w moje spodnie. Na dworze robi się jeszcze zimniej. Widzę, jak powietrze paruje przy każdym moim oddechu. Zaczynam odliczać, jeden oddech na każdą literę, którą napisałem.

A potem zaczynam kasować.

Cześć, tato. Tęsknię za

Cześć, tato. Tęsknię

Cześć, tato.

Zatrzymuję się. Powinienem wyłączyć telefon, wyjąć baterię i pozbyć się wszystkiego, najlepiej porzucić gdzieś w lesie, gdzie zamoknie od deszczu i zrobi się zwarcie, a wtedy będzie tak, jakbym w ogóle tej komórki nie miał.

Nie potrafię. Nie powinienem tego robić. To jest złe. *Niebezpieczne.*

Ale to jest niczym impuls do zapalenia tamtych zapalek. Tym razem Lanny nie wejdzie i nie nawrzeszczy na mnie, żebym

przestał, zanim spalę cały dom.

Nie ma tu nikogo oprócz Rekruta, który spogląda na mnie smutnymi oczami.

Wciskam guzik „wyślij”.

W chwili, w której to robię, wiem, że postąpiłem źle. Chciałbym móc cofnąć czas. Jest mi niedobrze. Ściskam telefon tak mocno, że jeszcze chwila, a pęknie. „Wyłącz go. Musisz to wyłączyć”. Rekrut patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby wiedział, że jestem zdenerwowany. Podnosi się i siada na zadzie, żeby móc polizać mnie po twarzy. Prawie tego nie czuję, ale obejmuję go ramionami i ściskam mocno.

Popiskuje cicho i wyswobadza się z mojego uścisku. „Zaraz wyłączę telefon i pozbędę się go”, przysięgam sobie w duchu, choć tak naprawdę nie mam pojęcia, komu to obiecuję. Sobie? Lanny? Mamie? Zsuwam tylny panel. Sięgam po baterię.

Ale jest już za późno, ponieważ telefon drży w mojej dłoni.

Puszczam Rekruta, otwieram telefon i gapię się na słowa widoczne na ekranie.

Cześć, synu.

Powinienem go wyrzucić. Wiem, że powinienem. Nie jestem czubkiem.

Jednak samo patrzenie na telefon sprawia, że słyszę jego głos. Czuję, jak ściskał mnie w dobre dni, te dni, kiedy wszystko było jak należy. Nie myślę o pozostałych dniach, o wielu dniach, kiedy tata snuł się po domu jak duch i patrzył na nas jak na obcych ludzi. Czasami całymi dniami się do nas nie odzywał. Czasami w ogóle go nie było. Mama zawsze mówiła, że pracuje, ale widziałem, jak bardzo się martwiła, gdy nie wracał do domu.

Ta wiadomość jest w stylu Dobrego Taty. Czuję się, jakbym

znowu był w domu i już się nie boję, a wszystko wreszcie jest...
bezpieczne.

„Tylko ten jeden raz”, myślę sobie. „Jutro pozbędę się telefonu”.
I tak to się zaczyna.

Rozdział jedenasty

Gwen

Po opuszczeniu magazynu wracamy do kawiarni. Sącząc kolejną kawę, pytam panią za kontuarem o książkę telefoniczną. Kobieta rzuca mi pełne niedowierzania spojrzenie, po czym wygrzebuje z dna szafki poplamioną wodą książkę, która wygląda, jakby miała co najmniej dziesięć lat. Nie mówię, czemu jestem taką troglodytką, a ona, dzięki Bogu, o nic nie pyta.

W spisie znajduję numer telefonu i adres Rivard Luxe.

Przechodzę przez sześć opcji menu „wybierz numer” i wreszcie udaje mi się połączyć z obojętnym, wypranym z emocji głosem operatorki, która ze spokojem informuje mnie, że pan Rivard nie przyjmuje telefonów. Spodziewałam się tego.

– Proszę wysłać mu wiadomość i spytać, czy nie zgubił przypadkiem detektywa, którego zatrudnił kilka miesięcy temu. Jeśli tak, to go znalazłam. Nie żyje.

Zapada krótka cisza, podczas której operatorka analizuje to, co usłyszała, a jej głos już nie brzmi tak spokojnie, gdy odpowiada:

– Przepraszam, powiedziała pani, że *nie żyje*?

– Absolutnie. Oto mój numer telefonu. – Odczytuję go jej. Będę

potem musiała kupić nowy jednorazowy telefon, ale to całkiem zrozumiały kompromis, bo i tak planowałam to zrobić. – Proszę mu przekazać, że ma godzinę, aby do mnie zadzwonić. Później nie będzie takiej możliwości.

– Rozumiem. Pani godność?

– Panna Smith. Jedna godzina. Rozumie pani?

– Tak, panno Smith. Dopilnuję, że wiadomość dotarła bezpośrednio do niego.

Sprawia wrażenie na tyle wytrąconej z równowagi, że jej wierzę. Rozłączam się i patrzę na Sama, unosząc brwi. Kiwa głową. Mamy świadomość, że facet może zrobić mnóstwo rzeczy, wliczając w to poinformowanie policji w Atlancie, więc jesteśmy w pełni przygotowani na wyrzucenie telefonu do śmieci w chwili, w której tylko dostrzeżemy radiowóz. Przyglądamy się wchodzącym i wychodzącym gościom. Nikt nie zwraca na nas uwagi. Jak to zwykle bywa w kawiarniach, głównymi tematami rozmów są szkoła, książki, polityka i religia. Czasami wszystkie naraz.

Dziesięć minut później dzwoni mój telefon.

– Proszę połączyć mnie z panną Smith.

– To ja jestem panna Smith. Kto mówi?

– Ballantine Rivard. – Ma południowy akcent, ale nie z Georgii. To charakterystyczny zaciąg z Luizjany, wyrazisty niczym kremowy sos.

– Skąd mogę mieć pewność, że to pan?

– Nie może pani – mówi, sprawiając wrażenie lekko rozbawionego swoją uwagą. – Ale ponieważ skontaktowała się pani ze mną, przypuszczam, że będzie musiała zaryzykować.

Ma rację. Nie jestem w stanie udowodnić, że rozmawiam z właściwym człowiekiem, ale jaki tak naprawdę mam wybór?

– Chcę porozmawiać o człowieku, którego pan wynajął. Tym, który zaginął.

– Który nie żyje, według pani wcześniejszej rozmowy z panią Yarrow.

– Owszem. Nie żyje. Powiem panu, co wiem, jeśli pan się z nami spotka.

– Gdyby choć trochę pani mnie znała, wiedziałyby, że z nikim się nie spotykam. – Jego głos nadal jest uprzejmy, ale słychać w nim stanowczą nutę. Czuję, że mi się wymyka. – Proszę opowiedzieć swoją historię na policji, panno Smith. Nie dam pani żadnych pieniędzy na plan, który pani sobie uknuła...

– Nie szukam żadnych pieniędzy – przerywam mu. Muszę zaryzykować. – Szukam Absaloma. I wydaje mi się, że pan także.

Zapada głęboka cisza, która zdaje się ciągnąć w nieskończoność, aż w końcu Rivard mówi:

– Przykuła pani moją uwagę. Proszę mówić dalej.

– Nie przez telefon. Przyjedziemy do pana.

Sam przygląda mi się w skupieniu, całkowicie zapomniawszy o kawie. Jest tak samo zaskoczony jak ja, że wielki Ballantine Rivard postanowił do mnie oddzwonić i jeszcze nie odłożył słuchawki.

– Zostaniecie dokładnie przeszukani – wyjaśnia. – I lepiej, żebyście nie marnowali mojego czasu, bo w przeciwnym razie obiecuję, że zostanieie natychmiast aresztowani. Rozumiemy się?

– Tak.

– W takim razie przyjdźcie do budynku Luxe w centrum Atlanty. Zakładam, że jesteście w mieście.

– Tak.

– Jakie są wasze prawdziwe nazwiska? Te na dowodach tożsamości, które pokażecie moim ludziom?

Nie podoba mi się to, ale ma rację. Będę zmuszona pokazać dowód tożsamości.

– Gwen Proctor i Sam Cade.

Dobrze wiem, że jego pracownicy wyszukają nas w internecie w ułamku sekundy, dostarczając mu kompletne dossier z każdym doniesieniem prasowym, jakie tylko zostało napisane o Gwen Proctor i Ginie Royal. Moja teczka z pewnością będzie gruba. Teczka Sama będzie zdecydowanie cieńsza.

Jeśli rozpoznaje moje nazwisko, nie pokazuje tego po sobie.

– Zostawicie wszystko ochronie. Telefony, tablety, komputery, notatki, dokumenty, ubrania. Damy wam tymczasową odzież do noszenia. Jeśli nie zgadzacie się na te warunki, proszę nie przychodzić, pani Proctor. Jeśli tak, widzimy się dokładnie o wpół do drugiej.

Nie mamy zbyt wiele czasu. Zostawiliśmy Lustiga, a raczej to on udał się gdzieś, aby załatwić swoje sprawy. Nie zapytał, co zamierzamy robić do końca dnia. To mógł być błąd z jego strony.

Żegnaj się i rozłączam, po czym kładę telefon na stoliku między nami.

– Zdobyłaś dla nas zaproszenie do Wieży z Kości Słoniowej – mówi Sam. – Dobry Boże.

– Do czego?

– Tak nazywają budynek Luxe – tłumaczy. – Rivard mieszka na jej szczycie już od jakichś dwudziestu lat. Nie opuszczał jej od dłuższego czasu, szczególnie po śmierci syna.

– Jak zmarł jego syn?

– Popęłił samobójstwo – mówi Sam. – Według tabloidów to złamało staremu Rivardowi serce.

– Od kiedy to czytasz tabloidy?

– Jeśli chodzi o najświeższe plotki o celebrytach, nie umiem się oprzeć.

– Nie mnie to oceniać – mówię i po raz pierwszy czuję, jak na moich ustach pojawia się szczery uśmiech. – Więc z naszej dwójki to ty jesteś ekspertem od Rivarda. Jak myślisz, co zrobi na nim

największe wrażenie?

Sam upija łyk kawy.

– Szczerość. Wydaje mi się, że akurat z tym nie będziesz miała problemu.

– Cieszę się, że tak myślisz. Zrobią nam rewizję osobistą – dodaję. Sam dławi się swoją kawą. – No co, jestem szczerą.

Nie jest to rewizja osobista jak w więzieniu w *pełnym* tego słowa znaczeniu – a mam za sobą wiele takich doświadczeń – ale widać, że ludzie Rivarda poważnie podchodzą do wykonywanej przez siebie pracy. Nasze telefony zostają zabrane. Plecak również, wliczając w to mój laptop. Jesteśmy proszeni, aby rozebrać się do bielizny, po czym dają nam do założenia ciemnoniebieskie, welurowe dresy w idealnie dopasowanych rozmiarach, z logiem RIVARD LUXE wyszytym złotą nicią na herbie z przodu. Nie jest to strój stricte biznesowy, ale jestem skłonna się założyć, że dresy są kosmicznie drogie. Do tego dochodzą pasujące do reszty pantofle, które są tak wygodne, że chodzenie w nich przypomina stąpanie po chmurach.

Wjeżdżamy na górę prywatną windą, która wygląda na uratowaną u schyłku złotego wieku i sama w sobie jest dziełem sztuki. Towarzyszy nam pracownik ochrony i wręcza nam plakietki na czarnych sznurach.

– Macie je nosić przez cały czas – instruuje nas. – Trzymajcie się wyznaczonych miejsc. Jeśli przekroczycie ich granice, plakietki uruchomią alarm.

– Skąd mamy wiedzieć, gdzie znajdują się te wyznaczone miejsca?

– Załóżcie, że zanim gdziekolwiek pójdziecie, powinniście najpierw spytać – mówi.

Wygląda jak weteran wojenny, i to dość wysokiej rangi, przyzwyczajony do wydawania poleceń. Zerkam przez ramię i widzę, jak Sam szarpie za zamek błyskawiczny z przodu swojego dresu. Nie jest przyzwyczajony do takich ubrań. Zauważa, że mu się przyglądam, i wzrusza ramionami.

– Czuję się jak rosyjski gangster.

– Nie te buty – wtrąca pan od ochrony, a mnie chce się śmiać. Potem zaczynam się zastanawiać, jak wielu z nich odeskortował tu na górę.

Docieramy do wielkiego, okrągłego holu. Jeden koniec jest ozdobiony witrażem z wielokolorowego szkła, będącym połączeniem współczesności i art deco, przedstawiającym mężczyznę sięgającego ręką ku słońcu. To zachwycające dzieło sztuki ogromnych rozmiarów. Warte pewnie kilka milionów dolarów. Albo dziesięć lub dwadzieścia tysięcy par dresów, które na sobie mamy. Nie jestem pewna, na jakiej zasadzie Rivard liczy pieniądze.

Nasz ochroniarz prowadzi nas przez wielkie, podwójne drzwi do drugiego pokoju, który, jak podejrzewam, istnieje wyłącznie na okoliczności takie jak ta: spotkania z nieznanymi. Jego zadaniem jest imponować. Nie ma tu żadnego biurka, ale pokój zapewnia widok na panoramę miasta, przesłoniętą dzisiaj wiszącymi nisko, pierzastymi chmurami. Trzy wspaniałe sofy stoją ustawione w trójkąt, a w środku znajduje się stolik. Pracownik ochrony zajmuje miejsce pod ścianą i krzyżuje ręce na piersi, sprawiając wrażenie, jakby mógł tak stać przez następne tysiąc lat. Sam i ja czekamy, nie bardzo wiedząc gdzie, i czy w ogóle, możemy usiąść.

Ballantine Rivard zjawia się punktualnie o czasie. Jego wózek inwalidzki to prawdziwy cud inżynierii. Porusza się niemalże bezgłośnie, nie licząc ledwie słyszalnego szurania kół na grubym dywanie. Na żywo wygląda młodziej niż na zdjęciach. Zamienił okulary w czarnych oprawkach na takie ze szklami z lekkim

niebieskim zabarwieniem. Bez oprawek. Przez nie wygląda, jakby miał zaraz wsiąść do bolidu Formuły 1

Jak na ironię – a może i nie – jest ubrany w taki sam dres co my.

– Siadajcie – mówi, posyłając nam neutralny uśmiech. – Gwen Proctor. Samuel Cade. Nie ma potrzeby zachowywać się aż tak oficjalnie.

Nie daję się zwieść przesłodzonemu tonowi jego głosu. Ten facet nie dotarł na szczyt swojej wieży dzięki urokowi osobistemu.

Sam i ja siadamy na sofach, które w dotyku wydają się całkiem nowe. Pewnie niewielu ludzi miało okazję na nich siadać. Jesteśmy rzadkim wyjątkiem, że w ogóle udało się nam tutaj przyjść.

– Napijcie się czegoś?

Nie ogląda się za siebie, ale po chwili, zupełnie jakby dostał znak, wchodzi nienagannie ubrany mężczyzna w szytym na miarę, niebieskim garniturze, niosąc srebrną tacę załadowaną różnymi trunkami. Każdy z nich jest alkoholowy i przekracza moje najśmielsze marzenia.

– Szkocka w zupełności wystarczy – mówi Sam, a ja kiwam głową. Rivard chce być gościnny, więc sączymy drinki z grzeczności.

Oczywiście, szkocka to istne niebo w szklaneczce. Staram się brać płytkie łyczki.

– A teraz przejdźmy do rzeczy – mówi Rivard, dostając własną szklaneczkę, w której mężczyzna w niebieskim garniturze z wprawą zmieszał trzy różne alkohole. – Ponoć jesteście w posiadaniu informacji o tym detektywie.

– Powiemy panu, co wiemy, ale musimy porozmawiać w cztery oczy.

Rivard patrzy mi prosto w oczy przez okulary z niebieskawymi szklami.

– Panie Chivari, panie Dougherty, proszę zostawić nas samych.

Mężczyzna w niebieskim garniturze robi to bez żadnego wahania,

ale ochroniarz mówi:

– Sir, czy nie wolałby pan, abym został...?

– Proszę wyjść, panie Dougherty. Może pan zaczekać tuż za drzwiami. Nic mi nie będzie. – Mięśnie szczęki Rivarda napięły się, a lekki rumieniec zabarwił bladą skórę na jego szyi, choć głos pozostał spokojny. Dougherty posyła nam ostatnie, pełne niezadowolenia spojrzenie, po czym zamyka za sobą drzwi. – W porządku. Jesteśmy sami. Teraz mogę wam odpowiadać bez cenzury. Powiedzcie mi, jak znaleźliście tego człowieka.

– Ma pan na myśli pana Sauera?

W jego oczach pojawia się ulotny błysk, ale co on oznacza – nie mam pojęcia.

– Tak. Gdzie go znaleźliście?

– W opuszczonym magazynie – mówię. Jestem skłonna pozwolić Samowi, aby przejął pałeczkę, ale na razie woli trzymać się na uboczu i obserwować. Chłonać informacje. – Dlaczego go pan zatrudnił?

– Wspomniała pani o Absalomie – odparowuje Rivard. – Proszę wyjaśnić, skąd zna pani to imię.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Oczywiście. Ale najpierw proszę powiedzieć, skąd *pan* je zna.

– Miałem z nim kilka... problemów. Wolałbym nie wchodzić w szczegóły.

– Czy to miało coś wspólnego z pańskim synem? – pyta Sam, a ja odchylam się na oparciu kanapy, pozwalając mu przejąć kontrolę nad rozmową.

Przez chwilę jestem przekonana, że to koniec, że Rivard zaraz wezwie swoich ludzi, aby odprowadzili nas do drzwi... ale on tylko wzdycha i spogląda w dal na spokojny horyzont Atlanty.

– Tak. To miało coś wspólnego z moim synem. – W jego głosie pobrzmiwa smutek oraz frustracja. – Bardzo dużo wspólnego. Jak

zapewne wiecie, kilka miesięcy temu straciłem go z powodu samobójstwa. To moja wina. Niełatwo jest wychować bogate dzieci z dobrym poczuciem moralności. Powinienem był się bardziej postarać, ale to już mój grzech, nie jego. Od lat zmagał się z narkotykami, o czym pewnie też wiecie. Tabloidy opisywały to z wielką uciechą. Stale przebywał w ośrodkach uzależnień... podobnie jak pan, panie Cade. Pan również poddał się w przeszłości hospitalizacji, prawda?

Sam zamyka się w sobie. Widziałam to już wcześniej, tę przemianę, ale w dalszym ciągu jest ona niepokojąca. Wygląda to tak, jakby zamienił się w bryłę szkła, w której tylko oczy pozostały żywe. Nagle skorupa opada, a Sam mówi:

- Byłem hospitalizowany po misji w Afganistanie.
- Nie ma w tym żadnego wstydu, synu. Wielu dobrych ludzi wraca z wojny okaleczonych.

Sam nie daje się nabrać na przesłodzony, protekcyjny ton Rivarda. Spojrzenie ma zimne i beznamiętne.

- Byłem leczony z powodu głębokiej depresji, a ponieważ wspomina pan o tym wyłącznie po to, aby zademonstrować, że poznał naszą przeszłość, to może przejdzie pan od razu do sedna i opowie nam o Melvinie Royalu?

Cieszę się, że Sam przypuścił kontratak. Usłyszenie, jak wypowiada nazwisko mojego byłego męża, jest dla mnie szokiem, ale orzeźwiający. Odzyskaliśmy kontrolę nad sytuacją. Sądząc po nieznacznym grymasie wąskich ust Rivarda, mało go to obchodzi.

- No dobrze. W takim razie porozmawiajmy o niewidzialnym, seryjnym mordercy. Melvin Royal jest na wolności, wszyscy miotają się przerażeni, a jednak ty, *Gino*, się nie ukrywasz. Gdyby ktokolwiek miał ku temu powody, można by przypuszczać, że to ty... chyba, że masz doskonały powód do tego, aby się go nie bać. Co z kolei każe mi przypuszczać, że właśnie stąd dowiedziałaś się

o Absalomie.

– Pieprz się – mówię, a on krzywi się pod wpływem niecenzuralności moich słów. – Myślisz, że współpracuję ze swoim byłym? *Pieprz się*. Mówię serio. – Wstaję z kanapy, odkładam szklankę ze stukiem i kieruję się w stronę drzwi. Rivard gładko zajężdża mi drogę swoim wózkiem, a ja nie jestem na tyle wściekła, żeby uderzyć starego, bogatego faceta przykutego do wózka inwalidzkiego. – Z drogi.

– Chciałem tylko zobaczyć twoją reakcję – mówi spokojnym głosem. – Przepraszam, jeśli poczułaś się urażona.

Patrzę mu prosto w oczy.

– Jeśli poczułam się urażona?! Pieprzyć ciebie i twoją demonstrację siły. Ten chory drań na mnie *poluje*. Poluje na *moje dzieci*. Albo nam pomóż, albo zejź mi z drogi. Czy wyraziłam się wystarczająco jasno?

Sam również wstaje. Słyszę, jak jego szklanka uderza o stolik.

– Nie potrzebujemy cię – mówi do Rivarda. – Idź do diabła.

To nie to samo co „pieprz się”, ale rozumiem to. Pewnie myśli o Mike’u Lustigu i nie chce, aby ta nieoficjalna rozmowa okazała się totalną katastrofą, ale moja cierpliwość się wyczerpała. Płonę z gniewu. *Mały Pomocnik Melvina* miał swój moment w sądzie i prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę komukolwiek, aby znów mi to wypomniał.

Rivard mruga jako pierwszy.

– W porządku – mówi, po czym usuwa swój wózek z drogi. – Możecie wyjść, jeśli chcecie, a ja nie będę was zatrzymywał. Chciałbym jednak przeprosić, panno Proctor. To było nieuprzejme z mojej strony. Musiałem mieć pewność, że nie jesteś... jedną z nich.

– Od Absaloma – mówię, a on kiwa głową. – Czy to właśnie jego pan szukał? To tym zajmował się Sauer?

– Tak. – Bierze głęboki wdech. – Mój syn cierpiał, jak to współcześnie określają, z powodu wody sodowej, która uderzyła mu do głowy. Ja po prostu nazywałem go rozpieszczonym dzieckiem. To doprowadziło do uzależnienia od narkotyków i alkoholu, co wywołało mnóstwo problemów. Wszystkie były nużąco przewidywalne. Banalne. – Odsuwa je od siebie machnięciem ręki. – Absalom wziął go na celownik i był wyjątkowo okrutny w sposobie, w jaki dręczył go w internecie. Bez żadnego powodu. Tylko dlatego, że był łatwym celem. Dla zabawy.

– W jaki sposób go atakowali? – pytam, ale wydaje mi się, że już znam odpowiedź. Upija kolejnego łyka, po czym odstawia szklaneczkę na stoliku obok naszych. To chyba ma oznaczać, że opuszcza ostatnie bariery ochronne.

– Zaczęło się od postów. Jak je nazywają w sieci? Memy. Pewnego dnia obudził się i odkrył, że stał się celem tysięcy żartów. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak bardzo go to zdruzgotało. Nigdy mi o tym nie powiedział. Próbował temu zaradzić, ale to tylko dołało oliwy do ognia. Rzucili się na niego niczym sfora wściekłych psów. Opublikowali w internecie jego dane osobowe. Skradzioną dokumentację z terapii. Każdego dnia posuwali się o krok dalej. Mój syn miał trzyletnią córeczkę. Najpierw twierdzili, że ją molestował, a potem sfałszowali akta, które to udowadniały. Do tego doszły zdjęcia. Opublikowali te... straszne nagrania... – Rivarda zawodzi głos i po raz pierwszy jest mi go szkoda. Znam tę historię. Przeżyłam to samo.

Chrząka dyskretnie.

– Najgorsze było to, że ludzie uwierzyli. Powstały strony internetowe, na których go prześladowano. Policja wszczęła śledztwo w sprawie molestowania. To było kłamstwo, a sprawa została oddalona, ale to wcale nie powstrzymało nagonki. Pojawiły się tony okropnych listów. Faksów. Telefonów. On nie mógł... nie

mógł przed nimi uciec. Po jakimś czasie przestał widzieć sens w tym, aby w ogóle próbować. – Mętne oczy Rivarda nagle skupiają się na mnie. – *Ty to rozumiesz. Wiem, że tak, biorąc pod uwagę to, co ci zrobiono.*

Kiwam powoli głową. Od dnia, w którym została ujawniona sala tortur Melvina, moje dzieci i ja zostaliśmy wzięci na celownik. Człowiek nie rozumie, jak bardzo jest bezbronny w czasach mediów społecznościowych, dopóki nie rozpęta się jakieś piekło, a potem... jest już za późno. Możesz zamknąć konto na Facebooku, Twitterze i Instagramie, zmienić numer telefonu, adres e-mail, przenieść się z miejsca na miejsce, ale dla fanatycznych prześladowców to nie stanowi żadnej bariery. To wyzwanie. Oni uwielbiają trafić w czyjeś czułe punkty. Nie obchodzi ich, czy ciosy dotrą do celu, a sytuacja zaczyna przypominać konkurs, komu uda się opublikować najbardziej szokujący, upokarzający materiał. Fala nienawiści bierze się znikąd i jest jak trucizna sącząca się z ekranu prosto do twojego umysłu.

Nie trzeba wiele typowego dla Absaloma znęcania się, aby podkopać czyjeś poczucie równowagi, pewność siebie i zaufanie pokładane w bliskich. Gdy twoi wrogowie są anonimowi, są dosłownie wszędzie. Paranoja staje się rzeczywistością. W każdej chwili, nawet w tym momencie, mogę zalogować się do sieci i natknąć się na morze nienawiści wymierzonej we mnie i dzieci. Mogę obserwować to tu i teraz. To samonapędzająca się spirala przemocy.

Mogę zatem wykazać zrozumienie dla bezradności, którą odczuwał syn Ballantine'a Rivarda. Bywały dni, kiedy skończenie ze sobą wydawało mi się jednym sposobem na uwolnienie z pułapki. Przetrwałam to, ledwie. On nie. To nie jest sprawiedliwe ani słuszne, lecz przerażająco ludzkie, ten sposób, w jaki rozszarpujemy się wzajemnie na strzępy.

– Przykro mi z powodu tego, co przeszedł – mówię Rivardowi. Odczekuję krótką chwilę, po czym wracam do tematu. – W jaki sposób się zabił?

Spojrzenie Rivarda staje się nieobecne.

– Skoczył z tego wieżowca. Miał tutaj apartament. Szkło było grube, musiał się mocno wysilić, aby je zbić. Chyba posłużył się w tym celu marmurowym popiersiem. A potem skoczył. Dwadzieścia osiem pięter w dół.

Moim jednym komentarzem jest pełne szacunku milczenie.

– A po jego śmierci... zatrudnił pan detektywa, aby wyszedł ludzi, którzy go do tego zmusili? – ciągnę.

– Nie. Zatrudniłem pana Sauera dużo wcześniej, aby odkrył, kto doprowadza mojego syna na skraj wytrzymałości psychicznej. Jednak pan Sauer zniknął na chwilę przed samobójstwem. – Stuka niespokojnie dłońmi o podłokietniki wózka. Ścisza je tak mocno, że prawie słyszę chrzęst jego kłykci.

Powoli zaczynamy docierać do sedna.

– Zdawał panu regularne raporty? Przekazywał informacje?

– Trochę. Nie tak dużo, na ile liczyłem. W dniu swojego zniknięcia miał wrócić do mnie z większą ilością szczegółów. Teraz nadeszła pora, abyście wyjaśnili, jak dokładnie ustaliliście położenie mojego zaginionego pracownika.

Mówimy mu o wszystkim, pomijając udział agenta Lustiga, ale wspominamy o nagraniu, które odzyskaliśmy – choć nie zdradzamy ani słowem, gdzie je znaleźliśmy. Mike Lustig jest w posiadaniu pendrive'a, ale Sam przedsięwziął środki ostrożności i skopiował je do chmury. Proponuje Rivardowi odtworzenie nagrania. Rivard udostępnia laptop, a Sam podaje mu link. Nie oglądam filmu. Staram się nie słuchać, ale słyszę moment, w którym Sauer podaje nazwisko *Rivard*.

Rivard pauzuje wideo. Przez chwilę wszyscy milczymy, a potem

Sam mówi:

- Rozpoznaje pan kogoś? Czyjś głos?
- Nie – odpowiada Rivard. Wygląda na zgaszonego i zamyślonego.
- Znaleźliście tam jego ciało?

– Tak.

– Czy znaleźliście coś jeszcze? Jakieś wskazówki?

– Tylko jego portfel. Wszystko jest już w rękach policji.

Rozważam napomknięcie o FBI, ale rezygnuję z tego.

– Czy przekaże nam pan wszystkie informacje na temat Absaloma, jakie pan posiada? – pyta Sam. Moim pierwszym odruchem byłoby ich zażądać, ale Sam ma rację. Poczucie uprzywilejowania Rivarda reaguje lepiej na uprzejmość. Niech będzie. Moje ego nie jest zagrożone. – Panie Rivard, wiem, że może pan zatrudnić setkę detektywów, ale my jesteśmy pod ręką. Zaangażowaliśmy się w tę sprawę i będziemy rozwiązywać ją dalej z pańskim udziałem lub bez, więc równie dobrze może pan do nas dołączyć, nie sądzi pan?

– Proponujecie mi współpracę. – Zerka na mnie z ukosa, po czym wraca spojrzeniem do Sama. – Zdajecie sobie sprawę, że jestem osobą publiczną. Musiałbym was poprosić, abyście w żadnym razie nie wspominali o moim udziale w tej sprawie. W ramach pomocy mogę wam jednak użyć odpowiednich środków. Będziecie mnie informowali o przebiegu odkryć?

– Tak – zgadza się Sam. – Na każdym kroku.

Sprawia wrażenie absolutnie godnego zaufania. Z drugiej strony, okłamywał mnie skutecznie przez dość długi czas. Kiedy zachodzi taka konieczność, jest świetny w zwodzeniu przeciwnika.

Rivard bierze to za dobrą monetę.

– W porządku. Podał mi kilka nazwisk. Większość rekrutów Absaloma to jeszcze dzieci, piętnasto- i szesnastoletnie. Socjopaci, ale zbyt młodzi, żeby ponieść odpowiedzialność karną. To

uczniowie, na pewno nie przywódcy. Z osób dorosłych, które pan Sauer zdołał namierzyć, dwie już nie żyły, gdy udało mu się ustalić ich tożsamości. – Rivard bierze głęboki wdech. – Przekazał mi tę informację rano, w dniu zniknięcia, ale liczyłem na więcej. Powiedział, że się ze mną skontaktuje. Nie zrobił tego.

Staram się mówić cichym głosem. Łagodnym. Bardziej kobiecym, co Rivard zdaje się bardziej lubić.

– Poda nam pan ostatnie nazwisko, które przekazał panu Sauer?
– pytam ostrożnie, przyciszonym głosem. Nie patrzę bezpośrednio na niego z obawy przed tym, że znowu go sprowokuję.

Rivard zastanawia się przez długi czas. Słysząc dyskretne pukanie do drzwi. Uchylają się odrobinę, a do środka zagląda mężczyzna w niebieskim garniturze.

– Sir, zbliża się pora na leki.

– Wiem. Chwileczkę, panie Chivari.

Chivari czeka przy drzwiach. Rivard przez chwilę stuka w milczeniu na klawiaturze.

– Ostatnie nazwisko, które przekazał mi pan Sauer, to Carl David Suffolk – mówi prawie roztargnionym tonem, wciskając klawisze. – Mieszka w Wichicie w Kansas. To chyba pani dawne strony, panno Proctor. Pozostawiam namierzenie go w waszych rękach. No dobrze, gotowe. Sądzę, że jest jeszcze jedna rzecz, którą powinniście zobaczyć.

Odwraca komputer ekranem w naszą stronę. Zerkam na jego twarz, a potem w monitor, a Sam pochyla się do przodu. Spodziewam się zobaczyć coś dotyczącego Carla Davida Suffolka, ale on zadaje mi cios z zaskoczenia, a ja nawet się tego nie spodziewam.

Rozpoznaję dom uwiecznionym na nagraniu. Jest... mój. Sekundę zajmuje mi zrozumienie tego, co się dzieje. Mam wrażenie, jakbym unosiła się poza swoim ciałem. „Ktoś musiał naprawić nasz garaż”,

myślę przez chwilę, ale to idiotyzm. Garaż nigdy nie został naprawiony po uderzeniu wraku samochodu, który rozwalił ceglaną ścianę i sprawił, że sekrety mojego męża wyszły na jaw. Dom został zburzony, a na jego miejscu powstał park. Byłam w nim.

Na nagraniu widać jednak nasz *dawny dom*, jeszcze zanim świat dowiedział się, kim byliśmy i czym był Melvin.

Nie wiem, na co właściwie patrzę, więc szybko zerkam na Rivarda.

– Jeszcze chwila – mówi.

Nagranie jest nieco toporne, ale bardzo wyraźne. Jest noc, a lampy ochronne zainstalowane wokół dachu naszego domu – pod naciskiem Melvina – są w tej chwili wyłączone. Pamiętam, że włączały się dzięki czujnikowi ruchu. Przy krawężniku stoi latarnia rzucająca bezlitosny blask na ścianę domu i dom sąsiada. Pamiętam, jak bardzo się natrudziłam, żeby znaleźć zaciemniające zasłony, które Melvin tak lubił, ponieważ nienawidził spać w pokoju, w którym nie było idealnie ciemno, i...

W kadrze widzę nadjeżdżającego SUV-a. Reflektory wyłączają się, a samochód sunie bezszelestnie przez podjazd do naszego domu.

To nasz stary minivan. Mam żywe wspomnienie przebywania w tym pojeździe, siedzenia za jego kółkiem w dniu, w którym wszystko się popsuło. Znow ogarnia mnie znajome uczucie, jakby świat przewracał się do góry nogami. Nie wiem, dlaczego Rivard mi to pokazuje, ale zaczynam się bać.

Minivan uruchamia lampę z czujnikiem ruchu na tyłach domu. Osoba filmująca porusza się dość nerwowo i ustawia kamerę pod takim kątem, że widać podjazd, gdy samochód zatrzymuje się pod znajdującą się na końcu wiatą. Pod kopułą jest ciemno. Światła stopu błyskają, po czym gasną, a gdy otwierają się drzwi auta, kadr zostaje przybliżony w zoomie i przez chwilę skacze bezładnie, po

czym zatrzymuje się na osobie wysiadającej od strony kierowcy.

Jest nią Melvin. Wygląda młodziej, niż kiedy widziałam go po raz ostatni. Niesamowicie rzeczywiście. Rozgląda się wkoło. „Wygląda tak normalnie”, myślę sobie. „Jak normalny mężczyzna w koszuli w kratę i w dzinsach. Jak zwyczajny potwór”.

Wtedy też dociera do mnie, że ktoś wysiada z samochodu od strony pasażera, a tym kimś jestem ja.

Nie. To Gina Royal.

Wygląda inaczej niż ja. Włosy ma dłuższe, kręcone i starannie ułożone. Jest ubrana w sukienkę (*zawsze podobałam mu się w sukienkach*), która w przytłumionym świetle wygląda na jasnobłękitną. Nie pamiętam, żebym taką miała, ale jest mi niedobrze, gdy patrzę na Ginę, na osobę, którą kiedyś byłam. Idzie z pochyloną głową. Ma zgarbione ramiona. Nigdy nie uważałam się za maltretowaną żonę. Nie dostrzegałam sposobu, w jaki mnie kontrolował, dręczył, manipulował moim życiem. Gdy patrzę na kobietę, którą byłam, to wszystko jest dla mnie jasne jak słońce. Mam wrażenie, jakbym zobaczyła ducha.

Melvin otwiera drzwi od bagażnika i mówi coś. Gina przechodzi na tył, a mnie nachodzi przedziwne, obce poczucie nierzeczywistości.

Co ja właściwie oglądam? Nie pamiętam tego. Ani trochę.

Melvin sięga do środka i coś stamtąd wysuwa.

To kobieta. Bezwładna, nieprzytomna kobieta. Jej długie włosy kołyszą się, gdy bierze ją pod pachy, a Gina Royal chwytą ją za stopy. Młoda kobieta ma na sobie szary top, niebieskie spodenki i buty do biegania, a Gina zaciska dłonie wokół jej kostek. Prawie upuszcza ją na ziemię, gdy próbuje zatrzasnąć drzwi minivana.

Jestem jak sparaliżowana. Odjęło mi mowę. Jestem oszołomiona poczuciem totalnej *niesprawiedliwości*.

Nie zrobiłam tego.

To się nigdy nie wydarzyło.

A mimo to rozpoznaję dom. Samochód. Melvina. Siebie. Lampy z czujnikami ruchu, które włączają się, gdy pomagam Melvinowi Royalowi *wnieść ofiarę do naszego domu*.

Paraliż ustępuje, gdy światło pada na twarz kobiety, którą nie-ja pomaga wnieść do środka, a do moich uszu dociera jęk Sama – przenikliwy, niski dźwięk, tak jakby ktoś wyrwał mu go z piersi. To jego siostra. Callie.

„To niemożliwe”, myślę. Kręci mi się w głowie, a wszystko jest nie tak. To nie ja. To nigdy nie byłam ja.

Nagranie dobiega końca.

Rivard zamyka laptop i podaje go asystentowi, kiwając głową w podziękowaniu.

Chce mi się krzyczeć. Mam ochotę udusić drania. Zwymiotować. Jednak zamiast tego siedzę jak skamieniała, czekając, aż świat znów nabierze sensu. *Czy to możliwe?* Nie. Nie, pamiętałabym. Wiedziałabym. Nie pamiętam ani jednej z tych rzeczy.

Nie jestem Małym Pomocnikiem Melvina.

W końcu oblizuję wyschnięte usta i mówię:

– To nie ja. – Mój głos jest słaby i brzmi jak nie mój. – To nie ja. – Jest mi zimno i czuję się samotna. Mam wrażenie, jakbym zapadała się do środka Ziemi.

– To była moja siostra – mówi Sam. – To była Callie... – W odróżnieniu ode mnie, ton głosu Sama wcale nie jest zimny. Wręcz przeciwnie, aż *wrze* od ledwie kontrolowanego gniewu. Czuję, jak sofa przesuwa się po podłodze, gdy zrywa się na równe nogi i odchodzi wielkimi krokami. Nie odwracam się, by na niego spojrzeć, ponieważ nie jestem w stanie. W tej chwili nie mogę patrzeć na jego przerażenie i wstręt. Blade oczy Rivarda śledzą jego ruchy. – Czy to autentyk?

– Nie – mówię. – Nie może nim być. Ja tego nie zrobiłam. Sam,

ja...

– *Czy to autentyk?!* – krzyczy schrypniętym, straszliwym głosem. Mimo iż pytanie nie jest skierowane do mnie, nadal się wzdragam. Mówi do Rivarda. Gdybym choć trochę się obróciła, mogłabym dostrzec twarz Sama. Nie robię tego jednak. Nie mogę patrzeć.

– Nie, nie wydaje mi się, aby nim był – odpowiada spokojnym głosem Rivard. – Sądzę, że to szczyt ich możliwości w fałszowaniu dowodów. Powinniście mieć jednak świadomość, że to zrecznie spreparowane nagranie krąży w szarym internecie. Jak na razie niewielu ludzi je widziało, a jeszcze mniej rozumie jego prawdziwe znaczenie. – Rivard aktywuje przyciski na swoim eleganckim, drogim wózku inwalidzkim, a za jego plecami otwierają się wielkie, podwójne drzwi. Po jednej stronie stoi Chivari. Człowiek z ochrony, Dougherty, po drugiej. Siedzę i obserwuję, nie bardzo wiedząc, co mam teraz zrobić, gdy Rivard zatacza swoim wózkiem półkole. Zatrzymuje się i powoli obraca go wokół własnej osi, aby móc spojrzeć mi w oczy. – Pan Sauer odkrył, że jednym z głównych źródeł dochodów Absaloma jest preparowanie i sprzedaż rozmaitych fałszywych dowodów... takich jak sfałszowane nagranie molestowania, które wykorzystali przeciwko mojemu synowi. Gdy dziś pani do mnie zadzwoniła, kupiłem od nich to wyjątkowo udane, sfabrykowane dzieło.

– Pan... *je kupił?* – Nie wiem, co się dzieje. Jest mi zimno i niedobrze. – Po co miałyby pan to robić?

– Powinienem raczej powiedzieć, że kupiłem *kopię*. Wierzę w posiadanie przewagi nad tymi, których nie znam, a nie znam pani, panno Proctor. Ani pana, panie Cade. Absalom najwyraźniej stworzył to nagranie w konkretnym celu, aby zdyskredytować panią, gdyby kiedykolwiek postanowiła pani z nimi walczyć. Mogę ich powstrzymać propozycją natychmiastowego kupna filmu i usunięcia go z rynku. Cena jest kolosalna, ale jeśli będziecie ze

mną współpracować, zapłacę ją i zapewnię wam bezpieczeństwo. W zamian za to *moja* cena jest następująca: pojedźcie do Carla Davida Suffolka i przekazcie mu, że chcę z nim porozmawiać. Powiedzcie, że jestem skłonny zaoferować mu ogromną sumę pieniędzy w tym celu. Dam wam zapieczętowaną wiadomość omawiającą warunki wypłaty, którą mu przekazecie. Jestem pewien, że to zachęci go do tego, aby z wami wrócić.

– Dlaczego? Co zamierza pan z nim zrobić?

– Jeśli to doprowadzi was do reszty organizacji i pani byłego męża, to co to panią właściwie obchodzi? To zrozumiałe, że potrzebujecie trochę czasu. Pan Dougherty odprowadzi was na dół, gdy będziecie gotowi. Do widzenia, panno Proctor. Panie Cade.

Nie chcę, żeby wyszedł. Nie chcę, żeby te drzwi się zamknęły. Nie chcę zostać tu sama, w ciszy, z Samem.

Pole minowe, do którego wcześniej dotarliśmy, którego nie odważyliśmy się przekroczyć, poszerzyło się o kilometry śmiertelnych pułapek, a ja boję się choćby na niego spojrzeć. Siedzę oparta o oparcie kanapy i czekam, aż coś powie. Nie robi tego. Cisza jest nieznośna.

– Sam, ja... – mówię w końcu.

– Powinniśmy już iść. – Słowa są niczym żelazna sztaba uderzająca mnie prosto w brzuch. Nie mogę złapać tchu. – Powinniśmy znaleźć Suffolka. Jeśli ktokolwiek zobaczy to nagranie, jesteście skończona.

Chcę mu powiedzieć, że tego nie zrobiłam, że nigdy nie widziałam żadnej z ofiar Melvina, że *nigdy, przenigdy* bym mu nie pomogła. Brzmi to jednak słabo, a co gorsza, brzmi jak kłamstwo. Nawet moja własna pewność siebie została zachwiana po tym, co zobaczyłam na ekranie. Rzeczywistość wokół mnie uległa całkowitemu zniekształceniu. A ja sama nie wiem już, co jest prawdą, a co kłamstwem.

Sam mija mnie w drodze do drzwi. Nie patrzy na mnie.
Idę w ślad za nim.

Rozdział dwunasty

Sam

Nie mogę na nią patrzeć. Na Gwen. Ginę. Na *nią*. Po wszystkich potwornościach, które widzieliśmy, wydawało mi się, że ją znam. Myślałem, że była... kimś, komu mogę ufać.

W tej chwili samo siedzenie z nią w samochodzie jest trudne do zniesienia. Mam ochotę wrzeszczeć, uruchomić siedzenie katapulty i *uciec stąd, gdzie pieprz rośnie*, bo wszystko jest zatrute, toksyczne i złe. Widok twarzy Callie zrujnował mój świat. Ostatni raz widziałem ją w trakcie rozmowy na Skypie. Byłem w Afganistanie i szykowałem się do wylotu na misję. Była podekscytowana czymś przyziemnym – nową pracą, którą właśnie dostała. Pracą, której rozpoczęcia nawet nie dożyła. Od wielu lat nie miałem kontaktu ze swoją siostrą. Po śmierci rodziców zostaliśmy rozdzieleni i adoptowani do dwóch różnych domów. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, aż do czasu oddelegowania za granicę. W prawdziwym życiu nie zobaczyłem jej ani razu, tylko na ekranie komputera.

To był kolejny jej obraz, niczym światło z wygasłej gwiazdy, i nagle przypominam sobie sposób, w jaki jej usta układały się w uśmiechu, jak oczy jej błyszczały, gdy się śmiała, że miała kota

imieniem Frodo, i mam ochotę zabić kobietę, która siedzi obok mnie pogrążona w całkowitym milczeniu. Tę, której wcale nie znam.

Znowu mamy na sobie nasze ubrania. Dresy Rivard Luxe zostały w przymierzalni. Dostaliśmy z powrotem nasze plecaki, broń i telefony. Powinniśmy wrócić do normalności. Jesteśmy jednak dalecy od wszystkiego, co normalne.

Wszystko mnie boli, jestem wyczerpany i zraniony. Zostawiliśmy wynajęty samochód – szef ochrony Rivarda zagwarantował, że zostanie nam zwrócony wraz z opłaconymi kosztami za ewentualne zniszczenia – i jedziemy służbowym samochodem z logiem Rivarda, kierując się na lotnisko. Ale nie do wielkiego molocha Hartsfield, tylko mniejszego, bardziej ekskluzywnego DeKalb-Peachtree. To miejsce, w którym bogacze z Atlanty trzymają swoje odrzutowce i helikoptery. Przez chwilę znowu tęsknię za lataniem, za wspaniałą, nieograniczoną wolnością towarzyszącą unoszeniu się pod nieboskłon. Bycie pasażerem zamkniętym w szczelnej kabinie to już nie to samo.

„Mogę się z tego wypisać”, myślę. To dla mnie całkiem jasne. „Mógłbym wysiąść na najbliższych światłach, złapać taksówkę, wsiąść do samolotu i udać się wszędzie, byle nie tu. Nie jestem jej nic winien. Rivard nie może mi nic zrobić”. Widok nieprzytomnej twarzy Callie, świadomość tego, co się z nią stanie w ciągu następnych godzin lub dni... unicestwiło jakąś część mnie. Myślałem, że jestem od tego silniejszy. Myliłem się.

Jedyną rzeczą, która sprawia, że na następnym skrzyżowaniu ogarnia mnie wahanie, jest fakt, że wypiąłbym się nie tylko na Gwen. Są jeszcze jej dzieci – niewinne dzieciaki, które nigdy nie zrobiły niczego złego, które miały za ojca mordercę i nie zasługują na to, żeby zostać rozerwanymi na strzępy przez wilki, które rzucają się za nimi w pościg. Jeśli to nagranie ujrzy światło dzienne, Gwen

nie będzie bezpieczna, już nigdy i nigdzie. A jej dzieci będą tak samo narażone na niebezpieczeństwo jak ona. Wracam myślami do Connora, cichego introwertyka, który wyszedł ze swojej skorupy, gdy razem godzinami przybijaliśmy dachówki do ich domu w Stillhouse Lake. Myślę o Lanny, inteligentnej, upartej dziewczynie, która pod swoją zbroją ukrywa rany. To odważne dzieci. Dobrze.

„Nie jesteś ich wybawcą”, mówię sobie w duchu. „Nie jesteś im nic winien”. To prawda. Jedyne, czego chcę, to znów poczuć wewnętrzny spokój. Gdy zacząłem to wszystko, myślałem, że zemsta mi to zapewni. Potem pomyślałem, że znajdę coś na kształt spokoju bez płacenia tej potwornej ceny.

A teraz już sam nie wiem. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek odzyskam spokój.

Nie zwracałem uwagi na drogę, ale zostaję wyrwany ze swoich mrocznych myśli w momencie, w którym samochód zwalnia przy bramce. Jesteśmy na lotnisku. Chwilę później wychodzimy na jego płytę. Jestem obeznany z takimi małymi halami jak ta. Gdy byłem nastolatkiem, włóczyłem się po jednej z nich, pomagając przy naprawach i konserwacji tylko po to, aby móc przebywać wśród samolotów. Gdy byłem wystarczająco dorosły, zacząłem budować silniki. Potem nauczyłem się latać. To miejsce nieoczekiwanie przypomina mi dom.

To odrobina normalności, która pojawia się akurat w chwili, w której jej potrzebuję.

W końcu mam odwagę spojrzeć na Gwen. Twarz ma gładką i bladą niczym marmur, ale uderza mnie widok śladów łez na jej policzkach. Na kołnierzu koszuli ma dwie mokre plamy. Płakała bezgłośnie, a to rzadka oznaka słabości z jej strony. Jeśli wyczuwa, że się jej przyglądam, nie reaguje. Patrzy prosto przed siebie, ze wzrokiem – sądząc po wyrazie jej twarzy – utkwionym w dawnych

koszmarach.

W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek przypomina Ginę Royal. Cała determinacja i zażarta, z trudem wypracowana pewność siebie Gwen znikają.

Samochód zatrzymuje się w prywatnym hangarze. Wsiadam. Biorę głęboki wdech powietrza przesyconego ostrym, drażniącym nos zapachem paliwa lotniczego i smaru. Znów nachodzi mnie ta dzika ochota, aby odwrócić się plecami, odejść, pozwolić mojej długo pielęgnowanej wściekłości wyparować w chłodnym powietrzu, i *zacząć od nowa*. Tamto nagranie postawiło wszystko pod znakiem zapytania. Wszystko, co sądziłem, że wiem o Gwen i o sobie samym.

Słyszac drzwi otwierajace się po jej stronie i odwracajac się, aby na nią spojrzeć, uświadamiam sobie jednak, że Gwen przechodzi przez ten sam kryzys, tyle że jej musi sięgać o wiele głębiej. Aż do szpiku kości. Wygląda, jakby zajrzała prosto do piekła, a ono odwzajemniło jej spojrzenie.

– Powinieneś pójść gdzieś indziej – mówi. – Nie możesz mi ufać, Sam. Nie dziwię ci się. Ja też nie wiedziałabym, co o tym myśleć.

– Okłamywałaś mnie? – pytam ją wprost. – Pomagałaś mu?

Kręci gwałtownie głową, jeszcze zanim pierwsze słowa rozchodzą się w powietrzu.

– Nie. Nie! Nie wiem, co to było, ale... *nie!* – Głos ma rozedrgany, ale stanowczy. Bierze głęboki oddech i ze złością wyciera łzy z policzków. – Zamierzam znaleźć Suffolka. Idziesz czy nie?

Oglądam się przez ramię na ekskluzywny, prywatny samolot, który na nas czeka, i na stojącego przy nim pilota w uniformie.

– Na razie tak – mówię.

Wcale nie jestem zaskoczony faktem, że wystrój odrzutowca jest wykonany na zamówienie z najlepszej jakości materiałów – ma skórzane, rozkładane fotele, stoliki z polerowanego drewna i oryginalne dzieła sztuki na ścianach. Rivard nie nazwał swojej firmy Rivard Luxe na darmo. Oczywiście jest, że lubi komfort i wygodę. Samolot mieści maksymalnie dwunastu pasażerów. Jest sześć foteli i dwie, stojące naprzeciwko siebie sofy mogące spokojnie pomieścić kolejne sześć osób. Pilot znika po przekazaniu nam informacji o czasie lotu. Inny umundurowany pracownik z hangaru skanuje nasze dowody tożsamości w razie nagłego wypadku i życzy nam udanej podróży. Potem stewardesa, co do której jestem prawie pewien, że to słynna modelka, wsiada na pokład i prezentuje nam menu. Do wyboru mamy steki z Bone's albo dowolnie przez nas skomponowany lunch z Cake & Ale, wraz z deserem z Alon's Bakery. Nie pochodzę z Atlanty, ale stacjonowałem wystarczająco blisko, by poznać topowe restauracje.

Zamawiam stek. Gwen kręci głową. Zatrzymuję ręką stewardesę i mówię:

– Proszę jej coś przynieść. Ona musi jeść.

„Tu wcale nie chodzi o troskę”, mówię sobie w duchu. Po prostu na nic mi się nie przyda, jeśli zemdleje. Oboje jedziemy w tej chwili na adrenalinie, wściekłości i szoku – cóż, szczerze powiedziawszy, w moim przypadku jest to głównie wściekłość – a to kiepski sposób na pakowanie się w sytuację, która prawdopodobnie okaże się niebezpieczna. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że Rivard wysłał nas, bo akurat byliśmy pod ręką. Mógł – i pewnie to zrobił – wynająć innych, aby wykonali to zadanie.

Wysłał nas, ponieważ jesteśmy zbędni. Koszt najlepszego na świecie jedzenia i paliwa, dzięki któremu znajdziemy się na miejscu, jest dla niego ekwiwalentem kupienia nam kawy.

Dzwoni mój telefon. Wzdragam się tak mocno, że mógłbym

naciągnąć sobie mięsień. Jestem zbyt spięty. Nienawidzę faktu, że Gwen to zauważyła.

– Słucham.

– Pomyślałem, że będziecie chcieli o tym wiedzieć. Melvin Royal był widziany w Teksasie. – Po drugiej stronie słuchawki słysząc głos Mike'a Lustiga. – Nadal jesteście w Atlancie?

– Właśnie wyjeżdżamy – mówię, co przynajmniej jest prawdą. – Sądysz, że to wiarygodne informacje?

– Cholera, nie wiemy nic konkretnego, dopóki nie zdobędziemy zdjęć z monitoringu, odcisków palców albo śladów DNA – mówi. – Sęk w tym, że w Teksasie znaleźliśmy ciało o podobnym profilu, pasujące do raportów pod względem geograficznym. To może być jego robota.

Spoglądam na Gwen. Nie mogę oprzeć się instynktowi. Wie, że rozmawiam z Mikiem, ale nie wie o czym. Jeszcze wczoraj pewnie by o to zapytała.

Dzisiaj, z unoszącym się między nami wspomnieniem tego, co właśnie się wydarzyło, nie mówi nic i odwraca wzrok.

– Hej, Sam, jesteś tam? Masz jakieś powody, aby przypuszczać, że Royal ma w Teksasie jakieś wsparcie? Konkretnie we wschodniej części stanu, blisko granicy z Luizjaną?

– Nie bardzo.

– Możesz ją zapytać?

– Nie w tej chwili. Czy do zdarzenia doszło niedawno?

– Tak. Dziewczyna została porwana jakieś sześć dni temu. Zwłoki porzucono na bagnach. Znalaziono ją, bo aligator odgryzł nogę, która była przykuta łańcuchem do betonowego bloku. Myśliwi, którzy ją zauważyli, są w niezłym szoku. Ostatni raz widziano ją żywą w centrum handlowym. Jej eks lubił porywać kobiety z miejsc takich jak to, prawda?

Callie została porwana właśnie z parkingu lokalnego centrum

handlowego. Nie mówię ani słowa. Mike zna sposób działania Melvina tak samo dobrze jak ja.

– Ta ofiara miała na ciele ślady od paralizatora – ciągnie Mike. – Takie same jak u większości jego ofiar. To cecha wspólna. Jednak Teksas leży znacznie dalej od reszty miejsc, z których otrzymaliśmy pozostałe raporty. Wydaje mi się, że to zmyłka. Nie chcę przez to powiedzieć, że się tym nie zajmujemy, bo zajmujemy. – Milczy przez chwilę, czekając, aż coś odpowiem. Nie robię tego. – Brzmisz jakoś dziwnie. Wszystko w porządku?

– Jasne. Zastanawiałem się nad czymś. Rozmawiałeś z Ballantinem Rivardem?

– Dzwoniłem. Jest niedostępny, jak zwykle. Mam przeczucie, że będę musiał zdobyć nakaz sądowy, aby otworzyć perłowe wrota do tej jego wieży.

– Niech ci się nie zdaje, że cokolwiek uzyskasz, nawet jeśli uda ci się wejść do środka.

– Pewnie nie, ale bez przerwy mam do czynienia z bogatymi socjopatycznymi dupkami. Sprawdziłem go: typowe procesy sądowe o niedopłaty, nielegalne zwolnienia, łamanie warunków umów i tym podobne. Nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek osoba prowadząca własny interes miała czystsze ręce. Mimo to, jego syn okazał się totalnym popaprańcem.

– Tak, wiem. – Rozprasza mnie ponowne pojawienie się stewardesy z wózkiem. Jest załadowany niedorzecznie drogimi trunkami. – Muszę kończyć. Uważaj na siebie, Mike.

– Ty również. Chyba nie masz zamiaru zrobić jakiejś głupoty, co?

– Niczego nie obiecuję – odpowiadam i się rozłączam.

Zamawiam kolejną szkocką.

Gwen pozostaje przy wodzie. Bez lodu. Podejrzewam, że smak szkockiej kojarzy jej się teraz ze wspomnieniem tamtego nagrania, a gdy się nad tym zastanawiam, bogaty posmak w moich ustach

nabiera nieco kwaśnej nuty. Wypijam wszystko jednym haustem i oddaję szklanekę.

Stewardesa posyła mi uśmiech pozbawiony jakiegokolwiek autentycznego ciepła i wkłada rękę pod wózek, aby wyjąć stamtąd zaklejoną brązową kopertę, którą mi podaje.

– Od pana Rivarda – mówi. – Z wyrazami uznania.

Odjeżdża wózkiem, a ja zerkam z ukosa na Gwen.

– Chyba darzy cię większą sympatią – mówi, sącząc swoją wodę.

W kopercie znajduje się teczka z dokumentami. Jest pełna kserokopii. Oglądam pobieżnie każdą ze stron, po czym przekazuję całość Gwen. Prawo jazdy Carla Davida Suffolka, choć wydrukowane w kolorze, nie sprawia, że wygląda korzystnie: jest opuchniętym, bladym mężczyzną z zakolami, który postanowił zapuścić kozią bródkę, żeby zakryć obwisły podbródek. Pod stroną z prawem jazdy są jego dane osobowe: kawaler, bez dzieci. Wyciąg z konta, które jest dość zasobne, ale nie robi specjalnego wrażenia.

Następna strona to kserokopia jego legitymacji pracowniczej, na której prezentuje się jeszcze mniej ujmująco. Pracuje w miejscu o nazwie Imaging Solutions – punkcie ksero, drukarni czy czymś w tym stylu. Reszta to spis numerów telefonów, pod które regularnie dzwonił i wysyłał wiadomości. Większość ma obok przypisane nazwiska oraz adresy. Kilka nie, co oznacza, że zostały wykonane z jednorazowych telefonów. Rivard załączył również listę nazw użytkownika, którymi posługuje się Suffolk, wraz ze spisem konkretnych stron internetowych, z którymi są powiązane. Większość nie budzi żadnych podejrzeń.

Kilka z nich sprawia, że włoski stają mi dęba na karku. Suffolk odwiedza czaty, na których rozmawiają ze sobą głównie dzieci i nastolatki. W przypadku osoby w jego wieku, i w dodatku bez dzieci, to jawny sygnał ostrzegawczy.

Na samym dnie teczeki spoczywa odręcznie napisany liścik

o następującej treści:

W tej kopercie znajduje się zapieczętowana wiadomość, którą nakazuję przekazać panu Suffolkowi. Zawiera szczegóły dotyczące zapłaty, którą mu przekażę, pod warunkiem że wyrazi zgodę, by przyjechać razem z wami. Jeśli się nie zgodzi, liczę na waszą dyskrecję.

Zgodnie z ustaleniami zaproponowałem, że wykupię nagranie z szarego internetu i całkowicie się go pozbędę. Jednakże wystąpiły poważne komplikacje. Wszystko wskazuje na to, że nagranie zostało dostarczone do innego, nienamierzalnego kupca, a na tę sytuację nie mam już wpływu.

Może już nie być żadnego sposobu na powstrzymanie ujawnienia nagrania.

Nie podoba mi się to. Instynkt podpowiada mi, że Rivard chce nas wykiwać, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób ani dlaczego. Ludzie bogaci nie postrzegają osób takich jak my jak istoty ludzkie. Jesteśmy dla nich pionkami, sznurkami, za które pociągają, aby dostać to, czego pragną.

Na dnie teczki spoczywa zaklejona, drogo wyglądająca koperta z wypisanym na niej nazwiskiem Suffolka. Poważnie rozważam otwarcie jej, ale nie robię tego. Jeszcze nie.

Potrzebujemy planu awaryjnego. Piszę wiadomość do Mike'a Lustiga:

Głupio mi prosić cię o kolejną przysługę, ale jakie są szanse na to, że możesz dać mi jakieś wsparcie?

Całkiem niezłe – pisze Mike. – Ale twój dług powiększa się o odsetki, stary. Kurwa, jak ja nienawidzę Wichity.

Skąd, do cholery... Gapię się na jego odpowiedź, a potem odpisuję zwykle:

???

Sam, naprawdę sądziłeś, że nie wiedziałem, gdzie jesteście? Daj spokój. Cały czas miałem was na oku. Jak tam odrzutowiec Rivarda? Wypasiony? Mam taką nadzieję. Musiałem wykupić środkowe siedzenie w przeklętej klasie ekonomicznej. Wylatuję za pół godziny.

Nie wiem, czy mam być zły, że nas szpiegował, czy odczuwać ulgę, że nie wykopał nas na zbity pysk. W tej chwili prawdopodobnie to drugie.

Gdzie mamy się spotkać?

„Nigdzie”, odpisuje Lustig. Po tej wiadomości nie nadchodzi już żadna inna.

Po dziesięciu minutach jesteśmy już w powietrzu, sunąc gładko, jakbyśmy ślizgali się po lodzie, a niebo widoczne za owalnymi okienkami ma kolor spranego błękitu. Wszystkie chmury zostawiliśmy pod sobą.

Nie mówię Gwen o tym, co Rivard napisał w liście, ani o Mike’u Lustigu. Pozwalam jej nacieszyć się tymczasowym spokojem, luksusowym stekiem i wykwintnym deserem, bo wiem, że gdy wylądujemy, spokój się skończy.

A wojna może się ciągnąć w nieskończoność.

Rozdział trzynasty

Lanny

Gdy poprosiłam o dostęp do internetu, chciałam tylko sprawdzić portale społecznościowe i zobaczyć, co słyhać u innych. Nie zamierzałam niczego publikować, jedynie czaić się w ukryciu. Dlatego, że się nudziłam.

I wtedy zobaczyłam zdjęcie Dahlii i nagle poczułam, że coś we mnie pęka. Tak bardzo się za nią stęskniłam, że to aż boli. Chciałam do niej zadzwonić. Chciałam usłyszeć jej głos i opowiedzieć o tym, co się stało, pragnęłam... pragnęłam różnych rzeczy, szalonych rzeczy, które przebiegały mi przez głowę w dzikim tempie, gdy gapiłam się na jej zdjęcie, i które sprawiły, że zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie ciepło w środku. Czułam dokładnie to samo, zanim nasz stary dom został zniszczony, i próbowałam dowiedzieć się, co to oznacza i co właściwie z tym zrobić. Teraz chyba już wiem. Ale nie mogę nic zrobić.

Jestem tak *blisko*, a jednocześnie ani trochę nie zbliżyłam się do celu.

Nabijający się ze mnie Connor jest ostatnią kroplą, która przelewa czarę goryczy, a kiedy na niego naskakuję, jestem

śmiertelnie poważna. Uciekam do swojego pokoju i płaczę w poduszkę przez dobre piętnaście minut. Potem nadal czuję się paskudnie i samotnie, ale jestem też zbyt wyczerpana, aby się tym przejmować. Zwijam się w kłębek, tuląc do siebie wilgotną poduszkę, i gapię się w przestrzeń. Za oknem jest chłodne popołudnie. W pokoju również panuje chłód. Włączam przenośny grzejnik, zakładam grube, włochate skarpetki i przykrywam się kołdrą. Boli mnie podbrzusze. Sprawdzam kalendarz, ale do następnego okresu został mi jeszcze tydzień. Tym razem mam wystarczającą ilość tamponów, ale muszę poprosić Kezię, aby kupiła mi więcej. Nie mogę poprosić o to Javiera. Dobry Boże, to wykluczone. To kolejna z piętnastu milionów rzeczy, z którą mój brat nie musi się użerać.

Po godzinie wstaję z łóżka i idę przez pokój, szurając nogami, aby podnieść skrawek papieru, który mój brat wcisnął pod drzwi. Wiem, że to od Connora, a wydrukowane przez niego zdjęcie sprawia, że uśmiecham się nieznacznie.

Na widok zdjęcia Dahlii znów chce mi się płakać. Odkładam je jednak na stolik nocny i podpieram tak, żeby móc na nie spoglądać. Może uda mi się znaleźć dla niego ramkę.

Pokusa w postaci słodkich kwadracików Rice Krispies z masłem orzechowym i czekoladą w końcu sprawia, że otwieram drzwi i wchodzę do kuchni, powłócząc nogami. Javier patrzy na mnie sprzed komputera. Wiem, że zastanawia się nad tym, co powiedzieć, ale nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Biorę szybko swoją przekąskę i zaczynam wycofywać się w stronę pokoju, jednak zbyt wolno.

– Hej – odzywa się Javier. – Twój brat prosił o więcej rzeczy do roboty. Co myślisz o tym, żeby nauczyć się strzelać na strzelnicy?

Prawie zapominam o tym, jak podle się czuję.

– Serio?

- Tak.
 - Mama nigdy nas tam nie zabrała.
 - Porozmawiam z nią o tym. Jeśli wyrazi zgodę, to jesteś zainteresowana?
 - No jasne, że *tak!* – Ten pomysł sprawia, że czuję się, jakbym miała tysiąc razy większą kontrolę nad sytuacją. – Kiedy?
 - Gdy tylko dostanę jej zgodę. Zwolnij tempo, rewolwerowcu. Jeszcze przez długi czas nie będziesz do niczego strzelała, nawet jeśli się zgodzi. Zrobimy tak. Pójdziemy na strzelnicę po godzinach, a ty wybierzesz sobie broń. Jedną z trzech. Potem nauczysz się, jak rozkładać ją na części pierwsze, czyścić i składać z powrotem w całość.
 - Zaraz, i to wszystko? Już wiem jak to robić! – Setki razy widziałam, jak mama czyści swoją broń. Javier nie odpowiada. Skubię swoją przekąskę. – Och, daj spokój. Serio?
 - Na początek zajmiemy się wyłącznie tym. Wybieramy, rozkładamy, czyścimy, składamy. Czy to jasne?
 - Ale ja chcę ćwiczyć strzelanie do celu!
 - Wiem.
 - To dlaczego nie mogę?
 - Bo ja tak nie postępuję. Jeśli ci się to nie podoba, w ogóle nie musimy tego robić.
- Jest tak samo okropny jak mama. Poważnie rozważam powiedzenie tego na głos, ale nie robię tego, ponieważ wiem, że to do niczego mnie nie zaprowadzi, no chyba że do kolejnej rundy Monopolu.
- W porządku – mówię, ale takim tonem, żeby było jasne, że wcale tak nie jest. – Dobra. Wszystko jedno.
 - Świetnie. – Javier wyłącza laptop. – To nie jest zabawa, Lanny. Rozumiesz to, prawda? Broń wiąże się z odpowiedzialnością. W chwili, w której jej dotkniesz, masz władzę nad śmiercią

i życiem, i nie możesz traktować tego w sposób lekceważący.

– Wiem! – Wyraz jego twarzy zdradza, że wcale tak nie uważa. Staram się wyglądać na opanowaną i dorosłą, bo wiem, że tego po mnie oczekuje. – Dobrze. Wybiorę broń. Nauczę się robić to, czego chcesz. Czy *wtedy* będę mogła zacząć strzelać?

– Jeśli twoja mama się zgodzi. Ale nie dziś wieczór. Wszystko po kolei.

Ma przy biodrze pistolet. Wygląda jak ten, który nosi mama, więc to pewnie półautomat, kaliber 9 mm. Mama obchodzi się ze swoją bronią w niesłychanie ostrożny sposób, ale raz na jakiś czas udawało mi się wziąć do ręki jeden rewolwer i poczuć jego ciężar. Javier ma rację. Coś się zmienia, gdy trzymasz w dłoni pistolet. Owszem, to dodaje otuchy i jest ekscytujące, ale chodzi o coś więcej. Nigdy nie byłam w stanie określić dokładnie o co. Może kiedy w końcu pozwoli mi z jednej wystrzelić, dowiem się tego.

„To dopiero początek”, myślę sobie. „Przestań naciskać”.

Nie lubię być cierpliwa. Chyba mam to po mamie.

Zniżam głos i mówię:

– Rozmawiałaś z mamą w ciągu kilku ostatnich dni?

– Tak, przez chwilę. Musiała kończyć, zanim udało mi się przekazać telefon któremuś z was. Nic jej nie jest.

– Czy wspominała coś o... nim?

Prawie powiedziałam „tacie”, ale wiem, że nie powinnam go tak nazywać. Nie na głos. Wszyscy wiemy, kogo mam na myśli.

Javier kręci głową.

– Jeszcze nie. Nie ma powodu przypuszczać, że przebywa w okolicy, ale lepiej, żebyśmy dalej zachowywali ostrożność. Siedź w domu tyle czasu, ile jesteś w stanie znieść. Nie korzystaj z internetu. Im dłużej uda nam się utrzymać w tajemnicy to, gdzie jesteście, tym lepiej i bezpieczniej dla nas wszystkich.

– Mógłbyś przynajmniej pozwolić mi pogadać z przyjaciółmi –

mówię, choć tak naprawdę chodzi mi wyłącznie o Dahlię. – Nie wydadzą nas. – *Ona* mnie nie wyda.

– A twoi przyjaciele powiedzą o wszystkim swoim znajomym, a wkrótce potem wszyscy mieszkańcy Norton dowiedzą się, że wróciliście. Sądzisz, że twoja mama nie stała się tu najpopularniejszym tematem do plotek? Nikt nie przepuści okazji, żeby o tym rozmawiać.

Ma rację, rzecz jasna. Moja wzmianka o *przyjaciołach* jest pozbawiona entuzjazmu. Za to Javier traktuje swoją pracę bardzo poważnie. Tak samo Kez – która w tej chwili wykonuje swoją prawdziwą pracę policjantki, prowadząc śledztwo dotyczące jakiegoś włamania po drugiej stronie jeziora. Mam nadzieję, że nie chodzi o nasz dom. Martwię się tym... o dzieciaki ze szkoły, które mogą się włamać, zdewastować nasz dom i zrobić sobie selfie w mojej sypialni, posuwając moją poduszkę. Przetrzęsnać moje rzeczy. Nie żebym miała ich jakoś specjalnie dużo po tych wszystkich latach spędzonych na ucieczce. Boli mnie świadomość tego, że ta odrobina prywatności, którą miałam, może zostać naruszona.

Może wcale nie chodzi o nasz dom. Może ktoś zwinął w końcu ten wielki telewizor Johansenów z płaskim kineskopem. Albo ukradł im SUV-a.

Może ktoś splądrował stary dom Lancela Grahama. Co prawda przypięto nam łatkę morderców, ale to Graham *naprawdę* zabijał ludzi. Jeśli to jego dom został zdewastowany, nie tylko mogę się z tego cieszyć, a nawet to pochwalić. Był chorym, złym człowiekiem i gdyby mama, Kez i Sam nie dotarli do nas na czas... Bóg jeden wie, do czego by doszło. Nie. Ja wiem. Stałoby się to, co z resztą jego ofiar i wszystkimi kobietami, które zabił mój ojciec.

Staram się o tym nie myśleć.

Connor wraca do środka. Siedział na dworze przez dłuższy czas,

ponieważ ma na sobie kurtkę i rękawiczki. Zrzuca okrycie i osuwa się ciężko na kanapę, natychmiast sięgając po książkę. Zerka na mnie z ukosa, ale niczego nie mówi. Może sądzi, że nadal ze sobą nie rozmawiamy.

Może faktycznie tak jest.

– O której idziemy? – pytam Javiera, bo przynajmniej w ten sposób mogę odwrócić swoją uwagę.

– Powiedziałem, że najpierw uzgodnimy wszystko z twoją mamą.

– Powiedziałeś też, że nie będzie mi wolno strzelać z żadnej broni, więc tak naprawdę nie masz o co pytać.

Javier posyła mi znaczące spojrzenie.

– Zadzwońię do niej. Jeśli nie uda mi się z nią połączyć, zostawię wiadomość.

– Dokąd idziecie? – pyta Connor. Ignoruję go.

– Na strzelnicę. O ósmej jest zamknięcie. Pójdę tam, przygotuję wszystko na następny dzień i upewnię się, że wszyscy opuścili budynek. Potem po ciebie wrócę. Connor, Kez zostanie tu z tobą.

– Zaraz, idziecie na strzelnicę? Dlaczego nie mogę pójść z wami? – pyta mój brat, tak jak się tego spodziewałam.

– Bo jesteś jeszcze dzieckiem – mówię. – Więc nie możesz iść.

Javier przygląda mu się jednak i pyta:

– A chcesz iść?

Connor wzrusza ramionami i wraca do czytania.

– Czy to oznacza „tak”?

– Tak – mówi zdawkowym tonem.

Zauważam rumieniec barwiący skórę na jego szczęcie i wokół uszu. Niezupełnie rumieniec, ale prawie. W naturze mojego brata nie leży pokazywanie emocji, ale on też jest podekscytowany perspektywą wyrwania się stąd. Może nawet rajcuje go sama broń, choć powiedział mi kiedyś, że jej nie lubi.

Zerkam na zegarek, a z mojego gardła wyrywa się jęk. Nadal

mamy mnóstwo czasu do zabicia. Przeglądam gry i w końcu włączam na konsoli „Assasin’s Creed” i trąceniem biodra popędzam swojego brata, aby się posunął. Connor wstaje, idzie do swojego pokoju i zamyka drzwi. Świetnie. Spodziewałam się jednak w duchu, że zaproponuje, byśmy pograli. Lubi tę grę. Właśnie dlatego ją wybrałam.

– Dupek – mamroczę pod nosem, rozpoczynając grę w trybie jednego gracza. Pauzuję jednak, wstaję z kanapy i bez pukania otwieram drzwi jego sypialni, bo wiem, że to go wkurzy.

Stoi zwrócony plecami do mnie, a ja przez sekundę jestem pewna, że nakryłam go na robieniu czegoś *wyjatkowo* osobistego, ale potem dociera do mnie, że trzyma w ręku telefon.

– Dzwonisz do mamy? – pytam.

– Nie. – Wyraz jego oczu zaskakuje mnie.

– W takim razie do kogo zamierzałeś zadzwonić?

– Do nikogo.

– Bo jeśli do mamy, to...

– Do nikogo nie dzwonię!

– Więc...

Connor eksploduje. Zaskakuje mnie to, bo wiem, że ma wybuchowy charakter, ale normalnie mija bardzo dużo czasu, zanim da się sprowokować, a ten wybuch pojawia się znikąd.

– Wynoś się stąd, dobra? – krzyczy. – Przestań udawać mamę, bo kiepsko ci to idzie!

Cofam się, a on rzuca się naprzód i zatrzaskuje mi przed nosem drzwi. Muszę odskoczyć w tył na kilkanaście centymetrów, bo w przeciwnym razie oberwałabym drzwiami prosto w nos.

– Jezus Maria! – krzyczę, waląc w drzwi kantem dłoni. – Ale urządziłeś scenę, bachorze jeden!

Nie odpowiada. Nie oczekuję tego. Przez chwilę wpatruję się w drzwi morderczym wzrokiem, po czym się odwracam. Javier

patrzy na mnie.

– Czego? – warczę.

– Myślisz, że to okej, kiedy on wparowuje do twojego pokoju, gdy drzwi są zamknięte?

– Jasne, że nie.

– W takim razie nie rób mu tego. Wiem, że twoja mama nauczyła cię, jak się zachowywać.

Gdyby był choć *odrobinę* mniej uprzejmy, kazałabym mu się zamknąć, ale nie robię tego. Rzucam się ciężko na kanapę, biorę pada i rozpoczynam grę. Nie jestem w niej taka dobra jak brat, ale nie jestem też beznadziejna. Na jakiś czas wciąga mnie wirtualny świat, z czego bardzo się cieszę. Fajnie jest zostawić wszystko za sobą i poczuć, że otaczający cię mur znika.

Wszystko wraca jednak ze zdwojoną siłą, gdy Javier nagle pojawia się tuż przy mnie i wyłącza telewizor.

– Ej! – protestuję, bo właśnie byłam w połowie skoku, a teraz stracę życie. Javier przykładą jednak palec do ust, a w jego ciemnych oczach błyszczy determinacja, więc się zamykam. I to szybko.

Słyszę coś. Chrzęst opon na żwirze. Javier podchodzi do okna i odsuwa zasłonkę. Przez sekundę nie wiem, czy jest źle, czy dobrze, aż w końcu wyjmuje broń z kabury i mówi:

– Weź brata i trzymajcie się poza zasięgiem wzroku. Żadnych hałasów. Idź.

– O co chodzi? – pytam szeptem. Serce mi wali jak oszalałe, a całe ciało robi się gorące. A potem zimne. – Czy to *on*?

– Nie wydaje mi się, ale nie może być was widać. Idź.

Rozglądam się wkoło. Nie zostawiliśmy na widoku nic, co zdradziłoby naszą obecność. Idę szybko w stronę pokoju Connora i pukam cicho do drzwi, zanim je otwieram.

– Connor, chodź, musimy...

Nie dokańczam zdania, bo chociaż książka leży rozłożona na jego łóżku do góry nogami, zaznaczając miejsce, w którym skończył, Connora tu nie ma. Schylam się i zaglądam pod łóżko. Nic. Sprawdzam małą szafę.

Wtedy czuję na szyi powiew powietrza, a gdy się odwracam, widzę, że okno przy łóżku jest otwarte. Zasłony falują delikatnie na wietrze.

„Jasna cholera, niemożliwe. Nie zrobiłeś tego”.

Nie mam czasu opowiedzieć o wszystkim Javierowi, bo na zewnątrz słyszę donośne szczekanie Rekruta. Odsuwam zasłony i wyglądam przez okno, ale nigdzie nie widzę brata. Pod oknem stoi mała, drewniana skrzynka, idealna do cichego zejścia w dół. „Gdzie ty się, u diabła, podziewasz?” Stara stodoła jest jedyną rzeczą w zasięgu wzroku. Waham się tylko przez sekundę, po czym przerzucam nogę przez parapet, schylam się i wchodzę na skrzynkę. Skrzypi trochę, ale utrzymuje mój ciężar. Zamykam okno. Gardłowe powarkiwanie Rekruta zagłusza wszelki hałas, który robię. Słyszę, jak Javier przywołuje go gwizdaniem na werandę. Schodzę ze skrzynki i biegnę najciszej jak to możliwe przez otwartą przestrzeń do stodoły.

Connora w niej nie ma.

Stodoła jest pełna narzędzi i gratów, które zbierają się przez lata na wiejskich obszarach – głównie starych części – a jeśli kiedykolwiek był tu schowek, już dawno go nie ma. Nie ma tu miejsca, w którym można by się ukryć.

Już za późno na powrót do domu, więc chowam się w cieniu i staram się nie myśleć o pajakach, które tu mieszkają. Albo o węzach szukających ciepłych miejsc, w których mogą zwinąć się w kłębek. Kucam i nasłuchuję. Nie mam broni, ale chwytam w dłonie widły. Jeśli będę zmuszona walczyć, zrobię to. Nasłuchuję huku wystrzałów albo odgłosów walki. Nie słyszę niczego prócz

męskich głosów. Są raczej spokojne. Trwa to dobrą chwilę, a potem dochodzi mnie dźwięk odpalanego silnika i chrzęst opon, gdy samochód zawraca i odjeżdża. Czekam tak długo, aż niczego już nie słyszeć, po czym wstaję i podpieram się na widłach, bo kolana mi drżą.

Wychodzę na zewnątrz i rozglądam się wkoło, ale nigdzie nie widzę ani śladu swojego brata. Wchodzę z powrotem przez okno jego pokoju i zerkam przez drzwi. Javier właśnie zamyka frontowe drzwi na klucz. Rekrut jest w środku. Podchodzi i patrzy na mnie.

– Kto to był? – pytam Javiera. W ustach mi zaschło, a przelitykanie śliny sprawia ból.

– Detektyw Prester. Mówił, że sprawdza, co z moim zdrowiem, bo ograniczyłem ilość godzin na strzelnicy. Wydaje mi się, że coś przeczuwa...

– Connor zniknął! – przerywam mu pośpiesznie.

– Jak to „zniknął”?

– Nie ma go w pokoju. I nigdzie indziej. Sprawdziłam.

– Co ze schowkami? Stodołą?

– Nie ma go...

– Lanny, sprawdź schowki!

Otwieram drzwi swojego pokoju i sprawdzam wszystkie miejsca, w których mój brat mógł się schować, ale go nie ma. Wycofuję się akurat w chwili, w której Javier zdiera gumową matę pokrywającą część podłogi w kuchni – stoimy na niej codziennie, myjąc naczynia – a pod spodem, w drewnie, znajduje się metalowy pierścień. Mrugam, bo nie miałam pojęcia, że to tu jest. Javier nie wspomniał o niej ani słowem. Domyślam się, że zachowywał to na wypadek nagłej sytuacji.

Gdy otwiera właz, moim oczom ukazują się prowadzące w ciemność schody oraz żarówka ze sznurkiem. Javiera pociąga za niego, zbiegając w pośpiechu po schodach. Rekrut zatrzymuje się

przy krawędzi i szczeka, ale nie idzie za nim. Javier znika tylko na chwilę, po czym wyłącza światło, wychodzi i zatrzaskuje włącznik. Kopniakiem przesuwam matę na swoje miejsce.

– Nie ma go na dole. Czy mówił ci coś? Wspominał, dokąd mógł pójść?

– Nie. To znaczy, czasami lubi wychodzić na podwórko, ale...

Javier wybiega, zanim udaje mi się powiedzieć coś więcej, a Rekrut szoruje pazurami po drewnie i pędzi w ślad za nim. Robi mi się niedobrze. Jestem roztrzęsiona. Zaglądam ponownie do pokoju swojego brata, a potem do swojego. Sprawdzam dosłownie wszystko.

Nie ma go.

Gdy Javier wraca z ponurym wyrazem twarzy, uświadamiam sobie, że doszło do najgorszego.

Mój brat naprawdę zaginął.

„Uspokój się”, besztam się w myślach. „Poszedł gdzieś i zwyczajnie się boczy. Jest na mnie wściekły. Uciekł, żeby mnie ukarać”.

Czyżby? Zna zasady i wie, że tata jest na wolności. Wie, że mama jest zbyt daleko, byśmy mogli ją znaleźć, więc czemu miałby próbować do niej dotrzeć? Jest zły i głupi. Może poszedł do Norton. Sama nie wiem.

Absolutnie nie mogę powiedzieć mamie, że go zgubiłam. Gdy go znajdę, przytulę go, a potem walnę z całej siły tak mocno, że już nigdy o tym nie zapomni. A potem znowu przytulę. Chcę powiedzieć Javierowi, żeby nie mówił o niczym mamie, ale nie mogę. On również czuje się za to odpowiedzialny.

Wychodzę na werandę. Zwinięty łańcuch Rekruta leży na ziemi. Przystaję obok niego i rozglądam się wkoło. Javier zdążył już obejść cały dom z psem u nogi. Wygląda przez ogrodzenie na otaczający nas las. Wiem, co chodzi mu po głowie. *Którędy?* Nie mam pojęcia.

– Czy Rekrut potrafiłby go znaleźć?

– Może. Wcześniej zdarzało mu się tropić dziką zwierzynę. Może będzie w stanie wysledzić Connora.

Wchodzę do domu, idę do pokoju Connora i z jego szafy wyciągam wyjątkowo śmierdzącą koszulkę ze sterty przeznaczonej do prania. Przekazuję ją Javierowi, który z kolei daje ją Rekrutowi. Ten obwąchuje ją z entuzjazmem, po czym spogląda na nas, jakby nie miał pojęcia, o co nam chodzi. Kucam i mówię:

– Znajdź go.

Nie mówię w psim języku, więc Rekrut tylko oblizuje pysk i przekrzywia łeb w bok. Biorę koszulkę i ponownie wciskam mu ją pod pysk. Cofa się i warczy na mnie ostrzegawczo.

– Proszę – mówię do niego. – Proszę.

Siada na zadzie i kicha. Javier przeklina pod nosem po hiszpańsku – pewnie myśli, że nie wiem, co mówi – ale schyla się, aby pogłaskać psa.

– Wybacz, mały, to nie twoja wina.

Rekrut nadal wygląda na zdezorientowanego, ale ni stąd, ni zowąd nastawia uszu. Wygląda to tak, jakby podjął decyzję. Cofa się, wydaje z siebie pojedyncze szczeknięcie i jednym, potężnym susem przeskakuje ponad ogrodzeniem, i to tak wysoko, że zostaje mu jakieś piętnaście centymetrów wolnego między nim a siatką. Javierowi opada szczęka.

– Wiedziałeś, że potrafi przeskoczyć ogrodzenie w ten sposób?

– Nie. Niech to szlag.

Javier otwiera bramę i wychodzi na zwirowany podjazd, gdzie Rekrut obwąchuje zawzięcie kamyki, ryjąc w nich nosem i wydmuchując drobiny kurzu. Okrąża cały podjazd, po czym zrywa się do biegu i pędzi wzdłuż drogi. Javier biegnie za nim, a ja rzucam się w pogoń, nabieram rozpędu i zrównuję się z nimi. W duchu dziękuję mamie za wyciąganie mnie na te wszystkie sesje

joggingu wokół Stillhouse Lake. Bieganie po żwirze nie jest łatwe, ale nie zwalniamy tempa, dopóki nie robi tego Rekrut, mniej więcej w połowie drogi od chaty do głównej drogi. Żwir ustępuje tu miejsca błotowi, z którego większość zdążyła już wyschnąć. Rekrut zatacza ósemkę, wężąc, po czym zatrzymuje się i siada. Przygląda się nam z odrobiną współczucia. *Głupi ludzie.*

To ja jako pierwsza zauważam ślady stóp na krawędzi zwałów błota tuż przy linii drzew. Rozpoznaję wzór podeszwy. Jest charakterystyczny dla butów marki Keds, a właśnie takie nosi Connor.

Wbiegam sprintem do lasu i prawie nie słyszę wołania Javiera „Lanny, zaczekaj!”, bo ogarnia mnie strach. Jestem śmiertelnie przerażona, że Connor zniknął albo, co gorsza, że coś stało się mojemu bratu, próbował tu wrócić, zemdleł albo...

Najpierw widzę jego twarz. Patrzy w stronę chaty, a popołudniowe słońce przenikające przez korony drzew pada prosto na niego. Wygląda na smutnego, zamyślonego i chyba odrobinę winnego. Stoi w miejscu.

Potem odwraca się, patrzy na mnie i mówi:

– Lanny...

Ale ja nie słucham. Zatrzymuję się gwałtownie tuż przed nim, chwytam za ramiona i potrząsam nim tak mocno, jakbym chciała wytrząsnąć z niego idiotę, którym jest. Dopiero po chwili dociera do mnie, że Connor płacze. *Płacze.*

Puszczam go i biorę w ramiona. Choć zawsze byłem większa od niego, chyba nigdy wcześniej nie wydał mi się bardziej mały i kruchy jak teraz.

Connor osuwa się na ziemię, ciągnąc mnie za sobą. Oboje klęczymy na kolanach, trzymając się w ramionach. Kołyszymy się w tę i z powrotem w milczeniu. Nie wiem, czy któreś z nas jest w stanie wykrztusić z siebie choć jedno słowo. Stało się coś bardzo

złego, ale nie wiem co. Boję się zapytać.

Connor podaje mi swój telefon. Ręce mu się trzęsą. Mama zawsze dba o to, żeby zablokować dostęp do internetu i włączyć kontrolę rodzicielską, zanim przekaże nam telefony, ale jakoś mnie nie dziwi, że udało mu się obejść zabezpieczenia – a widocznie tak było, bo na ekranie widać jakieś nagranie. Kończy się dokładnie w chwili, w której biorę od niego aparat.

– Co się stało?

Słyszę za plecami głos Javiera. Rekrut wyje i wciska się pod ramię Connora, aby polizać go po twarzy. Przęłykam ślinę i przysiadam na piętach. Ramiona Connora zaciskają się wokół psa, jak gdyby potrzebował czegoś, czego może się złapać.

– Connor? Chcesz, żebym to obejrzała?

Kiwa w milczeniu głową. Wciskam guzik „odtwórz”.

A kiedy widzę, co jest na filmie, świat się zmienia. Na zawsze.

Rozdział czternasty

Gwen

Gdy lądujemy w Witchicie, jest już późne popołudnie, a słońce powoli zaczyna zachodzić. Jest zimno, w powietrzu czuć lodowatą zapowiedź śniegu, choć niebo jest jeszcze przejrzyste. Pamiętam tę pogodę i to, jak trzeba było zaopatrzyć się w spory zapas drewna na opał, soli na schody i zadbać o to, aby zimowe opony nadawały się do jazdy. Gdy wychodzę z odrzutowca Rivard Luxe, czuję się, jakbym miała halucynacje i wkraczała w złą dekadę swojego życia. Od zapachu tego miejsca kręci mi się w głowie.

Mój telefon dzwoni. Wyłączyłam go na czas lotu, a teraz podłączył się do nowej sieci roamingowej. Sprawdzam go i widzę, że mam wiadomość o treści „911”.

To od Lanny.

Mam też wiadomość głosową od Javiera, ale nie odsłuchuję jej. Zatrzymuję się na pasie, jakieś dwa kroki od samolotu i wybieram numer do córki. Jest mi niedobrze i czuję przyływ fałszywej ulgi, gdy słyszę, jak mówi:

– Halo?

– Kochanie, co się stało? – pytam. Zero odpowiedzi. – Jesteś tam?

Skarbie? Halo?

– Ty suko – mówi, a potem się rozłącza. Ot tak. Przez chwilę myślę, że połączenie zostało przerwane, ale potem przychodzą mi do głowy straszniejsze rzeczy. Lanny brzmiała jakoś dziwnie. Ton jej głosu był lodowaty. Wściekły. *Inny*. I jeszcze nigdy mnie tak nie nazwała. Nigdy.

Sam zwalnia, schodząc ze schodów, bo zdążył zauważyć wyraz malujący się na mojej twarzy. Nie ma między nami tej bliskości, która łączyła nas, zanim wjechaliśmy windą na szczyt Wieży z Kości Słoniowej, ale w dalszym ciągu nie może się powstrzymać, aby nie okazać zaniepokojenia.

– Co się stało? – pyta. – Coś z dziećmi?

Ponownie wykręcam numer. Lanny odbiera telefon, ale się nie odzywa. Słyszę jakiś hałas, jakby telefon został komuś przekazany, a potem w słuchawce odzywa się głos Javiera.

– Gwen?

– Och, dzięki Bogu. Wszystko w porządku? Dostałam wiadomość, a Lanny...

– Słuchaj. Musisz tu przyjechać.

Javier też brzmi jakoś dziwnie. Nachodzi mnie okropne, przyprawiające o mdłości przeczucie, że ma przyłożoną broń do skroni, że wszyscy zostali uwięzieni, a Melvin Royal nachyla się i przysłuchuje każdemu wypowiedzianemu przez nas słowu. Czy to możliwe? *Tak*. Potwornie możliwe.

– Javier, jeśli masz kłopoty, powiedz raz moje imię.

– Nie mam – mówi. Głos ma suchy i pełen złości, ale nie niepokoju. – Twoje dzieci potrzebują odpowiedzi. Ja również. Kiedy możesz tu przyjechać?

– Nie bardzo rozumiem. Co się stało? Boże, powiedz mi, że wszyscy są cali i zdrowi.

– Są. – Nie wiem, czy mam mu wierzyć, czy nie. – Wracaj jak

najszybciej.

– Ja... – Nie mam pojęcia, co się dzieje. – Wrócę. Jutro przed południem. Jestem dość daleko, to trochę potrwa. – Ciekawe, czy Rivard będzie miał coś przeciwko temu, że uprowadzę mu samolot w drodze powrotnej.

– W porządku – mówi. Brzmi całkiem inaczej niż mężczyzna, któremu powierzyłam dzieci pod opiekę. Tak jakby stało się coś, co całkowicie zmieniło jego sposób myślenia o wszystkim.

– Jutro – obiecuję, a on się rozłącza bez pożegnania. Sam stoi już obok mnie i marszczy brwi. Patrzę na niego, gdy odkładam telefon. – Coś się stało. Jutro muszę wracać do Javiera.

– Czy z dziećmi wszystko w porządku?

– Ja... mam taką nadzieję. Nie wydaje mi się, by zostali zmuszeni do wykonania tego telefonu. – Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Connora i nie sprawdzić, czy nie byłby bardziej skłonny ze mną porozmawiać, ale nie robię tego. Jakiś wewnętrzny instynkt podpowiada mi, że to nie jest dobry pomysł. „Załatw to, a potem możesz jechać do nich. Przestań to roztrząsać”.

Załoga samolotu żegna nas z profesjonalnymi uśmiechami, lecz nie traci ani chwili. Podczas gdy my rozmawiamy, schody za naszymi plecami zostają wciągnięte, drzwi zamknięte, a samolot odjeżdża w stronę hangaru. Sam i ja idziemy do małego terminala. Przechodzimy przez halę, a mnie nawiedza silne poczucie déjà vu. Pamiętam, jak tu byłam, odbierając matkę z samolotu, gdy odwiedzała swoje wnuki, gdy były małe. To działo się przed tym, zanim wszystko się zmieniło, a życie stało się surrealistycznym, niekończącym się koszmarem.

Dywan w terminalu jest dokładnie taki sam jak dawniej.

Obok znajduje się stanowisko dla taksówek – o ile jedna taksówka to już stanowisko – a Sam podchodzi do niej, schyla się do okna i podaje kierunek, którego nie słyszę. Wsiadam za nim na

tylne siedzenie auta, które rusza z szarpnięciem. Kierowca nie jest rozmowny. Świetnie.

Sam podaje mi teczkę, którą wyjął z brązowej koperty na pokładzie samolotu. Nie spytałam wtedy, co zawierała, bo nie chciałam go naciskać. Nadal nie chcę tego robić, ale muszę spytać.

– Najpierw dom czy biuro? – pytam. Dochodzi piąta. W zależności od godzin pracy, Suffolk może być w obydwu tych miejscach albo w drodze.

– Najpierw zajrzemy do pracy. Lubię zaskakiwać ludzi w miejscu pracy. Nie są wtedy tak skłonni cię zabić na oczach swojego szefa.

Oschłe poczucie humoru Sama jest wymuszone. Czuję się, jakbym spadała. Staram się nie wyglądać przez okno w trakcie jazdy, bo wszystko, co mijamy, jest powiązane ze wspomnieniami z mojego dawnego życia. Park, do którego zabieraliśmy dzieci. Sklep, w którym kupiłam swoją ulubioną sukienkę.

Restauracja, do której Melvin zabrał mnie w naszą ostatnią rocznicę.

Mam sucho w ustach, a w gardle drapie mnie przy przełykaniu śliny. Żałuję, że nie wypiłam więcej wody w samolocie. Sam i ja nie rozmawialiśmy o tym, ale nie wygląda mi na to, żeby Suffolk stawiał opór. Nie wydaje się takim typem człowieka. Chcę zrobić to, czego żąda od nas Rivard, i powstrzymać wszystkich przed obejrzeniem tego nagrania. Nie wiem, czy mogę zaufać Rivardowi, że dotrzyma swojej obietnicy, że je wykupi i nie dopuści do publicznego obiegu, ale to jedyna opcja, jaką mam. Nie ma znaczenia, że film jest podrobiony. Liczy się tylko to, że wydaje się prawdziwy, nawet dla mnie, zupełnie jakbym stłumiła w sobie to wspomnienie. Ludzie często mówią, że *kamery nie kłamią*, ale w rzeczywistości tak jest.

A gdy kłamią, wszyscy im wierzą.

Jazda pod adres wskazany taksówkarzowi przez Sama jest

krótka, a my zatrzymujemy się w przemysłowej okolicy, która wygląda na prężnie działającą. Stoją tu wielopiętrowe biurowce, ale Imaging Solutions to dość niewielki biznes ulokowany w piętrowym centrum handlowym. Płacę taksówkarzowi ze swojego kurczącego się zapasu gotówki i podążam za Samem do sklepu.

W środku unosi się intensywny zapach chemikaliów i ozonu. Na podłodze leży zwykła, przemysłowa wykładzina bez żadnej wyściółki pod spodem. Jest tu kontuar z imitacji drewna, kasa, trochę kolorowych plakatów mówiących o różnorodnych usługach dotyczących znakowania i druku. Słyszę szum pracujących maszyn dobiegający zza ściany. Po lewej znajduje się przejście prowadzące do pracowni. W ścianę wbudowano rząd szklanych płytek, a ja widzę ludzi poruszających się za ich załamującą obraz powierzchnią.

Drzwi poruszyły dzwonkiem i z tyłu pomieszczenia wyłania się młody człowiek, który wyciera sobie ręce. Ma na sobie białą koszulę z krótkim rękawem i czarny krawat. Nawet fryzurę ma rodem z lat pięćdziesiątych.

– Witam państwa. W czym mogę pomóc?

– Szukamy Carla Davida Suffolka – mówi Sam.

Młody mężczyzna się uśmiecha.

– No tak, ale w tej chwili jest zajęty pracą, a my nie wpuszczamy żadnych gości do pracowni...

– Nie jestem gościem – przerywam mu. – Jestem jego siostrą. Mam ważną sprawę rodzinną.

– Och. Oczywiście. Zaraz po niego pójde...

– Pójde z panem – oferuje Sam. Gdy kierownik sklepu się odwraca, szepcze do mnie: – Idź na tyły budynku, na wypadek gdyby chciał zwiać.

– Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku – mówi kierownik.
– Panie...?

- Suffolk – kłamie gładko Sam. – Jestem jego bratem. A pan to...?
- David Roberts. Jestem zastępcą kierownika.
- Świetnie. Dziękuję, panie Roberts.

Roberts podnosi do góry ladę w miejscu, w którym są zawiasy, a Sam wchodzi za nim. W chwili, w której obaj znikają mi z oczu, wybiegam ze sklepu i pędzę na koniec centrum handlowego, zaułkiem i wokół nieciekawych zapleczy z kontenerami na śmieci i rampami załadunkowymi. Biegając, odliczam poszczególne sklepy. Na szczęście większość z nich ma przyklejone nalepki z nazwami na tylnych drzwiach. Gdy docieram do Imaging Solutions, zwalniam. W tej chwili na rampie nie ma żadnych ciężarówek.

Zwijane drzwi garażowe są zamknięte, tak samo jak ciężkie, metalowe drzwi obok, ale gdy tylko docieram do stóp schodów, drzwi otwierają się z hukiem, a ze środka wypada masywny, biały facet po czterdziestce. Tak jak Roberts, ma na sobie białą koszulę z krótkim rękawem oraz czarny krawat, jednak w odróżnieniu od szefa, niespecjalnie na nią uważał, bo wokół pasa ma smugi z czarnego tonera. Jest blady i przerażony, a jego oczy rozszerzają się, gdy widzi mnie na schodach, jak bloкую drogę. Odwraca się na pięcie, ale jest już za późno. Sam zdążył wyłonić się z drzwi za jego plecami. Zamyka je i mówi:

- Carl, rozegrajmy to jak dorośli...

Nie mam nawet czasu, aby go ostrzec, choć widzę, na co się zanosz. Carl rzuca się na Sama. Sam robi unik z gracją matadora, a Carl przelatuje obok niego, potyka się i zatacza.

A potem spada z rampy z okrzykiem paniki.

Uderza plecami o ziemię. Siła upadku ogłusza go. Nadal leży, gdy do niego podchodzimy. Wygląda na całego, a kiedy Sam podaje mu rękę, chwytą za nią.

- Złamałeś coś? – pyta Sam. – Jak twoja głowa?
- W porządku – mówi Carl. – Nic mi nie jest. Ja... – Szok mija,

a on uświadamia sobie, w jakim jest położeniu. Cofa się chwiejnym krokiem, ale utyka na jedną nogę. Sam i ja wymieniamy się spojrzeniami, gdy Suffolk rozpoczyna powolny, człapiący bieg ku wolności.

– Hej, Carl? Słuchaj, daj już spokój. Nie zmuszaj mnie, żebym odstrzeliła ci rzepekę.

Suffolk się odwraca. Jest blady jak ściana, ale po raz pierwszy przygląda się każdemu z nas z osobna z prawdziwym skupieniem. Gdy przychodzi moja kolej, jego twarz się zmienia. Pojawia się na niej złowrogi wyraz, jakby jakiś demon wydostał się na powierzchnię i zmienił wygląd jego skóry. Czoło mu czerwienieje. Opuszcza podbródek, a w jego oczach czai się lodowaty zachwyty, który każe mi się cofnąć o krok. Nie robię tego.

– Ty – mówi cichym głosem. – To ty jesteś jego *suką*.

A potem rzuca się na mnie, a ponieważ się nie odsunęłam, z łatwością może mnie dosięgnąć. Wydaje mi się, że chce mnie powalić na ziemię, i jestem na to przygotowana.

Nie jestem za to gotowa na totalny morderczy szal.

Jego dłonie zaciskają się na moim gardle i bez żadnego wahania miażdży je w uścisku jak w imadle. To nie jest gra, a facet nie bawi się w żadne ceregiele. On chce mnie zabić. Mój racjonalny umysł zalewa fala rozszalałej paniki. Czuję, jak unosi mnie do góry siłą swoich mięśni, a ból i dławiąca panika ściskająca moje walczące o tlen płuca okradają mnie ze wszystkich myśli.

W uchu słyszę szept. Jest tak wyraźny, jakby jego właściciel stał tuż obok mnie. „Zaraz umrzesz, Gina”. Głos Melvina. Wydaje mi się, jakby minęła już cała wieczność. Usiłuję walczyć, wykręcić się, usztywnić mięśnie szyi przeciwko jego miażdżącemu uściskowi, ale wiem, że to tylko przedłuży moją agonię.

Znów rozlega się głos Melvina. „Uduszenie kogoś trwa naprawdę długo. Trzy do czterech minut, co najmniej. Może trochę dłużej”.

Wydaje się, że minęła wieczność, podczas gdy w rzeczywistości to zaledwie sekundy. Widzę, jak Sam zasypuje Suffolka gradem uderzeń, częstując go mocnymi ciosami w nerki. Suffolk nawet tego nie zauważa. Furia stała się jego zbroją.

„Zastrzel go”, mam ochotę krzyknąć do Sama. „Na litość boską”...

Szoruję palcami u stóp po jakiejś twardej powierzchni. Rozcapierzonymi palcami chwytam się czegoś miękkiego. Myślałam, że udało mi się trafić go w oko, ale to nie są oczy, tylko usta. Wbijam paznokcie w jego wargę, ciągnąc i szarpiąc z całych sił. Słyszę wrzask podobny do uderzenia pioruna... ale morderczy uścisk jego dłoni wcale się nie rozluźnia.

Robi się ciemno. Słyszę chrzęst ustępujących pod naporem tkanek. Czuję, jak moje ciało się poddaje.

Nagle upadam. Wierzgającymi nogami uderzam w ziemię, ale kolana mam jak z waty, więc lecę w tył, gdy uginają się pode mną. Jeszcze w trakcie upadku nabieram cudownego, palącego płuca powietrza.

Łapie mnie Sam.

Osuwam się bezwładnie na jego pierś, a jego ramiona podtrzymują mnie w pozycji pionowej do momentu, w którym nie odzyskuję panowania nad kolanami. Przez chwilę jestem zajęta wyłącznie wdychaniem i wydechaniem powietrza, choć sprawia mi to ból. Gdy moje ciało zaspokaja swoją potrzebę tlenu, powoli zaczynam ogarniać sytuację.

Carl Suffolk leży na ziemi, krwawiąc z rany na głowie. Obok niego leży rura. Sam walnął go wystarczająco mocno, aby w końcu przebić się przez tę tarczę wściekłości.

– Gwen? – pyta Sam. – Możesz oddychać?

Wygląda na przerażonego. Z trudem kiwam głową. Jestem pewna, że sińce wokół mojej szyi za kilka dni zrobią się całkiem czarne. Przelykam ślinę. Wygląda na to, że niczego nie złamałam.

Gdyby Suffolk zdołał zmiażdżyć mi krtań i przetrącić kość gnykową, już nic nie byłoby mi w stanie pomóc. Prawie mu się udało.

Zwijane, tylne drzwi sklepu podnoszą się, a ze środka wylewa się tłum ubranych w białe koszule pracowników – kobiet i mężczyzn – gapiących się na nas z wysokości rampy. Roberts przepycha się naprzód z telefonem w dłoni.

– Tak, natychmiast! – woła. – Niech policja zaraz tu przyjedzie. Jeden z moich pracowników został napadnięty...

– Uhm, proszę pana, to nie tak – wtrąca się jeden z pracowników.
– To *on* zaatakował *ją*!

– Zawsze wiedziałem, że ten facet ma nie po kolei w głowie – dodaje kolejny, a przytakuje mu coraz więcej osób. – Obleśny dupek.

– Dobrze, już dobrze, uspokójcie się! – krzyczy Roberts. Twarz ma zaczerwienioną i jest wyraźnie wytrącony z równowagi. – Pozwólmę zająć się tym policji...

– Wracajcie do środka, ludziska! – woła głęboki, radosny głos, a ja przenoszę spojrzenie na koniec ulicy i widzę Mike'a Lustiga zmierzającego w naszą stronę wielkimi krokami. Ma na sobie kamizelkę kuloodporną FBI i wiatrówkę, odznaka jest wyeksponowana w widocznym miejscu. Odbija się w niej przytłumione, zachodnie światło, sprawiając, że lśni jak prawdziwe złoto. Za nim podążają dwaj inni agenci o kamiennych twarzach, prezentując się wyjątkowo niebezpiecznie. Wszyscy mają na twarzach okulary przeciwsłoneczne chroniące ich przed palącym słońcem. – Proszę opuścić drzwi i wracać do pracy. Dziękujemy za współpracę. Niech nikt nie opuszcza tego miejsca. Posłałem już agentów. Proszę cierpliwie czekać.

Ton jego głosu jest tak pewny siebie, że Roberts prowadzi swoich pracowników do środka i opuszcza zwijane drzwi bez żadnego

słowa protestu. Widzę, jak wygląda ciekawsko przez okno, trzymając w dłoni telefon. Pewnie znowu rozmawia z lokalnymi władzami.

– Jezu Chryste, ale mu przywaliłeś – mówi Mike, kucając przy Suffolku. Mężczyzna pojękuje i porusza się nieznacznie. – Będziemy musieli zawieźć go do szpitala, zanim zrobimy coś więcej.

– Zaufaj mi – mówi Sam. – Najpierw go skuj.

– Jego?

– Prawie zadusił Gwen na śmierć – tłumaczy Sam. – Właśnie dlatego musiałem zdzielić go rurą.

Mike patrzy na mnie, a jego twarz zastyga na moment w bezruchu. Po chwili kiwa głową.

– No dobra. A zatem kajdanki. Najpierw jedziemy na najbliższe pogotowie, a potem do biura terenowego FBI. Nie mówcie niczego, dopóki nie zaczniemy nagrywać. Panowie, zabierzcie wszystko, czego ten facet dotykał. Komputery, drukarki, biurko, *każdą cholerną rzecz*. Chcę mieć wszystko sprawdzone. Jeśli kierownik będzie robił problemy, dzwońcie do mnie.

Rzucam Samowi przerażone spojrzenie.

– Ale Rivard chciał, żebyśmy... – mówię ochryplym szeptem.

– Wiem. Przekazałem Suffolkowi wiadomość od Rivarda. Otworzył kopertę i wziął nogi za pas. Nic więcej nie możemy zrobić.

– Masz kopertę? Co było w wiadomości?

Sam wyjmuję kopertę z kieszeni. Jest rozdarta.

A w środku nie ma zupełnie nic.

Jednym z przywilejów bycia agentem federalnym jest to, że omija nas stanie w kolejce oczekujących i zapewnia się nam natychmiastową uwagę lekarza, który oznajmia, że nic mi nie jest,

nie licząc bólu, opuchniętych strun głosowych, otarć i szyi, która przez kilka następnych tygodni będzie wyglądać tak, jakbym przeżyła powieszenie. Uważa, że mam szczęście, że żyję. Jestem tego samego zdania.

Rentgeny i tomografia komputerowa głowy wykazują, że Suffolk ma lekki wstrząs mózgu, który powstał albo na skutek upadku na ziemię, albo w wyniku solidnego uderzenia, którym poczęstował go Sam, ale tak czy inaczej zostaje wypuszczony, tak jak ja, a pół godziny później jesteśmy już w sali przesłuchań w biurze terenowym FBI w Wichicie. Czasy, w których stosowało się wzmocnione lustra weneckie, już dawno minęły. Obecnie taniej wychodzi zamontowanie w pomieszczeniu wielu kamer, które uchwycą i zarejestrują rozmowę pod każdym kątem.

Nie dostajemy miejsca przy stole. Ja, Sam i nasze plakietki dla eskortowanych gości zapewniają nam miejsca stojące w pokoju z monitoringiem z pracownikiem FBI, który pozwala nam obserwować, jak Lustig siada przy stole z Suffolkiem. Potem jest półgodzinna pogawędka mająca za zadanie zapewnić Suffolkowi fałszywe poczucie bezpieczeństwa, po której Lustig patrzy w kamerę i mówi:

– Czy możecie puścić dla pana Suffolka to nagranie, o którym wcześniej rozmawialiśmy?

Technik w pokoju z monitoringiem, który uniósł wzrok na wystarczająco długą chwilę, by dostrzec nasze rzucające się w oczy plakietki dla gości, wciska jakieś guziki, a telewizor z płaskim ekranem w pokoju przesłuchań zaczyna pokazywać coś, czego nie mogę zobaczyć, ale widzę nagranie na oddzielnym ekranie w studiu. Nigdy tego wcześniej nie widziałam, ale oczywiste jest, że to coś... potwornego. I znajomego.

To wideo nagrane w garażu Melvina, przed tym, jak ściana garażu została zniszczona. Zanim jego tajemnica wyszła na jaw.

Rozpoznaję absolutnie każdy szczegół, aż po owalny, pleciony dywanik na podłodze.

Na dywaniku stoi kobieta ze związanymi rękami i metalową pętlą wokół szyi, a przez jedną, mrozącą krew w żyłach sekundę dziękuję Bogu, że tym razem to nie jest siostra Sama. Załamałby się, gdyby było inaczej.

Lustig zatrzymuje nagranie na zbliżeniu twarzy młodej kobiety. To ładna blondynka o wielkich, błagających, przerażonych oczach. Rozpoznaję ją. To czwarta ofiara mojego męża, Anita Jo Marcher.

– Co jakiś czas nasz zespół natyka się na wyjątkowo mroczną sprawę – mówi do Suffolka. – Wiemy już o dziecięcej pornografii – tak, panie Suffolk, jesteśmy w posiadaniu pańskiego telefonu, tabletu i komputerów, tych z pracy i domowego. Wszystko, co zawiera pański cyfrowy odcisk palca, zostanie poddane szczegółowej analizie. Te wieści już rozeszły się po świecie. Rozumie pan?

Suffolk milczy, ale kiwa głową. Znow jest cały blady, zagubiony i kompletnie bezbronny. Byłoby mi go szkoda, gdybym nie zobaczyła demona ukrywającego się pod jego skórą. Gdybym nie czuła palącego uścisku jego zaciśniętych na moim gardle palców.

– Proszę powiedzieć, skąd wzięło się to *konkretne* nagranie – pyta Lustig. – Nie pasuje do reszty pańskich zwykłych, perwersyjnych upodobań.

– Nie wiem – mamrocze pod nosem Suffolk. Widzę jednak sposób, w jaki wydłuża mu się podbródek, a w oczach pojawia się twardy, mroczny błysk.

– Jasne, że nie. Przy okazji, twoje służbowe komputery okazały się czyste, ale zabawne jest to, że znaleźliśmy to nagranie w pamięci masowej w twoim biurku w miejscu pracy. Oglądasz je czasem na komputerze, gdy jesteś sam na nocnej zmianie? A może lubisz je mieć pod ręką na wypadek nudy, co, Carl?

Podbródek Suffolka unosi się w górę i w dół, tak jakby za zamkniętymi ustami stale ćwiczył gryzienie. Nie mruga. I nie odpowiada.

– Najwyraźniej nie przemyślałeś tego wystarczająco dokładnie, bo albo idziesz dziś do więzienia za przestępstwo federalne w postaci posiadania i dystrybucji dziecięcej pornografii, albo zaczniesz robić wszystko, by pójść z nami na układ, jakby od tego zależało twoje cholerne życie. Możesz to zrobić już teraz, kolego. W tej właśnie minucie. Kto dostarczył ci to nagranie?

Suffolk nagle odwraca wzrok i kieruje go w stronę kamery.– Czy ona patrzy?

– Kto?

– *Ona.*

Lustig nie odpowiada. Suffolk gapi się do kamery, a ja mam wrażenie, jakbym była w tamtym pokoju, kilka metrów od niego.

– Ty pieprzona dziwko. Ciebie też powinien być zabić. Mam nadzieję, że teraz to zrobi. Mam nadzieję, że sfilmuje każdą sekundę, bo jeśli to zrobi, zapłacę, aby to obejrzeć. Słyszysz mnie? Zapłacę, żeby obejrzeć!

Pod koniec zdania jego głos urasta do krzyku. Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo mnie nienawidzi, ale odczuwam to jak palący skórę kwas.

Mike Lustig nie wykonuje żadnego ruchu. Nawet nie okazuje zdziwienia. Język jego ciała jest zrelaksowany i pełen swobody. Nie mam pojęcia, jak mu się to udaje. Gdy krzyki ustają, zapada chwila ciszy, po której Lustig mówi:

– Daj znać, kiedy skończysz z tą histerią. Mogę poczekać. Bo wiesz co? Bez względu na to, kto jeszcze jest w to zamieszany, siedzisz tu wyłącznie ty. Oprócz ciebie nikt nie pójdzie siedzieć do więzienia z ciężkim wyrokiem, no chyba że zaczniesz odpowiadać na pytania. Powiedz, kto ci dał to nagranie.

Suffolk ucichł. Wpatruje się w stół. Demon zaszył się w swojej kryjówce, gdzieś głęboko w jego wnętrzu. Wierci się niespokojnie, wygląda na skrępowanego, aż w końcu mamrocze pod nosem jedno słowo:

– Absalom.

– Uhm. No i?

– Absalom sprzedał mi wideo. Ja sprzedawałem różne rzeczy im, oni sprzedawali różne rzeczy mnie. Wiecie, taka wymiana towarów.

– Jak?

Suffolk unosi ramię i pozwala mu opaść, jak nadąsany dzieciak.

– Płaciłem bitcoinem. Dzięki temu dostałem link.

– A zatem nie należysz do grupy Absaloma. Jesteś tylko ich klientem.

– Oraz dostawcą. – Posyła Lustigowi niespodziewany, niepokojący uśmiech. – Dostaję zniżki.

– Co im dostarczasz?

– Takie tam. – Ponownie wzrusza ramionami. – Wyretuszowane zdjęcia. Sfabrykowane nagrania. Kolejne zlecenia.

– Za chwilę o tym porozmawiamy, ale na razie trzymajmy się tematu. Kogo w takim razie znasz z ekipy Absaloma? – Kolejne wzruszenie ramion i brak odpowiedzi. – Czy mówi ci coś nazwisko Merritt Van Der Wal? Znasz go?

– Nie.

– Napier Jenkins?

Nigdy wcześniej nie słyszałam tych nazwisk, więc mogę jedynie zakładać, że zmyśla je na poczekaniu... albo zdążył odkryć kolejne tożsamości członków organizacji bez nas. To całkiem możliwe.

– Nie.

– To może Lancel Graham?

Wahanie zdradza Suffolka. Nie spodziewał się usłyszeć tego nazwiska i to oczywiste, że je zna. Wszyscy je znamy. Wzdragam

się na jego dźwięk, ale skupiam całą swoją uwagę na Suffolku.

– Jego też nie znam.

Powinien. Spośród wszystkich innych akurat to nazwisko powinno wydać mu się znajome.

– Carl, jestem tobą rozczarowany. Wiem, że znasz Lancela Grahama, bo nie kupiłeś tego cholernego nagrania za bitcoiny od Absaloma. Dostałeś je prosto od Grahama, skopiowane bezpośrednio z jego twardego dysku. Zdajesz sobie sprawę, że możemy namierzyć ten cyfrowy ślad, prawda? Nie jesteś głupi. Wygląda na to, że ustrześliłeś sobie prawdziwego hat tricka: konspirację przestępczą, posiadanie i dystrybucję dziecięcej pornografii, a na dodatek będziesz się cieszył możliwością przejażdżki po systemie prawnym wspaniałego stanu Kansas za współudział w morderstwie.

– Nigdy nikogo nie zabiłem!

– Włączcie drugi film – instruuje Mike, po czym patrzy w kamery.

Technik przebywający w pokoju razem ze mną wciska odpowiednie guziki. Włącza się nowe wideo. Ta sama scenografia, ale nieznacznie różniąca się od poprzedniej tym, że upchnięto w niej normalnych rozmiarów pokój. Uświadamiam sobie, że materiał został nakręcony w piwnicy chaty na wzgórzach Stillhouse Lake. W domu Lancela Grahama. Miejscu, w którym odtworzył salę tortur Melvina... i jest na nim uwieczniona kolejna dziewczyna.

Dziewczyna z wytatuowanym motylem, pierwsza, którą Graham zabił i wrzucił do jeziora, aby uwikłać mnie w jej morderstwo. Z trudem łapię oddech, ponieważ pamiętam ją z Norton. Siedziała naprzeciwko mnie i Lanny w restauracji, gdy jadłyśmy ciasto, i wyglądała na normalną, uśmiechniętą, miłą, młodą kobietę.

Na nagraniu widzę jej ostatnie, okropne chwile spędzone na ziemi.

Technik wyłącza je po tym, jak wywarło pożądaną efekt, a ja uświadamiam sobie, że drzę. Odwracam się, aby nie patrzeć na jej zatrzymaną w kadrze twarz.

– Na tym nagraniu Lancel Graham zabija swoją pierwszą ofiarę – kontynuuje Mike Lustig tym samym spokojnym głosem – a znacznik czasowy pokazuje mi, że miałeś je na tym samym pendrivie, jeszcze zanim zabito drugą młodą kobietę. Więc tak, to współudział w morderstwie. Wydaje mi się, że ekran komputera zobaczysz dopiero wtedy, gdy technologia pozwoli nam wszystkim podłączyć do sieci własne mózgi. No chyba, że jednak *zechcesz ze mną porozmawiać*.

Widzę, jak Suffolk trzęsie się na całym ciele. To sadysta i tchórz i doskonale wie, że wszystkie te zarzuty mogą zostać mu postawione. Te i prawdopodobnie kolejne.

Jest również niebezpieczny. Sposób, w jaki mnie zaatakował, zdecydowanie, z jakim mnie dusił, mówią mi, że to nie pierwszy raz, gdy próbował kogoś zabić. W rzeczywistości to mógł być pierwszy raz, kiedy mu *nie wyszło*.

– Nie wiem nic o Absalomie – mówi w końcu Suffolk, a Lustig wzdycha i zaczyna odsuwać swoje krzesło. – Znam tylko parę nazwisk, to wszystko! Tylko nazwiska. Nazwy użytkowników, nawet nie są prawdziwe. Graham robił ze mną interesy na boku. On i ja mieliśmy... wspólne zainteresowania. Wymienialiśmy się filmami. Nie wiedziałem, że to on zabija tamte dziewczyny! Myślałem, że dostawał je od kogoś innego.

– Jasne, że nie. Zacznijmy od nazw użytkowników – mówi Lustig, przesuając w jego stronę notatnik i flamaster. – I dorzuć do tego wszystko, co tylko przyjdzie ci do głowy, co może uratować ci tyłek przed wyrokiem dwudziestu pięciu lat albo dożywociem w więzieniu federalnym. Jestem w stanie przewidzieć, i to z całą pewnością, jak przyjemny będzie dla ciebie tamtejszy pobyt. Założę

się, że ty również.

Pół godziny zajmuje Lustigowi zgromadzenie wszystkich informacji na temat rzeczy, które kolekcjonował Suffolk, nie licząc zdjęć i nagrań dostarczanych na rynek Absaloma. Upodobał sobie konkretny rodzaj makabry: obrazowe nagrania tortur i morderstw. Filmy ze śmiercią na żywo. Oficjalne stanowisko FBI od zawsze było takie, że one nie istnieją, ale wcale nie dziwi mnie fakt, że jest odwrotnie, i że istnieje na nie popyt na czarnym rynku.

Paskudną niespodzianką okazuje się jednak to, że grupa Absaloma zajmuje się tymi rzeczami oraz dziecięcą pornografią. Ich odskocznia w postaci szantażowania i internetowego nękania jest zwykłym hobby, choć pomaga im przyciągnąć i zidentyfikować potencjalnych klientów. Psychopaci rozpoznający innych psychopatów i zaspokajający ich konkretne upodobania. To kolejne warstwy i pokłady zła, a w jego sercu tkwi nieczuła, bezduszna chciwość.

Suffolk powiedział, że Melvin Royal był ich najlepszym dostawcą. W latach swojej aktywności nagrywał swoje zbrodnie, a Absalom po wszystkim znalazł dla nich rynek zbytu. Przyprawia mnie to o mdłości, ale nie dziwi. W trakcie procesu znaleziono i zaprezentowano wyłącznie jego zdjęcia, bo choć w garażu znajdowała się kamera wideo, jednak po taśmach lub plikach cyfrowych nie został żaden ślad.

Tym, co przeraża mnie *najbardziej*, jest fakt, że jeśli skrytka z autentycznymi nagraniami Melvina ujrzy światło dzienne, to sfałszowane nagranie łączące mnie z jego zbrodniami tylko zyska na wiarygodności. Z pewnością zostanie wszczęte oficjalne śledztwo – istnieje duże prawdopodobieństwo, że poprowadzi je Mike – a ja wreszcie zostaną oczyszczona z zarzutów.

– Tak, Melvin Royal sprzedawał Absalomowi swoje filmy – potwierdza Suffolk. – Urządzali płatny event dla każdego nowego

filmu, a potem sprzedawali kopie do ściągnięcia. Tysiące kopii. Jeśli działało to na podobnej zasadzie, co moja umowa z nimi, to pieniądze, które mu wypłacali, znajdują się na koncie bitcoin, do którego ma dostęp z każdego miejsca na świecie. Jednak nie mam co do tego pewności. Jak już mówiłem, pracowałem na obrzeżach. Byłem tylko klientem.

Klientem, który kolekcjonował zabójstwa i tortury niewinnych ofiar. Chce mi się rzygać, gdy przypomina mi się uścisk jego dłoni na gardle.

Mike kończy pisać notatki.

– Coś jeszcze?

Widoczny na ekranie Suffolk odchyła się na krzesło i mówi:

– Tylko jedno. – Spogląda w kamerę i się uśmiecha. Po prostu się *uśmiecha*. To dziwne i przerażające, a staje się jeszcze okropniejsze, gdy puszcza oko. – Obejrzyj w całości pierwsze wideo, które mi pokazałeś, to z Royalem. Na samym końcu czeka na ciebie niespodzianka.

Lustig podnosi się z krzesła i starannie podsuwa je pod stół.

– Nie martw się, na pewno to zrobię. Ale jeśli myślisz, że po raz ostatni zapewnisz sobie radochę, oglądając je razem ze mną, to śnij dalej. Przyzwyczajaj się powoli do bycia samemu w zamkniętym pomieszczeniu. Możesz to nazwać zapowiedzią reszty swojego życia.

Po minucie jest już w pokoju z monitoringiem, kiwa nam głową i podchodzi prosto do technika.

– Raj? Masz dla mnie miejsce?

– Może je pan obejrzyć, stając za mną. Właśnie siedzę nad tymi nagraniami – mówi technik. Patrzy ponad nami na Lustiga i posyła mu zaniepokojone spojrzenie. – Jest pan pewien, że chce to obejrzyć?

– Nie wykazałbym się swoją codzienną dozą sumienności, gdybym tego nie zrobił. Widziałeś całość?

Technik odwraca wzrok.

– Jeszcze nie skończyłem.

– To ciężka praca, wiem – mówi Lustig, używając prawie łagodnego tonu głosu. – Ja to skończę. Wpiszę kody czasowe, gdy będę wychodził.

Raj wygląda na niewymownie wdzięcznego – uświadamiam sobie, że to stanowi część jego pracy. Oglądanie okropieństwa za okropieństwem zredukowanych do pikseli, światła, cienia i dźwięku.

– Odtworzę je od miejsca, w którym się wylogowałem. Słuchawki leżą obok monitora. Dziękuję.

Sam łapie Lustiga za ramię.

– Hej, na serio masz zamiar podjąć jego grę?

– Muszę. Wierz mi, cholernie wolałbym tego nie robić. Zaczekaj tu.

Czekamy. Co jakiś czas zerkam na Lustiga. Trwa to wyjątkowo długo, a w pokoju panuje bezruch, nie licząc skrzypienia naszych krzeseł i chrobotania długopisu Lustiga po papierze, a po półgodzinie rozlega się nagły, ostry dźwięk krzesła Lustiga odsuwanego gwałtownie od małego, szarego biurka. Unoszę wzrok. Sam również. Lustig zerwał się na równe nogi, na uszach nadal ma słuchawki. Przez jedną chwilę jego twarz wyraża kompletne zaskoczenie. Uodpornił się makabrę, cierpienie i brutalność, więc co zaskoczyło go na tyle, że aż zerwał się z miejsca?

Lustig wciska przycisk przy komputerze, ściąga słuchawki i podbiega. *Do mnie*. Chwyta mnie za ramię, wbijając boleśnie palce w skórę, a gdy próbuję stawić opór, zaczyna mnie za sobą wlec. Instynkt każe mi zwiększyć czujność. Muszę stłumić w sobie chęć, aby uderzyć go szybko z całej siły. Nie pozwalam nikomu traktować się w ten sposób.

Ale to agent FBI, a ja wiem, że opór tylko pogorszy sprawę.

– Hej! – krzyczy Sam, ale Lustig go ignoruje. Sam biegnie za nami, a Lustig zaciąga mnie przed komputer. – Mike, co ty, do cholery, wyprawiasz? Ty...

Jego głos zamiera w momencie, w którym oboje dostrzegamy, co dzieje się na ekranie.

Ogarnia mnie poczucie nierzeczywistości. Znów kręci mi się w głowie i nagle jestem wdzięczna za mocarny uścisk dłoni Lustiga przytrzymujący mnie w miejscu, bo na ekranie widać zawieszoną w czasie, krwawiącą, krzyczącą ofiarę. Stojący przed nią Melvin sięga po złowieszczo wyglądający nóż.

Ktoś podaje mu ostrze.

Tym kimś jestem *ja*. Widzę swój profil. Stoję tuż przed obiektywem, obok ściany pełnej noży i młotków. Narzędzi Melvina.

I się uśmiecham.

– Aresztowałbym cię w tej pieprzonej sekundzie – informuje mnie Lustig – ale moja jurysdykcja tu nie sięga, a Kansas zdążyło już uniewinnić twoją żaloszny tyłek. A teraz siadaj i mów wszystko, co wiesz o Melvinie Royalu. *Natychmiast.*

Jestem sparaliżowana. Jestem po prostu... pusta. Siadam, nie spuszczać wzroku z ekranu. Wpatruję się w swoją twarz – twarz Giny Royal. Mówienie boli, ale i tak zmuszam się do wypowiedzenia tych słów:

– To fałszywka. Nie było mnie tam. *Nigdy tam nie byłam.* Absalom sfingował...

– Nie wyjeżdżaj mi z tym kitem – grozi Lustig, po czym obraca moje krzesło na kółkach tak, że opiera się rękami o podłokietniki, przysuwając twarz do mojej. – *Byłaś tam.* A to twoje zgrywanie ofiary? Od samego początku miałem wątpliwości i wierz mi, mam dość bycia robionym w konia. Mów natychmiast, co wiesz!

– To nie ja! – wrzeszczę mu w twarz pod wpływem czystej paniki i desperacji. To załamujący się, ochryply dźwięk, który sprawia mi

ból. Boże, ależ to boli. – Ja nic nie wiem! *Nie* brałam w tym żadnego udziału!

Odpycha moje krzesło, które odjeżdża i uderza w ścianę z taką siłą, że prawie z niego spadam. Podnoszę się, gotowa do walki, ale Lustig nie podchodzi do mnie. Świdruje mnie wzrokiem, a potem odwraca się i odchodzi. Raj stoi zwrócony w naszą stronę z ustami rozdziawionymi ze zdumienia.

Sam również się do mnie nie zbliżył. Jest spokojny i opanowany aż do momentu, w którym bierze monitor w obie ręce i rzuca nim o ścianę. Z ekranu pryska fontanna iskier i połamanego plastiku, a Raj wydaje z siebie okrzyk protestu, zrywając się z krzesła.

– Sam! – wykrzykuję i po chwili żałuję, że to zrobiłam, bo spojrzenie, jakim mnie obdarza, rani mnie do szpiku kości. Niszczy mnie. Zastanawiam się, czy dokończy to, co zaczął Suffolk.

Lustig zatrzymuje się w drzwiach biura.

– Nie pozwól jej wyjść z tego pokoju, dopóki nie wrócę – mówi do Raja. – Zrozumiano?

Wychodzi. Raj kiwa głową i bierze się w garść. Blokuje mi drogę.

Czuję się jak w pułapce. Gardło płonie mi z bólu, a gdy przełykam, czuję w ustach posmak krwi.

Sam również kieruje się w stronę wyjścia. Chcę go zawołać, ale teraz boję się to zrobić. Raj blokuje mu przejście, a Sam odzywa się do niego głosem, którego w ogóle nie poznaję:

– Powiedział, że to *ona* musi zostać. Ja nie.

Raj niechętnie ustępuje mi z drogi, a Sam wychodzi. Zostaję sama z technikiem i rozwalonym komputerem. W pomieszczeniu pachnie ozonem. Raj nie podnosi na mnie wzroku. Widzę, że jest zdenerwowany. Grdyka porusza mu się w górę i w dół, i śledzi mnie kątem oka na wypadek, gdybym zrobiła jakikolwiek ruch. Nie robię tego. Stoję tylko jak otepiała. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Mike Lustig otwiera drzwi. Wygląda na ponurego i wściekłego,

a Raj z wdzięcznością opada z powrotem na swoje krzesło technika.

– Możesz iść, Gina – mówi, wypluwając z siebie słowa. Przestałam być dla niego Gwen Proctor. – Tylko niech ci się nie zdaje, że już po wszystkim. Nie zostaniesz długo na wolności. A teraz wypieprzaj z mojego budynku, zanim zrobię coś, czego będę żałował.

Obok niego stoi kolejny agent o kamiennej twarzy. Domyślam się, że to moja eskorta. To wszystko wydaje mi się całkiem nieprawdopodobne. Ciekawe, co by zrobili, gdybym straciła nad sobą kontrolę i zaczęła krzyczeć. Pewnie i tak wywlekliby mnie stąd siłą. Opuszczenie budynku nie jest z mojej strony żadną świadomą decyzją. Robię to machinalnie. Nagle wychodzę z mrocznego pokoju z monitoringiem na korytarz. Agent ściska mnie za ramię – mocno, ale nie agresywnie.

Wyprowadza mnie na zewnątrz, odpina plakietkę i prowadzi do lobby, gdzie pracownik recepcji FBI odbiera od niego identyfikator. Obaj patrzą na mnie wyczekującym wzrokiem.

Nie mam pojęcia, dokąd iść. Nie wiem, co robić.

W końcu dociera do mnie, że chcą, żebym wyszła, więc przechodzę przez frontowe drzwi, które automatycznie się za mną zamykają. Jest ciemno, słońce już dawno zaszło i wieje zimny wiatr. Stoję w miejscu, totalnie oszołomiona, i czuję się, jakbym spadła z nieba. Z kosmosu. To *Wichita*. Jeździłam po tych ulicach samochodem. Chodziłam do centrum handlowego widocznego w oddali. Tankowałam paliwo na stacji za rogiem.

Nie powinno mnie tu być.

Ogrom wszystkiego, co się właśnie wydarzyło, przytłacza mnie. Chwiejnym krokiem podchodzę do jednego z szerokich, betonowych blozków strzegących wejścia do znajdującego się na parterze lobby. Nie jest na tyle niski, by móc na nim usiąść, ale opieram się o niego, drżąc i próbując złapać oddech. Przeszłość zalewa mnie

falami, wszystkimi zapachami, kolorami, smakami i potwornościami. *Czy to możliwe?* Czy to w ogóle możliwe, że brałam kiedykolwiek udział w zbrodniach Melvina, że byłam w garażu dzień wcześniej, jeszcze zanim wszystko się posypało? Że mu pomogłam i *wszystko* zapomniałam?

Czy ja oszalałam?

Nie wiem, ile czasu minęło. Pewnie minuty, ale mam wrażenie, że godziny. Słyszę szuranie stóp. Ktoś idzie w moją stronę. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że to Melvin. „Zaraz wszystko się skończy”, myślę.

Nieznajomy przechodzi pod latarnią, a ja rozpoznaję twarz Sama. Nie wyciąga do mnie ręki, ale tu jest. Spojrzenie ma utkwione w gabinetach za moimi plecami.

– Wstawaj. Rozmawiałem z Rivardem. Samolot już czeka. Podrzuci nas do Knoxville. Zawiozę cię do Javiera.

– A co potem? – pytam ochryłym szeptem.

Sam nie odpowiada. I nie czeka na mnie. Idę za nim, powłócząc nogami, zagubiona i jednocześnie wdzięczna za ścieżkę, dzięki której mogę wydostać się z tego koszmaru.

Już nigdy tu nie wrócę.

Uświadamiam sobie, że przez sposób, w jaki wyszeptałam te słowa, stały się modlitwą.

Rozdział piętnasty

Lanny

Gdy z zewnątrz dobiega nas chrzęst żwiru, ściskam brata mocniej za rękę. Przez ostatnią godzinę nie wypuszczałam jej z uścisku, tak samo jak on mojej. Znów cofamy się do czasów, gdy byliśmy małymi dziećmi, a mama i tata zostawili nas – oboje zostali aresztowani tego samego dnia. To wspomnienie jest bardziej żywe od pozostałych: ja i mój brat siedzący na tylnym siedzeniu radiowozu. Miałam wrażenie, jakby zamknięto mnie w klatce. Cuchnęło tam potem i brudnymi stopami, a my przez całą drogę trzymaliśmy się za rękę. Nie zamieniliśmy ani słowa. Chyba żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Pamiętam, że byłam nie tyle przerażona, co skołowana. Spodziewałam się, że zaraz będzie po wszystkim, że mama po nas przyjedzie, a potem pójdziemy na lody i wrócimy do domu. Brady – obecnie Connor – płakał przez cały czas, a ja straciłam do niego cierpliwość za to, że tak się mazgał. W duchu powtarzałam sobie, że to nic takiego. Że wkrótce znajdziemy się w domu.

Jednak potem nie było już żadnego domu.

To Brady, nie ja, zadawał niekończące się, pełne niepokoju

pytania, gdy dotarliśmy na komisariat. „Gdzie moja mama? Kiedy ją zobaczymy? Czy możemy wracać do domu? Gdzie jest mój tata?” W swojej mądrości typowej dla starszego rodzeństwa wiedziałam już, że policjanci nie odpowiedzą na żadne z nich, i stale powtarzałam sobie, że to nic nieznacząca drobnostka, bo to wszystko i tak było jednym wielkim nieporozumieniem.

Policja zapewniła nam przekąski i napoje i umieściła w pokoju z grami i zabawkami, z których wszystkie były albo zbyt zniszczone, albo nieodpowiednie do naszego wieku. Miałam ze sobą książkę, którą czytałam tamtego dnia, ale nigdy jej nie skończyłam. Brady – „nie, przestań myśleć o nim jak o Bradym, nazywa się Connor, to teraz Connor” – wyjął ją ze śmieci, gdy się jej pozbyłam. Nawet nie pamiętam jej tytułu. Wydaje mi się, że to była pierwsza książka, jaką kiedykolwiek przeczytał. Zaczął czytać w dniu, w którym nasze życie obróciło się w ruinę.

Wiem, że to jedyna książka, której nie byłabym w stanie do końca przeczytać. Może właśnie dlatego nie pamiętam jej tytułu ani żadnych związanych z nią szczegółów.

Po całonocnym locie samolotem przyjechała po nas babcia i zabrała do swojego domu. To ona musiała wytłumaczyć nam to, że tata okazał się mordercą, a mama została aresztowana za pomaganie mu. „Wasza mama nie zrobiła nic złego”, powtarzała w kółko, a ja sądziłam wtedy, że to prawda. Wypuścili ją z aresztu. Została uznana za niewinną, a kiedy wróciła, tak bardzo się ucieszyłam, że w końcu się popłakałam.

Teraz wszystko we mnie umarło i nie jestem w stanie płakać. Nie czuję nic, prócz dławiącej, wszechogarniającej wściekłości.

Okłamywała nas. Przez cały ten czas. Jest pieprzoną oszustką.

Unoszę wzrok, gdy stojący przy oknie z kubkiem kawy w dłoni Javier mówi:

– Wróciła. – Odwraca się do Kezii, która jest w kuchni. Ubrała się

jak do pracy, co w jej przypadku oznacza kurtkę, eleganckie spodnie, broń i odznakę. To wszystko sprawia, że przypominam sobie, że jest detektywem, zupełnie jak jej szef, Prester. Świetnie. Może zdoła aresztować mamę i zaciągnąć z powrotem do więzienia, tym razem na dobre. – Jest z nią Sam.

– Na razie zatrzymajmy wszystko w tajemnicy – sugeruje Kezia.
– Wysłuchajmy najpierw wersji Gwen.

Patrzę na Connora. Trzymam jego dłoń, która w dalszym ciągu spoczywa bezwładnie w mojej. Ciekawe, czy w ogóle cokolwiek słyszał. Nagle zabiera dłoń, wsuwa zakładkę w miejsce, w którym skończył czytać, i odkłada książkę na bok. Gdy wstaje, ja robię to samo.

Rekrut wydaje z siebie niskie, gardłowe szczeknięcia, które mnie uspokajają. Mam zimne ręce. Wkładam je do kieszeni. W tej chwili wszystko jest dla mnie jasne, a jednocześnie wszystko legło w gruzach. Wiem, że nie mogę jej zaufać. Już nie mogę zaufać *nikomu*, już nigdy więcej, ponieważ *uwierzyłam jej*, a nasza matka nas okłamała.

Chcę, żeby już było po wszystkim, a zarazem jakaś część mnie chce płakać, uderzyć w coś, uciec, zemdleć i zwinąć się w kłębek. Mam wrażenie, jakbym rozpadła się na kawałki i nie wiedziała, jak pozbierać się z powrotem do kupy.

Connor wydaje się spokojny. O wiele za spokojny.

Javier wychodzi na zewnątrz, a Rekrut milknie. Rozmawiają ze sobą przyciszonymi głosami, a potem otwierają się drzwi. Do środka wchodzi mama.

Moja pierwsza myśl to: „Wygląda na zmęczoną”, a zaraz po niej: „Dlaczego ma na szyi apaszkę? Przecież nie lubi apaszek”. Kupiłam jej kiedyś jedną. Ucieszyła się, ale założyła ją tylko raz. Ta jest w nudnym, nijakim odcieniu szarego metalu. Zawinęła ją ciasno wokół szyi.

Może jest chora. Nie obchodzi mnie to. Mam nadzieję, że umrze. Mam nadzieję, że przewróci się w tej chwili i umrze, a ja przejdę nad jej ciałem i wyjdę.

Śpieszy się, żeby nas przytulić, ale jej ulga zmienia się w pełną dezorientowaną urazę, gdy Connor i ja, bez wcześniejszego uzgodnienia, odsuwamy się od niej o krok. Zwalnia, zatrzymuje się i pyta:

– Skarbie, co się stało?

Najpierw mówi do Connora, a jej głos jest jakiś inny. Schrypnięty, głęboki, słaby. Może faktycznie jest chora. Mam ochotę walnąć ją w gardło, a ta myśl wydaje mi się tak realna, że robi mi się czerwono przed oczami i zaczynam się trząść na całym ciele. „Nie waż się go dotykać”.

Connor nie mówi ani słowa. Nie powiedział zbyt wiele od czasu, gdy go znaleźliśmy. Mama przenosi spojrzenie na mnie. Ma w oczach łzy, *falszywe* łzy w oczach *falszywej* matki, a ja nienawidzę jej tak bardzo, że chce mi się rzygać.

– Lanny? O co chodzi?

Ot tak zaczynam wrzeszczeć. Z mojego ciała wrywa się niekontrolowany, piskliwy wrzask.

– *Pieprz się!*

Javier wkracza pomiędzy nas. To dobrze, bo rzucam się na nią, a on odciąga mnie w tył. Usiłuje coś powiedzieć, ale ja go nie słyszę. Co dziwne, słyszę za to wyraźnie Kezię, która mówi:

– I to by było na tyle z zachowania tajemnicy.

Nie ruszyła się ze swojego miejsca, ale jest gotowa. Nie spuszcza wzroku z Connora.

Muszę zająć się bratem, więc przestaję wrzeszczeć i odwracam się, a potem biorę w garść. Obejmuję go ramionami, ale on wygląda, jakby tego nie zauważył.

Wpatruje się w mamę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Mama próbuje coś mówić. Głos ma zdarty i bardzo cichy.

– Och, skarbie, na Boga, co się dzieje, co zrobiłam nie tak...

– No nie wiem, *Gina*, a jak ci się wydaje? Może to, że okłamywałaś nas *od samego początku*?

Mój głos brzmi jak dawniej, tyle że jest donośniejszy. Mam ochotę ją popchnąć, wypędzić z naszego życia. Chcę bronić brata, bo wiem, że to rani go w sposób, którego już nigdy nie uda mi się naprawić. Moim zadaniem jest go chronić i nie zrobiłam tego. Nie potrafiłam.

To *ona* mu to zrobiła. Zrobiła to nam.

Mama płacze. Łzy spływają po jej twarzy. Nie przestaje wyciągać rąk w naszą stronę, a my stale się cofamy. Javier nadal blokuje jej drogę.

– Usiądź, Gwen – mówi.

– Ona nie nazywa się Gwen – poprawiam go. – To *Gina*. Gina Royal. Zawsze nią była.

– Nie wiem, co tu się dzieje – mówi mama, ale coś w jej oczach – pewien rodzaj ślepej, hamowanej paniki – każe mi myśleć, że ona już wie. Przyzwyczyłam się postrzegać swoją matkę jako wszechpotężną, silną, prawie nadludzką istotę. Widziałam, jak rzucała się do walki, choć wiedziała, że nie ma szans na wygraną. „Dla nas”, szepcze jakaś część mnie, ale szybko ją uciszam.

Wiem, że nie jest superbohaterką. Jest człowiekiem, jak ja. Jak Connor. Jak wszyscy inni. Odnoszę wrażenie, że właśnie dowiaduję się o istnieniu czegoś ważnego i jednocześnie smutnego. Ostatecznie jest tylko zwykłym człowiekiem.

I jest zła do szpiku kości. *Zupełnie jak tata*. Nie, jest gorsza od taty, bo on przynajmniej nie mącił nam w głowach i nie kazał wierzyć w to, że czarne jest białe, a zło to dobro. Tata nigdy nie kazał nam myśleć, że jest niewinny.

Ona tak. A to coś znacznie gorszego. Już nigdy, przenigdy nie przestanę jej za to nienawidzić.

– Siadaj – powtarza Javier. Wygląda jakby miał wszystkiego serdecznie dość. Mama zerka na Sama, który już nawet nie stoi twarzą do niej, i siada ciężko na fotelu. Javier podchodzi do niej z tabletem, stuka w niego palcem i podaje jej. – Wytlumacz to.

Twarz mamy robi się tak blada, że jestem pewna, że zaraz zemdleje, ale nie robi tego. Patrzy w ekran, ale nie sędzę, by cokolwiek widziała, a kiedy wideo się kończy, oddaje tablet Javierowi i pochyła się do przodu, aby ukryć twarz w dłoniach. Przez sekundę wydaje mi się, że płacze, ale kiedy ponownie unosi twarz, oczy ma suche i jakby pochmurne.

– To nie ja – mówi. Głos ma szorstki i ochrypły. – To fałszywka. Absalom sfabrykował nagranie.

– Wybacz, ale nie – mówi Javier. – To zbyt dobra robota jak na przypadkowego hejtera. Widzę cię. Pomagasz *mu*.

– To *podróbka!* Gdyby była prawdziwa, to dlaczego nie pokazano jej w trakcie mojego procesu? Pomyśl o tym, Javi, proszę! Wiem, że to wygląda strasznie. Jestem wściekła i przygotowia mnie to o mdłości, *ale to nie ja*. To się nigdy nie wydarzyło!

– Zamknij się. To dowód. Rzuciliśmy ci nim prosto w twarz. *Zrobiłaś to*.

– Lanny, skarbie...

– Przestań – przerywam jej ostrym tonem. Chcę, żeby sobie poszła. Nie mogę na nią patrzeć. Chce mi się przez nią rzygać. – Zamknij się. Mam dość twoich kłamstw.

Znów zaczyna płakać. Świetnie. Niech cierpi. Nie ma pojęcia, jak bardzo to rani *mnie*.

– Skąd to wzięliście? – szepcze.

Connor unosi głowę po raz pierwszy i mówi:

– Znalazłem to.

Nie wygląda na wściekłego, tylko wypranego z emocji. Przeraza mnie to, bo mój brat nie jest nawet w połowie tak wściekły, jakbym

chciała, a przynajmniej nie pokazuje tego po sobie. To tak jakby *spodziewał się*, że świat nas zawiedzie.

– Skąd...

– To bez *znaczenia*, prawda? – wtrącam się. – Liczy się to, że znalazł. To dowód, że jesteś kłamcą.

– To dowodzi tego, że ludzie chcą, byście w to wierzyli – mówi. – Proszę, Lanny...

– Nie *odzywaj się do mnie!*

Zapada cisza. Patrzymy na nią wszyscy, nie licząc Sama, który jest zajęty nalewaniem sobie kawy, udawaniem, że wszystko jest w porządku, ale ja dostrzegam napięte mięśnie jego pleców. Wyraz twarzy ma tak pusty, że przypomina halloweenową maskę. Czy on też jest w to zamieszany? Czy też jest kłamcą? Okłamywał nas na początku. Może jemu również nie powinniśmy ufać. Ani Javierowi. Ani Kezii.

Może oprócz naszej dwójki na świecie nie został już nikt, komu możemy zaufać.

Mama odwraca się do Javiera i Kezii.

– Skąd on to ma? Jakim cudem?

– Znalazłem – powtarza Connor. Nie patrzy na nikogo.

Kezia przygląda mu się w taki sposób, jakby chciała wziąć go w ramiona i utulić. Wydaje mi się, że by to zrobiła, gdyby atmosfera nie była aż tak napięta.

– Sprawdziłam jego telefon – mówi. – Obszedł zabezpieczenia rodzicielskie. Bystry dzieciak. Niestety, właśnie do tego go to zaprowadziło. I nas. – Przenosi spojrzenie na mamę. – A ty nie pomagasz sobie, skupiając się na wypytywaniu, skąd to ma. Problem w tym, czego ty nam nie mówisz.

– FBI wie o istnieniu nagrania. Są w trakcie analizowania. Udowodnią, że jest nieprawdziwe, bo takie właśnie jest.

Głosem tak lodowatym, że czuję go nawet przez wszystkie

pokłady swojej wściekłości, Sam mówi:

– Istnieje więcej niż jeden film. Drugie nagranie pokazuje, jak Gwen pomaga mu w garażu.

– *To nie ja!* – mówi mama, prawie na niego krzycząc.

Wzrusza ramionami.

– W porządku. *Gina*.

– Nie, Sam. Ja nigdy tego nie zrobiłam. Ja nigdy...

Sam odwraca się do niej twarzą i z hukiem odstawia kubek z kawą na blacie.

– Do jasnej cholery, wywinęłaś się od morderstwa i zarzutów o współudział, więc *przestań kłamać!* Niby po co Absalom miałby fałszować te nagrania? Suffolk miał je na swoim USB przez cały rok!

Mama z bólem wciąga powietrze do płuc i mówi:

– A Absalom atakował mnie i dzieci od czterech lat. Przerobione zdjęcia. Nękanie. Grożenie śmiercią. Samosądy. Zrobili z mojego życia istne piekło, dobrze o tym wiesz! Dlaczego uważasz, że to się w czymś różni od reszty? Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć, Sam?

– Bo widzę to, co mam przed oczami – mówi. – W odróżnieniu od twojej ławy przysięgłych. – Odwraca się do mnie i do Connora. Ton jego głosu łagodnieje. – Dzieci, bardzo mi przykro. Naprawdę. To nie jest wasza wina. Chciałbym wam pomóc, ale to... – kręci głową.
– To po prostu... zbyt wiele.

– Sam! – Mama zrywa się na równe nogi, gdy Sam podchodzi do frontowych drzwi. – Sam, proszę, nie rób tego!

– Zostaw go w spokoju – mówię. – Już wystarczająco mocno go skrzywdziłaś.

Nie wiem, czy w ogóle mnie słyszy, ale przestaje do niego mówić. Patrzy, jak Sam wychodzi. Drzwi zamykają się za nim.

Wygląda teraz na bezradną, zagubioną i przerażoną.

– Nie wolno wam w to wierzyć. Jestem w stanie zrozumieć,

dlaczego Sam wierzy, ale nie ty, Lanny. Ty wiesz lepiej. Wiesz, kim jestem.

Wyciąga dłoń w moją stronę, ale nie zbliżam się do niej. Cofam się.

– Już nigdy nie chcę cię widzieć. Nie jesteś moją matką. Ja nie mam matki.

Mówię serio. To szczerą prawdą. Słyszę, jak mój głos wibruje wściekłością. Chcę ją spoliczkować tak mocno, że już sama myśl o tym sprawia, iż ręka wydaje mi się gorąca niczym żelazo. Chcę ją ukarać. Chcę, żeby poczuła się tak samo jak ja. Pokonana i zniszczona.

I wydaje mi się, że tak właśnie jest, bo szok i przerażenie wymalowane na jej twarzy prawie mi wystarczają. *Prawie.*

– *Nigdy nie pomagałam waszemu ojcu!*

Słowa wychodzą z jej ust jako zduszony okrzyk, ale ja jej nie wierzę. Ona sama już chyba w to nie wierzy.

– Pomagałaś – odzywa się Connor. – Sami widzieliśmy. Przestań powtarzać, że nie. Już nigdy w życiu ci nie zaufamy.

I tyle. To najdłuższa wypowiedź Connora od chwili, w której obejrzał nagranie.

Jego słowa ranią ją do żywego. Z trudem łapie oddech, zupełnie jakby oberwała cios w brzuch. Patrzy na Javiera. Na Kezie. Nikt nie ma jej już nic więcej do powiedzenia. Widzę, jak coś się w niej załamuje. Znow siada na krześle. Moja matka wygląda tak, jakby chciała umrzeć.

Patrzeć na to sprawia mi ból, ale winę za to ponosi słabsza część mnie, ta, która nadal chce głupio – *zawsze* – wierzyć, że wszystko będzie dobrze, a nigdy tak nie jest. Od samego początku nic nie było dobrze. Może to jest wreszcie ostatni raz, kiedy dałam wiarę idiotycznemu, dziecinnemu kłamstwu.

– Co mam teraz zrobić? – pyta w końcu mama.

Ton jej głosu sugeruje, że się poddała. Czekam, aż poczuję z tego powodu satysfakcję, ale ogarnia mnie wyłącznie pustka. Furia, która mnie napędzała, zaczyna powoli słabnąć. Zostały tylko cisza i zgliszcza, a ja jeszcze nigdy w życiu nie czułam się taka samotna.

– Musisz stąd iść, Gwen – mówi Javier. – Nie wracaj, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona, a ty nie będziesz mieć namacalnego dowodu potwierdzającego twoje słowa. Nie powinnaś teraz przebywać ze swoimi dziećmi. To niewskazane. – Jego uwaga zaskakuje mnie. Nie sądziłam, że stanie po naszej stronie. Ani że zrobi to Kezia. Ale robią to, sprzeciwiając się mamie.

To pomaga.

Mama również nie może w to uwierzyć.

– Javi...

– Jeśli udowodnisz swoje słowa, że stoi za tym Absalom, wtedy będziemy mogli rozmawiać – wtrąca Kezia. – Wtedy jako pierwsza przyznam, że się myliłam. Lecz w tej chwili byłabym idiotką, gdybym nie uwierzyła w to, co mam przed oczami, a widzę, jak pomagasz Melvinowi Royalowi nieść jakąś biedną dziewczynę na rzeź. Jeśli to prawda, jeśli jakakolwiek część tego jest prawdą, nie zasługujesz na to, aby kiedykolwiek zobaczyć się z dziećmi.

Mama przykłada dłoń do ust, jakby chciała krzyknąć albo zwymiotować. Na jej twarzy odmalowuje się szok, panika, sama nie wiem co. Wiem, że cierpi. „Mam to gdzieś”, powtarzam sobie zajadle w duchu. „Świetnie. Niech cierpi, ile wlezie”.

– Gdybym naprawdę była tą osobą, którą widać na wideo, to dlaczego go teraz ścigam? – pyta mama. Głos trzęsie się jej tak okropnie, że chyba zaraz się załamie. – Przecież to nie miałoby żadnego sensu!

– To ma sens, jeśli chcesz do niego wrócić i połączyć siły – mówi Kezia, a to sprawia, że moja mama zamiera w bezruchu.

Robi mi się niedobrze, bo to może być prawda. Może mama i tata

od zawsze robili to razem. Może chora relacja, która ich łączyła, wcale nie wygasła.

– Nie chcę – odpowiada mama. Brzmi to słabo. Brzmi jak kłamstwo. Znowu zacznę ją nienawidzić z całego serca.

– To ty tak twierdzisz. Może cała ta poza niewinnej ofiary od samego początku była zmyłką, a Absalom od razu cię rozpracował. A to kolejny powód, dla którego należy trzymać te dzieci z dala od całego bałaganu.

Nagle w mojej głowie pojawia się jedno wspomnienie, które powstrzymuje zalewającą mnie wściekłość. To mama schodząca po schodach piwnicy Lancela Grahama. Na jej twarzy maluje się przerażenie, gdy dociera do niej, na co patrzy.

A potem radość, gdy dostrzega mnie i Connora, całych i zdrowych.

To nie ma najmniejszego sensu w zderzeniu z całą resztą, a jednocześnie wiem, że to najprawdziwsza chwila, chwila, w której naprawdę *przekonałam się*, jak bardzo nas kocha. Mama przysłała po nas do tego okropnego miejsca, gdy już myślałam, że umrzemy w nim w samotności. Krwawiła i była ranna, a mimo to zjawiała się tam, by nas uratować.

To nie jest coś, co robi kłamca albo morderca. Czy aby na pewno?

„Może faktycznie nas kocha”, myślę. „A może po prostu bardziej kocha tatę”. To straszna myśl, która sprawia, że czuję ściskanie w dołku. Obejmuję Connora ramieniem. Nie mogę więcej ryzykować. Muszę go chronić. A to oznacza, że muszę zmusić mamę do odejścia.

Nagle dopada mnie potworne zmęczenie. Pragnę zwinąć się w kłębek na własnym łóżku i rozplakać.

Apaszka mamy zsuwa się na tyle, że ujawnia szereg sińców – ciemnoczerwonych plam połączonych ze sobą nitkami popękanych naczyń krwionośnych. Ktoś zrobił jej krzywdę, a mnie na sekundę ogarnia strach i martwię się o nią. Muszę się powstrzymać, aby

tego nie robić, bo jest *oszustką* i prawdopodobnie zasłużyła sobie na to.

Głowa mnie boli i mam już wszystkiego dość.

– Lepiej już idź, mam. Nie jesteś nam potrzebna.

Chciałam powiedzieć „nie jesteś nam potrzebna *tutaj*”, ale wyszło tak, jak naprawdę czułam. *Nie jesteś nam potrzebna*. Mam świadomość, że to najgorsza rzecz, jaką mogłam jej powiedzieć. Naprawdę mam.

Mama wciąga gwałtownie powietrze i kładzie dłoń na brzuchu, tak jakbym ją tam dźgnęła. Jej usta układają się w moje imię, ale nie wypowiada go na głos. Może nie jest w stanie.

– Lanny ma rację – mówi Kezia. – Idź. Nie wracaj, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

– Przysięgam, że ochronię je przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami – dodaje Javier. – A w tej chwili ty się do nich zaliczasz. Rozumiesz to?

Oczy mamy napęlniają się łzami, ale nie wybucha płaczem.

– To jedyne, czego pragnę.

Patrzy na nas, a ja widzę po niej, że chce do nas podejść, przytulić i zapłakać. Czuję jej potrzebę zrobienia tego, która drży w powietrzu wokół niej niczym wyładowanie elektryczne.

Całe moje ciało również tego pragnie, a ciała są głupie. One po prostu chcą być kochane. Ale ja jestem ponad to wszystko. Jestem silniejsza. Mama nauczyła mnie jak być silną i teraz nią jestem. Bez względu na to jak bardzo to boli, ograniczam się wyłącznie do patrzenia na nią i nakłaniania jej siłą woli, aby odeszła.

I robi to.

Wychodzi.

Czekam, aż obejrzy się za siebie, ale nie robi tego. Drzwi zamykają się za jej plecami. Choć chciałam, żeby wyszła, wręcz się tego domagałam, fakt, że to zrobiła, sprawia, że czuję się, jakby

ponownie nas zdradziła. Boli mnie brzuch. Czuję ucisk w klatce piersiowej. Już nic nie jest dobre, wszystko się popsuło.

Ramieniem obejmuję Connora, tuląc go do siebie mocno. Zwykle wyrywa się, gdy tak robię, ale nie teraz. Mój uścisk mówi mu „jestem przy tobie, nie puszcę cię już”.

Nie jestem taka jak ona.

Przez długą chwilę żadne z nas się nie odzywa. Domyślam się, że Sam czekał na zewnątrz, ponieważ słyszymy dźwięk odpalanego silnika i chrzęst żwiru, a gdy wszystko cichnie, Kezia wydaje z siebie przeciągłe westchnięcie i mówi:

– Niech to szlag. Tak mi przykro. To było naprawdę trudne. Dobrze się czujecie?

Kiwam głową. Connor nie robi nic. Wpatruje się w podłogę, a na twarzy ma tę maskę, którą przywdziewa wtedy, gdy jest zbyt przytłoczony, aby cokolwiek poczuć. Nie mam pojęcia, w jaki sposób to na niego wpłynie, ale wiem, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Kezia odwraca się do Javiera i choć mówi to bardzo cichym głosem, i tak ją słyszę.

– Nie mogę teraz wyjść. Zadzwońię do Prestera.

– Nie możesz go w ten sposób oszukiwać. Kez, on niedawno tu był i próbował ustalić, co sprawia, że ty i ja spędzamy tak mało czasu w pracy. Albo się o ciebie martwi, albo zaczął żywić podejrzenia. Żadna z tych opcji nie jest dobra. Nie jesteś detektywem na tyle długo, aby mieć we wszystkim wolną rękę. Wracaj do pracy.

Patrzy na niego przez długą chwilę, a potem kręci głową.

– Nie, mam lepszy pomysł.

– Kez. *Querida*.

– Mówię poważnie.

Javier tylko kręci głową, ale się nie sprzeciwia, gdy Kezia wyciąga telefon i wybiera numer. Przyglądam się jej w otępieniu, gdy chodzi w tę i z powrotem. Mój gniew wyparował. To tak jakby

zniknął wraz z mamą, a jedyne co mi pozostało, to dziura w trzewiach, zimna i pusta, w której powinni tkwić moje wnętrzności. Osuwam się ciężko na kanapę i wyciągam z tyłu gruby, dziergany pled, który zarzucam sobie na ramiona, bo cała się trzęsę.

– Prester? – mówi Kezia. – Muszę ci o czymś powiedzieć. I wydaje mi się, że chyba powinienes przyjechać do domu Javiera, aby wszystkiego wysłuchać.

Detektyw Prester to stary człowiek, tak stary, że jestem zdziwiona, że nie odszedł jeszcze na emeryturę, ale jego umysł nadal jest ostry jak brzytwa. Dostrzegasz to w chwili, w której pada na ciebie jego wzrok.

Jednym długim spojrzeniem obejmuje całą sytuację, w tym naszą dwójkę siedzącą na kanapie. Tym razem nie kazano nam iść i się ukryć, choć i tak nie jestem pewna, czy zastosowalibyśmy się do tego polecenia.

– Niech mnie licho weźmie – mówi, zamykając za sobą drzwi. – To chyba odpowiedź na moje pytanie, gdzie są dzieci. A Gwen?

– Nie ma jej tutaj – mówi Kezia. – Proszę usiąść.

Prester zajmuje miejsce przy kuchennym stole. Javier zaparzył kawę. Nalewa trzy kubki i siada na trzecim wolnym miejscu. Prester przyjmuje kubek i sączy kawę, co chwila zerkając w naszą stronę. Ciekawe, co takiego widzi. „Małe, osierocone dzieci”, myślę w duchu. Nienawidzę tego, ale to prawda. Jesteśmy teraz sami. Mama nie wróci, a nawet jeśli, nie poszłabym z nią. Potrafię o siebie zadbać, ale co z Connorem? Jest za młody. Potrzebuje pomocy. Jestem wystarczająco mądra, by wiedzieć, że nie pozwolą mi odgrywać roli jego matki zastępczej.

To *my* potrzebujemy pomocy.

Po raz pierwszy uświadamiam sobie skalę problemu i czuję palące łzy w gardle i pod powiekami. Kątem oka zerkam na Connora. Znów wpatruje się w swoją książkę, ale od dawna nie przewrócił żadnej strony. Nie czyta. Chowa się. Jest w tym naprawdę świetny.

Zazdroszczę mu tego teraz, bo nie mam pojęcia co *robić*.

– Gwen i Sam... – zaczyna mówić Kezia, ale Prester powstrzymuje ją uniesieniem dłoni, która drży nieznacznie.

– Nie, Claremont. Zajmuję się tym już od dłuższego czasu. Chyba potrafię rozwiązać tę zagadkę. Gwen i Sam wszczęli własne śledztwo. Uznali, że dzieci będą bezpieczniejsze tutaj, z wami. Jak im idzie?

– Świetnie.

– A sądząc po waszych minach, coś poszło nie tak – dodaje. – Cholernie nie tak. Zaginęli?

– Nie – mówi Javier. – Ale sprawy coraz bardziej się komplikują. Nie chciałem, by pomyślał pan, że Kezia nie jest dobrą policjantką, ani że mamy jakieś problemy rodzinne czy coś w tym stylu. To nie to.

– Dla mnie wygląda to właśnie jak problemy rodzinne – konstatuje Prester. – Tyle że nie wasze.

W rewanżu Javier włącza tablet i przekazuje mu go. Prester ogląda wideo, ale nie jestem w stanie powiedzieć, czy robi na nim jakiegokolwiek wrażenie. Kiwa głową i oddaje tablet.

– Wierzycie w to?

Pytanie wisi w powietrzu przez parę dobrych chwil, po czym Kezia mówi:

– Nie chcę. Bardzo to wygodne, że nagranie tkwiło w ukryciu i jakoś nikt nie przekazał go policji w trakcie jej procesu. Po co mieliby je zatrzymywać?

– Ludzie tak robią – mówi Prester. – Odpowiedź jest zawsze taka sama. Chodzi o pieniądze albo władzę. Jeśli nagranie jest autentyczne, ktoś liczył na wypłatę. Jeśli nie jest, chodzi o władzę. A wszystko zależy od tego, kto ma na tym zyskać.

Myślę nad tym przez chwilę. Co to miało znaczyć? Kto mógłby odnieść *korzyść* z czegoś tak potwornego? Komu miało się to przydać?

Udaje mi się to rozpracować dopiero wtedy, gdy Javier mówi:

– Samo istnienie nagrania stawia Gwen w defensywie. Ludzie zaczną jej szukać, a ona będzie musiała zaprzestać poszukiwać swojego eks, żeby móc ochronić samą siebie.

Tata. Skorzysta na tym tata. Głowa mnie boli. To nie ma żadnego sensu, ale jednocześnie go ma. Zwyczajnie nie mogę uwierzyć, że ktoś mógł *celowo* zrobić coś takiego.

– Zyskuje też Absalom – wtrąca Kezia. – Prawda?

– Owszem, ponieważ musiała wpaść również na ich ślad – zgadza się Prester. – Nie twierdzę, że nagranie nie jest prawdziwe, ale jak sama wspomniałaś, Kez, to wygląda zbyt prosto. Musisz zadać sobie pytanie: przede wszystkim kto, do diabła, zaczął się w krzakach i nagrał to wideo? Kto widział, jak wnoszą nieprzytomną dziewczynę do środka i nie powiadomił policji? Gdyby coś takiego wylądowało na moim biurku, spytałbym najpierw, skąd się tam wzięło i dlaczego.

Czuję, jak zaczyna mi się robić niedobrze. Prester mówi o tym tak, jakby to była historia wyrwana prosto z jakiegoś filmu. Tyle że nie jest. Ani trochę. W jego ustach brzmi to tak, jakby mama była niewinna.

Nie może być. Przecież zmusiłam ją do odejścia.

– Zdążyłam ją porozmawiać z Connorem o tym, jak to znalazł – mówi Kezia. – Mogę ci pokazać. Najwyraźniej był członkiem internetowego forum, na którym omawiano zbrodnię jego ojca. Był

tam podany link. Został już skasowany, ale to właśnie stamtąd udało mu się pobrać wideo.

– Naprawdę kupuje pan jej historię o tym, że nagranie sfalszowano? – pyta Javier. – Wygląda naprawdę *autentycznie*.

– Chodziłeś ostatnio do kina? Ludzie uzbrojeni w komputery i odpowiedni zestaw zdolności mogą dziś sprawić, że niemożliwości wydają się cholernie prawdopodobne. Potrzebna jest analiza biegłych kryminologów wyjaśniająca, co jest, a co nie jest prawdą. Wydaje mi się, to nagranie przemówiło do waszych emocji, a nie do logiki.

– A zatem nie wierzysz w nie – mówi Kezia.

– Mówię tylko, że tak czy siak, zachowam otwarty umysł do czasu, aż technicy powiedzą mi co innego. – Prester wypija trochę kawy i patrzy w moją i Connora stronę. – Jesteście pewni, że to dobre miejsce dla dzieci?

– Nie – odpowiada Javier – ale jestem pewien, że to lepsze niż przymusowe wyruszenie w podróż samochodem i napytanie sobie kłopotów. Jeśli Gwen się o tym dowie, ostatnią rzeczą, której wszyscy byśmy chcieli, jest sytuacja, gdy znajdą się w krzyżowym ogniu.

Prester przytakuje, zgadzając się z nim.

– Doceniam fakt, że wtajemniczyliście mnie w sytuację. Zachowam milczenie. – Odwraca się do Kezii. – Z tego, co mi wiadomo, przez większość czasu możesz przebywać w terenie. W terenie oznacza przebywanie tutaj i opiekowanie się nimi. Nie ma sprawy. Jak tylko znajdziemy jakiś ślad, powiadomię cię. A na razie trzymaj się blisko nich. Nie chcę, żeby ktokolwiek wpadł na ich trop. W przeciwnym razie moja kartoteka będzie kiepsko wyglądać.

Zanosi kubek do zlewu i opłukuje go, a przed wyjściem wymienia uściski dłoni z Javierem i Kezią. Ani razu nie odezwał się

bezpośrednio do nas.

Gdy za detektywem zamykają się drzwi, Kezia i Javier wymieniają się porozumiewawczymi spojrzeniami, a potem Kezia podchodzi, aby usiąść na podłokietniku fotela stojącego naprzeciwko nas.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Chce mi się śmiać. Serio? Nic nie jest w porządku. Niby dlaczego miałyby być w porządku? Drzę na całym ciele.

– Nic mi nie jest – mówię. Nie zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że kiedy opuszczam brodę i pozwalam, by włosy opadły mi na twarz, to kłamię. – Co niby mamy powiedzieć? Zawiodła nas. Zawiodła nas wszystkich. Powinna siedzieć w więzieniu razem z tatą.

Kezii nie podoba się to, co musi robić. Podobnie jak Javier, jest świetna w chronieniu ludzi, ale nie w ich pocieszaniu. Mimo wszystko stara się.

– Pomyślałam, że może chcesz opowiedzieć mi o tym, jak się czujesz.

Przewracam oczami.

– Jestem wściekła. Wkurzona. Rozczarowana. Co jeszcze mam powiedzieć? Już po wszystkim. *Odeszła!*

Nawet ja słyszę, że mój głos załamuje się na końcu zdania, więc zamykam się, krzyżuję ramiona na piersi i opieram zgarbione plecy o kanapę. Całe moje ciało wykrzykuje jasny komunikat: „Nie rozmawiaj ze mną”, a Kezia to akceptuje.

– W porządku. Connor?

– Nie powinna była okłamywać nas na temat tego, co robiła z tatą – mówi.

– Wiem to, ale czy jesteś z tego powodu smutny? A może zły?

Za mocno się stara i wydaje mi się, że jest tak samo wkurzona na mamę jak my. Nie jesteśmy już przysługą, którą ona i Javier

z przyjemnością wykonują. Staliśmy się obowiązkiem. Założę się, że myślą to samo: „Jakim cudem się w to wpakowaliśmy? I jak możemy się z tego uwolnić?”

Założę się, że wszyscy tak myślimy, ale ani Connor, ani ja nie powiemy tego na głos. Jesteśmy dziećmi swojej matki. Nie chcemy dyskutować o swoich uczuciach. Gdy mama zaciągnęła nas na sesje terapeutyczne po wyjściu z więzienia, wydaje mi się, że pobiłam rekord przemilczanych godzin na psychoterapii.

Jeśli zechcę o tym paplać – *jeśli* – to nie chcę, aby nastąpiło to tutaj. I nie w obecności przysłuchującego się wszystkiemu Connora. Muszę być silna dla niego.

Connor wzrusza w odpowiedzi na pytanie Kezii, a ona posyła nam smutne uśmiechy, jakby wiedziała. Nie ma o niczym pojęcia.

– No dobrze, ale wiecie, że możecie przyjść i z nami pogadać? W każdej chwili. O wszystkim. To bardzo ciężki dzień, a my jesteśmy tu dla was.

– Jasne. Świetnie. Skończyliśmy już? – pytam. – Czy mogę pójść do swojego pokoju?

– Pewnie – odpowiada Kezia łagodnym głosem. – Możesz odpocząć, jeśli chcesz. Będziemy w pobliżu.

Zanim wychodzę, schylam się i kładę rękę na ramieniu swojego brata. Szepczę cicho, żeby tylko on usłyszał:

– Możesz do mnie przyjść, wiesz to, prawda?

Kiwa nieznacznie głową. Zrobi to, kiedy będzie gotowy.

Wchodzę do swojego pokoju i zatraskuję drzwi. Kładę się na łóżku i gapię w sufit. Wiercę się i miotam, zakładam słuchawki, ale nic nie pomaga. Nie mogę się zrelaksować. Nie mogę spać. Chodzę więc w kółko. Myślę o mamie. Pamiętam wszystko, co dla mnie zrobiła, rzeczy, które robiła ze mną, zabawę i śmiech, które mi podarowała, i zastanawiam się, czy przypadkiem nie popełniłam straszliwego błędu. Wściekam się na siebie, po pierwsze za

zranienie jej uczuć, a potem za niekonsekwencję w utrzymaniu tej wściekłości.

Czuję się tak samotna, tak pusta, że potrzebuję kogoś, kto się o mnie zatroszczy. Nie w sensie abstrakcyjnym. Chcę, aby ktoś spojrział mi w twarz i powiedział, że obchodzi go to, co się ze mną dzieje. Pragnę tego tak bardzo, że to aż boli. Ale nie chodzi mi o Kezię. Ani o Javiera.

Nie. Tak naprawdę chcę porozmawiać z Dahlią, ale nie wolno mi pójść do miasta ani do niej zadzwonić. Wiem dlaczego, i to bardzo rozsądne, ale w tej chwili nie czuję w sobie ani krztyny rozsądku. Jestem zdesperowana. Rozrastająca się we mnie pustka dusi mnie, jakby w pokoju nie było wystarczająco dużo powietrza.

Biorę telefon, wpisuję jej numer z pamięci i wysyłam wiadomość, gdzie ma się ze mną spotkać. Podpisuję ją „Tana”, skrót od lantany, jej ulubionego kwiatu, a ona jakiś czas temu nadała mi ksywkę Lannytana.

Odpisuje po paru sekundach: „Za ½ godziny?”.

„OK”, odpisuję, kończąc rozmowę.

Nie zawahała się. Robi mi się ciepło w środku i ogarnia mnie zdenerwowanie.

Connor pokazał mi, jak to robić. Wychodzę przez okno i zamykam je za sobą. Rekrut szczerka, gdy przeskakuję ogrodzenie, ale tylko raz, jakby nie wiedział, w jaki sposób zakomunikować to, że łamię zasady, albo niespecjalnie chce mnie wydać. W końcu przebiega pod ogrodzeniem, po czym wspina się na werandę i kładzie na ziemi. Chyba strzeże Connora. Świetnie. Niech robi to w moim imieniu.

Od dawna nie biegałam i znów muszę to poczuć. Kontrolę. Palenie w mięśniach. Ciszę, która przychodzi, gdy skupiasz się na tym jednym wysiłku. Nie zostawia ona wiele miejsca na inne hałasy dobiegające z otoczenia.

Biegnę. Ruszam przez las, patrząc pod nogi, ale trzymam się

zwykłych ścieżek, dopóki nie docieram do drogi, a potem przechodzę do sprintu. Po półgodzinie dostrzegam między drzewami niebieską, połyskującą tafłę Stillhouse Lake, więc zwalням do chodu, bo nogi zaczynają mi się trząść. Zbliżam się do celu od końca drogi, od strony strzelnicy, na której powinien pracować Javier, tyle że wziął przedłużone wolne, aby mieć pewność, że będziemy bezpieczni.

Ciekawe, po jak długim czasie zorientuje się, że w tej chwili nie jestem bezpieczna. I ile czasu zajmie mu znalezienie mnie.

Trzymam się lasu, poruszając się ostrożnie i chowając za każdym razem, gdy widzę jakieś ślady obecności ludzi albo samochody. Dziś nie ma tu zbyt wielu osób. Jest zimno i nieco pochmurnie. Wielu woli siedzieć w taką pogodę w domu. Wiatr jest zbyt porywisty na pływanie łodzią.

Mijam właśnie domek Sama. Stoi pusty. Zamknął drzwi i zostawił wszystko tak jak jest, więc w nagłym wypadku będę miała się gdzie schować. Mimo to, nie chcę zostać oskarżona o włamanie.

Z odległości jego chaty widzę nasz stary dom.

Jest oddalony od drogi i doków – wystarczająco blisko brzegu, aby uznać go za dom nad jeziorem, ale na tyle daleko na wzniesieniu, że nie musimy się martwić o powódź ani zabłąkanych wędrowców. *Nasz dom*. Tyle że w rzeczywistości wcale nim nie jest. Wszystkie miło spędzone chwile, wspomnienia sprzątania, malowania i nadawania mu naszego osobistego charakteru, wieczory przy kolacji, oglądanie filmów i spędzanie czasu jako rodzina... to wszystko jest teraz złe. Już sama nie wiem, co mam o tym myśleć.

Wygląda jak muzeum dokumentujące życie kogoś innego.

Wymykam się zza zasłony drzew i zaczynam biec, usiłując sprawiać wrażenie, jakbym wyszła sobie poćwiczyć i nie była dzieckiem najbardziej zniesławionego seryjnego mordercy w ciągu

ostatnich dziesięciu lat – absolutnie nie. Nikogo nie widzę. Przyśpieszam, gdy docieram do podjazdu, i biegnę w stronę domu, dzięki czemu mam okazję dokładnie obejrzeć to miejsce.

Zanim wyjechaliśmy, dom został zdewastowany przez wandalów. Po tym, jak rozeszły się wieści o tacie, a ludzie dowiedzieli się, kim naprawdę byliśmy. Wymalowane farbą obelgi nadal są widoczne na drzwiach garażu i ścianie. Dodano nowe malunki. Jednym z nich jest koślawy rysunek kobiety i dwójki małych dzieci wiszących na szubienicy. Rany, cóż za subtelność.

Zatrzymuję się na progu, oddychając z trudem, i próbuję uspokoić gwałtowne bicie serca. „To kretynizm, Lanny. Straszna głupota. Dobrze o tym wiesz”. Właśnie naszły mnie myśli o tym, że to wyjątkowo zły pomysł, ale zaszłam już naprawdę daleko. Sama nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że to jedyne miejsce na świecie, w którym nadal mogę się czuć normalnie.

Frontowe okno jest wybite. Do środka wpada wiatr. Rolety są połamane i łopoczą niczym skrzydła rannych ptaków.

Schowałam klucze do kieszeni, więc wyciągam je i otwieram drzwi, na których nadal znajdują się odgrodeniowe taśmy policyjne. Rozrywam je kluczem i wchodzę do środka. Nie palą się żadne światła, a kiedy wciskam włącznik, okazuje się, że nie ma prądu. I żadnego alarmu. Na panelu nie jarzą się żadne światełka.

Zamykam drzwi na klucz, a wtedy w mój nos uderza odór. *Ohyda. Na litość boską, co tak śmierdzi? Trup?* Przez sekundę, uwięziona w salonie, w którym jedynym źródłem światła są wypaczone, łopoczące na wietrze rolety, wyobrażam sobie trupa wiszącego w korytarzu na linie. Gdybym właśnie nie zamknęła drzwi, wybiegłabym przez nie w ułamku sekundy.

„Nie bądź głupia. Tu nie ma żadnego ciała”, besztam się w myślach. Rozglądam się wkoło. W salonie nie ma śladów zniszczeń, nie licząc cegły, która wpadła przed frontowe okno.

I całkiem wymyślnego malunku na ścianie. Telewizor zniknął, tak samo jak konsola i większość gier. Ktoś przyszedł tu z zamiarem zdemolowania domu, ale jego uwagę odwrócił sprzęt nadający się do ukradzenia.

Smród się nasila, gdy idę do kuchni. Panuje tam prawdziwy bałagan. Na ścianach jest jeszcze więcej wypisanych czerwoną farbą bazgrołów, które ciekną po nich niczym świeża krew, ale ktokolwiek jest ich autorem, nie umiał obejść się z farbą na tyle dobrze, by napisy dało się odczytać. Wydaje mi się, że za bohomazem kryje się słowo „suka”, ale widzę to tylko wtedy, gdy zmrużę oczy.

Przyczyna smrodu znajduje się w kuchni. Ktoś otworzył lodówkę i wyrzucił na podłogę całe jedzenie. To kupa pokrytych pleśnią resztek, w których pełzają chmary much nawet pomimo zimna. Chce mi się wymiotować, ale biorę do ręki miotłę, szufelkę i worki na śmieci i zgarniam z podłogi ile się da. Śmieci pozostawione w koszu cuchną niemiłosiernie. Przed wyjazdem nie mieliśmy czasu go opróżnić.

Nigdy nie sądziłam, że zaproszę Dahlię na miejsce zbrodni. Robię wszystko, co w mojej mocy, aby uprzątnąć to miejsce najlepiej jak się da, zanim się zjawi.

Wrzucam wszystko do worków i wynoszę na tył, aby wrzucić je do wielkiego, metalowego, zamykanego kontenera, który rzekomo miał powstrzymywać niedźwiedzie przed rozgrzebywaniem zawartości, choć ani razu nie widziałam żadnego w tych okolicach. Co najwyżej jest powodem frustracji dla szopów pracy.

Właśnie zamykam kłódkę, gdy na ziemię pada czyjś cień, a ja uświadamiam sobie, że ktoś stoi tuż za moimi plecami. Odwracam się i szykuję do wydania z siebie krzyku i wepchnięcia kluczy między palce tak jak nauczyła mnie tego mama...

Ale to ona.

– Hej – mówi, odgarniając włosy z oczu. To Dahlia, dokładnie taka, jak ją zapamiętałam, tyle że włosy zdążyły się jej zrobić nieco dłuższe. Rany boskie, jest śliczna. Śliczniejsza niż ja kiedykolwiek będę. Chce mi się płakać, bo cudownie jest móc ją zobaczyć, a jednocześnie mam ochotę ją przytulić, ale nie jestem pewna, czy powinnam. – Przepadłaś jak kamfora, suko. Gdzie się podziewałaś?

Siada na stole piknikowym stojącym na tarasie z tyłu domu, który zbudowałam razem z mamą, ale nigdy nie miałam okazji się nim nacieszyć. Wspinam się na stół i siadam obok niej, wystarczająco blisko, aby nasze uda zetknęły się ze sobą na całej długości. Serce mi wali. Nikt nie powinien mnie tu zobaczyć, a już z pewnością nie ktoś, kto mnie zna. Złamałam wszystkie możliwe zasady bezpieczeństwa.

Ale jest mi tak przyjemnie. Tak dobrze. Po pustce w moim wnętrzu nie ma śladu. Teraz, w tym momencie, czuję wyłącznie spokój.

– Musiałam wyjechać. Wybacz. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale wszystko wymknęło się spod kontroli. A potem pewni ludzie chcieli nas dopaść. Słyszałaś o tym, prawda?

– Tak – mówi cichym tonem. – To prawda, że zabiłaś Lancela Grahama?

Graham skończył jako trup. Mimo wszystko to dla mnie szok usłyszeć, że moja przyjaciółka myślała, że ja to zrobiłam.

– Co? Nie! Na litość boską! Kto to w ogóle powiedział?

– Wszyscy – mówi i wzrusza ramionami. – W końcu go pochowali, więc to wydawało się całkiem możliwe. Poza tym niezła z ciebie twardzielka. Powiedzieli, że był jakimś popieprzonym mordercą. Jak twój tata...?

To idiotyczne pytanie, a ja nie chcę na nie odpowiadać. W ogóle. To takie zwykłe pytanie, a jednak wydaje się większe niż cały świat. Nigdy nie powiedziałam Dahlii o tacie. Nie żebym nie

chciała, ale takie były zasady. Zasady ustanowione przez mamę.

Pieprzyć mamę. Mama uczyniła prawdziwą sztukę z okłamywania – nas i prawdopodobnie samej siebie. Nie chcę jednak okłamywać Dahlii, już nigdy. Siedzenie z nią tu w słońcu i żywienie przeświadczenia o tym, że moje emocje są prawdziwe, choć nie do końca umiem je sprecyzować... to ma dla mnie ogromne znaczenie.

Wyciągam rękę i muskam palcami jej palce. Nie patrzy prosto na mnie, ale obraca dłoń, a nasze palce się splatają. Moje tętno przyśpiesza, bo to coś silnego. *Właściwego*. Czasami trzymałyśmy się w ten sposób za ręce. Wydawało mi się, że to dlatego, że byłyśmy najlepszymi psiapsiółkami.

Teraz jednak wydaje mi się, że to coś zupełnie innego.

Mogę ufać Dahlii. Muszę jej ufać, bo jeśli nie będę w stanie, stanę się taka jak mama. Będę kłamczuchą.

– Mój ojciec to potwór. To wszystko prawda. Gwałcił, torturował i zabijał dziewczyny niewiele starsze od nas.

Odwraca się, aby spojrzeć na mnie z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Rany boskie. Ale hardkor. Nie bałaś się?

Wzruszam nieznacznie ramionami.

– Nie miałam o tym pojęcia. Dla nas on był po prostu... no wiesz, ojcem. Czasami wpadał w złość, ale nigdy nas nie uderzył ani nic w tym stylu. Po prostu lubił wyznaczone przez siebie zasady.

Przygryza dolną wargę. To odruch, który ujawnia się, gdy jest zdenerwowana. Widzę jej na wpół przysłonięte ustami zęby.

– Słyszałam, że robił te rzeczy w waszym domu.

– Nie w domu – poprawiam ją – tylko w garażu. Był stale zamknięty na klucz.

– Mimo wszystko...

– Tak, wiem – mówię cichym głosem. – To wszystko jest totalnie

popieprzone.

Mówiąc jej o tym, czuję się, jakbym zrzuciła z ramion ogromny ciężar. To oszałamiające, jak lekko się czuję. Jak *bezpiecznie*.

Dahlia nadal trzyma mnie za rękę, a ja czuję każdą bruzdę na opuszkach jej palców i każde uderzenie tętna. Siedzę rozgrzana w słońcu, rozleniwiona, i po raz pierwszy od dawna cały chaos zatrzymuje się w miejscu.

– Ej, nadal oblewasz hiszpański? – pytam.

– Co rusz – odpowiada, a potem parska śmiechem. Nie dlatego, że to zabawne, ale z ulgi, że zmieniamy temat. – *No se abla*, i to na serio.

Śmiech szybko jednak zamiera, gdy posyła mi spojrzenie spod grubych, aksamitnych rzęs. Rzęsy Dahlii są gęste i miękkie, a nie nastroszone tak jak moje, gdy nakładam maskarę. Dziś nie mam na twarzy ani grama makijażu i czuję się, jakbym była naga. Dahlia ma niebieskie, bardzo przejrzyste oczy, kolorem przypominające wodę w jeziorze w upalny, letni dzień. W samym środku ma niewielkie plamki zieleni. Jest ubrana w gruby, czarny sweter, na to ma założoną bluzę z kapturem, a na dłoniach czarne rękawiczki bez palców. W blond włosach ma ufarbowane na ciemnozielono pasemka, które u nasady są szmaragdowe i bledną w miarę zbliżania się do końcówek. Wygląda jak punkowa syrena.

– Wysłałam ci chyba z pierdyliard esemesów. Jak jakiś stalker. Nigdy nie odpisałaś.

– Nie mogłam – tłumaczę. – Musieliśmy pozbyć się swoich telefonów i kupić nowe.

– A to dlatego, że... że ścigała was policja?

– Nie policja. Nie zrobiliśmy nic złego. Nie, to z powodu mojego taty. Uciekł z więzienia.

– Wiem, ale myślałam, że go złapali. – Dahlia otwiera szeroko oczy i wpatruje się we mnie tak, jakbym była uosobieniem

tragizmu, wspaniałości i przerażenia.

– Nie, schwytali pozostałych zbiegów, którym udało się uciec razem z nim. On nadal przebywa na wolności. – Wzdycham. – Właśnie dlatego nie wolno mi było do ciebie pisać, dzwonić ani kontaktować się w żaden inny sposób. Staramy się zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby nas nie znalazł.

– W takim razie nie powinno cię tu być.

– Oczywiście, że nie. Wpadną w furję, gdy się o tym dowiedzą.

– Och... gdzie się zatrzymałaś?

Chcę wyjawić jej prawdę. Naprawdę chcę, i zrobiłabym to, gdyby chodziło wyłącznie o mnie... ale wyjawienie tego sprawi, że powierzę w jej ręce nie tylko swoje życie, ale i Connora, a na to nie mogę pozwolić. Muszę się nim opiekować, zwłaszcza odkąd mama... odeszła, gdziekolwiek teraz jest.

– W okolicy – mówię ogólnikowo. – Nie mogę ci powiedzieć. Nie dlatego, że ci nie ufam, ale po prostu...

– Nie, nie, rozumiem. Nie pisnę ani słowa. Nigdy cię tu nie widziałam. – Odwraca się i patrzy mi prosto w oczy, co jest absolutnie oszałamiające. – Nie chcę, żeby cokolwiek ci się stało, Tana.

Jej słowa sprawiają, że oddech więźnie mi w gardle, a moje ciało przebiega dreszcz. Mam nadzieję, że tego nie poczuła. Znowu zmieniam temat.

– Kto zdemolował dom? – Macham ręką w stronę korytarza, kuchni i poczynionych szkód.

– Ach, *to*. – Dahlia zakręca kosmyk włosów na palcu i ciągnie za niego. Urocze. – Znasz Erniego, tego dupka z miasta? To on i jego kumple z licealnej drużyny baseballowej. Zostali przepędzeni przez policjantów dwa albo trzy razy. Przykro mi. Miałam zamiar przyjść tu i posprzątać, ale bałam się, że mnie też aresztują. Moi rodzice nigdy tego nie rozumieją. Nie rozumieją wielu spraw. – Znów

zerka na mnie z ukosa, a w jej spojrzeniu jest coś, co instynktownie znam, a jednocześnie jest dla mnie całkiem nowe. Nagle czuję zalewającą mnie falę ciepła. Płonę pod grubą warstwą duszących mnie ubrań.

– W porządku, nic się nie stało. Przynajmniej policja złapała ich, zanim zdążyli dokonać większych zniszczeń. Chodź do środka – proponuję. – Nie powinnam przebywać na zewnątrz, gdzie każdy może nas zobaczyć.

– Ja... – Dahlia zastanawia się nad tym przez parę sekund. Ześlizguję się ze stołu i podchodzę do wychodzących na podwórze drzwi. „Odchodzi”, myślę sobie, nie mając pewności, jak się z tym czuję. Raczej kiepsko. Sama nie wiem. Jednak gdy się odwracam, widzę, że idzie zaraz za mną. – Jasne – mówi.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka, a potem zamykam je na klucz.

– Wybacz. Taka zasada. Drzwi muszą być stale zamknięte. To znaczy, możesz w każdej chwili wyjść i tak dalej. Nie jesteś moją zakładniczką.

– Ty wariatko, zdajesz sobie sprawę z tego, że w oknie jest wielka dziura? Zamykanie drzwi chyba nie ma żadnego sensu, co nie? – Dahlia zanosi się kaszlem i robi krzywą minę. – Rany boskie, co tak śmierdzi?

– Dupkowaty Ernie i jego kumple rozrzučili jedzenie po całej podłodze. Uprzątnęłam je. Minie trochę czasu, zanim ten smród wywietrzeje.

– Tak przy okazji, Ernie ukradł twoje gry i inne rzeczy. Przechwalał się tym po całym mieście jak paw. Boże, jak ja go nienawidzę. Myślałam o tym, żeby poprzebijać mu opony.

– Serio?

– Cały czas gadał wyłącznie o tym, jacy jesteście źli. Mam ochotę rozwalić mu przednią szybę kijem baseballowym. W porównaniu do

tego przebicie opon wydaje się dość łagodną karą. To prawie jak dobry uczynek.

Rozmawiając, idziemy korytarzem, oddalając się od smrodu. Nie robimy tego celowo. Już nie odczuwam takiego strachu jak wcześniej. Dahlia zawsze zmienia świat wokół mnie w coś lepszego, prawie normalnego.

Drzwi do mojego pokoju są nadal uchylone. Popycham je lekko.

Ernie i jego banda idiotów nie zdołali tu dotrzeć, bo mam wrażenie, jakby zanurzała się w sen. Wszystko leży tak jak to zostawiłam, w totalnym bałaganie. Zastygam w bezruchu na kilka sekund, a Dahlia staje tuż za moimi plecami. Czuję gorąco bijące z jej skóry oraz ciepły oddech owiewający mi kark, gdy mówi:

– O rany, twój pokój też został zdemolowany? Czy oni...

Podrywam się z miejsca, bo nie mam pewności, czy nie wyczuła przypadkiem mojego drżenia, i zaczynam zbierać rzeczy z podłogi i układać je w kącie tylko po to, by zająć czymś ręce. Są to głównie ubrania. Jest tu moja ulubiona czarna koszulka, która pachnie starym potem, ale i tak odkładam ją na bok, żeby zabrać ją ze sobą.

Prawie nie czuć tu smrodu zepsutego jedzenia, a kiedy zamykam drzwi i uchylam trochę okno, jest już dobrze. Siadam po turecku na łóżku. Dahlia zajmuje miejsce obok i ściska moją poduszkę. Tęsknię za nią. Poduszki u Javiera nie są wystarczająco miękkie. Może ją również ze sobą zabiorę.

– Hej, to moje – mówię, a ona rzuca we mnie poduszką, przewracając wymownie oczami.

Łapię ją, zanim zdąży walnąć mnie w twarz. Nadal pachnie proszkiem do prania, co przypomina mi o mamie i tym, że robiła pranie dwa razy w tygodniu, a ja pomagałam jej składać rzeczy. Pościel i ręczniki, co tydzień. Rutynowe obowiązki. Środki ostrożności.

Dlaczego musiała być taką skończoną *oszustką*?

Próbuję uniknąć bólu. Zmieniam temat.

– Co zamierzasz dziś robić?

– Idę na Skałę.

Ach tak. Skała to wielki, wystający głaz, spoczywający mniej więcej w połowie drogi na wzgórzu. Jest cała pokryta graffiti. To miejsce spotkań miejscowych dzieciaków, które chcą palić, pić i generalnie robić rzeczy, które nie spodobałyby się ich rodzicom. Nie chodziłam tam zbyt często, ale wiem, gdzie się znajduje. Wszyscy to wiedzą.

– Więc to tam się teraz szlajasz? – Wypycha do przodu ramiona, co w sumie można uznać za obojętne wzruszenie. – Nakryją cię, jeśli stale będziesz tam przesiadywać. – Waham się przez chwilę, po czym dodaję: – Spotykasz się tam z kimś?

Na jej twarzy pojawia się nagły uśmiech, a ja żałuję, że zapytałam. Chyba.

– Z nikim szczególnym. Chciałam tylko sprawdzić, kto tam jest i czy będą mogli podzielić się czymś fajnym. Mary Utrecht czasami przynosi valium swojej mamy.

– Acha, więc teraz zafascynowałaś się pigułkami? Ja wyjeżdżam, a ty od razu przechodzisz na ciemną stronę? – Rzucam w nią poduszką, a ona łapie ją w locie.

– Spokojnie, to nic takiego. Przecież nie zacznę od razu chodzić na imprezy z tabletkami ani nic w tym stylu. – Obrzuca mnie ukradkowym spojrzeniem. – A tak w ogóle, to jak ci się udało tu dostać? Na drodze nie widziałam samochodu twojej mamy.

– Przyszłam piechotą – mówię i natychmiast tego żałuję. Jeśli się przed kimś wygada, ludzie dowiedzą się, że mieszkam gdzieś w pobliżu ich domów. Szkoda, że nie możemy być gdzie indziej. Kocham swój pokój, ale każda rzecz przypomina mi o mamie, o tym, że stale tu była, gotowa przytulić mnie, gdy tego potrzebowałam, naprawić jakiś problem albo zaryzykować dla mnie

własne życie. Obecność Dahlii pomaga, ale nie powstrzymuje prawdy przed wyjściem na jaw.

Uświadamiam sobie, że nie jestem już wściekła na mamę, tylko smutna. Zawiedziona. Zdezorientowana.

– Dobrze się czujesz? – pyta Dahlia przyciszonym głosem.

– Sama nie wiem. – Przełykam ślinę. Gardło mnie boli, a oczy szczypią. – Ja... mama i ja pokłóciłyśmy się. Powiedziałam jej parę rzeczy. Byłam naprawdę okrutna.

Pochyliła się, aby na mnie spojrzeć.

– Ja bez przerwy wrzeszczę na swoją mamę.

– Nie, ja po prostu... wydaje mi się, że naprawdę ją zraniłam. Może zasłużyła sobie na to, już sama nie wiem. Ale...

Nie mogę się powstrzymać. Zaczynam płakać i przetaczam się na bok. Nienawidzę faktu, że płacę, że Dahlia jest tego świadkiem, ale jest mi przyjemnie, gdy dotyka mojego ramienia, przeczesuje włosy palcami i zatacza dłonią leniwe koła na plecach.

– Jesteś dobrą osobą, Lanny Proctor – szepcze mi do ucha. – Wyjdiesz na prostą, zobaczysz.

– Okej.

Przełykam łzy. Płacę z powodu wielu rzeczy: okłamującej nas mamy, rozszarpaniu jej na strzępy moimi słowami, zrujnowanego domu, który był dla nas jak azyl. Płacę nawet dlatego, że straciłam Dahlię, choć to nieprawda. To głupie. Czuję się głupio.

Dahlia wie, jak wyrwać mnie z tego transu.

Poduszka trafia mnie w nos, a ja zdieram ją z twarzy.

– Hej!

– Koniec z tą smutną miną. Czas na wygłupy, dziewczyno!

Jestem na nią trochę wściekła, a trochę podekscytowana. Czuję na języku słony smak łez, a jednocześnie chce mi się śmiać. Chwytam za poduszkę i uderzam ją, a potem siłujemy się o nią, ja wspinam się na nią, patrzymy sobie w oczy, a ona parska

śmiechem, który przypomina brzęk upuszczonego, srebrnego dzwoneczka, a ja myślę... myślę...

Wcale nie myślę.

Po prostu ją całuję.

Mam wrażenie, że wokół mnie eksploduje cisza, a jedyne, co czuję, to *ona*, jej usta (o wiele delikatniejsze niż usta chłopców, których całowałam, mniejsze i słodsze), jej ciało wyginające się w łuk pode mną, nasze piersi napierające na siebie pod warstwami ubrań, i słodki *Jezu*, to chyba najlepsza chwila mojego życia. Do tej pory robiłam wszystko źle i w końcu odkryłam coś tak ważnego, że wszystkie elementy układanki wskakują na swoje miejsce. To wspaniałe i zarazem przerażające. Trzęsę się pod wpływem swojego szokującego zachowania i odsuwam, zastanawiając się, czy Dahlia nie zacznie na mnie wrzeszczeć i nie obrzuci mnie stekiem wyzwisk.

Nie krzyczy. Nie wybucha płaczem. Uśmiecha się tak, jakby właśnie obudziła się z najpiękniejszego snu, i patrzy na mnie w ten szczególny sposób – tak jak Javier patrzy na Kezię, jak Sam patrzył czasami na mamę, a oddech więźnie mi w gardle, bo miałam rację. To jest piękne.

– No *heloł*, byłam ciekawa, kiedy wreszcie do tego dojdiesz – mówi Dahlia, a jej słowa sprawiają, że chce mi się śmiać z powodu paniki i zdumienia. Jej leniwy, cudowny uśmiech blednie. – Po twoim odejściu płaczem zmuszałam się do snu. Wiedziałaś o tym?

– Nie. Dlaczego? – Pytam szczerze, bo emocje atakują mnie ze wszystkich stron, a ja nie bardzo potrafię wziąć się w garść.

– Bo cię kocham, matole. – Łapie poduszkę i znów wali mnie nią w twarz, przez co opadają mi na nią włosy. Wybucham śmiechem, a ona znowu mnie całuje.

To w dalszym ciągu głupie. *Wiem*, że to głupie. I niebezpieczne. Ale wcale nie wydaje się złe.

Wreszcie czuję się na swoim miejscu.

Rozdział szesnasty

Gwen

Wszystko jest nie takie, jak być powinno. Czuję się, jakbym została rozcięta na pół i wypatroszona ze wszystkiego, co ma znaczenie. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy to boli, bo czuję jedynie... pustkę. Żadnego gniewu, strachu, wściekłości, miłości, nic prócz ciszy odbijającej się echem od pustych przestrzeni mojego serca i głowy.

Nie czuję się jak człowiek, tylko jak jego skorupa. Może od zawsze nią byłam, bo jeśli te nagrania są prawdziwe, to nigdy nie byłam osobą, za którą się uważałam.

Za kierownicą siedzi Sam.

– Dokąd mam cię podrzucić? – pyta po chwili długiego, nieprzyjemnego milczenia.

Sądząc po jego zdawkowym tonie głosu, chce ograniczyć mówienie do minimum. Z trudem przełykam ślinę i zamykam oczy.

– A więc to koniec – mówię. – Między nami koniec.

– Skończyliśmy ze sobą już w Atlancie – poprawia mnie. – Naprawdę sądziłaś, że jest inaczej?

To boli, ale jednocześnie nie mogę mu odmówić racji. Powinien

zostawić mnie w diabły. Już nie wie, kim, ani nawet czym, jestem. Z tego co mu wiadomo, mogę być sekretną współpracowniczką Melvina, działać przeciwko niemu albo stanowić popaprane, psychotyczne połączenie obu tych rzeczy.

– Rozumiem – mówię. – Naprawdę.

Jestem wytracona z równowagi. Utrata dzieci zburzyła cały mój świat. Mam w nosie, gdzie mnie wysadzi – na poboczu tej polnej drogi czy w środku miasta. Równie dobrze mógłby mnie zastrzelić i wyrzucić moje ciało do oceanu. W środku i tak czuję się martwa. Chcę wrócić do dzieci, ale one nie chcą wrócić do mnie. Jak człowiek ma się pozbierać i żyć dalej po czymś takim?

Sam nie odzywa się do mnie przez bardzo długi czas. Kolejne kilometry umykają z chrzęstem opon, gdy skręcamy w zjazd oddalający nas od Norton i kierujemy się na autostradę. Odrętwienie nie znika, ale zaczyna się pojawiać coś nowego. Szalona brawura. Poczucie celu. Skoro nie mogę chronić dzieci w ten sposób, ochronię je w inny.

Absalom zrobił ze mnie wroga najgorszego rodzaju: takiego, który nie ma nic do stracenia i niczego się nie boi. Jediną przewagą, jaką miał nade mną Melvin, były dzieci, a skoro ich bezpieczeństwo nie spoczywa już w moich rękach, nie mam już powodu, aby działać ostrożnie.

Albo niepostrzeżenie.

– Jak daleko mamy do następnego miasta?

– Pół godziny do takiego, które jest wystarczająco duże, by mieć jakiegokolwiek znaczenie. Czemu pytasz?

– Wysadź mnie tam. On mnie znajdzie.

– O czym ty w ogóle mówisz?

– Melvin mnie znajdzie. Już ja o to zadbam. – Wyobrażam sobie, jak to pójdzie: wystarczy chwila nieuwagi, a zaraz się pojawi. Rzuci się na mnie, tłukąc pięściami do nieprzytomności. Obudzę się tak

jak reszta jego ofiar – bezradna, zawieszona na linie, przerażona, cierpiąca z bólu. A ból się nie skończy, dopóki od niego nie umrę. – Muszę mieć pewność, że go znajdziesz i zabijesz. Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobi. To sprawi, że wyjdzie z ukrycia, a ty będziesz mógł go dopaść.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Mówię. Utrzyma mnie przy życiu tak długo, jak będzie w stanie, więc powinieneś mieć dużo czasu. Nawet jeśli będzie za późno, aby mnie uratować, po wszystkim zatrzyma przy sobie moje ciało. Nie ucieknie, dopóki nie zazna ostatecznej satysfakcji. Ja będę ostatnią ofiarą, Sam, nawet jeśli nie uda ci się do mnie dotrzeć, zanim mnie wykończy. Możesz go powstrzymać. Mogę go zmusić, żeby się nie śpieszył, przedłużać to, dopóki go nie znajdziesz. *On nie może położyć łap na moich dzieciach.* Tylko to się dla mnie liczy.

Niespodziewanie zjeżdża furgonetką na pobocze, szorując oponami po żwirze, a podwozie kołysze się, gdy mija nas szybki osiemnastokołowiec, a potem kolejny. Sam zaciąga hamulec i odwraca się na swoim fotelu, aby na mnie spojrzeć. Nie wiem, co chodzi mu po głowie, dopóki nie mówi:

– Do jasnej cholery, Gwen. Jeśli mówisz prawdę odnośnie do tamtego nagrania... – Zamyka na chwilę oczy, a mnie wreszcie udaje się rozpoznać wyraz malujący się na jego twarzy. To ponure, nieobecne spojrzenie osoby, która wpatruje się w coś wyjątkowo strasznego. Ciekawe, czy ja też go mam. – Jeśli nie popełniłaś żadnej z tych zbrodni, musisz myśleć o swoich dzieciach i być dla nich wsparciem. Wiesz o tym.

W tej chwili *jedyne*, co zaprzęta mi myśli, to moje dzieci. Wspomnienie Lanny wpatrującej się w moją twarz i odrzucającej mnie raz na zawsze. Zasługują na mój ostatni wysiłek, mający na celu zapewnienie im ochrony, nawet jeśli to im mnie odbierze. Nie mogę udowodnić, że jestem niewinna. Ale mogę je uratować, bez

względu na to, czy we mnie wierzą, czy nie.

– To właściwy sposób. Jedyne rozwiązanie.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– Nie powstrzymasz mnie.

Kręci głową i mówi:

– Twoim najlepszym wyjściem jest zwrócić się z powrotem do Rivarda. Rivard dotrze do Absaloma. Absalom zaprowadzi nas do Melvina. Nie musisz robić tego w ten sposób.

– To za długo trwa.

– Nie możesz dać się tak wystawić jak jakiś... koziół ofiarny.

– Czemu nie? – Odwracam się do niego, a on wzdraga się na widok tego, co zobaczył. – Już i tak jestem martwa dla ludzi, których kocham, więc równie dobrze naprawdę mogę dla nich zginąć.

To przygnębiające stwierdzenie i ma dla mnie absolutny sens. Wydaje mi się, że to pierwszy raz, kiedy Sam Cade naprawdę mi współczuje, jak gdybym dała się złamać. Wcale tak nie jest. Zostałam wykuta z kawałków twardego metalu, niczym sztaba solidnej stali. Nie zostało we mnie nic miękkiego.

Jestem zbyt złamana, żeby dać się ponownie złamać.

– Jeśli chcesz mnie tu zostawić, zrób to. Zrobię to sama, ale i tak dopadnę Melvina Royała. To jedyna rzecz, jaka mnie obchodzi, którą mi zostawił.

Z trudem przełyka ślinę. Nie wiem, kiedy ostatnim razem widziałam Sama targanego niepewnością, ale właśnie nadeszła ta chwila. Nachodzi mnie odległe wspomnienie pożądania, jakie do niego czułam, rozpaczliwego pragnienia, że być może uda się nam pokonać pole minowe i puścić przeszłość w niepamięć, choćby tylko na chwilę.

Jednak przeszłość nigdy nas nie opuszcza. Jest w każdym oddechu, komórce, sekundzie. Teraz to wiem.

– Boże, Gwen – szepcze Sam. – Nie rób tego. Proszę.

Odpinam pas, otwieram drzwi i wychodzę na zimne, mgliste powietrze, w którym czuć zapowiedź deszczu. Takiego zimowego, który zamienia się w lód w ułamku sekundy. W gołoledź, której się nie spodziewasz. W coś, co wywraca twoje życie do góry nogami i zamienia je w totalną katastrofę.

Zaczynam iść poboczem w kierunku, w którym jadą samochody. To niebezpieczne miejsce do pokonywania go pieszo. Między zwiernem a nawierzchnią drogi nie ma zbyt wiele miejsca. Po prawej znajduje się urwisko. Nie widać nic prócz ostrych czubków drzew.

Wszystko mnie boli. Już nic nie jest bezpieczne, dobre ani przyjazne. Jeśli upadnę, nie zaboli mnie to. Jeśli Melvin mnie zrani, nie będę krwawić. Nie ma mnie tu. *Nie ma mnie tu.*

Gdy Sam obejmuje mnie od tyłu ramieniem, wyrywam się. Walczę. Z perspektywy kierowców przejeżdżających samochodów i ciężarówek wygląda to tak, jakby mnie atakował, ale nikt się nie zatrzymuje. Nikogo to nie obchodzi.

Wszystko sprawia *ból*.

Krzyczę. Dźwięk unosi się w mglistym powietrzu i zostaje pochłonięty, jakby nigdy nie istniał. Wszystko dokoła zapada się i wali w gruzy, a ja zostaję przygnieciona przez ciężar smutku tak wielkiego, że rozmiarem przypomina całą Ziemię.

Nachodzi mnie dzika ochota, aby wbiec pod stale jadące samochody. *Powinnam. Powinnam zakończyć to wszystko w ryku klaksonów, świateł, piszczących hamulców i krwi*, ale to nie uratuje moich dzieci.

– Spokojnie – mówi Sam z ustami tuż przy moim uchu. Trzyma mnie zbyt mocno, żebym mogła się wyrwać. – Spokojnie, Gwen. Oddychaj.

Oddycham, ale za szybko. Mam zawroty głowy. Jest mi niedobrze. Świat jest pozbawiony kolorów i już nic się nie liczy, ale jego ciało

jest ciepłe, silne i przykuwa mnie do ziemi, do życia. Do bólu.

Nienawidzę go za to.

Nagle nienawiść topnieje, a spod spodu wyziera cierpienie i rozpaczliwa wdzięczność. Mój zdyszany oddech zwalnia. Przestaję się szarpać w jego ramionach.

Łzy zaczynają płynąć powoli, jak dwa strumyczki, a potem zmieniają się w powódź. Sam rozluźnia uścisk na tyle, bym mogła się odwrócić i oprzeć o niego. Zawsze pozwalał mi się na sobie wesprzeć, a ja nigdy nie zasługiwałam na takie względy. Teraz też nie zasługuję. Jego obecność to jedyna prawdziwa rzecz w tych oparach mgły, bólu i lodzie.

– Straciłam dzieci – udaje mi się wyjąkać między kolejnymi napadami szloch. – Dobry Boże, *moje dzieci*.

Ból jest w moim sercu, w pustej przestrzeni mojego łona, gdzie kiedyś rosły, i jest tak prymitywny, że nie mam pojęcia jak go przeżyć.

– Wcale nie – zapewnia mnie, a ja czuję drapanie jego zarostu, gdy przyciska policzek do mojego. – Nikogo nie straciłaś. Naprawdę chcesz, żeby ich mama została zamordowana przez ich tatę? Myślisz, że to je uratuje? *Wiem*, jak to jest być jedyną osobą, która pozostała przy życiu, i oszaleć z tego powodu. Nie rób im tego. – Czuję, jak przełyka ślinę. – Nie rób mi tego.

Stoimy na zimnie przez bardzo długi czas, otoczeni samochodami i spowici kłębamii mgły.

– Spróbuję – mówię, choć w rzeczywistości mam na myśli „Spróbuję żyć”.

Prawie w to wierzę.

To, że Sam nie chce, żebym rzuciła się pod koła ani dobrowolnie

oddala w ręce Melvina, nie znaczy, że nasza przyjaźń została odbudowana. Nie wiem, czy jeszcze istnieją między nami jakiegokolwiek więzy. Mosty, które udało się nam zbudować dzięki cierpliwości, trosce i dobroci... legły w gruzach, a otchłanie pod nimi sięgają bardzo głęboko.

Jedziemy już od około godziny w przytłaczającej ciszy, aż w końcu Sam mówi:

– Musimy zatankować. Przydałoby się też coś na ząb.

Nie jestem w stanie niczego przełknąć, ale przytakuję. Nie chcę się kłócić. Boję się, że najmniejsza różnica zdań sprawi, że znów zapanuje między nami totalny chaos.

Zatrzymuje się na postoju dla ciężarówek, na jednym z tych wielkich kompleksów będących w stanie pomieścić tuziny aut, ze sklepem spożywczym oferującym szeroki wybór ekstrawaganckich produktów, restauracją i prysznicami dla zmęczonych kierowców tras dalekobieżnych. Siadamy w boksie i zamawiamy panierowane kotlety wołowe z tłuczonymi ziemniakami. Jedzenie sprawia, że nabieram nieco sił.

– Wrócisz do Stillhouse Lake? – pytam go w końcu. – A może do... domu? – Uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie jest jego dom. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, skąd pochodzi.

– Jeszcze nie zdecydowałem. Cały czas się nad tym zastanawiam. – Obrzuca mnie spojrzeniem tak szybkim, że prawie go nie zauważam. – Jeśli nie zrobiłaś tego, co pokazano na taśmie...

– Nie zrobiłam. – Jakimś cudem udaje mi się to powiedzieć cichym głosem. Mam ochotę to wykrzyknąć. Walić pięściami w stół, aż zaczną krwawić.

– Jeśli tego nie zrobiłaś – powtarza beznamiętnym tonem – to nie mogę pozwolić, abyś naraziła się na niebezpieczeństwo bez kogoś, kto będzie cię ochraniał.

Dociera do mnie, że przygryzam zębami wewnętrzną stronę

policzka tylko po to, aby powstrzymać się przed zrobieniem czegoś głupiego. Czuję na języku miedziany posmak. Widocznie przygryzłam go aż do krwi. Ogarnia mnie szalone, idiotyczne pragnienie, aby powiedzieć mu, że *zrobiłam* to wszystko, żeby się odpieprzył i *puścił wolno*, bo teraz wiem, że to byłaby z mojej strony najlepsza rzecz, jaką mogłabym dla niego zrobić. Ta sprawa wyniszcza go od środka. Widzę to po ostrożności, z jaką się porusza, jakby musiał przemyśleć każdą czynność, bez względu na to jak zwyczajną. Daliśmy się otumanić pomysłem, że damy radę się temu przeciwstawić, a teraz... po prostu nie jesteśmy w stanie.

– Możesz kogoś polecić? – pytam.

Sam odkłada widelec i opiera plecami o wytarte, winylowe obicie siedzenia. Po raz pierwszy patrzy mi prosto w oczy, a ja kompletnie nie wiem, co mu chodzi po głowie. Wyraz jego twarzy nic nie ujawnia, prócz samokontroli.

– Mnóstwo ludzi. Ale nikogo, kogo nie mogłabyś oszukać.

– Sam...

– Przestań – przerywa mi ostrym tonem, a błysk w jego oczach dopasowuje się do niego, emanując tłumioną gwałtownością. – Jeśli mnie okłamujesz, to przysięgam na Boga, że odejdę i zostawię cię na pewną śmierć, bo zasłużyłaś sobie na to. Rozumiesz mnie?

Powinnam kazać mu odjechać, natychmiast. Wiem, że powinnam. Sam to dobry człowiek, który do tej pory nie miał łatwego życia. Mogę być z nim szczerą i okrutną albo okazać mu dobroć i wyjść na oszustkę.

Nie podziękuje mi za okazaną dobroć. A prawda jest taka, że go potrzebuję.

– Nie będę cię okłamywać – mówię szczerze. – Nigdy mu nie pomogłam. I nigdy tego nie zrobię. Chcę jego śmierci. A ty możesz mi w tym pomóc.

Sam siedzi w bezruchu, nawet nie mrugając. Widzę, że czeka, aż

ujawni się we mnie jakikolwiek ślad podstępny albo słabości.

W końcu kiwa głową, nabija na widelec kawałek kotleta i mówi:

– Umowa stoi. Znajdziemy go i zabijemy. A potem z nami koniec.

Apaszka zsunęła mi się w dół i odsłoniła ciemne sińce wokół szyi. Gdy kelnerka zatrzymuje się przy naszym stoliku, aby dolać nam wody, zauważam, że posyła mi zaniepokojone spojrzenie. Poprawiam materiał, nie mówiąc ani słowa i wracając do jedzenia. Gdy przynosi rachunek, odwraca go przede mną. Z tyłu jest napisane „Czy ten człowiek cię krzywdzi?”.

Ironia jest tak wielka, że chce mi się śmiać. Kręcę głową i płacę gotówką, a ona idzie dalej, nie przestając marszczyć brwi ze zdziwienia.

Nie mówię Samowi o tym, że uznała go za agresywnego. To najgorszy możliwy żart pod słońcem, bo przecież to ja krzywdzę *jego*.

Sam wygląda przed okno. Jest zamglone, ale kiedy przecieram szybę ręką, zauważam, że deszcz ze śniegiem przybrał na sile. Zdążył już pokryć cienką warstwą zimną powierzchnię chodnika. Warunki na autostradach wcale nie będą lepsze.

– Daleko nie zajedziemy.

Kiwa głową.

– Obok jest motel.

Podjeżdżamy SUV-em na parking. Kompleks nie jest tak anonimowy jak French Inn, a ja muszę użyć karty przedpłaconej w ramach zabezpieczenia, choć płacimy gotówką.

– Jeden pokój? – pyta recepcjonistka.

To niezupełnie pytanie, dopóki Sam nie mówi:

– Dwa.

Recepcjonistka obrzuca nas zaciekawionym spojrzeniem i bukuje odpowiednie pokoje. To podwójny koszt, ale rozumiem pobudki Sama. Lepiej zachować dystans.

W ciszy anonimowego pokoju siadam na łóżku i wpatruję się w pustkę. Zastanawiam się, kiedy ta pustka zacznie się wypełniać. Cała moja panika i ból zniknęły. Nie zostało mi już nic. Nic prócz chęci *znalezienia Melvina*.

Nasze pokoje są połączone drzwiami. Zdejmuję buty i owijam się kołdrą. Nadal wpatruję się w te pogrążone w ciszy, zamknięte drzwi, gdy w końcu morzy mnie sen.

Budzę się w ciemnościach z walącym sercem i nie wiem dlaczego, dopóki nie udaje mi się wymacać leżącego obok mnie telefonu. Oczywiście mam zmęczone, więc chwilę zajmuje mi skupienie wzroku na numerze. Jest znajomy.

To ten sam numer, z którego Melvin zadzwonił do mnie poprzednim razem.

Wciskam guzik „odbierz”, ale się nie odzywam.

– Ciężki dzień? – pyta Melvin.

– Tak. Dzięki tobie.

Wysuwam się spod kołdry i włączam lampkę na stoliku nocnym. Przez jedną, mrozącą krew w żyłach sekundę jestem pewna, że zaraz go zobaczę, jak siedzi w rogu, ale nikogo tu nie ma. Podchodzę szybko do łączonych drzwi i otwieram swoją stronę, wyciszam telefon i delikatnie stukam w drewno.

– Sama to na siebie sprowadziłaś, Gina. Stale naciskasz i naciskasz, i wkrótce skończysz w miejscu, w którym wcale nie chcesz być. Albo... sam nie wiem. Może to dokładnie to, czego chcesz. Może wreszcie ci się to spodobało.

Sam nie odpowiada, a przez ułamek sekundy jestem pewna, że zostawił mnie na pastwę losu, zmienił zdanie i odjechał w ciemną noc... i wtedy słyszę dźwięk obracającego się klucza, a on otwiera drzwi. Tak jak ja, jest ubrany od stóp do głów. Sądząc po sinych kręgach po oczach, wygląda, jakby w ogóle nie spał. Światło podkreśla szorstką szczecinę pokrywającą jego brodę i policzki.

– Chcesz to zakończyć? – pytam Melvina. Sam w lot pojmuje, co się dzieje, i przestępuje z nogi na nogę, jakby szykował się do walki. Jego obecność bardzo mi pomaga. Tłumi strach przed upiornym głosem Melvina, nawet jeśli ta ulga jest tylko tymczasowa. – W porządku, zakończmy to. Przyjdź po mnie. Nie będę stawiać oporu. Możemy zakończyć to już teraz. Jedyne, co musisz zrobić, to zgodzić się, że zostawisz nasze dzieci w spokoju.

Kusi go ten pomysł. Czuję to. Okropne przyciąganie wisi między nami, tak perwersyjne, że robi mi się słabo i dostaję mdłości. Rozpoznaję wysoką nutę w jego głosie, gdy ponownie się odzywa. Dla niego to jak gra wstępna.

– Skończymy to między sobą – mówi. – Ale dopiero wtedy, gdy będę gotowy. Będziesz musiała na to poczekać, skarbie. Będziesz czekać, obserwować i martwić się, gdy po ciebie przyjdę. – Wszystko, co mówi, ma podwójne znaczenie. Seksualizuje i fetyszyzuje mój strach. – Chcę, abyś zaczekała. Wyobrażała to sobie, bez przerwy. A gdy już nie będziesz mogła tego dłużej znieść... wtedy nadejdzie właściwy moment.

– Powiem ci, gdzie jestem. Musisz tylko przyjechać na miejsce.

– Nie będę na ciebie polował – mówi Melvin lekceważącym tonem.
– Jeszcze nie teraz.

– Zrób to albo ja znajdę *ciebie*.

– Wiesz, dlaczego się z tobą ożeniłem, Gina? Bo jesteś żoną idealną. Ślepą, tępą i głuchą na wszystko, co ciebie nie dotyczy, a w dodatku twoja siła charakteru jest znikoma. Nigdy po mnie nie przyjdiesz.

– Mówisz o Ginie – odzywam się niskim głosem z powodu obolałego gardła. – Jestem Gwen. A Gwen cię znajdzie i wpakuje ci kulkę w ten zryty łeb. Obiecuję ci to.

– Odważne słowa, gdy mówisz to przez telefon, a pod ręką masz pana Cade'a. Może złożę mu małą wizytę i zostawię ci bałagan do

posprzątania.

– Ty nie zabijasz mężczyzn. I nie masz odwagi, żeby stawić czoła komuś, kto ma z tobą równe szanse. Wliczając w to mnie.

Melvin milczy. Chyba go rozzłościłam. Gdy w końcu się odzywa, robi to cichym, kontrolowanym głosem.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. A one bywają ekscytujące.

Rozłącza się, zanim udaje mi się wymyślić kolejną kąśliwą ripostę i nakierować całą jego uwagę na siebie, *wyłącznie* na siebie. Mam wrażenie, że odniosłam sromotną klęskę, i wstrząsa to mną do głębi. Nie mogę dopuścić, by odnalazł dzieci.

Sam w milczeniu wyjmuję mi telefon z ręki. Bierze kluczyki od samochodu.

– Dokąd się wybierasz?

– Idę się tego pozbyć. Jak najdalej od tego miejsca. W drodze powrotnej załatwię ci nowy. Zamknij drzwi na klucz. Strzelaj do każdego, kto wejdzie, oprócz mnie.

– Nie! Jeśli uda mi się podtrzymać dłużej rozmowę...

Sam chwyta mnie za rękę, gdy próbuję sięgnąć po telefon. Jest delikatny, co ostro kontrastuje z emocjami, które unoszą się z niego jak dym.

– Jeśli podtrzymasz dłużej rozmowę, to dasz się, kurwa, zabić – mówi. – I mnie też. To my polujemy na *niego*. Nie odwrotnie.

Wychodzi, a ja nie mam innego wyboru, jak tylko zamknąć drzwi, usiąść i czekać na to, co będzie dalej.

Rozdział siedemnasty

Sam

Nie mogę przestać myśleć o tym, w jaki sposób Royalowi udaje się ją znaleźć i skąd w ogóle bierze jej numery telefonów. To bez sensu. To jednorazówki, a numer trzeba podać. Nie może sprawdzić bilingów. Nikt nie jest tak dobry i szybki, nawet Absalom. Jak, do cholery, ciągle wpada na jej ślad? *Może to ona chce, by ją odnalazł. Może wysłała mu swój pieprzony numer, a ty wyszedłeś na największego idiotę na świecie przez sam fakt, że zaczynałeś jej wierzyć.*

Jeśli chodzi o Gwen, jestem w stanie uwierzyć w wiele rzeczy. Mogę nawet uwierzyć w to, że dawno temu pewna przerażona żona mogła dopuścić się czynów, których nie chce dopuścić do świadomości.

Wiem jednak, że jest stuprocentowo szczerą w swoim pragnieniu wykończenia tego faceta. Muszę zatem wykreślić możliwość, że z nim pracuje.

Gdy zadzwonił pierwszy raz, to Absalom musiał dostarczyć mu info. Mimo to, jakimś cudem komuś udało się zdobyć jej numer, który znów trafił w ręce Melvina Royała. Ale jak?

Nie potrafię rozwiązać tej zagadki. Jadę ostrożnie, zdając sobie sprawę ze śliskiej nawierzchni, samochodów, które wylądowały w rowie, połyskującego śniegu widocznego w blasku latarni. Chciałbym móc przejechać tysiąc kilometrów, aby pozbyć się telefonu, ale to zbyt niebezpieczne. Zadowolam się czterdziestoma, co kosztuje mnie dwie godziny wysiłku i wzmożonej czujności na drodze. Usuwam historię połączeń, kontakty i esemesy, niszczę kartę SIM, wyciągam baterię i rzucam pustą obudowę w puste pole tak daleko, jak tylko jestem w stanie. W tej chwili to bezużyteczny rupieć, a gdyby dzięki jakimś dziwnym, magicznym sztuczkom nadal udało mu się go namierzyć, niech szuka go sobie pod warstwą lodu.

Jestem w drodze powrotnej, gdy dzwoni moja komórka. Zatrzymuję się na parkingu przed stacją benzynową i odbieram.

– Tak?

Żadnego podawania nazwisk, żadnej uprzejmości.

– Zamknij się i słuchaj – odzywa się zniekształcony, elektroniczny głos. Gdy zerkam na numer, okazuje się, że jest zablokowany. – Możemy raz na zawsze pomóc ci zemścić się na osobie odpowiedzialnej za śmierć twojej siostry.

Odczekuję krótką chwilę i mówię:

– Domyślam się, że mam przyjemność rozmawiać z Absalomem.

– Zgadza się.

– Nie jestem zainteresowany żadnymi rzeczami, które sprzedajecie. Ani porno, ani torturami czy innymi bestialskimi filmami, które rozpowszechniacie...

– Niczego nie sprzedajemy. Nie tobie. Chcemy zaoferować ci coś za darmo.

Chcę się rozłączyć, ale prowadzenie *rozmowy* z Absalomem wydaje się swego rodzaju zwycięstwem. Boją się na tyle mocno, że się ze mną skontaktowali. Mogę przynajmniej przytrzymać jednego

z nich na linii. Im dłużej się mną zajmują, tym mniej czasu poświęcają chronieniu byłego męża Gwen.

– Nie jestem pewien, czy cokolwiek od was chcę, za darmo czy nie.

– A co, jeśli damy ci Melvina Royała?

– Myślicie, że bez was nie dam rady go dopaść?

– Oczywiście, że nie. – Ten skurwiel jest tak oziębłe pewny siebie, że mam ochotę sięgnąć przez telefon i wyrwać mu flaki przez usta.

– On zawsze będzie od ciebie szybszy i inteligentniejszy. Bez nas nie zdołasz go podejść.

Przyglądam się przejeżdżającym po autostradzie pojazdom. Nikt nie jedzie na pełnej prędkości, a zwłaszcza ogromne tiry. Wszyscy doskonale zdają sobie sprawę z zagrożenia, jakie niesie ze sobą zalegający na drodze lód.

– Dlaczego chcecie go wydać akurat teraz? Wcześniej mu pomagaliście.

– Wcześniej zarabiał dla nas pieniądze. Teraz ponosimy przez niego zbędny koszt.

To ma sens, na swój spaczony, bezlitosny sposób.

– Czego ode mnie chcecie?

– Uczciwej wymiany – mówi głos. Płaski, modulowany, nieludzki.

– Ty dasz nam żonę, my damy ci męża.

– Do czego jest wam potrzebna? Tylko nie wciskaj mi kitu o dobrych uczynkach i karaniu grzeszników. Obaj dobrze wiemy, że wy tak nie działacie.

Głos Absaloma – mam dziwną pewność, że gdyby nie cyfrowy filtr, *rozpoznałbym* go – mówi:

– Nie musisz tego wiedzieć. Powinna ci wystarczyć sama świadomość, że czeka ją kara. Widziałeś nagrania. Wiesz, że zasłużyła sobie na to.

Milknę. Gdy mrugam, przed oczami staje mi tamten okropny, *normalny* uśmiech na twarzy Giny Royal, gdy podaje mężowi nóż

do wypatroszenia jego ofiary. Jestem w stanie wyobrazić sobie ten sam uśmiech, gdy na sznurze zwisa moja bezbronna siostra. Nagrania mogą być podrobione i modłę się do Boga, aby tak było, ale ich wydźwięk jest tak autentyczny, że trudno z tym walczyć. Przemawiają do ukrytych pokładów mojej nienawiści i furii, tej samej, która popchnęła mnie do internetowego nękania, stalkingu, do planowania śmierci Gwen.

Nie mogę jednak zaprzeczyć, że tych uczuć tam nie ma. Nadal kotłują się tuż pod powierzchnią.

– Skąd mogę mieć pewność, że w ogóle masz zamiar coś mi dać? – pytam.

– Osiemset metrów dalej znajduje się zjazd na Willow Road. Pojedź nim i skręć w prawo. Dwie przecznice dalej zobaczysz kawiarnię. Powiedz bariście, że zostawiłeś tu tablet. Czeka tam na ciebie, podpisany twoim nazwiskiem.

Niech to szlag. Mam wrażenie, że telefon parzy mnie w rękę. Jestem bardziej wstrząśnięty, niż powinienem. To oczywiste, że mogą mnie namierzyć. Mają ten numer. Będę musiał pozbyć się tego telefonu. Powinienem zrobić to już dawno temu, ale tak bardzo martwiłem się o Gwen, że nie wziąłem pod uwagę, że *oba* telefony mogą być zagrożone.

– W porządku. Pojadę tam. Skąd mam do ciebie oddzwonić?

– Nie oddzwaniaj. – Ton głosu pozostaje beznamiętny, ale oczami wyobraźni widzę, jak siedzący po drugiej stronie słuchawki człowiek uśmiecha się. Prawdopodobnie bardzo szeroko. – Obejrzyj, co jest w środku. Hasło to 1-2-3-4.

Do wnętrza SUV-a przedostaje się zimno, a może to po prostu skutek ogarniającego mnie szoku. Tak czy inaczej, moja puchowa kurtka nie wydaje się wystarczająco ciepła.

Rozłączam się, rzucam telefon na siedzenie obok i dołączam do sznura pojazdów, kierując się na Willow Road.

W kawiarni, która jest miejscowym przybytkiem, nienależącym do żadnej światowej sieci lokalów, prawie pustym z powodu niesprzyjającej pogody, zamawiam kawę i pytam o tablet. Leży za ladą, z samoprzylepną karteczką przyklejoną do obudowy. Gdy pytam, kto go znalazł, w odpowiedzi otrzymuję obojętne wzruszenie ramion.

Włącza się po naciśnięciu guzika. Wpisuję hasło, które podał mi głos. Przedsięwzięciem środki ostrożności, wybierając stolik w rogu i siadając pod takim kątem, że żadna osoba postronna ani znudzeni bariści nie będą w stanie zobaczyć tego co ja. Nie żeby ktokolwiek wyglądał na choćby przelotnie zainteresowanego.

Na ekranie momentalnie pojawia się plik. To wideo. Pauzuję je, żeby wyjąć i podłączyć słuchawki. Postać na ekranie jest ubrana w czarną szatę z kapturem, a jej twarz skrywa maska czerwonego diabła. Za plecami ma pustą, białą ścianę. Oświetlenie jest kiepskie, a dźwięk wcale nie lepszy, ale wystarczająco wyraźny.

– Jeśli to oglądasz, to znaczy, że wiesz, co oferujemy. Znasz tę osobę. Po wyrażeniu zgody przekażemy ci miejsce jej przebywania.

Następuje krótki wstęp, umieszczony po to, aby nie zdradzić żadnych szczegółów, gdyby ktoś inny przypadkiem obejrzał nagranie... ale ja znam cały kontekst.

Sceneria zmienia się po szybkim przeskoku w montażu. Od razu rozpoznaję Melvina Roya. Stoi zwrócony twarzą do kamery, ale oczywiście jest, że nie ma pojęcia, że jest filmowany. Ma czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne, a jego brodę pokrywa niechlujny zarost. Świetnie wtapia się w tło. Jest ubrany w dzinsy, flanelową koszulę i puchówkę, identyczną jak ta, którą mam na grzbiecie. Nie wygląda jak uciekinier. Raczej jak przypadkowy

przechodzień, jeśli nie mieszkaniec.

Stoi blisko rogu, przeglądając stojak z pocztówkami pod czymś, co wygląda mi na markizę. Słońce już zaszło, więc nagranie nie pochodzi stąd, ale jest na tyle chłodno, że wszyscy przechodzący obok ludzie mają na sobie coś grubszego od swetra.

Melvin nie zajmuje się jednak szukaniem pocztówek. Obserwuje ludzi. Widzę, jak przechodząca młoda kobieta przykuwa jego uwagę. Zdejmuje pocztówkę ze stojaka i udaje, że jej się przygląda, ale jego ukryte za okularami oczy śledzą każdy jej ruch, oceniając ją.

Odkłada pocztówkę na swoje miejsce w przegródce i wyrusza na polowanie. Jak gdyby nigdy nic. Całkiem naturalnie. Jak myśliwy w swoim żywiole.

Kurewsko okropnie się to ogląda, a ja nie mogę się powstrzymać, aby nie pomyśleć, że *ta dziewczyna jest już martwa*. Wracają mroczne koszmary o mojej siostrze, wchodzącej z całkowitą nieświadomością na pogrążony w ciemności parking i znikającej już na zawsze. Porwanej przez drapieżnika równie szybkiego i bezlitosnego co modliszka.

Z powodu wąskiej perspektywy nie umiem stwierdzić, gdzie jest. Próbuję powiększyć stojak z pocztówkami, aby móc przyjrzeć się szczegółom, ale wszystko jest zbyt rozmazane. Filmik mógł zostać nagrany wszędzie tam, gdzie nadeszły zimowe chłody, choć wydaje mi się, że raczej gdzieś na południowym wschodzie. Na ziemi nie widzę żadnego śladu śniegu ani lodu.

Rzecz jasna, nie wiem, *kiedy* dokładnie film został nagrany. Szukam metadanych, które powinny być dołączone do pliku, ale zostały wyczyszczone. Absalom nie jest amatorem.

Na tablicie otwiera się okienko rozmowy. Nazwa kontaktu to Abs, skrót od Absalom.

Wpatruję się w nie, gdy przychodzi wiadomość.

Podamy ci lokalizację, jeśli oddasz nam Ginę.

Niby jak mam ją wam przekazać?

Robię to dla zabicia czasu, próbując jasno myśleć. Walczę z falą wspomnień, obrzydzenia i przeświadczenia, że jeśli czegoś *nie zrobię*, zginą kolejne kobiety.

Podaj adres motelu i numer pokoju – głosi następna wiadomość. – Nie wchodź nam w drogę. Pozwól ją zabrać.

Co z nią zrobicie?

To, co sam chciałeś.

Odpowiedź przychodzi szybko, a w następnej sekundzie otwiera się kolejne okno z nakładającymi się na siebie coraz szybciej i szybciej plikami. To zrzuty ekranu, które ze wstrząsem rozpoznaję.

To moje słowa. Posty na forach internetowych. E-maile, które wysłałem Ginie Royal. Listy, które pisałem na jej adres za każdym razem, gdy się przeprowadzała i próbowała ukryć. Z pikseli i stron bije czysta nienawiść.

...pomogłaś zarznąć moją siostrę jak jakieś zwierzę...

...nigdy z tobą nie skończę. Nie ukryjesz się przede mną...

...jesteś winna jak wszyscy diabli, nigdy tego nie zapomnę, nie wybaczę...

...mam nadzieję, że będziesz cierpieła te same tortury co ona...

To ja. To przejaw mojej wściekłości. Urzeczywistniony koszmar.

Ja to napisałem. Chciałem tego.

Jest winna jak wszyscy diabli – pisze Absalom, cytując moje pełne furii słowa. – Zasługuje na to, by zapłacić za wszystkie kobiety, które zginęły.

Pieprzcie się – odpisuję trzęsącymi się palcami. – Pomagacie Melvinowi Royalowi.

A teraz pomagamy tobie. Wszystko ma swoją cenę. Jest twoja. Oddamy ci Melvina. Ty oddaj nam Ginę.

Nie odzywam się przez bardzo długą chwilę. Wpatruję się we wszystkie dowody swojego szaleństwa i wiem, że ono nadal we mnie tkwi. Nadal połowicznie wierzę, że nagrania Giny Royal przedstawiają prawdę. Cholernie bym chciał, aby było inaczej. Chcę wyrwać z siebie tę część razem z korzeniami, ale nie mogę. W niej znajdują się wspomnienia mojej utraconej młodszej siostry. Toksyczne, ale ważne.

Myślę usilnie. Moja kawa stoi nietknięta i stygnie, deszcz ze śniegiem uderza w szyby, a na zewnątrz robi się coraz ciemniej. Przypominam sobie, jak Gina Royal mówiła, że nigdy nie pomogła mężowi. Zeznała to pod przysięgą. Przypominam sobie nagranie, fałszywe czy nie, które potwierdziło, że kłamała.

Przypominam sobie krzyczącą na lodowatym wietrze Gwen, gdy powstrzymałem ją przed rzuceniem się pod koła.

A potem odpisuję trzy słowa:

Wchodzę w to.

Rozdział osiemnasty

Connor

Tata powiedział, że Javier i Kezia nigdy nie wpadną na to, co zrobiłem, i miał absolutną rację. Wysłał mi wszystkie instrukcje: jak ściągnąć wideo na jego telefon, jak przenieść je na ten, który dała mi mama, jak zdjąć zabezpieczenia kontroli rodzicielskiej, które uniemożliwiały mi korzystanie z internetu, tak, żebym mógł udawać, że znalazłem je na forum. Opublikował tam nawet fałszywą wiadomość, by w razie czego Javier mógł znaleźć nieaktywny link. Zdążyłem poznać kod utworzony przez mamę, by usunąć zabezpieczenia. Nietrudno było się go domyślić.

Tata kazał mi zrobić to wszystko i ukryć telefon od niego, zanim obejrzę wideo na aparacie, który dała mi mama.

Wiedział, że sprawi mi ból. Powiedział mi o tym i o tym, że jest mu bardzo przykro.

Tata od początku miał we wszystkim rację.

Udowodnił to.

Regularnie wysyłam mu wiadomości. W tej chwili siedzę na łóżku w swoim pokoju, z drzwiami zamkniętymi na wypadek gdyby Lanny postanowiła sprawdzić co u mnie, i czytam jego ostatnią

wiadomość.

Pisałem do ciebie, mały. Wysyłałem ci listy, kartki urodzinowe i prezenty. Dostałeś je?

Istnieje tylko jedna odpowiedź na to pytanie:

Nie.

To dlatego, że była zdeterminowana, aby nastawić cię przeciwko mnie. Przepraszam. Powinienem był bardziej się postarać.

Naprawdę istniały jakieś prezenty? Kartki? Listy? Nie wiem, ale pamiętam, jak Lanny mówiła, że widziała list, który przysłał do mamy. Nie do nas. Ale pisał w nim o nas. Mama nigdy nie zamierzała nam tego pokazywać.

Może wszystko przed nami ukryła. Wszystko, co tata powiedział, napisał i wysłał.

To ma sens. Wszystko, co mówi, budzi mój niepokój, i wreszcie nabiera sensu.

Nadal nie mam jednak pewności, czy mu zaufać, czy nie. Mama nas okłamała. Może on też kłamie. Nie wiem już, komu mogę ufać. Nie odpisuję więc. Co chwila odczytuję jego przeprosiny.

Po upływie kolejnej minuty przychodzi następna wiadomość:

No cóż, zastanów się nad tym, Brady. Pamiętaj, że możesz mnie spytać, o co tylko chcesz. Tu tata, rozłączam się.

Odpisuję „cześć” i wyłączam telefon. Potem wyjmuję baterię. Nadal podchodzę do tego z dużą ostrożnością. Nie chcę, żeby ktokolwiek ucierpiał, szczególnie Lanny.

Wiem, że powinienem przestać z nim pisać. Wiem, że to

niemądre. Lanny wpadłaby w szal. A mama... Nie chcę myśleć o tym, co zrobiłaby mama. Przestała się dla mnie liczyć, ale nie mogę udawać, że nigdy jej nie znałem. Przynajmniej tata mnie nie okłamywał. Twierdzi, że mu pomagała. Ma niepodważalne dowody. Jedyne, czym dysponuje mama, to „proszę, uwierzcie mi”, a ja nie jestem aż tak głupi, by to zrobić.

Telefon od taty jest jak sekretna obietnica, wyjście awaryjne. Mam go przy sobie bez przerwy. Ładuję go wyłącznie wtedy, gdy kładę się spać, i chowam głęboko pod poduszką.

Prowadzę podwójne życie. Brady ma komórkę. Connor również. Ale jestem teraz dwiema całkiem różnymi osobami.

Tata ogranicza się wyłącznie do odpisywania na moje esemesy. Nigdy nie wysyła mi wiadomości jako pierwszy. Ani razu nie rozmawialiśmy przez telefon. Powiedział, że wybór należy do mnie i jeśli nie zechcę nigdy do niego zadzwonić, uszanuje to. Nie zamierzał wywierać na mnie presji i nie zrobił tego. W odróżnieniu od całej reszty.

Pozwala mi podejmować własne decyzje.

Ściskam telefon w dłoniach, zastanawiając się czy nie włączyć go i nie zadzwonić do taty, gdy zauważam, że Lanny wymyka się przez ogrodzenie. Nie wychodzi, tylko wraca. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że w ogóle wyszła. Jest szybka i świetnie jej to idzie, ale Rekrut mimo wszystko wydaje z siebie szczeknięcie i biegnie w ślad za nią, tak jakby się z nią kłócił. Lenny bierze do ręki patyk i rzuca, aby za nim pobiegł. Świetna wymówka na wypadek, gdyby Javier wyjrzał przez okno.

W wiadomościach tata wcale nie sprawia wrażenia obłąkanego. Brzmi jak ojciec. Pyta, jak sobie radzę, co czuję. Co czytam. Pozwala opowiadać sobie historie z książek, które naprawdę lubię. Rewanżuje się swoimi opowieściami – nie ma w nich nic dziwnego, czego inni ludzie mogliby się spodziewać. Opowiada o swoim

dzieciństwie, robieniu grotów do strzał, łapaniu żab, wędkowaniu. Zwykle, normalne rzeczy, których nie robię. Bieganie i skakanie nie jest w moim stylu. To ulubiona zabawa Lanny. Ja żyję głównie w ciszy i obserwuję bieg wydarzeń. Może to źle, sam nie wiem. Po prostu to lubię.

Ani razu nie spytał mnie o mamę ani o to, gdzie jesteśmy. I tak bym mu nie powiedział. Wiem, że nie mogę mu ufać aż do tego stopnia. Czasami żałuję, że tego nie zrobił, co jest dziwne. Zastanawiam się, dlaczego tego chcę. Pewnie chodzi o moją fantazję, w której przychodzi, zabiera mnie ze sobą i jest nam ze sobą... lepiej. Okaze się dobrym tatą i wspólnie wyruszymy na przygody. Oczami wyobraźni widzę nawet samochód, który będzie prowadził, jego ubranie, muzykę graną w radio. Tata lubił starocie z lat osiemdziesiątych, więc pewnie będzie to jeden z takich kawałków. Czasami ich słucham, nie dlatego, że lubię, ale dlatego, że jestem ciekaw, czemu podobają się jemu. Mógłbym nauczyć go jak słuchać współczesnej muzyki, a nawet stworzyć dla niego playlistę.

To sprawia, że przypominam sobie, jak tworzyłem je dla mamy, a ona siadała, słuchała jej ze mną i mówiła „O, ten mi się podoba. Kto to wykonuje?”. Nie udawała, że ją to interesuje, bo zapamiętywała poszczególne utwory. To wspomnienie sprawia mi ból. Czuję wstręt i jest mi źle, że to zrobiłem. Ale to nie moja wina.

To mama zostawiła *nas*.

Wychodzę na werandę i siadam na krześle.

Lanny zatrzymuje się na mój widok. Widzę, że się waha, zanim ponownie rzuca patyk Rekrutowi. Kiwa mi głową.

– Hej. Co tu robisz, matołku? Jest zimno.

– Czytam. – To nie jest kłamstwo. – A ty co robisz?

Ma zaczerwienione policzki, ale nie wydaje mi się, że to z zimna.

– Nic.

- Spotykasz się ze swoją dziewczyną?
- Nie! – wykrzykuje po sekundzie, i to w taki sposób, że to może być prawda. Jej rumieniec ciemnieje. – Zamknij się. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Poza tym, oboje doskonale wiemy, że nie możemy pokazywać się w miejscach, w których ktoś może nas zobaczyć. Prawda?
- Prawda. A my zawsze robimy to, co do nas należy. Prawda?
- *Ja* na pewno – odpowiada z wyższością starszej siostry. – Zdajesz sobie sprawę, że mrużąc tak oczy, popsujesz sobie wzrok? Jest za ciemno.
- Właśnie wracałem do środka. I to nie jest sposób, w jaki można popsuć sobie wzrok. Wiedziałaś to, gdybyś przeczytała.
- Chcę powiedzieć, żebyś *przestał* czytać książkę. Chodźmy do środka.
- Zaczekaj. Dobrze się czujesz? Mam na myśli mamę.
- Pewnie, że tak – mówi, a ja widzę grymas uporu na jej twarzy i groźnie zmarszczone brwi. – Cieszę się, że odeszła. Zgodziliśmy się co do tego. Connor, już o tym rozmawialiśmy.
- Chcesz, żeby wróciła? Nie mówię, że teraz. Może... pewnego dnia, w przyszłości.
- Nie. Nigdy. Okłamała nas.
- Wszyscy kłamią.
- Kto ci to powiedział?
- Słyszałem, jak Kezia to mówiła. Wszyscy kłamią.
- Miała na myśli podejrzanych rozmawiających z policją. Nie ludzi okłamujących swoje dzieci ani siebie nawzajem.
- „Dopiero co okłamałaś mnie odnośnie do tego, gdzie byłaś. A ja okłamałem cię w sprawie nagrania. Wychodzi na to, że wszyscy kłamią. A ty okłamałaś mnie nawet w tej kwestii”. Głowa zaczyna mnie od tego boleć. Tęsknię za mamą. Tęsknię za normalnym miejscem, do którego mogę pójść i czuć się bezpieczny.

Tęsknię za domem. Za prawdziwym domem.

Tęsknię za mamą.

Wcale nie. Nie tęsknię za mamą. Jest kłamczuchą, która odeszła, a ja nie będę płakał z tego powodu, bo płacz niczego nie załatwia, a tylko pogłębia emocjonalny bałagan. Tata powiedział mi tak któregoś razu i podobnie jak część rzeczy, którymi się ze mną podzielił, to prawda.

Cieszę się, że Lanny robiła coś, co ją uszczęśliwiło. Minuty spędzane przy telefonie nie sprawiają, że jestem *szczęśliwy*. To nie tak. Dzięki nim odczuwam pewne emocje, ale to nie jest szczęście. Po prostu czuję się mniej zagubiony. Mniej dezorientowany.

Może nie jestem stworzony do bycia szczęśliwym. Tak jak tata. Chcę zapytać o niego Lanny, ale wiem, że tylko na mnie nawrzeszczy i nazwie go potworem.

– No chodź – mówi, a ja idę za nią po schodach i do domu. Rekrut wchodzi za nami i biegnie, aby wskoczyć do legowiska przy kominku. Klepię go po głowie, a on liże moją dłoń, po czym siada na zadzie, aby wyrzucić przez okno.

Javiera nie ma w środku. Prawdę mówiąc, nie ma go nigdzie w zasięgu wzroku, a to nie to samo. Dziwne. Wchodzę do swojego pokoju, wyglądam przez okno i dostrzegam go przy stodole, jak chodzi w tę i z powrotem. Gada przez telefon. Z tego, co widzę, to wyjątkowo zażarta wymiana zdań.

Czuję się jak duch. Jakby wszyscy nagle przestali mnie dostrzegać. Mama dostrzegała, ale Lanny patrzy na mnie głównie jak na kogoś, kto tylko zajmuje przestrzeń. Czasami nadal nazywa mnie WMB, czyli Wkurzającym Młodszym Bratem. Czasami naprawdę tak myśli.

Jednak dla taty jestem ważny.

I choć wiem, że to nierozsądne, bez przerwy wyjmuję telefon z kieszeni, zastanawiając się, jakby to było usłyszeć jego głos.

Jest już po kolacji, a ja czytam w swoim pokoju, gdy przypadkiem podsłuchuję rozmowę Lanny z Javierem. Nie rozmawiają szczególnie głośno i normalnie nie zwróciłbym na to żadnej uwagi, ale ona mówi o tacie. Javier i Kezia najwyraźniej nadal próbują robić nam sesje terapeutyczne. Nie chciałbym im mówić, jak długo moja siostra opierała się przed powiedzeniem czegokolwiek, kiedy była u psychoterapeuty ostatnim razem. Ona po prostu nie dzieli się szczegółami ze swojego życia.

No cóż, to nie do końca prawda. Nie zdradza niczego o *sobie*. Za to mówi dużo o mnie.

– ...to dla mnie bez znaczenia – mówi, gdy zaczynam się przysłuchiwać i kładę na piersi książkę stronami do dołu. – Mam na myśli tatę. Tak naprawdę nigdy się go nie bałam. Niespecjalnie się o mnie troszczył. To na Connorze zawsze zależało mu bardziej. Rozpieszczał go, gdy w końcu zwrócił na niego uwagę.

Kłamiesz. Tata przeraża ją. A ta cała reszta o mnie? To chyba kłamstwo, prawda? Nie jestem pewien. Moje wspomnienia związane z ojcem są dziwnie plastyczne i swobodne, tak jakbym je zmyślił.

Może wspomnienia Lanny są identyczne.

Nie wiem, co mówi Javier. Stoi nieco dalej, a jego głos jest zbyt niski. Słyszę jednak odpowiedź swojej siostry.

– Od zawsze był cichy, ale odkąd opuściliśmy dom, to się stało nie do zniesienia. Zachowuje się dziwnie. Może to skutek tego, że nadal nie potrafi poradzić sobie ze swoim strachem albo przebywaniem w obcym miejscu. Nie wiem. Connor nigdy nie mówi o tym, co czuje. Potrafi być całkiem przebiegły. – Parska krótkim śmiechem, ale bez przekonania.

Przebiegły. Miała na myśli, że taki jak tata.

Nienawidzę jej w tej chwili. Zalewa mnie fala czystej nienawiści, która sprawia, że mam wrażenie, jakbym się dusił. „To ty jesteś przebiegła. Ty wymknęłaś się dzisiaj przez ogrodzenie i nie waż się twierdzić, że było inaczej”.

Nie podoba mi się bycie wściekłym. Znów jest mi zimno. Trzęsę się i chciałbym, żeby już *przestała mówić*.

Ale ona nie przestaje.

– To nie jego wina. Zawsze sądził, że tata jest w porządku. Pewnie dlatego, że mama za bardzo martwiła się tym, by powiedzieć mu prawdę. Całą prawdę. Teraz jest wystarczająco duży, by ją poznać. Tata jest potworem. Nigdy nie pozwolę, aby Connor znalazł się w jego pobliżu.

Mówi to takim tonem, jakby miała jakąś władzę.

To nie ona ją sprawuje.

Tak długo, jak jestem w posiadaniu tego telefonu, *ja* tu rządę.

Rozdział dziewiętnasty

Gwen

Bez telefonu czuję się naga, choć to i tak niewielka pociecha. Motelowy pokój jest zimny, pusty i nijaki, a nieobecność Sama się przedłuża. W nieskończoność. Próbuję oglądać telewizję, ale wszystko mnie drażni. Ludzie traktują życie i śmierć jak rozrywkę, a seryjni mordercy są tematem soczystych, halloweenowych żartów, co budzi mój wstręt. Oglądam fragment horroru i czuję się zgorazona. Kończy się tym, że przyglądam się bezmyślnie wiadomościom, obserwując powolny rozpad świata, który wcześniej znałam.

Sam w końcu dzwoni do mnie na hotelowy numer. Dochodzi północ. Jestem wyczerpana, ale zbyt spięta, żeby zasnąć. Z trudem łapię oddech, gdy podnoszę ciężką słuchawkę i przykładam ją do ucha. Jest staroświecka, podłączona do aparatu za pomocą skręconego kabla, więc natychmiast zrzucam ze stolika całe to ustrojstwo, które z hukiem upada na podłogę.

– Halo? Cholera! Przepraszam. Halo?

Słyszcę jedynie szum zakłóceń, a ja jestem pewna, że zepsułam to dziadostwo, lecz po chwili rozlega się głos Sama.

– Hej, pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli do ciebie zadzwonię.

Jego głos ma dziwne brzmienie. Może to przez słaby zasięg, ale mimo wszystko zastygam w bezruchu w oczekiwaniu na cios.

– Co się stało?

– Warunki pogodowe znacznie się pogorszyły – mówi. – Musiałem zjechać z autostrady, bo zrobiło się z niej lodowisko. Powrót może mi zająć wiele godzin. Chciałem tylko, żebyś wiedziała...

– Co...? – Odnoszę wrażenie, że chodzi o coś znacznie więcej. Więcej niż mówi.

– Żebyś nie spodziewała się mnie aż do rana. Wynajmę sobie pokój i spróbuję ponownie, gdy słońce stopi trochę lodu. W porządku?

– Czy to ma jakieś znaczenie? Nie masz wyboru, więc ja też nie.

– No tak. Wybacz, Gwen. Naprawdę mi przykro.

Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle tu wróci. Nie zdziwię się, jeśli tego nie zrobi, jeśli zmienił zdanie dzięki nabraniu odrobiny dystansu i po upływie czasu. Jestem jak czarna dziura nieustających kłopotów, bólu i potrzeb, a samo przebywanie w moim pobliżu musi być dla niego istną udręką. Zasługuje na coś lepszego, niż bycie wciągniętym do piekła, w którym żyję.

„To bez znaczenia”, mówię sobie w duchu. Z nim czy bez niego, i tak zamierzałam działać dalej.

– W porządku. – Mój głos też brzmi jakoś inaczej. – Nic się nie stało. Dzięki, Sam. Za wszystko.

To koniec. Słyszę w słowach pewną ostateczność, która sprawia, że nie mogę złapać tchu, bo choć nie wierzyłam, że coś kiedykolwiek zdoła mnie zranić, to *boli*. I tym razem zostanie mi po tym blizna.

– Gwen... – W jego głosie jest coś takiego, co każe mi myśleć, że chce mi coś powiedzieć, lecz po chwili zapada cisza, przerywana szumem zakłóceń. – Do zobaczenia wkrótce.

Nie brzmi to prawdziwie. Zmuszam się do uśmiechu, bo wiem, że kiedy człowiek się uśmiecha w trakcie rozmowy przez telefon, sprawia wrażenie weselszego. Chodzi o zmianę w intonacji. Nie ma w tym żadnej magii.

– Jasne. Uważaj tam na siebie.

Nie życzy mi tego samego. Następuje szybkie pożegnanie, a potem jedyne, co słyszę, to sygnał wybierania. Powoli odkładam słuchawkę na widełki. Kabel natychmiast zwija się w niemożliwy do rozplątania supeł, więc odłączam go od aparatu, rozprostowuję i ponownie podłączam.

Odrobina porządku w tym szalejącym świecie pozbawionym kontroli.

Ogarnia mnie mroczna, dzika potrzeba zadzwonienia do dzieci. Nie będą znały tego numeru. Mogą odebrać, a ja będę mogła usłyszeć głos jednego z nich. Pragnę tego z taką mocą, że mam wrażenie, że zaraz spłonę pod wpływem jej żarliwej intensywności.

Wyciągam się na łóżku, włączam telewizor i czekam. Rano obmyślę plan.

Rano znajdę sposób, aby przez to przejść.

Usiłuję nie zasnąć, ale w miarę upływu godzin moje powieki opadają. Gdy ponownie otwieram oczy, widzę Melvina Royała pochylającego się nad łóżkiem.

On nie może tu być. *Nie może.* Przez sekundę jestem pewna, że to wytwór mojej wyobraźni, i to okazuje się być błędem, który drogo mnie kosztuje.

Sięgam po pistolet. Nie ma go w miejscu, w którym go zostawiłam. Widzę, że został rzucony na drugie łóżko. Za daleko, bym mogła go dosięgnąć.

Rzucam się do walki. Mój pierwszy cios, nieskładny i pozbawiony siły z powodu podskakującego pode mną materaca, mimo wszystko dochodzi do celu.

Uderzenie przekrzywia twarz Melvina na bok, a ja zastygam w bezruchu na ułamek sekundy w przypiływie czystego przerażenia. Poczucie nierealności dopada mnie jak lodowaty prysznic, a moja skóra napina się, jakby kurczyła się pod wpływem szoku.

To nie Melvin. To ktoś noszący maskę z podobizną jego twarzy.

Jego cios nie sprawia, że spadam z łóżka. Dociera do celu. Materac absorbuje część siły uderzenia, ale to za mało. Jestem ogłuszona, a moja zdolność do stawienia oporu maleje o połowę, gdy ściąga mnie z łóżka na pokrytą dywanem podłogę i przetacza na brzuch. Wykorzystuję to, aby unieść się w górę i poczęstować go brutalnym, szybkim kopniakiem z prawej nogi.

Siada na mnie okrakiem, ale jest przechylony za bardzo do przodu, aby kopnięcie wyrządziło mu krzywdę. Dociska kolano do moich pleców i ponownie zmusza do położenia się na brzuchu. Macam na oślep w poszukiwaniu jakichś przedmiotów i natrafiam na kabel od telefonu. Ciągnę za niego i tak jak poprzednim razem, cały aparat telefoniczny spada z hukiem ze stolika. Trafia mnie w ramię, ale prawie nie czuję bólu. Sięgam po jakikolwiek element, znajduję staromodne urządzenie i wykręcam górną część ciała, aby zamachnąć się nim i trafić go w głowę.

Mężczyzna robi unik, chwyta mnie za rękę pod koniec wymachu i wykręca ją tak długo, aż wypuszczam z niej telefon.

Kimkolwiek jest, nie odezwał się jeszcze słowem. To nie Melvin. Ma na twarzy jedną z tych upiornych, halloweenowych masek, które sprzedawano przez kilka lat po pokazowym procesie Melvina. Mój eks był wyjątkowo popularnym materiałem na kostiumy, szczególnie wśród dzieciaków z bractw. Jednak zobaczenie jednego z nich na żywo to potworny szok.

Jak koszmar, który właśnie się ziścił.

Jestem totalnie skupiona na walce, gdy nagle coś do mnie dociera: jestem w *motelu*. I to takim, w którym dzięki zimowej zamieci jest pełne obłożenie.

Otwieram usta i zaczynam się drzeć wniebogłosy.

Facet wbija mi końcówki paralizatora w kark, a przez moje ciało przebiegają setki woltów. Nie robi mi się ciemno przed oczami, wręcz przeciwnie. Jest jasno. Wszystkie nerwy w moim ciele stają w ogniu, a pod powiekami wybucha mi bezgłówna fontanna fajerwerków. Ból jest znajomy. Już raz potraktowano mnie paralizatorem. „Wytrzymaj, wytrzymaj”...

Drugi wstrząs trwa dłużej, całkowicie niszcząc mój opór.

Podrygując, czuję, jak manipuluje mną niczym szmacianą lalką. Moje ręce zostają skute za plecami czymś w rodzaju kajdanek. Podnosi mnie i zarzuca sobie na ramię. Zatrzymuje się, by podnieść moją broń i plecak, z miejsca, w którym go położyłam, i chwilę później opuszcza pokój. Zamyka drzwi i poprawia maskę, aby zakryła mu twarz. Widzę przesuwającą się przed moimi oczami rozmazaną smugę zardzewiałej, metalowej poręczy. Deszcz ze śniegiem pokrył ją grubą, wodnistą warstwą lodu. Sam i ja wzięliśmy tym razem pokoje na pierwszym piętrze. Zaraz po drugiej stronie barierki znajduje się parking wypełniony pogrążonymi w ciszy, oblodzonymi samochodami. W pokojach widzę pozapalane jedno lub dwa światła. Próbuję wziąć się w garść. „Krzycz”, powtarzam sobie w duchu, ale nie jestem w stanie. Ledwie widzę na oczy. Moje ciało przypomina zamkniętą klatkę.

Czuję, jak mój porywacz ślizga się nieco na lodzie, gdy wkłada mnie do tylnej części ładunkowej vana, i liczę na to, że się przewróci, ale udaje mu się uchwycić otwartych drzwi i zachować równowagę. Gramoli się do środka, przesuwa mnie dalej i robi coś, czego nie widzę, ale czuję, jak ciągnie za moje bezwładne, związane

ręce. Słyszę kliknięcie. Leżę na wystrzępionym dywaniku, ale pod spodem jest zimny metal.

Jestem idiotycznie wdzięczna, gdy bierze gruby, wełniany koc i zarzuca go na mnie. Przynajmniej nie zamarznię na śmierć.

Choć to pewnie byłaby o wiele łagodniejsza śmierć, niż to co mnie czeka.

Nie mam przy sobie telefonu. Sam odjechał.

Nikt nigdy się nie dowie, gdzie zniknęłam. Jeśli nie sprawdzą nagrań z kamer, o ile w ogóle je tu mają, nikt nie będzie wiedział, że nie opuściłam tego miejsca z własnej woli.

Mój porywacz kończy, a ja słyszę głucho uderzenie zatraskujących się za mną drzwi. Van cuchnie rdzą, smarem i zwietrzałym, smażonym jedzeniem. Moje ciało powoli zaczyna odzyskiwać panowanie nad sobą. Boli mnie każdy jego centymetr, ale ta udręka jest niczym w porównaniu z dławiającym mnie strachem. „Jestem sama. Jestem całkiem sama, a Sam nigdy się nie dowie, dokąd pojechałam”.

W mojej głowie pojawia się nowa myśl, przynosząc ze sobą rozrywającą rozpacz. To dziwne zachowanie Sama przez telefon. Jego wahanie. Co właściwie chciał mi powiedzieć? Że już po mnie idą?

Czy to on za tym stoi?

Staram się nie myśleć o tym, co się ze mną stanie, ale nie sposób tego uniknąć. Ja to wiem. Na własne oczy widziałam skutki morderczego szału Melvina. Z moich bolących oczu płyną łzy, ale uświadamiam sobie, że nie płaczę nad swoim losem. Płaczę z powodu swoich dzieci, które nigdy się nie dowiedzą, jak bardzo je teraz kocham. Rozpływam się w ciemności. Skończę martwa na dnie jeziora, a one nigdy mnie nie znajdą.

„Proszę”, modlę się do Boga, co do którego nie mam pewności, że w ogóle mnie słyszy. „Proszę, nie pozwól im myśleć, że je

porzuciłam. Zrób ze mną, co chcesz, ale nie skazuj ich na to cierpienie. Powiedz im, że dla nich walczyłam. Proszę”.

Słyszę, jak mój porywacz siada za kółkiem i chwilę później, z gwałtownym szarpnięciem, ruszamy w skutą zimnem noc, a ja nie mam pojęcia, dokąd jedziemy. Przerazenie i szok zmniejszają się odrobinę, na tyle, bym znów mogła oddychać. Muszę zastanowić się nad tym co dalej.

„Tego właśnie chciałaś”, mówię sobie w duchu. „Chciałaś, żeby Melvin po ciebie przyszedł. Teraz musisz postarać się przeżyć wystarczająco długo, aby stać się użyteczna dla swoich dzieci. Nie daj się zabić”.

Nie mogę już polegać na Samie. Nie mogę polegać na nikim prócz siebie. Całe moje życie zmierzało właśnie do tego punktu.

Nie jestem gotowa.

Ale mimo wszystko podejmuję grę.

Rozdział dwudziesty

Sam

– Spokojnie – mówi Mike. – Skup się.

Przyglądam się wszystkiemu z zimnego wnętrza jego czarnego vana. Stoimy w dalekim krańcu parkingu pod reflektorem ochrony, który nas nie oświetla i oślepia każdego, kto spojrzy w naszym kierunku. Jakoś nie zdziwił mnie fakt, że Mike wrócił do Knoxville. Wiedział, dokąd jedziemy po opuszczeniu Wichity. Sądziłem, że śledzi Gwen, czekając, aż przyjdą dowody od FBI, które pozwolą mu zdobyć federalny nakaz jej aresztowania.

Zamiast tego siedzi ze mną w lodowatej ciemności, obserwując porwanie Gwen.

Miał rację, ostrzegając mnie, bo mnóstwo wysiłku kosztuje mnie, żeby nie wyciągnąć broni i nie strzelić mężczyźnie noszącemu gumową maskę Melvina Royała prosto w głowę, a potem skopać go do nieprzytomności. Przyprawiająca o mdłości wściekłość pulsuje mi w skroniach, gotowa wysadzić czubek mojej głowy.

Nie chodzi tylko o to, że pobił Gwen na tyle mocno, że jej ciało zwisało mu bezwładnie na ramieniu, ale o to, że założył tę *maskę*, aby to zrobić. Jest kurewsko ohydny. Mogę sobie tylko wyobrazić,

co przeszło jej przez myśl, gdy ją zobaczyła.

Ja jej to zrobiłem. Nienawidzę siebie równie mocno, co tego gnoja, który zrobił jej krzywdę.

– Koleś pod maską w dalszym ciągu może być nim – mówię Mike'owi. Wypowiedzenie tych słów przychodzi mi z trudem, ale i tak się do tego zmuszam, żeby już całkiem mi nie odbiło. – Melvin uznałby to za zabawne.

– To możliwe, ale niekoniecznie. Trzymaj się. Nic jej nie jest. Chcą ją mieć żywą. – Szybko zerka na mnie z ukosa. – Sam, w każdej chwili możesz to odwołać.

Żałuję, że już tego nie zrobiłem. Krytykowałem ten pomysł od chwili, w której wyraziłem na niego zgodę. Nigdy nie chciałem, by Absalom faktycznie *porwał* Gwen, ale żeby plan się powiódł, musieli pomyśleć, że wypełniam warunki naszej umowy. Teoretycznie wystarczyło mieć tylko odrobinę odwagi.

W praktyce przyglądałem się, jak kobieta, na której nadal mi zależy, bezwładna i cała zakrwawiona, zostaje porwana, co prawdopodobnie może zakończyć się jej śmiercią. Nie odniosłem wrażenia, że to całkiem sprytny ruch. Poczułem się, jakbym był współwinny jej morderstwa. *Jeśli uda mu się uciec...*

– Nie zwieje nam – mówi Mike. Głos ma spokojny i opanowany, co pomaga stłumić buzującą we mnie adrenalinę. – Obludzona nawierzchnia spowoduje, że będzie jechał powoli i ostrożnie. W każdej chwili będziemy mogli go zdjąć. Wiesz to. Nie zepsuj teraz niczego. Przysłali to już?

Sprawdzam tablet, który dostałem w kawiarni. Bateria nadal jest naładowana w osiemdziesięciu procentach. Wyłapałem sygnał komórki, ale nie mam żadnych nowych wiadomości. Jeszcze nie. Jak tylko uda się nam ustalić położenie Melvina, wkroczymy do akcji. Chryste, to okropne patrzeć, jak ten dupek ją zabiera. Budzi echo wspomnień mojej siostry, które próbują mnie stłamsić.

Wiem, że Gwen jest gotowa się poświęcić. Zgłosiłaby się jako pierwsza. Spojrzałaby mi w oczy i powiedziała „Pozwól mi to zrobić”. Stwierdziłaby, że dorwanie Melvina to pierwszy i *jedyny* priorytet, jaki powinniśmy mieć.

Ale to nieprawda, a świadomość tego burzy mur zwątpienia, jakie zbudowałem wokół uczuć, które do niej żywię. Niszczy go całkowicie. Nie ma znaczenia to, co zrobiła. Liczy się tylko to, kim jest i co do niej czuję.

„No dalej, ty draniu. Przyślij wiadomość”. Powietrze jest lodowato zimne, ale to dobrze. Mam wrażenie, jakby moja skóra płonęła, a ucisk wywołany obawą o jej życie buzuje w mojej piersi niczym spalający się fosfor. Każda sekunda ich spóźnienia jest kolejną sekundą, w której Gwen popada w coraz większe niebezpieczeństwo.

– Powinniśmy za nimi jechać – mówię Mike’owi. – Jeśli ją stracimy...

– Nie stracimy jej – zapewnia Mike. – Nie podoba mi się wykorzystywanie jej jako przynęty, ale albo jest najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, albo skończona z niej psychopatka. Tak czy inaczej, to najlepszy ruch, jaki możemy wykonać. Niech Absalom myśli, że ją dorwał. Oddadzą Melvina Royała, a my ją odzyskamy.

Żałuję, że to nie jest oficjalna misja FBI, z ochraniającym nas konwojem i wsparciem powietrznym dronów, ale zgodziliśmy się co do tego, że obędziemy się bez tych środków. Mike i tak znalazł się w opałach po tym, jak zamieszał nas w śledztwo w Wichicie, nie wspominając już o tamtej chacie w Georgii. Jeśli pokaże wyniki, przebaczą mu i zapomną, ale w tej chwili sięgnięcie po federalne wsparcie – czy nawet lokalne – absolutnie nie wchodzi w grę.

Jest jeszcze jedna rzecz, która działa mi na nerwy: pewność siebie Mike’a. Jest świetny w przybieraniu fałszywych masek.

– W dalszym ciągu nic – mówię. – Tablet niczego nie pokazuje.

Patrzemy, jak mężczyzna w masce Melvina Royała podchodzi ostrożnie do białego vana z przesuwными drzwiami i prawie upada na ziemię, gdy przestępuje z nogi na nogę, by wrzucić Gwen do środka. Sposób, w jaki osuwa się bezwładnie na podłogę, niczym worek piasku, odbieram jak cios prosto w brzuch. Nie podejmuje żadnej próby podparcia się. *Czy ona w ogóle żyje?* Na miłość boską, co jeśli zabił ją w tamtym pokoju? Ta myśl sprawia, że prawie zrywam się z miejsca, ledwie udaje mi się powstrzymać. *Absalom potrzebuje jej do czegoś wyjątkowego. Nie zabiją jej tak po prostu.*

To brzmi naprawdę beznadziejnie, nawet w moich myślach. Mogłem całkowicie się pomylić w ocenie sytuacji.

Przeze mnie Gwen może zginąć.

Przez to, że facet poślizgnął się na lodzie, Gwen została umieszczona w vanie tylko do połowy. Widzę, jak drży, a jej stopy poruszają się powoli, jakby szukały podparcia.

– Nic jej nie jest – mówi Mike. – Widzę, jak się rusza. Jest cała.

Nie, wcale nie. Znam Gwen. Gdyby mogła, wstałaby i walczyła z tym parszywym draniem z całych sił, z kajdankami czy bez. Facet w masce Melvina Royała wspina się na tył vana i znika, a ja znów czuję, jakbym dostał obuchem, tyle że tym razem siła ciosu sięga o wiele głębiej. Co on, do kurwy nędzy, wyprawia?

Ledwo poruszające się stopy Gwen zostają wciągnięte do środka, a my przez długą, niemożliwą do zniesienia chwilę, nie widzimy, co się dzieje. Słyszę, jak Mike mówi „zaczekaj”, zanim dociera do mnie, że trzymam rękę na dźwigni otwierania drzwi. Łapie mnie za kurtkę i przyciąga do siebie.

– *Zaczekaj.*

– Na co? Dobrze wiesz, z jakimi ludźmi mamy do czynienia!

Skoro nie mogła się za bardzo ruszać, to znaczy, że pewnie nie była też w stanie krzyżeć. Ta myśl sprawia, że strącam jego rękę

i wyciągam broń, a Mike powoli unosi ręce w geście poddania.

Kiedy ponownie spoglądam na vana, widzę, że drań wygramolił się ze środka. Ledwie dostrzegam miękką spód skarpetek Gwen, które są upiornie blade w odbitym świetle.

Widzę, jak się porusza. Dzięki Bogu. Porusza się.

– Jakież wieści od...

– Sam sprawdź – przerywam mu, rzucając w niego tabletem.

Nie chcę spuścić tego faceta z oczu. Zatrzasnąjąc drzwi, skupiam się na zachowaniu równowagi. Zamyka je na klucz. W części załadunkowej nie ma okien. Sylwetka Gwen jest teraz całkiem niewidoczna.

Mimo to żyje. Nadal jest cała i żywa. A my musimy zadbać o to, aby tak pozostało.

– W dalszym ciągu nic – mówi Mike. Wyczuwam w nim napięcie. Jak na gościa, który trzyma nerwy całkowicie na wodzy, to znaczy, że musi mieć co do tego równie złe przeczucia co ja. – Daj mu chwilę.

– Ta cholerna chwila już minęła. Oszukali mnie. Nie mają zamiaru go wydać.

– Wiedzieliśmy, że jest taka możliwość. Ruszymy za nim, jak tylko wyjedzie z parkingu. Mogli zostawić kogoś na czatach. Musimy najpierw spróbować zdobyć informacje.

– Nie, jeśli ryzykujemy utratą Gwen.

– Nie stracimy jej.

Tylne czerwone światła vana zapalają się na sekundę przed przednimi reflektorami. Wycofuje pojazd, zachowując ostrożność na lodzie pomimo zimowych opon, które chronią przed wpadnięciem w poślizg.

Zabieram Mike'owi tablet. „No dalej, wy dupki”...

– Mike – mówię. Van opuszcza parking i kieruje się do wyjścia. Tylne światła rozbłyskują ponownie, czerwone niczym ślepia

demona, a van bierze zakręt w prawo. – *Mike!*

– Zaufaj mi. Nie zgubimy go. Na drodze nie ma jednak wystarczająco dużego ruchu, żeby zapewnić nam osłonę. Musimy chwilę poczekać.

– Nie możemy spuścić jej z oka! *Ruszaj!*

Odpala silnik i wrzuca bieg. Opuszczamy parking, jadąc o wiele za wolno. Mam ochotę wcisnąć pedał gazu. Parking jest skąpany w zimnym, białym świetle odbijającym się od lodu. Van skręca w prawo i z łatwością wychodzi z lekkiego poślizgu.

Mike kiwa głową w stronę jadącego przed nami białego vana. Skręca w lewo pod autostradą. Na tym pasie ruchu będzie mógł zawrócić o sto osiemdziesiąt stopni i zjechać w drogę dojazdową prowadzącą w odwrotnym kierunku.

Mike bierze telefon z tablicy rozdzielczej i wręcza mi go.

– Obserwuj ekran. Upewnij się, że nie gubimy sygnału.

To ja umieściłem urządzenie namierzające w podwoziu vana, gdy zamaskowany facet zniknął w pokoju motelowym Gwen. Ledwie udało mi się wrócić do jeepa, gdy napastnik opuścił go, niosąc ją na ramieniu. Porwanie jej bez założenia nadajnika nie wchodziło w grę. Dzięki Bogu, kursor na ekranie płonie nieprzerwanie zielonym światłem. Wylania się po drugiej stronie tunelu pod autostradą, ponownie skręcając w lewo. Według mapy kieruje się na północ.

Ściszym głosem podaję Mike'owi współrzędne, skupiając całą swoją uwagę na tym punkciku. Palące się światelko oznacza bezpieczeństwo. Tak długo jak je widzimy, Gwen nic nie jest, i tego się trzymam.

Bierzemy pierwszy zakręt w lewo. Odrobina piasku i fragment czystego asfaltu pod pasem autostrady to mały szok po gładkiej, oblodzonej nawierzchni, ale trwa on zaledwie parę sekund, bo znów skręcamy w lewo, a Mike musi zapanować nad kolejnym

poślizgiem.

Zielony znacznik sygnału migocze.

Unoszę wzrok znad ekranu. Nie widzę vana, ale z przodu znajduje się małe wzniesienie. Pewnie jest na zakręcie u jego stóp. Musimy zwolnić, bo prawy pas drogi dojazdowej blokuje sedan, którym zarzuca na lodzie. Za kółkiem siedzi wyglądająca na sfrustrowaną kobietą, usiłująca znaleźć odpowiednią przyczepność dla zbyt łysych opon. W innych okolicznościach byłoby mi jej szkoda, ale w tej chwili zalewa mnie wściekłość, bo tarasuje nam drogę. Gdy przejeżdżamy obok auta, widzę jej pobladłą, przerażoną twarz. Mike jest doskonałym kierowcą, ale mimo to modlę się w duchu, żebyśmy nie zostali zablokowani przez coś znacznie większego.

Sygnał ponownie migocze, choć jego źródło nadal znajduje się z przodu.

– Jaki zasięg ma ten nadajnik? – pytam Mike’a.

– Trzy kilometry. A co?

– Migocze.

Mike nie odpowiada. Nie czuję z jego strony żadnego wsparcia. Gdy spoglądam na niego z ukosa, wyraz jego twarzy przypomina mi o czasach spędzonych w wojsku, kiedy udawał, że wszystko jest w porządku w tak przekonujący sposób, że nawet ja mu uwierzyłem.

Docieramy do szczytu śliskiego wzgórza, a ja szukam wzrokiem vana.

Nie ma go. Przed nami widać jednak kolejne wzniesienie. Wygląda na to, że jedzie tuż przed nami, tyle że nie na widoku. Sygnał na mapie nadal jest widoczny.

– Przyśpiesz, do jasnej cholery – nakazuję mu. Serce wali mi jak oszalałe, mam spocone dłonie. Mnóstwo adrenaliny, ale żadnego sposobu na to, jak ją spalić. Myślę tylko o niej, uwięzionej

w tamtym vanie, na zmianę z przebłyskami zdjęć zrobionych na miejscach zbrodni popełnionych przez Melvina Royała.

– Wszystko w porządku. Uspokój się. W niczym jej nie pomożesz, jeśli zaczniesz teraz świrować.

Chcę zobaczyć vana. Muszę wiedzieć, gdzie jest. *Muszę go zobaczyć.*

Zjazd na dół wzgórza przypomina kontrolowany ślizg. Czuję, jak tylne opony chcą wyrwać się do przodu. Deszcz ze śniegiem ustał. Gęste chmury pochłaniają pomarańczowe światła miasta i odbijają je, tworząc surrealistyczny horyzont jak z filmu science fiction.

Wszystko jest nie tak, jak być powinno. *Gdzie, do cholery, podział się van?*

Sygnał mruga ponownie. Gdy podjeżdżamy pod kolejne, bardziej strome wzniesienie, wygląda to tak, jakby van zatrzymał się około ośmiuset metrów przed nami, bo właśnie go doganiamy. Nie mówię tego Mike'owi. I tak nie pojechałby szybciej w takich warunkach.

Widzę, jak z autostrady zjeżdża pick-up, którego kierowca traci panowanie za kółkiem. Jedzie zbyt szybko, a gdy wpada w poślizg, panikuje i wykręca kierownicę. Furgonetka – zbyt lekka i niestabilna jak na te warunki – obraca się gwałtownie, uderza w poręcz barierek, przechyla się i przelatuje ponad nią. Z ogłuszającym hukiem ląduje na dachu i zaczyna się ślizgać w naszą stronę. Mike pokrzykuje i przeklina, próbując ją wyminąć. Prawie mu się udaje.

Pickup zahacza o tylny zderzak jeepa. Tracimy przyczepność. Łapię się, czego mogę, podczas gdy nasz pojazd wiruje chaotycznie po lodzie, nabierając prędkości wraz z każdym obrotem. Jakimś cudem Mike'owi udaje się zjechać na pobocze, a potem znów włącza się do ruchu. Obaj oglądamy się na pozostawionego z tyłu pick-upa. Dach jest do połowy zgnieciony, a w środku nie widać żadnego poruszenia. Kierowca musi być ranny. Możliwe, że nie żyje.

– Nie zatrzymuj się. – Nie chcę tego mówić, ale nie ma innego wyboru. – I tak mu nie pomożemy.

– Kurwa mać – mówi Mike. – Gdzie jest van?

Patrzę na telefon.

– Zatrzymał się. Jakies osiemset metrów stąd.

Straciliśmy już dobrą minutę, ale przynajmniej van się nie porusza. Najwyraźniej kierowca zjechał z drogi.

– Kurwa!

Wyrywa mi z ręki telefon i dzwoni gdzieś, zgłaszając wypadek, podając numer odznaki i dane kontaktowe, wyrzucając z siebie urywane, wypowiedane szorstkim tonem słowa z szybkością karabinu. Zajmuje mu to całą, pełną minutę, której nie mamy, a ja tłumię w sobie rozpaczliwą chęć wyszarpięcia mu telefonu z ręki. Rozłącza się i rzuca mi go, znów nabierając prędkości. Wygląda na to, że jeep nie ucierpiał poważnie. A przynajmniej nie na tyle, by nas zatrzymać.

Przywołuję obraz mapy.

Nie widać żadnego migającego punkciku.

„To tymczasowe zakłócenia”, wmawiam sobie. „Zaczekaj”. Czekam. Wpatruję się w ekran przez sekundę. Pięć sekund. Dziesięć. Czuję przyprawiający o mdłości ciężar gromadzący się w moim żołądku. Na czoło występuje mi pot. „Nie. Boże, tylko nie to”.

Nie ma sygnału.

Gwen zniknęła. *Zniknęła.*

– Mike – mówię. Wydaje mi się, że słyszy desperację w moim głosie.

– Jadę najszybciej, jak potrafię.

To prawda. Wzniesienie jest strome i śliskie jak szkło, więc jeśli rzuci się w pościg, wpadniemy w poślizg i zjedziemy na dół.

– Sygnał się urwał. – Jest mi niedobrze. Ogarnia mnie pustka. –

Doprowadź nas tam. Natychmiast.

– Są tuż przed nami. Wytrzymaj jeszcze trochę. Zobaczymy ich, jak tylko dojedziemy na szczyt. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Nie spuszczam wzroku z ekranu, modląc się o sygnał, mrugający punkcik, *cokolwiek. To nie może się wydarzyć. Po prostu nie może.* Nie mogą sprawić, że zniknie cały van.

Mogą, jeśli znaleźli nadajnik i zniszczyli go.

Docieramy na szczyt wzniesienia. W zasięgu wzroku są cztery pojazdy. Czerwony sedan. Policyjny SUV z jarzącymi się reflektorami, sunący powoli do przodu. Czarny jeep starszy od naszego, jadący z dość ryzykowną prędkością. Osiemnastokołowiec trzymający się dróg dojazdowych.

Nigdzie nie widzę vana. Żadnego vana. W tych warunkach nie mogli nam tak szybko odjechać. Nie mogą zniknąć.

Mam mdłości i cały się pocę. Błyskające światła policyjnego samochodu oblewają wszystko upiornym blaskiem.

– Van może jechać tuż przed ciężarówką – mówi Mike. Jego samokontrola nie jest już tak idealna jak wcześniej. W jego głosie słychać niepokój. – *Sukinsyn, gdzie on się podział?*

– Jedź. Gaz do dechy – nakazuję mu zdesperowanym głosem.

Samochód nabiera prędkości. Zrównujemy się z czarnym jeepem, zostawiając w tyle sedana i policyjny wóz. Funkcjonariusze posyłają nam zimne spojrzenia, ale mam w dupie to, czy nas teraz zatrzymają. Naraziłem życie Gwen na niebezpieczeństwo. Stałem z boku i przyglądałem się, jak zostaje porwana. Będę walczył z każdym, kto stanie mi na drodze, z odznaką czy bez odznaki, bo liczy się tylko to, że *musimy ją znaleźć.*

Przed ciężarówką z naczepą nie ma żadnego vana.

W ogóle nie widać żadnego vana.

Nie ma sygnału.

Nie ma Gwen.

Zgubiliśmy ją, a ja czuję, jak ogarnia mnie panika, równie zimna co deszcz ze śniegiem.

– Zawracaj – rozkazuję Mike’owi. Słyszę podenerwowanie w swoim głosie. – Musieli zjechać z głównej drogi. Może skręcili w boczną. Albo zmienili pojazdy.

– Sam...

– Rób, co mówię! – Czuję się, jakby ktoś przerobił moje wnętrze na mielonkę. Przypominam sobie gumową maskę twarzy Melvina i czuję na języku posmak żółci. Jakimś cudem udaje mi się ją przełknąć. – Musimy ją znaleźć!

Skręcamy na śliskiej nawierzchni i znajdujemy drogę powrotną. Sprawdzamy każdą boczną drogę, każdy przydrożny parking i budynek.

Pod vanie nie został żaden ślad. Mike poklepuje mnie szorstko po ramieniu, ale ja nie chcę pocieszenia. Chcę, żeby to *okazało się nieprawdą*, bo jeśli do tego dopuściłem, jeśli ją zabiłem...

Tablet, o którym prawie zapomniałem, podświetla się. Ktoś przysłał wiadomość. Sięgam po niego, a Mike parkuje na pustym parkingu przed zamkniętą restauracją. Odblokowuję urządzenie.

Wiadomość jest od Absaloma.

Oszukałeś nas. Sądziłeś, że się nie domyślimy? Mimo to dotrzymamy danego słowa.

W następnej wiadomości przychodzi link. Klikam na niego.

W oknie otwiera się mapa. Przybliżam obraz. Powiększam go drżącymi palcami, aby lepiej widzieć. Na co właściwie patrzę?

To mapa Kansas. Zaznaczono na niej punkt na wiejskim obszarze, tuż za Wichitą.

Spoglądam na Mike’a. Jego twarz jest wyprana z emocji. Ciekawe, czy odczuwa to samo głębokie, palące poczucie winy, czy

to dla niego tylko kolejny pieprzony manewr. Zagrywka, która się nie opłacała.

Przełączam na okno dialogowe.

Gdzie ona jest?

Nie mogę wykrzyczeć im tego prosto w twarz w wiadomości tekstowej. Ze słów bije desperacja.

Pieprzcie się, wy dranie. Co jest w Wichicie?

Fakt, że Melvin powrócił na swój dawny teren łowiecki, ma sens, w makabrycznym tego słowa znaczeniu. Tak samo jak to, że zabrałby tam Gwen.

Przez długą chwilę nie ma żadnej odpowiedzi, a ja mam ochotę zniszczyć to ustrojstwo, połamać je na kawałeczki tak drobne, że nikt nie będzie w stanie ich znaleźć, bo nikogo innego nie mogę ukarać. Nikogo prócz siebie.

Nagle w oknie pojawia się wiadomość.

Zapomnij o tej suce. To już nie twój problem.

Z mojego gardła wyrywa się wrzask. Uderzam pięścią w deskę rozdzielczą z taką siłą, że czuję, jak coś strzela mi w dłoni niczym fajerwerk, ale mam to gdzieś. Nie, do diabła, nie, nie w ten sposób, nie w ten sposób...

Odpisuję:

Mylicie się, dupki. Ona jest moim problemem i zapewniam was, że ją znajdę. Jeśli zrobicie jej krzywdę, postawię sobie za życiową misję wpakowanie kuli w łeb każdemu z was.

Przemawia przeze mnie wściekłość. Nie mam pojęcia, jak znaleźć kóregokolwiek z nich. To groźba bez pokrycia, ale i tak nie mogę się powstrzymać, by jej nie wypowiedzieć. Następuje kolejna długa pauza, a potem przychodzi następna wiadomość.

Chcesz się pobawić? Powiedzieliśmy ci, gdzie znaleźć Melvina Royała. Jeśli dotrzesz do niego odpowiednio szybko, to może ona przeżyje.

Powietrze ucieka mi z płuc.

Kłamiecie.

Nie. Chcemy, żebyś tam był. I patrzył.

Ręce mnie bolą. Z trudem łapię oddech. Mam ochotę przełamać tablet na pół, czuć, jak szkło pęka w drzazgi niczym łamiące się kości.

Właśnie taki jest Absalom. Podjudza. Szydzi. Wprowadza w błąd. Grozi.

– Chcą, żebyśmy pojechali do Wichity – mówię na głos. Mike przygląda mi się z autentycznym niepokojem, gdy odwracam się, by na niego spojrzeć. – Jak myślisz, dlaczego?

– Żeby powstrzymać nas przed szukaniem gdzieś indziej. Ta sprawa śmierdziała mi już od momentu pobytu w Atlancie. Oszukiwali ciebie i *mnie*. Wysyłali gdzie popadnie, pozbywali się zbędnego balastu, takiego jak Suffolk. Ten sukinsyn i tak był już od dłuższego czasu na celowniku FBI. Za bardzo zbliżyliśmy się do prawdy, a oni nagle próbują nas rozdzielić. Sam, musimy zacząć *myśleć*.

Nie chcę tego robić. To ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę.

Jednak w głębi duszy wiem, że Mike ma rację. Porwali Gwen. Nie powstrzymamy tego ściganiem przynęty. Musimy być o krok przed nimi.

Biorę głęboki oddech, wstrzymuję go i powoli wypuszczam.

– W porządku. Co robimy najpierw?

– Obejrzymy ponownie nagranie, które znaleźliście w chacie. Wydaje mi się, że to wtedy skierowali nas na złe tory.

– Myślisz, że *chcieli*, żebyśmy je znaleźli? – pytam, świdrując go wzrokiem.

– Nie. Myślę, że *wcale* tego nie chcieli, a wszystko, co od tamtej pory zrobili, było środkiem zapobiegawczym. Wpadamy na trop, a wtedy niespodziewanie wypływa nagranie obciążające Gwen. A potem drugie, gdy udaje się nam dorwać Suffolka – jestem przekonany, że Absalom i tak chciał się pozbyć tego drania, bo zrobił się nieostrożny. Ktoś wodzi nas za nos, a my musimy jak najszybciej zejść z tej drogi.

Tłumię w sobie chęć wdania się w kłótnię, wykopania Mike'a z auta, chwycenia za kierownicę i *jechania tak długo, dopóki jej nie znajdę*. Jednak Mike ma rację.

Musimy zwolnić tempo. Odciąć się od nich. Zresetować.

W tej chwili to jedyny sposób na to, byśmy znaleźli Gwen.

Musimy wyprzedzić ich o krok.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Connor

Słyszę, jak Lanny wchodzi do łazienki. Lubi brać prysznic wieczorem, więc czekam, aż odkręci wodę, zamykam drzwi do swojego pokoju, wyciągam telefon Brady'ego i włączam go. Uruchomienie i wyszukiwanie sygnału zajmuje całą minutę, a kiedy aparat jest gotowy do użycia, rozlega się ledwie słyszalny dzwonek. Odgłos lejącej się wody zagłuszy mój głos, pod warunkiem, że będę mówił wystarczająco cicho.

Wchodzę do szafy i zamykam drzwi. Ubrania i koce jeszcze bardziej stłumią wszelkie dźwięki. Nie chcę, by ktokolwiek mnie usłyszał. Zalegająca wokół ciemność jest kojąca. Gdy wkładam baterię i włączam telefon, niebieski blask padający z ekranu rzuca na wszystko kanciaste cienie. Siadam po turecku na podłodze szafy, opierając się o stertę złożonych koców w rogu. Mebel jest wykonany z drewna cedrowego, a jego ciepły, intensywny zapach sprawia, że chce mi się kichać.

„Nie mogę tego zrobić”, myślę, ale prawda jest taka, że mogę. Wiem, że to wskazane. Mam kilka pytań i chcę usłyszeć jego głos, gdy będzie na nie odpowiadał. Kłamanie w esemesach jest łatwe.

Jednak w trakcie rozmowy już niekoniecznie.

Wybieram jedyny numer w książce telefonicznej. Serce mi wali jak młot, tak mocno, że aż czuję ból w piersi.

Telefon dzwoni i dzwoni, a potem łączy się z pocztą głosową, której mechaniczny głos mówi „proszę, zostaw wiadomość”. Rozłączam się. Jest mi gorąco, jestem spocony i zawiedziony, a jednocześnie czuję ulgę. Spróbowałem, a on nawet nie odebrał telefonu. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek zdołam się na to zdobyć. To było wystarczająco ciężkie doświadczenie.

Siedzenie w szafie jest jak odcięcie od zewnętrznego świata. Dziwne i przynoszące coś na kształt spokoju. Zastanawiam się, jak długo mogę tu siedzieć, zanim ktoś nie zacznie mnie szukać, gdy telefon zaczyna wibrować w mojej dłoni. Prawie go upuszczam. Odbieram połączenie.

– Halo? – Głos mam niepewny, cichy i piskliwy. Jest zdecydowanie mniej pewny ode mnie, że postępuję właściwie.

– Witaj, synu. Wybacz – mówi tata. – Nie mogłem odebrać telefonu na czas. Dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś. Wiem, że to dla ciebie ogromny krok.

Głos ma zdyszany jak po biegu. Pewnie zostawił telefon w drugim końcu pokoju, może w kieszeni płaszcza, który przestał dzwonić w momencie, w którym po niego sięgał. Skoro jest bez tchu, to znaczy, że zależało mu na tym na tyle, by się pośpieszyć. To z pewnością musi coś znaczyć. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Cześć. – Nie jestem jeszcze gotowy, aby nazywać go *tatą*, szczególnie nie na głos. – Chyba nie powinienem dzwonić...

– Nie, nie, wszystko w porządku – zapewnia mnie. Słyszę odgłos przypominający trzaśnięcie drzwiami i szum wiatru w słuchawce, tak jakby wyszedł na zewnątrz. – Jesteś sam?

– Tak.

– To dobrze. – Milknie na sekundę, a ja słyszę jego oddech. – Co

u ciebie?

– W porządku. – Wiem, że powinienem powiedzieć coś więcej, spróbować nawiązać prawdziwą *rozmowę*, ale nagle świadomość, że znajduje się po drugiej stronie słuchawki, zaczyna mi dokuczać. Fantazja okazała się być lepsza od rzeczywistości. – Na dworze jest zimno, pomyślałem, że wyjdę na śnieg czy coś w tym stylu – dodaję zatem w pośpiechu. – Przez jakiś czas włóczyłem się po dworze.

– Wybrałeś się na spacer?

– Nie. Po prostu wyszedłem.

– Powinieneś częściej wychodzić, Brady. Eksplorować różne rzeczy. Wybrać się na pieszą wycieczkę, o ile jesteś w miejscu, w którym to możliwe. Ja od zawsze lubiłem takie wyprawy.

Nie jestem taki jak on. Nie jestem samotnikiem uwielbiającym przygody. Lubię być częścią zespołu, w którym zajmuję istotne miejsce, ale nie z powodu umiejętności szybkiego biegania czy predyspozycji do walki, a dlatego, że jestem inteligentny, sprytny i potrafię rozwiązać problem, gdy inni nie są w stanie tego zrobić. Ciekawe, czy by to zrozumiał.

– Masz rację – mówię, bo nie chcę się z nim nie zgodzić. – Mógłbym sprawić sobie psa.

– Masz teraz jakiegoś?

– Tak, wabi się Rekrut. To rottweiler.

– Zna jakieś sztuczki?

– Umie aportować, kłaść się na ziemi i przetaczać z boku na bok. Uczę go, jak podawać sobie ręce na powitanie.

– Jest dobrym psem myśliwskim?

– Nie wiem.

– Lubisz chodzić na polowanie?

W sposobie, w jaki to mówi, jest coś takiego... sam nie wiem. Coś makabrycznego. Chcę przez to przejść i mieć to z głowy, tak jak człowiek śpieszy się nocą przez cmentarz.

– Nie, ja po prostu... zablądziłem, a Lanny i... – Gryzę się w język, bo prawie powiedziałem na głos imię Javiera. – Lanny wzięła Rekruta do pomocy, żeby mnie znalazł. – Tak naprawdę wcale się nie zgubiłem. Po obejrzeniu tamtego nagrania byłem tak wściekły i zraniony, że chciałem *odejść*. Nie uszedłem jednak zbyt daleko, bo zdałem sobie sprawę, że nie mam dokąd pójść. Idiota ze mnie. Powinienem był iść dalej. – Więc wygląda na to, że umie polować. To dobry pies, i w dodatku mądry.

– Lubię psy – mówi tata. – Nie lubię kotów. Dla mnie psy zawsze są chłopcami, a koty dziewczynkami. A ty, jak myślisz?

Nie wiem, co odpowiedzieć. To brzmi wyjątkowo dziwnie, jakby chciał pokierować rozmowę na znane sobie tory, którymi nie mam ochoty podążyć. To po prostu nie brzmi normalnie. Zmieniam pozycję, a wieszaki nad moją głową wydają z siebie cichy stukot. Zapach cedru drażni mój nos.

– Zadzwoiłem, bo muszę cię o coś spytać – mówię. Właśnie dotarło do mnie, że zaraz to zrobię, *naprawdę* to zrobię. Robi mi się niedobrze, ale i tak się do tego zmuszam. – Pamiętasz, jak powiedzieli, że mama pomogła ci zabić te wszystkie kobiety?

– Uhm.

– Zrobiła to?

– Mały, przykro mi. Ja tylko... synu, uważam, że jesteś wystarczająco dorosły, by znać prawdę. Przez większość twojego życia wciskano ci kłamstwa na mój temat. Chyba ci o tym mówiłem, prawda? A najgorsze jest to, że okłamywała cię własna matka. Wierz mi, nie jest niewinna. Uznałem, że powinieneś wiedzieć, co naprawdę się zdarzyło, gdy byłeś mały.

Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że czuję się jak idiota, że wkurzyłem się tym, co zobaczyłem. Że powinienem być ponad to. Być silniejszy.

– No dobrze. Obejrzałem nagranie, wiesz?

– Zadbaleś o to, by nikt się nie dowiedział, że masz ten telefon?

– Tak jak kazałeś.

– Twoja siostra też widziała nagranie?

– Tak.

Żałuję, że to zrobiłem. Nienawidzę patrzeć, jak płacze, i nienawidzę tego, że *nie* płacze wtedy, kiedy powinna. Musiałem jednak sprawić, że dowie się tego co ja: że mama nie była osobą, za którą się podawała.

– Czy ktoś wie, że ze mną rozmawiasz?

– Nie. – Biorę głęboki wdech i wypuszczam powietrze. – Czy to prawda? Że zabiłeś później tę dziewczynę, tę, którą niosłeś?

– Masz na myśli tę, którą twoja mama *pomagała* mi nieść? – Jego sprostowanie jest nieco ostre, ale natychmiast je łagodzi. – Wybacz, Brady. To dlatego, że od wielu lat ciągle byłem opluwany i wiecznie kłamano na mój temat. A twojej matce wszystko się upiekło.

– No tak, ale zrobiłeś to?

– Co dokładnie?

Przełykam ślinę. Mam sucho w ustach. Nie chcę o to pytać, ale się zmuszam.

– Zabiłeś je? Te wszystkie kobiety?

Nie odpowiada. Przez długą chwilę słyszę w głośniku jedynie świst wiatru i jego spokojny, wyrównany oddech.

– Są pewne rzeczy, których nie zrozumiesz – mówi w końcu. – To nie tak, jak myślisz.

– To bardzo proste pytanie. – Mój głos brzmi nagle bardzo dorośle. – Zabiłeś je czy nie?

– Zabiłem jedną dziewczynę, ale to był wypadek. Mieliśmy zamiar przetrzymać ją do momentu otrzymania okupu, to wszystko. Potrzebowaliśmy pieniędzy dla ciebie i twojej siostry, a jej rodzina była bogata. To był *wypadek*.

– A wszystkie inne?

– Nie było żadnych innych. Te rzeczy, które o mnie wygadywali, pozostałe kobiety – to wszystko zostało zmyślane. Sfabrykowane. Wyślę ci odpowiednie linki do opisujących sprawę artykułów, jak technicy w policyjnym laboratorium podmienili moje DNA z próbką prawdziwego zabójcy. Właśnie dlatego musiałem wydostać się z więzienia. Musiałem udowodnić swoją niewinność. Gdy siedziałem za kratkami, nikt nie chciał mnie słuchać.

Prawdziwy zabójca. Serce zaczyna mi szybciej bić, bo to brzmi jak prawda. Ma sens. *Mój* ojciec nie może być mordercą. W telewizji bez przerwy pokazują ludzi, którzy zostali skazani, choć wcale nie popełnili zarzucanych im zbrodni, a prawdziwy morderca zostaje na końcu odnaleziony. Dlaczego zatem i w tym przypadku to nie może być prawda? Dlaczego tata nie może być niewinny? To ma znacznie więcej sensu. Możliwe, że wraz z mamą zrobili coś głupiego, aby *nam* pomóc, a potem policja uznała, że jest winny pozostałych zbrodni. A mama okłamywała nas po to, by móc zostać i się nami opiekować.

Cieszę się, że tak myślę, bo nie chciało mi się wierzyć, że mama kłamała wyłącznie po to, by zranić tatę. Nie, ona chciała nam pomóc, to wszystko.

Jeśli to faktycznie był wypadek, to ma to więcej sensu, niż wyobrażanie sobie, że *mój* tata – wielka, ciepła postać, która zabrała mnie na pierwszy mecz baseballu, oglądała ze mną telewizję i czasami czytała mi bajki na dobranoc... że *mój* tata jest potworem.

W oddali słyszę dźwięk zakręcanej wody. Lanny prawie uwinęła się ze swoim prysznicem. Wysuszy włosy suszarką, a potem przyjdzie zapukać w drzwi mojego pokoju i życzyć mi dobrej nocy. Zawsze to robi.

– Muszę kończyć – mówię w pośpiechu. – Wybacz.

– Zaczekaj! Brady... synu, chciałem ci tylko podziękować za to, że

do mnie zadzwoniłeś. Wiem, że to niełatwe, ale wiele dla mnie znaczy. – Słysząc to po jego głosie. Mówi tak, jakby miał się zaraz rozplakać. – Nigdy nie sądziłem, że jeszcze będzie mi dane usłyszeć kiedyś twój głos.

– Nie ma sprawy. – Czuję się dziwnie i jest mi niedobrze. Czy to lepiej, że mam świadomość, że ojciec mnie kochał i nadal kocha, skoro wszyscy spodziewają się, że będę go nienawidzić? – Muszę kończyć.

– Jeszcze jedno – mówi. – Proszę.

– Co takiego? – Trzymam kciuk nad guzikiem kończącym połączenie, ale go nie wciskam. Czekam.

– Powiedz do mnie „tato”. Tylko raz. Od wieków czekałem, aby to usłyszeć.

Nie powinienem. Istnieje pewna granica, której nie powinienem przekraczać. Pisałem to słowo w esemesach, ale nigdy nie *wypowiedziałem* go na głos. To jak przyznanie przed sobą czegoś, co jest zbyt skomplikowane, żeby to pojąć.

W tej chwili nie mam jednak czasu tego roztrząsać.

– Do usłyszenia, tato – rzucam szybko i kończę rozmowę. Serce wali mi jak oszalałe, ręce mi się trzęsą i nie mogę uwierzyć w to, że *właśnie rozmawiałem z tatą*.

Ktoś puka do moich drzwi. To nie jest Lanny. Słyszę, jak dopiero włącza suszarkę. Wyłączam telefon i otwieram drzwi szafy.

– Tak? – wołam. Patrzę, jak małe kółeczko na ekranie się obraca. Wyłączenie tego cholerstwa zajmuje całą wieczność.

– Connor? Mogę wejść?

To nie Javier, tylko Kezia. Gdy nie reaguję, chwyta za klamkę, a ja cieszę się, że zamknąłem drzwi, bo ten telefon *wyłącza się w nieskończoność*... w końcu faktycznie to robi, a ekran ciemnieje. Chowam go do kieszeni spodni i idę otworzyć drzwi.

– Hej. Przepraszam. – Wracam na łóżko i siadam po turecku.

Nie wchodzi do środka, tylko obserwuje mnie.

– Martwiłam się o ciebie.

Wszyscy się o mnie martwią. Oprócz taty, który uważa, że nic mi nie jest. Gdy nie odpowiadam, Kezia ciągnie dalej.

– To nic złego być wściekłym na swoją mamę. Musisz jednak wiedzieć, że ona nadal cię kocha. I to bardzo. Rozumiesz?

– Pewnie – mówię, a potem wruszam ramionami. – Nie musisz się o mnie martwić. Nic mi nie jest. Czekam tylko, aż zwolni się łazienka. Lanny siedzi tam całą wieczność.

Mam nadzieję, że ton mojego głosu brzmi zwyczajnie. Normalnie. W środku cały się trzęsę i mam wrażenie, jakbym rozpadał się na kawałki. *Rozmawiałem z nim. Usłyszałem jego głos. Nazwałem go tatą.* Nie mam pojęcia, jak się czuję. Podekscytowany, ponieważ uszło mi to na sucho. Przerażony. Szczęśliwy. Zaniepokojony. Wszystkie te rzeczy jednocześnie.

Teraz mogę się już pozbyć telefonu, mówi jakaś część mnie. Rozmawiałem z nim. Załatwiłem, co miałem do załatwienia. Powinienem go teraz zniszczyć i zakopać kawałki.

Ale nie jestem w stanie, bo to urządzenie w mojej kieszeni jest niczym magiczny guzik, który mogę wcisnąć i poczuć się... w pewnym sensie normalny. Jak miałbym się go teraz pozbyć? Mimo wszystko, to ryzykowne. Jeśli się dowiedzą, będą na mnie wściekli.

Pamiętam, jak głos mu drżał, gdy prosił nie, bym nazwał go tatą. Jakby to była jedyna rzecz na świecie, której pragnął. „Nie obchodzi mnie, czy się wściekną”, myślę sobie.

Potrzebuję swojego ojca. I wydaje mi się, że on potrzebuje mnie.

Śpię dobrze po raz pierwszy od wielu tygodni. Nie mam żadnych

snów. To tak, jakby głos taty uciszył we mnie coś, co krzyczało przez cały ten czas.

Zdaję sobie sprawę z tego, że to złe.

Gdy wstajemy następnego ranka, wszystko wydaje się normalne, nie licząc mnie. Na śniadanie jemy gofry z bekonem. Udaje mi się ich przekonać, aby dali mi spróbować trochę kawy z mnóstwem mleka i cukru, a po wszystkim nie mogę się zdecydować, czy ja lubię, czy nie. Mimo to wypijam wszystko do dna. Lanny pije teraz kawę wyłącznie z mlekiem, a Javier i Kezia piją zwykłą czarną.

– Dlaczego nic do niej nie dodajecie? – pytam, tylko po to, aby mieć jakiś temat do rozmowy. Javier parska śmiechem i wymienia się spojrzeniami z Kezią.

– Pewnie z tego samego powodu – mówi. – Gdy służyłem w piechocie morskiej, mieliśmy szczęście, gdy dostawaliśmy kawę. Prawie nigdy nie piliśmy jej z dodatkami. W plecaku jest mało miejsca, a kiedy niesiesz na grzbiecie wszystko, czego potrzebujesz... pozbywasz się luksusów.

– Ja przyzwyczałam się do czarnej kawy na komisariacie – mówi Kezia, kiwając głową. – Bierzesz ją w locie i jesteś gotowy do wyjścia. Śmietanki do kawy wiecznie nie było, cukru prawie też. Po jakimś czasie człowiek po prostu dostosowuje swój smak.

Brzmi to wyjątkowo dorośle. Może któregoś dnia też będę piła czarną kawę.

Po gofrach myjemy naczynia, a potem idę wziąć kąpiel. Gdy wychodzę, Javiera już nie ma, bo poszedł na strzelnicę. Zostaje z nami Kezia. Dobrze, że Norton to miasteczko o niskim współczynniku przestępczości. W ciągu godziny otrzymuje dwa telefony, ale żaden z nich nie jest na tyle ważny, by zmieniła swoje plany.

Lanny jest zajęta robieniem czegoś w rodzaju plecionej bransoletki. Cały dzień udawała, że wszystko jest okej, a to jej

ostatni wymysł. Nawet nie podnosi wzroku.

– Przestań się na mnie gapić.

– Wcale się nie gapię.

– Owszem, gapisz. Na litość boską, idź się czymś zajmij.

– Nienawidzę tak beczynnie siedzieć.

– Po prostu bądź cierpliwy.

Wybucham śmiechem, ale niezbyt wesołym.

– Serio? Od kiedy to stałaś się takim wzorem cnót? Wystarczy, że musisz czekać trzydzieści sekund na mikrofalówkę, a ogłaszają kryzys narodowy.

– Mniej więcej w tym samym czasie, w którym ty stałaś się ekspertem od ciętych ripost.

– Dla kogo jest ta bransoletka?

Jej palce pomijają kolejny splot, więc syczy pod nosem i rozplątuje supełek.

– Dla mnie – mówi, co z pewnością jest kłamstwem.

Lanny nigdy w życiu nie nosiła plecionej w warkoczyk bransoletki, a już na pewno nie czarnej i różowej. Czarną rozumiem, ale różową?

– Wcale nie.

Nie odzywa się przez kilka sekund, a potem mówi:

– Dla przyjaciółki.

Pytam o to wyłącznie dlatego, że to ją krępuje. Odwraca się, posyłając mi mordercze spojrzenie w stylu „odwal się”.

– Posłuchaj, to świetnie, jeśli robisz ją dla Dahlii.

Unosi wzrok i obrzuca mnie dziwnym, przeciągłym spojrzeniem.

– Owszem, świetnie.

– Czy to nie ta sama, którą walnęłaś w nos?

– Jest moją przyjaciółką od... bardzo dawna.

Wzruszam ramionami.

– Mimo to walnęłaś ją w nos w trakcie waszego pierwszego

spotkania. I to wcale nie było dawno. Nie minął nawet rok. – Udaję, że czytam, ale w rzeczywistości obserwuję swoją siostrę. W kółko związuje i rozwiązuje ten jeden supeł, po czym warczy pod nosem, rozszarpuje bransoletkę na pojedyncze nitki i wstaje, żeby wyrzucić przez okno. – Lubisz ją, prawda?

– Może – odpowiada, co w jej przypadku oznacza „tak”. Krzyżuje ramiona na piersi. – Tak. To nie twoja sprawa.

– Zgadza się, pod warunkiem że nie powiesz jej, gdzie jesteśmy. – Prostuje się, a ja wsuwam zakładkę na miejsce i zamykam książkę. – Tylko nie mów, że jej powiedziałaś! Miałaś o tym *nikomu* nie mówić! – Obniżam głos, żeby Kezia nie usłyszała o czym rozmawiamy.

Lanny tylko wzrusza ramionami. Szczęka jej zeszywniała, jakby spodziewała się, że ją uderzę.

– To była zasada wprowadzona przez mamę, a jej tu nie ma. Poza tym... ona nikomu nie powie.

– Rozgada to *wszystkim* dookoła! – Jestem wściekły. *Ja* nie zadzwoniłem do żadnego ze swoich znajomych. Ani nie wyszedłem, żeby ich poszukać. Robiłem dokładnie to, co kazała mama. No cóż... poza telefonem. – Czy to tam poszłaś, gdy przelazłaś przez ogrodzenie?

– Nie, poszłam... – Łapie oddech i przygryza dolną wargę, a ja widzę łzy z jej oczach, które wyciera grzbietem ręki. – Poszłam popatrzeć sobie na nasz dom. To wszystko. To tam ją spotkałam. – Nagle zaczyna świdrować mnie tak nienawistnym spojrzeniem, że czuję się, jakby mnie uderzyła. – Lepiej idź i poczytaj tę swoją głupią książkę!

Jej uwaga doprowadza mnie do takiego szału, że walę książką w blat stołu i mówię:

– To *twoja głupia książka!* Nie zauważyłaś?

To prawda. To książka, którą czytała w dniu, w którym nasze

życie wywróciło się do góry nogami. Czytała ją i nawet nie podniosła wzroku, gdy mama zatrzymała samochód przed policją, a ja myślałem tylko o tym, co było w niej takiego fascynującego, że czytała ją w dniu aresztowania naszej mamy, w dniu, w którym odebrano nam dom i tatę. Czytała ją ostatniego dnia, kiedy nie było jeszcze żadnych potworów, a rodzice nadal mogli nas chronić. Uratowałem ją po tym, jak ją wyrzuciła. Chciałem coś zatrzymać, coś z *domu*. Z *dawnego* życia.

Zatrzymałem ją.

Cały drzę. Oddycham naprawdę szybko, tak szybko, że aż brzuch mnie boli. Czytałem ją w kółko od tak dawna, że zaczęły z niej wylatywać strony. Dwie z nich oderwały się i wystają ze środka niczym dwa złamane zęby.

Lanny wyciąga rękę i przesuwając palcem po okładce tak, jakby dotykała twarzy zmarłego. Potem bierze książkę i podchodzi z nią do kominka, a do mnie dociera, że *chce ją spalić*, więc rzucam się w jej stronę, wyrywam z jej rąk i przyciskam mocno do piersi.

Nie odzywamy się, jedynie patrzymy na siebie. Nagle Lanny osuwa się na ziemię i zaczyna płakać. Jestem jej bratem. Powinienem zrobić coś, żeby poczuła się lepiej. Mimo to nie reaguję.

Wracam do swojego pokoju, trzaskam drzwiami i zamykam je na klucz. Nadal słyszę, jak Lanny płacze. Chodzę w tę i z powrotem, a potem wyjmuję z szafy kurtkę, rękawiczki i czapkę.

Kezia obserwowała całe zajście od strony kuchennego stołu, nie wtrącając się, a kiedy wychodzę z pokoju w zimowym ubraniu, mówi:

– Connor, na dworze jest mróz.

W tej chwili nie czuję się jak Connor. Chcę czegoś ciepłego.

Chcę swojego taty.

– Niedługo wrócę. – Wylegujący się pod trzaskającym kominkiem Rekrut podniósł się z podłogi i skacze wesoło wokół mnie. – Pies

musi wyjść na dwór.

Nie podoba jej się to, ale w końcu kiwa głową.

– W porządku. Tylko nie wychodź za ogrodzenie. – Wpatruje się we mnie uważnie przez kilka długich sekund, a ja nie mam odwagi odwrócić wzroku. – Connor? Mogę ci zaufać?

– Tak – mówię. To prawda. Może ufać Connorowi. Ale nie Brady'emu.

– Świetnie. – Wierzy mi, sądząc po spojrzeniu, które przed chwilą posłała Lanny.

Gdy otwieram drzwi, obejmuje już ramieniem moją siostrę, która zanosi się takim szlochem, jakby pękło jej serce.

Wychodzę na zewnątrz. Miała rację, jest potwornie zimno – w powietrzu czuć intensywne, nasycone wilgocią zimno, które towarzyszy padającemu śniegowi, choć wcale go nie ma. Chmury mają ołowianoszary kolor, są tak ciężkie, że wyglądają, jakby miały zaraz zwalić się nam z hukiem na głowy. Czubki drzew spowija mgła. Nad jeziorem pewnie też będzie mgliście, a jego powierzchnia powoli zacznie zamarzać.

Rekrut nie przestaje skakać, więc biorę do ręki starą, mocno sfatygowaną piłeczkę tenisową i rzucam mu ją. Podczas gdy pies z radością gryzie zabawkę, chowam książkę do kieszeni i wyjmuję telefon. Tym razem w ogóle się tym nie martwię. Nie zaprzęgam sobie głowy żadnymi „co by było” ani „dlaczego nie”. Po prostu wybieram numer do taty.

Odbiera po pierwszym dzwonku.

– Tak, synku?

Czuję ucisk pod powiekami i w gardle, ale nie będę płakał, nie będę... chwilę później wybucham płaczem, zupełnie jak Lanny.

– Ja t-tylko chcę, żeby w-wszystko było jak d-dawniej.

Emocje, które tłamsiłem w sobie latami, eksplodują. Chcę wrócić do naszego domu w Wichicie. Znów nosić swoje dawne nazwisko.

Mieszkać w starym domu, mieć mamę i tatę, i żeby życie znów było *normalne*.

Mój ojciec sprawia wrażenie zmartwionego, gdy pyta:

– Czy coś się stało, Brady? Dobrze się czujesz?

– N-nie. – To dobra odpowiedź na oba te pytania. – Gdzie jesteś, tato?

To drugi raz, gdy tak go nazwałem, i teraz przyszło mi to naturalnie. Musiałem usłyszeć jego głos, usłyszeć, że naprawdę mu na mnie zależy.

– Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć. Bardzo bym chciał. Ale możesz powiedzieć mi, gdzie *ty* jesteś. Mogę przyjechać, jeśli chcesz – ale tylko pod warunkiem, że tego chcesz, okej? Nigdy nie zrobiłbym tego bez twojego pozwolenia.

Próbuję przypomnieć sobie ostatni raz, kiedy mama prosiła mnie o pozwolenie. Nie zrobiła tego, gdy przenosiła nas z miejsca na miejsce, ani wtedy gdy powiedziała, że musimy żyć pod przybranymi nazwiskami. Nie zrobiła tego, gdy nas tu sprowadziła i wyjechała, zostawiając na miejscu. Zalecenia mamy. Rozkazuje, kłamie i nigdy nie była osobą, za którą się podawała.

W przeciwieństwie do niej ojciec *pyta*.

Nie jestem jednak aż tak głupi. Choć czuję się teraz dobrze, tata jest zbiegłym przestępcą, a ja nie mogę ot tak zdradzić mu miejsca mojego pobytu – nie przez wzgląd na siebie, ale z powodu Lanny. Tata nigdy nie zrobiłby mi krzywdy, ale coś głęboko w moim wnętrzu podpowiada mi, że bym nie szafował bezmyślnie bezpieczeństwem Lanny.

– Synu? – Moje milczenie trwało zbyt długo. Głos taty znów drży. Zanoszę się kaszlem. – Synu, przysięgam, że nie chcę wyrządzić ci żadnej krzywdy. Nie musisz nigdzie ze mną jechać. Ja tylko... chcę cię zobaczyć, to wszystko. Tak bardzo za tobą tęsknię. Jesteś dla mnie ważny. Chcę, żebyś to wiedział. Uwierzył w to.

Nie jestem wystarczająco ważny dla mamy, aby ta chciała tu zostać. Jednak tata uważa, że jestem na tyle ważny, że jest w stanie zaryzykować bycie schwytanym po to, żeby się ze mną spotkać.

A to się liczy.

– Tato, nie mogę z tobą pojechać – mówię. To bolesne, ale uczciwe wyznanie. Nie chcę go okłamywać. – Ale chciałbym się z tobą zobaczyć. Czy moglibyśmy po prostu... porozmawiać? Tylko ten jeden raz?

Milczy przez sekundę, a potem mówi:

– Tak. To mogę zrobić. Ale Brady, musimy zachować *szczególną* ostrożność. Jeśli komuś o tym powiesz, nawet siostrze, mogę przez ciebie zginąć.

– Nie zrobię tego – zapewniam go. Pociągam nosem i wycieram go w rękaw. – Nikomu nie powiem.

– Nawet siostrze?

– Nawet jej.

– Kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

Zmieniam temat.

– W takim razie... kiedy?

– Żeby móc ci to powiedzieć, muszę najpierw spytać, gdzie jesteś, dobrze?

– To ty nie wiesz? – Jestem zaskoczony. Jestem pewien, że namierzał mój telefon. Mama zawsze powtarzała, że to potrafi.

– Nie – mówi, a ja mu wierzę. – Nie próbowałbym cię odnaleźć bez twojej zgody.

A więc z tym też kłamała. Jestem zbyt wściekły, by przejmować się tym, czy robię dobrze, czy nie, gdy mówię:

– Jestem w Norton. W Tennessee.

Tata milczy przez krótką chwilę, a potem słyszę, jak parska krótkim śmiechem. Brzmi ponuro i zgorzkniale.

– Nigdy was stamtąd nie zabrała, prawda? Sprytnie. Wie, że wszyscy będą szukać w innych miejscach, a nie tam, gdzie mieszkaliście po raz ostatni.

Nie chcę o tym rozmawiać. O mamie. To sprawia, że czuję się okropnie.

– No więc kiedy?

– Jestem całkiem blisko was. Posłuchaj, synu... spotkamy się w miejscu, w którym czujesz się bezpieczny. Masz takie?

Nigdzie nie czuję się bezpieczny, ale nie mówię mu tego. Próbuje coś wymyślić, a jedyną rzeczą, która przychodzi mi na myśl, jest to, co powiedziała Lanny. *Spotkała się z Dahlią w naszym starym domu.*

To bezpieczne miejsce. Tak jakby. I niczego nie zdradza.

– Przyjdź do naszego starego domu w Stillhouse Lake. Wiesz, gdzie to jest?

– Znajdę go.

– Kiedy?

– Mówiłem ci już, jestem niedaleko. W takim razie... co powiesz na spotkanie za dwie godziny?

Będę musiał dojść na miejsce na pieszo, a to zajmie mi co najmniej godzinę. Mniej jeśli pobiegnę, ale nie jestem taki jak Lanny. Nie czerpię z tego żadnej radości.

– Jesteś aż tak blisko?

Nagle czuję się dziwnie. Jakbym *w ogóle* nie powinien niczego mówić. I o nic prosić. Mam ochotę wyrzucić telefon, wejść do środka i powiedzieć Kezii, co zrobiłem. Nigdy nie sądziłem, że można czegoś tak bardzo pragnąć i jednocześnie się tego bać.

Najwidoczniej usłyszał to w moim głosie, bo mówi:

– Nie chcę na ciebie naciskać, mały. Jeśli chcesz zaczekać, to zaczekam. Nie będę cię szukał, przysięgam. Tak samo jak nie będę dzwonił. To ty zadzwonisz do *mnie*, gdy będziesz chciał się spotkać.

Czy tak jest lepiej?

Biorę tak głęboki wdech, że samo jego utrzymanie sprawia ból. Pozwalam, by zimne powietrze ogrzało się, a gdy je wydycham, z moich ust wychodzi kłęb białej pary.

– Tak myślę. – Tata brzmi zupełnie normalnie. To *ja* tu jestem świrem. Tata robi wszystko co w jego mocy, żebym mu zaufał, a ja zachowuję się jak dupek. – Będę tam za dwie godziny. Tato? Biorę ze sobą psa.

Parska śmiechem.

– To dobrze. Chcę, żebyś czuł się bezpieczny. Weź ze sobą Rekruta. Ustaw numer siostry na szybkim wybieraniu. Zrób wszystko, co musisz, żeby mieć poczucie, że dobrze robisz. Nie mam ci tego za złe. – Milknie na chwilę, a ton jego głosu się zmienia. Staje się cichszy. Bardziej mroczny. – Brady... jeśli powiesz o tym mamie, innemu dorosłemu czy choćby Lanny, znajdę się przez ciebie w poważnym niebezpieczeństwie. Policja zastrzeli mnie na miejscu. Powierzam ci swoje życie. To ty masz władzę. Jestem w twoich rękach, synu.

Mam wrażenie, jakbym się topił. *Chcę* postąpić właściwie, ale nie wiem już, co to właściwie oznacza. To mój ojciec. O nic mnie nie prosił. To ja prosiłem *jego*. To dla mnie jest gotów wystawić się na niebezpieczeństwo.

I kocha mnie. Słyszę to w sposobie, w jaki mówi i co mówi.

– W porządku. – Nadal brzmię tak, jakbym miał wątpliwości, więc próbuję jeszcze raz, tyle że głośniejsze. – W porządku. Do zobaczenia na miejscu.

– Kocham cię, Brady.

Przełykam kolejną falę nerwów i mówię:

– Ja ciebie też.

Wyłączam telefon i chowam go. Rekrut podchodzi do mnie, w dalszym ciągu rozszarpując piłeczkę tenisową na kawałki,

i kładzie swoje ciepłe ciało na moich nogach, gdy siadam na ziemi. Ściskam go, a on zaczyna się wiercić, a potem spogląda na mnie wielkimi, brązowymi ślepiami, zaciskając szczęki na piłeczce, po czym wypuszcza ją i zlizuje mi łzy z twarzy.

– Rekrut, czy ja jestem głupi? – pytam go. Cały czas liże mnie po twarzy. – Nie powinienem tam iść. Powinienem komuś o tym powiedzieć.

Jeśli mam to zrobić, muszę być sprytny. Wracam więc do domu i mówię Kezii, że boli mnie brzuch i że chcę się położyć spać w swoim pokoju. Pyta, czy nie chcę wziąć czegoś na ból, ale odmawiam, najuprzejmiej jak umiem, i wycofuję się do pokoju. Rozrzucam pościel i układam stertę ubrań pod kołdrą, żeby wyglądało na to, że leżę w łóżku, a potem spisuję krótki liścik.

Wybaczcie, ale idę na spotkanie z tatą w naszym starym domu. Nie wściekajcie się, proszę. Rozmawiałem z nim i muszę go zobaczyć. Jestem ostrożny. Biorę ze sobą Rekruta.

Kładę liścik na czubku sterty ubrań. Dzięki temu ktoś go znajdzie, jeśli coś się stanie, a ja nie wrócę. Na dole strony dopisuję numer telefonu, który dał mi tata. Tak na wszelki wypadek. Potem zamykam drzwi na klucz, włączam telewizor, otwieram okno i wychodzę na zewnątrz. Zamykam za sobą okno. Gwizdnięciem przywołuję Rekruta za węgieł i przypinam do jednej ze smyczy, którą Javier trzyma, gdy wychodzi z nim na spacer za ogrodzeniem. Rekrut wygląda na podekscytowanego, ale staje jak wryty i opiera się, gdy podchodzę z nim do furtki i otwieram ją.

– No dalej, mały – szepczę. – *Chodź!* Nie możemy tu zostać. Jeśli Lanny albo Kezia wyjrzą przez okno...

Rekrut dochodzi do wniosku, że nie ma się czego bać, i przebiega przez furtkę, jakby wybierał się na wspaniałą przygodę. Zamykam

furtkę i obaj wbiegamy w cień lasu.

Do Stillhouse Lake jeszcze daleka droga.

Zaczynam biec.

Dom jest zdemolowany. Lanny chyba o tym wspominała, ale tak naprawdę wcale jej nie słuchałem. Nie przyniosłem żadnych kluczy, więc nie mogę wejść do środka. Czaję się w cieniu z boku budynku, udając, że jestem miejscowym dzieciakiem, który wyszedł na spacer ze swoim psem. Nikogo nie widzę. Zimno i przecucie, że w każdej sekundzie może zacząć padać śnieg, trzymają ludzi z dala od jeziora.

Kezia dzwoniła już dwa razy. Nie odebrałem żadnego z jej telefonów.

Stęskniłem się za jeziorem. Przez jakiś czas siedzę oparty o ścianę domu i mu się przyglądam. Na jego powierzchni unosi się mgła, ale woda zaczęła już nabierać mętnego koloru. Pływa w niej rozpuszczony śnieg, a do wieczora zdąży pokryć się warstewką lodu. Nie zamrznie zbyt głęboko. Jest ładnie i cicho, nie licząc ptasich treli i dobiegającego z oddali warkotu piły łańcuchowej, którą ktoś tnie polana, szykując drewno na opał na czas zamieci.

Obracam w palcach telefon Brady'ego, zastanawiając się nad zadzwonieniem do taty i odwołaniem wszystkiego. Wcześniej, gdy byłem wściekły, przerażony i zdołowany, ten pomysł wydawał mi się dobry. Teraz wydaje mi się idiotyczny. Nie potrafię już odróżnić, co jest właściwe, ale mam przecucie, że popełniłem błąd.

Już mam zamiar do niego zadzwonić, gdy telefon zaczyna wibrować. Szybko wydaję go z kieszeni kurtki i spoglądam na numer.

Niech to szlag. Na poważnie rozważam nieodebranie połączenia,

ale wciskam guzik i przykładam telefon do ucha.

Lanny zaczyna wrzeszczeć, jeszcze zanim zdąży powiedzieć „halo”.

– *Do jasnej cholery*, co ty wyprawiasz, kretynie? Gdzie jesteś?

– Lanny...

– Znalazłam twój głupi liścik. Poszłam obudzić cię na obiad i... *mój Boże*, Connor, gdzie ty się podziewasz? Kezia odchodzi od zmysłów! – Moja siostra cały czas krzyczy, ale wiem, że jest przerażona. Naprawdę przerażona.

„Brady”, myślę sobie. „Mam na imię Brady”. Nie mówię tego na głos.

– Nic mi nie jest. Ja tylko chcę się z nim zobaczyć. Zaraz tu będzie. Chcę z nim porozmawiać, a potem zaraz wrócę do domu. Poza tym jest ze mną Rekrut. Nic mi nie będzie.

– Tata jest mordercą, a ty go nie znasz! Ledwie go pamiętasz! Connor, masz mi obiecać, że *natychmiast* tu wrócisz...

Nadal coś mówi, ale nie słyszę co, bo wdziera się szum zakłóceń, a potem słuchawka oddala się od jej głosu, a ja domyślam się, że ktoś zabrał jej z ręki telefon. W oddali słyhać głosy. To Lanny i Kezia. „Co się dzieje? Gdzie on jest?”

Lanny nie powiedziała Kezii o liściku, zanim do mnie zadzwoniła.

Na kilka sekund zapada cisza, w trakcie której prawdopodobnie Kezia jest zajęta czytaniem liściku, po czym mówi opanowanym głosem:

– Connor, czy jesteś teraz w starym domu?

– Tak.

– Czy twój ojciec dotarł już na miejsce?

– Nie.

– W porządku, zaraz ci powiem, co masz zrobić. Chcę, żebyś poszedł do domu najbliższych sąsiadów, zapukał i dostał się do środka, o ile to będzie możliwe. Wysyłam na miejsce radiowóz

i sama też postaram się dotrzeć tam najszybciej, jak się da.

Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że to nie brzmi nawet jak rozkaz, tylko stwierdzenie faktu. *Oczekuje*, że spełnię jej polecenia. Jest opanowana, pewna siebie i ma wszystko pod kontrolą, co przypomina mi o sposobie, w jaki czasami wyraża się mama.

– Ale ja chcę z nim porozmawiać. To wszystko. Proszę, nie przysyłaj policji. – I tak wiem, że to zrobi, w końcu jest policyjnym detektywem, a ja schrzaniłem wszystko, zostawiając ten liścik, bo teraz musi złożyć oficjalne doniesienie. Naraziłem tatę na niebezpieczeństwo. – Proszę, tylko go nie zastrzelcie!

– Connor, nikt nie robi mu krzywdy – mówi, choć to oczywiste kłamstwo. Przemieszcza się. Słyszę trzask zamykanych drzwi. Oddycha teraz szybciej, ale głos nadal ma zrównoważony. – Twój ojciec został skazany za zbrodnie popełnione ze szczególnym okrucieństwem i jest wyjątkowo niebezpiecznym człowiekiem. Musi trafić do więzienia, żeby nikogo nie skrzywdził. Idziesz? Bo nie słyszę, żebyś szedł. Musisz pójść do sąsiadów, natychmiast.

Oddalam się od domu na jakieś trzy, cztery kroki. Najbliższy dom znajduje się na wzgórzu, obok skrótu. Idę powoli.

– Już idę.

Na drugim końcu słyszę dźwięk odpalanego silnika.

– Connor, zostanę z tobą na linii. Przyszedłeś tu aż z chaty? To kawał drogi. Nie jesteś zmęczony? – Mówi do mnie po to, byśmy oboje zachowali spokój. Tak mi się przynajmniej zdaje. Robię kolejne cztery kroki do przodu, a potem się zatrzymuję, bo słyszę, jak szepcze coś do mojej siostry. Pewnie myśli, że nic nie rozumiem, ale mam wyjątkowo dobry słuch. Jak u nietoperza, jak mawia Lanny.

Każę Lanny zadzwonić na komisariat nortońskiej policji z jej telefonu.

Nagle dociera do mnie, że jestem przynętą, że dopadną mojego

tatę i że to wszystko będzie moja wina. Ja do tego doprowadziłem, a jeśli tu przyjdzie i wpadnie w pułapkę, obwini za to wyłącznie mnie.

Nie idę do domu sąsiada. Rozłączam się. Zatrzymuję się przed naszym dawnym domem i zastanawiam przez kilka sekund. Ktoś stłukł szybę we frontowym oknie, a zasłony falują na zimnym wietrze znad jeziora. Szeleszczą niczym suche liście. Wybieram numer telefonu taty. Nie odpowiada. Udaje mi się połączyć z pocztą głosową, więc mówię mu, żeby nie przychodził, i żeby napisał wiadomość, kiedy dostanie mojego esemesa.

Mijają minuty. Długie minuty. Co chwila sprawdzam telefon. Żadnych wiadomości od taty. Żadnych połączeń. Kezia bez przerwy do mnie wydzwaniania, ale co chwila przełączam ją na pocztę głosową.

Mija kwadrans. Kezia za chwilę tu będzie, nawet jeśli policjanci z Norton nie będą się śpieszyć.

Znów wybieram numer taty. *No dalej, dalej...*

Kolejny raz włącza się poczta, a ja wyrzucam z siebie słowa z szybkością karabinu.

– Tato, proszę, nie przychodź. Przepraszam, nie rób tego, błagam cię, policja będzie cię szukać...

Telefon dzwoni, a na ekranie pojawia się komunikat pytający, czy chcę się rozłączyć i zaakceptować kolejne połączenie. To Kezia. Ignoruję go, biorę telefon i podbiegam do brzegu zamarzającego jeziora. Znowu wybieram numer taty. I znowu. I jeszcze raz. Gdy przy ostatniej próbie znów włącza się poczta głosowa, mówię:

– Tato, pozbywam się telefonu. Nie chcę, żeby znaleźli cię z jego pomocą! Proszę, nie przyjeżdżaj tu!

Ciskam telefonem w jezioro najmocniej jak się da.

Uderza w powierzchnię, a potem przebija się przez pokrywającą wodę twardniejącą skorupę lodu. Znika bez śladu, a na wodzie nie pojawia się żadna zmarszczka. Jest na nie zbyt zimno.

Wydaje mi się, że słyszę dźwięk silnika samochodu. *Policja już tu jest.* Odwracam się, gotowy na poniesienie kary. Rekrut całkiem znieruchomiał na końcu smyczy i stanął przodem do drogi.

To nie radiowóz. Nawet nie taki nieoznakowany, jakim jeździ Kezia. To duży, długi, biały van bez okien po bokach. Jest cały pokryty brązowymi smugami, jakby przedzierał się przez zwały błota.

Za kierownicą siedzi mężczyzna w czarnym płaszczu z kapturem. Zatrzymuje vana na drodze i wysiada. Nie widzę jego twarzy, ale wiem, kim jest. Kim musi być.

Czas zwalnia. Rzecz jasna, czas nigdy się tak nie zachowuje, ale właśnie takie mam poczucie, jakbym był w jednym z tych filmów, w których wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, a główny bohater schodzi z toru, którym pędzi kula. Tyle że w tym przypadku nie ma żadnej kuli.

Nie mam pojęcia, co robić. Jakaś część mnie każe mi *uciekać* i jest na tyle silna, że robię kilka kroków w tył, ale dokąd niby miałbym uciec? Za plecami mam jezioro. Powinienem pobiec w lewo, ominąć vana szerokim łukiem i dotrzeć do domu sąsiada, tak jak kazała mi Kezia. Jednak inna, znacznie potężniejsza część mnie, mówi: *Zostań. To twój tata.*

Mężczyzna zatrzymuje się niecałe półtora metra ode mnie i ściąga kaptur.

To nie jest tata.

Jest stary, z gęstymi, siwymi włosami po bokach głowy, która jest łyśa na czubku. Oczy ma w kolorze błotnistego brązu, a gdy się uśmiecha, odsłania cały garnitur zębów.

– Witaj, Brady – mówi. Ma akcent z Tennessee, więc bardzo prawdopodobne, że jest z niedaleka. – Twój tata przysłał mnie, żebym cię zabrał. Pójdiesz teraz ze mną, a ja zawiozę cię, żebyś się z nim spotkał.

W oddali słychać wycie policyjnej syreny. Wszystko jest zupełnie nie tak, a ja nie wiem, dlaczego tata nie przyjechał. Przestraszył się? Nie ufał mi? Może miał rację, bo spieprzyłem wszystko, zostawiając tamten liścik. To moja wina.

Syreny wyją z bardzo daleka.

Rekrut wydaje z siebie warkot. To niski, grzmiący dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Warkot, którym przywitał nas u Javiera za pierwszym razem, był niegroźny, ale ten taki nie jest. Widzę, jak świdruje nieznajomego wzrokiem, obnażając długie, mocne kły.

– Synu, każ temu psu przestać – mówi mężczyzna, siląc się na uśmiech. – Jak już mówiłem, przysłał mnie twój tata. Nie mam zamiaru walczyć z tym psem. Zabiję go, jeśli się do mnie zbliży.

Ma przy sobie broń. Widzę ją teraz wyraźnie, zatkniętą za pasek dzinsów. Kładzie na niej dłoń.

Rekrut zanosi się seria głośnych, przerażających szczeknięć i skacze na końcu smyczy. Jest duży i silny, a ja nie mogę utrzymać go w miejscu.

– Rekrut, nie! – krzyczę, ale pies w ogóle mnie nie słucha. Skacze do przodu, opadając na ziemię, i znowu skacze. Wygląda, jakby latał.

Mężczyzna wyciąga broń, ale okazuje się, że to wcale nie broń, bo gdy Rekrut ląduje mu na piersi, przykłada mu ją klatki piersiowej, a ja słyszę coś jakby odgłos skwierczenia, a Rekrut wydaje z siebie piskliwy, okropny skrzek i stacza się z niego. Upada na ziemię. Jego łapami wstrząsają skurcze, a głowa drga. Oczy ma dzikie i wytrzeszczone.

Krzyczę i podbiegam do niego, ale mężczyzna wchodzi mi w drogę, łapie za rękę i obraca w swoją stronę. Paznokcie ma długie i brudne. *Nie jest moim ojcem* i coś tu nie gra. Rekrut jest ranny, a ja *nie mogę dać się zaciągnąć do vana*. Mama zawsze powtarzała,

żeby nigdy pod żadnym pozorem nie wsiadać do czyjegoś samochodu, żeby krzyczeć i stawiać opór na każdym kroku.

Próbuję się wyrwać, ale obejmuje mnie ramionami i podnosi z ziemi. Walczę z całych sił, ale ręce mam uwięzione pod jego. Biorę zamach i wymierzam mu kopniaka. Rekrut nadal podryguje na ziemi, skowycząc tak, jakby ciągle go bolało.

– Zamknij się, ty cholerny, mały gnojku – wrzeszczy mężczyzna. Jego oddech pachnie pastą do zębów i kawą. – Zamknij się, kurwa, albo zaraz cię uciszę! Policja już tu jedzie! Nie mamy na to czasu. Nie chcesz zobaczyć się z tatusiem?

Nie przestaję kopać. Nie może zakryć mi ust, jeśli nadal chce unieruchamiać moje ręce, więc zaczynam się drzeć, a on ciągnie mnie w stronę vana. Nawet jeśli ktoś mnie usłyszy, nie dotrze tu na czas, więc muszę szybko coś zrobić.

Mama nigdy by nie pozwoliła, żeby przydarzyło się jej coś takiego. Nie myślę teraz o tacie. Pamiętam mamę, która zawsze, ale to zawsze, stała między nami a niebezpieczeństwem. Nie poddałaby się. Ja też się nie poddam.

Wierzgam z całych sił i tym razem podeszwa mojego buta uderza nieznajomego mocno w pachwinę. Kolano mi trzeszczy, a potem przeszywa je ból, ale nie dbam o to. Gdy mężczyzna wydaje z siebie okrzyk i wypuszcza mnie z rąk, zrywam się do biegu. Słyszę wycie syren. Widzę kurz z drogi wzbijający się w powietrze tuż za wzgórzem. Zaraz tu będą.

Uderza mnie czymś od tyłu po tym, jak udaje mi się pokonać zaledwie parę metrów. Robię dwa chwiejne kroki i upadam na ziemię. Wszystko zasnuwa szarość, a potem robi mi się czerwono przed oczami z bólu i nie jestem w stanie normalnie myśleć. Czuję, jak wlecze mnie po ziemi, ciągnąc za stopy.

Wycie syren staje się coraz głośniejsze. Przez moment wydaje mi się, że słyszę je tylko w swojej głowie, gdy nagle widzę czarny

samochód Kezii mknący w naszą stronę z mrugającymi czerwono-niebieskimi reflektorami wbudowanymi w przednią kratkę zderzaka.

Nie mogę pozwolić, by wciągnął mnie do vana. Wiem to. Wykręcam się i próbuję wytrącić go z równowagi. Widzę, jak Kezia otwiera drzwi i wyskakuje ze środka na chwilę przed tym, jak samochód się zatrzymuje. Wyciąga broń w ułamku sekundy, unosi ją, gotową do strzału, i krzyczy:

– Tu policja, natychmiast puść chłopaka!

Drzwi od strony pasażera również się otwierają. Lanny zeskakuje na ziemię i zrywa się do biegu. Nie powinna tego robić, ale biegnie prosto na nas.

Wchodzi Kezii w drogę, stając na linii strzału.

Lanny krzyczy moje imię – *Brady*, nie Connor, bo jest przerażona i wściekła – i zderza się z mężczyzną próbującym wciągnąć mnie do wnętrza vana z taką siłą, że wypuszcza mnie z uścisku, a ja uderzam głową o drogę pod wpływem odrzutu. Obraz rozmywa mi się przed oczami. Udaje mi się podźwignąć, ale wszystko dokoła wiruje, a ja nie mogę pomóc Lanny, która walczy z mężczyzną w płaszczu. W całym tym zamieszaniu dostrzegam Rekruta, który próbuje wstać na trzęsących się łapach. Szczeka, ale dźwięki są zduszone i pełne przestachu. On również nie jest w stanie jej pomóc.

Kezia oddaje pojedynczy strzał w niebo i krzyczy:

– Do jasnej cholery, Lanny, *padnij na ziemię!*

Próbuje, ale mężczyzna chwyta ją za włosy i szarpie do tyłu, żeby się nią zasłonić. Wchodzi do vana tyłem przez otwarte drzwi i wciąga ją za sobą. Znowu rozlega się ten skwierczący odgłos. Potraktował ją paralizatorem.

Próbuję do niej dotrzeć, naprawdę, ale zdążył już wciągnąć ją do środka, a teraz wskakuje na siedzenie kierowcy, *a ja nie mogę*

pomóc swojej siostrze...

Van odjeżdża z piskiem opon. Porywacz nie zdążył nawet zamknąć drzwi, które skaczą na zawiasach, aż w końcu zatrzasną się, gdy dodaje gazu na zakręcie obok chaty Sama. Jedzie wokół jeziora.

Zaraz ucieknie.

Kezia podbiega do mnie, a ja czuję na twarzy dotyk jej ciepłej dłoni. Odwraca mnie, żeby sprawdzić, jak bardzo ucierpiałem w starciu. Chyba krwawię, ale nie mam pewności. *To moja wina.* To jedyne, o czym jestem w stanie myśleć. Najwyraźniej powiedziałem to na głos, bo Kezia przyciska dłoń do mojego czoła i mówi:

– Nie, skarbie, wcale nie. Nic ci nie jest. Znajdziemy ją. Odpoczywaj, wszystko będzie dobrze. – Głos jej drży. Wyciąga komórkę i dzwoni. – Niech to szlag, gdzie jest moje wsparcie? Biały van jadący wokół jeziora! Potwierdzone uprowadzenie dziecka. Powtarzam, *potwierdzone uprowadzenie dziecka.* Ofiarą jest Lanny Proctor, dziewczyna rasy białej, lat czternaście, ubrana w dzinsy i czerwoną puchową kurtkę, o czarnych włosach. *Słyszycie mnie?*

Głowa boli mnie tak bardzo, że aż wymiotuję. Czuję, jak stara książka Lanny wbija mi się w żebra. Czuję, jak Rekrut podchodzi i zaczyna lizać mnie po twarzy.

A potem nie czuję już nic.

Rozdział dwudziesty drugi

Gwen

Ból napływa leniwą, potężną falą.

Z początku to tylko czerwony mur, komunikat mojego ciała ogłaszający, że coś jest nie tak. Wycofuje się odrobinę, a ja zaczynam rejestrować szczegóły: prawa kostka pulsująca tęnym bólem, lewy nadgarstek, prawe kolano. Szczęka, choć nie pamiętam, żebym została tu uderzona, ale w prawdziwej walce człowiek tego nie zauważa. Wszystko się ze sobą zlewa. Do tego dochodzi potworny ból ramion.

Mam coś w ustach, związanego tak mocno, że zostało wepchnięte między zęby. Kawałek materiału. Knebel. Dlatego boli mnie szczęka.

Pamiętam... co właściwie pamiętam? Pokój w motelu. Mężczyznę w masce Melvina. Paralizator. Van. Wszystko wydaje się odległe i zamazane, ale wiem, że to prawda, bo jestem przerażona. Koszmary przestają być straszne po tym, jak wybudzisz się ze snu.

Ale nie wspomnienia.

Pamiętam, że znalazłam się w vanie. Byłam czymś związana. Pamiętam szczęk łańcuchów. Jechaliśmy przez pewien czas,

a potem się zatrzymaliśmy. Van wjechał ostro pod górkę. Wokół panowały egipskie ciemności. Po chwili znów zaczęliśmy normalnie jechać.

Pamiętam, że ktoś zaświecił mi w oczy latarką, od której rozboleły mnie oczy, a potem poczułam ukłucie w rękę. Wstrzyknął mi coś. Pewnie więcej niż raz, żebym nie odzyskała przytomności. To tłumaczy okropny, gorzki posmak w ustach. Jestem tak spragniona, że usta mam popękane. Strasznie boli mnie gardło. Nie mogę wytworzyć wystarczającej ilości śliny, aby ją przełknąć.

Siedzę w kompletnych ciemnościach. Jest mi tak zimno, że drzę konwulsyjnie na całym ciele, nawet pomimo koca, którym zostałam owinięta. Nie jestem już w vanie.

Siedzę w skrzyni. Jestem skulona, z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej i rękami za plecami, które nadal są czymś skute. To dlatego bolą mnie ramiona. Głowę rozsadza mi ból tak wielki, że chciałabym, by ktoś mi ją odciął i oszczędził cierpienia. Wydaje mi się, że to skutki uboczne wstrzykniętych medykamentów. W środku jest strasznie ciemno. Nie dostrzegam żadnego fragmentu skrzyni, w której jestem, ale gdy przesuwam palcem po powierzchni, wyczuwam nieheblowane drewno. Drzazgi. Powietrze w środku jest stęchłe, ale czuję lekki powiew z jednej strony. Skrzynia ma wywietrzniki. Gdy wykręcę się i spoglądam w kierunku jednego z nich, dostrzegam nieco przytłumione światło.

Zabawne, jak mały przebłysk nadziei może uspokoić człowieka.

„Dobra”, myślę sobie. „Jesteś zziębnięta i ranna, ale żyjesz. Krok pierwszy: wydostań się ze skrzyni”. Ciekawe, czy zostałam wyrzucona gdzieś na pewną śmierć, skazana na powolną i koszmarną torturę. Nie, to nie w stylu Melvina. Jeśli nie będzie mógł tego zobaczyć i nie ubrudzi sobie rąk, ten sposób na zabicie mnie będzie dla niego niewystarczający. Wiem, że to jego dzieło. Jeśli komuś zależy na tym, by doprowadzić do mojej śmierci, tą

osobą jest mój eks.

Usiłuję zebrać jak najwięcej siły i naprzeć na pokrywę skrzyni, ale nie mam żadnego punktu podparcia ze względu na to, jak zostałam unieruchomiona. Próbuję podeprzeć stopy o boczne ścianki, ale skrzynia jest zbyt mała.

Zaczynam krzyczeć. Jedyne, co wychodzi z moich ust, to załamujący się, stłumiony okrzyk, którego nikt nie usłyszy nawet z odległości trzydziestu centymetrów. Słyszę dźwięk pracujących silników i innych urządzeń.

Gdy w końcu rozjaśnia mi się w głowie, uświadamiam sobie, że nie znajduję się w pobliżu samochodów, choć taka była moja pierwsza myśl.

Jestem przy samolotach. *Jestem na lotnisku.*

Podnoszę krzyk, chcąc, by ktoś mnie usłyszał. Próbuję rozkołysać skrzynię, ale jest ciężka, a ja nie mam wokół wystarczająco dużo wolnej przestrzeni, by zmienić pozycję.

Uderzam mocno łokciem w boczną ściankę. Ból eksploduje jak wiązka dynamitu, rozlewając się po całej ręce i trafiając w obolałe ramię, ale mimo wszystko powtarzam ten manewr. Może ktoś usłyszy, jak walę w ściankę skrzyni.

Najwyraźniej ktoś usłyszał. Pokrywa zostaje podważona, ktoś świeci mi po oczach latarką. Nie widzę nic poza strumieniem światła. Mogę jedynie krzyczeć o pomoc i próbować się podnieść...

I wtedy słyszę, jak jakiś męski głos mówi:

– Ucisz ją i dopilnuj, żeby była nieprzytomna, kiedy dotrzemy na miejsce.

– To wysoka dawka – mówi drugi głos. Nie rozpoznaję żadnego z nich. – Istnieje ryzyko, że stanie jej serce albo przestanie oddychać. Jeśli ją zabijemy...

– Cholera. W porządku. Daj jej tyle, ile potrzeba. Podamy jej więcej, jak tylko wylądujemy.

Nie, nie, nie... Serce zaczyna walić mi w piersi i czuję przypływ adrenaliny. Wbijam ramiona w pełne drzazg drewno i podźwigam się nieznacznie, rozpaczliwie próbując wydostać się ze skrzyni...

Wiązka paralizatora przesywa mnie niczym błyskawica. Upadam.

Prawie nie czuję ukłucia igły.

Nim skrzynia zostaje ponownie zamknięta, ogarnia mnie ciemność, a ostatnie wspomnienia, jakich się chwytam, jedyne, jakie się liczą, to twarze.

Mojej córki. Mojego syna.

Nawet jeśli będą to ostatnie rzeczy jakie kiedykolwiek zobaczę, to mi wystarczy.

Rozdział dwudziesty trzeci

Lanny

Wokół panuje ciemność. Przez sekundę po obudzeniu wydaje mi się, że znowu jestem w tamtej małej, ciasnej celi ukrytej w piwnicy górskiej chaty oficera Grahama. Wyciągam rękę po brata.

Connora tu nie ma.

Głowa pulsuje mi z bólu tak okropnego, że aż skręca mi żołądek. Nie pamiętam, co się stało. Pamiętam Brady'ego walczącego z obcym mężczyzną, to, jak podbiegłam do nich, żeby go ratować, a potem...

A potem co? Nie mogę sobie przypomnieć. Myśli ulatują mi z głowy. W końcu przypominam sobie, że napastnik potraktował mnie paralizatorem. A potem uderzył mnie, bo ciągle próbowałam się podnieść.

Brady! Czy nic mu nie jest? Nie mogę go tak nazywać. Ma na imię Connor. Czy nazwałam go Bradym, gdy do niego krzyczałam? Chyba tak.

Był tam ktoś jeszcze...

Kezia. Nagle wszystko do mnie wraca. Samochód zatrzymujący się z szarpnięciem, ja otwierająca drzwi i biegnąca w stronę brata.

Kezia... Kezia trzymała wyciągniętą broń.

Wbiegłam na jej linię strzału. Mama mnie zabije. Stale mnie uczyła, żebym nigdy nie popełniła tak głupiego błędu. W nagłym przyplywie emocji uświadamiam sobie, że chcę do mamy. Chcę, żeby mnie objęła i powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Właśnie dociera do mnie, że jestem uwięziona w wielkiej, metalowej puszcze, która podskakuje i kołysze się na wszystkie strony. Słyszę ryk silnika i szum mijanych pojazdów, a moja głowa uderza boleśnie o metal. Próbuję wsunąć pod nią dłoń, żeby zamortyzować trochę siłę uderzeń, ale to też boli, bo czaszka zgniata mi kłykcie. Boję się, że się zorientuje – kimkolwiek jest – że już nie śpię, więc rozchyłam jedynie nieco powieki, na tyle, by dostrzec niewyraźny, rozmazany zarys tego, gdzie jestem.

Leżę na podłodze z tyłu vana. Jest przykryta dywanem i starym, wełnianym kocem. Z boku widać przytwierdzone do ściany łańcuchy. Za każdym razem, gdy trafia na wybój – a jest ich cała masa – łańcuchy podskakują i opadają ze szcękaniem.

Nie jestem przykuta. Sprawdzam to, poruszając rękoma i nogami. Może nie starczyło mu czasu. Może bał się, że zostanie złapany.

Jestem tutaj. Connor nie. To znaczy, że się uwolnił. Jest bezpieczny. Jestem przerażona, śmiertelnie przerażona – ale cholernie dumna z faktu, że o niego walczyłam. Jeśli cokolwiek mi się stanie, przynajmniej nie zawiodłam Connora. Już nikt mi tego nie odbierze.

Słyszę, że mężczyzna za kółkiem coś mamrocze. Rozmawia z kimś przez telefon.

– Powtarzam ci, nic nie poszło tak, jak mówiłeś! Tak, ten cholerny pies zaczął stwarzać problemy! A potem dzieciak wcale nie chciał ze mną iść, nie tak jak ci się wydawało. Do tego ta dziewczyna z policjantką... ja się na to nie pisałem. Ja tylko zajmuję się transportem. To wszystko. Nie polecę za coś takiego... Nie! Możesz

sobie w dupę wsadzić ten swój pieprzony bonus!

Wjeżdżamy na wzgórze po wyboistej drodze. To chyba górski szlak. Coś w tym stylu. Nie możemy znajdować się zbyt daleko od Norton, ale rozciągają się tu setki kilometrów lasów, więc jeśli udało mu się wyjechać ze Stillhouse Lake, zanim policja zdążyła ustawić na drodze blokady...

Rozmawia przez telefon. To musi coś znaczyć. Mój ospały, obolały mózg w końcu przypomina sobie o czymś ważnym: ja też mam telefon. Powoli przesuwam lewą dłoń w dół, aż do kieszeni kurtki.

Mój telefon przepadł.

Sprawdzam prawą kieszeń, na wypadek gdybym zapomniała, że go tam wsadziłam. Nie ma go. Porywacz musiał się go pozbyć. To pierwsza zasada w podręczniku porywacza. Naczytałam się dużo o tych rzeczach, na wypadek gdyby tata kiedykolwiek po nas przyszedł. Najpierw pozbywają się telefonów, żebyśmy nie zostali namierzeni. Potem...

Nie chcę myśleć, co jest *potem*.

Z kim on rozmawia? Gdy to pytanie pojawia się w mojej głowie, uświadamiam sobie, że jest bardzo istotne. Rzeczy, których mogę się teraz dowiedzieć, są potencjalnie bezcenne. Ten facet nie jest moim upiornym ojcem, tylko... jakimś przypadkowym oprychem. Silnym i szybkim, ale w dalszym ciągu oprychem. Mama by go przechytrzyła. Tata odrąbałby mu głowę, nawet się nie zatrzymując. Jestem dzieckiem dwójki budzących grozę ludzi i muszę o tym pamiętać. To ja mam władzę.

Muszę tylko wpaść na pomysł, jak jej użyć.

„Jesteś dzieckiem”, odzywa się kpiący głosik z tyłu mojej głowy. „Nie masz żadnej władzy. Umrzesz”. Ten głos. Ten sam, który mówił mi, że nie zdam kolejnego testu, że nie jestem wystarczająco ładna, że nigdy nie będę szczęśliwa i powinnam sobie odpuścić. Czasami go słuchałam. Raz usiadłam w wannie z buteleczką

tabletek, odliczając je i myśląc, że *lepiej by było, gdybym...* Wiem jednak, że to nieprawda. Moje życie jest coś warte. Tamtego dnia w łazience wyciszyłam ów głos i teraz też to robię.

Mam zamiar *przeżyć*.

– Słuchaj, nie robię tego dla twojej pieprzonej zemsty. *Jesteś mi coś winien* i lepiej zrób coś, żeby policja przestała mi siedzieć na ogonie, bo jak mnie dorwą, wyśpiewam każdy szczegół, a to wystarczy, żeby... – Urywa na sekundę. Czuję, jak van zwalnia, jakby kierowca zdjął nieco nogę z gazu. – Nie, nie, nie... Jezu Chryste, ja wcale jej nie chcę. Niby co, do cholery, miałbym z nią zrobić? Nie jestem jednym z tych świrów.

Staram się zapamiętać wszystko, co mówi. Byłoby dobrze, gdyby powiedział czyjeś nazwisko. Jakikolwiek nazwisko.

I wtedy to robi. Tak jakby.

– Nie ma mowy. Za cholerę nie podejmę ryzyka zawiezienia jej aż do Atlanty, więc wyląduje w dole. Mam w dupie, czego chce tamten pokręcony staruch.

Po tych słowach się rozłącza. Słyszę, jak rzuca telefon na siedzenie obok. Od przedniej części vana oddziela mnie gruby, metalowy parawan, więc nie ma opcji, żebym się przez niego przechyliła i go zabrała. Będę musiała się stąd wydostać i uciec.

Van w dalszym ciągu podjeżdża pod górkę. Zaczynam ześlizgiwać się do tyłu, mając nadzieję, że to wygląda tak, jakby przesuwają mnie wyłącznie wibracje podłoża i pęd pojazdu. Głowę mam opuszczoną i odwróconą na bok, na wypadek gdyby spojrział we wsteczne lusterko. Mamrocze coś pod nosem, ale udaje mi się wyłapać zaledwie jedno słowo na dziesięć... *głupi... więzienie... Atlanta*. Nie miał na myśli mojego pełnego imienia i nazwiska – Atlanta Proctor. Chodziło mu o miasto.

Podeszwy moich butów natrafiają na coś solidnego. Opieram się o tylne drzwi. Pozwalam, aby kołysanie vana przysunęło mnie do

nich na tyle, żebym mogła dobrze się im przyjrzeć. Po wewnętrznej stronie znajduje się prosta zasuwka otwierająca drzwi. Czy to możliwe, że jest otwarta? A może użył jakiegoś zamykającego, przenośnego urządzenia z czujnikiem? Jak tylko zobaczy, że po nią sięgam, zorientuje się, że odzyskałam przytomność. Nie mam pojęcia, co wtedy zrobi. Nie strzelił do mnie i nie dźgnął niczym na oczach Kezii, ale jej już tu nie ma.

Nie mogę czekać, aż sytuacja się pogorszy. Jeśli drzwi są zamknięte, to nadal będę w pułapce, gdy van w końcu się zatrzyma.

Zrywam się na nogi, chwytam za zasuwę i szarpię z całych sił.

Drzwi nie są zamknięte – słyszę, jak się przesuwają – ale się zacięły.

– Hej! – krzyczy porywacz, a ja wiem, że skończył mi się czas. Przewracam się na plecy, przyciągam nogi do piersi i robię wykop. Jeden. Drugi.

Drzwi otwierają się z hukiem.

Van się zatrzymuje, a ja rzucam się do przodu i ląduję w błotnistych koleinach. Nie waham się ani sekundy.

Zaczynam biec.

Stary mężczyzna wyskakuje z samochodu i próbuje mnie złapać, ale zostawiam go daleko w tyle. Biegnę tak jak mama, jakby sama śmierć próbowała mnie pochwycić, nie oglądam się przez ramię, dopóki nie docieram do zakrętu. Dopiero wtedy mogę zaryzykować szybkie zerknięcie.

Wrócił za kierownicę i zakręca.

Stoję na szerokim, pochyłym zboczku. Nie widzę niczego prócz drzew i brudnej wstęgi drogi, ale to teraz bez znaczenia. Jeśli tu zostanę, van zaraz mnie dogoni. Muszę zejść z drogi. Cała drzę, skóra po kontakcie z paralizatorem pali mnie jak po ukąszeniach mrówek albo poparzeniu słonecznym, i mam problemy z myśleniem, ale *muszę spróbować*, bo nikt nie wie, gdzie jestem.

A jestem kompletnie sama. Chce mi się wyć. Marzę o tym, aby uciec i znaleźć mamę...

Mama. Straciłam tyle energii, wściekając się na nią, ale to pierwsza osoba, która przychodzi mi na myśl. Jedyna. Już samo wyobrażenie, że stoi tuż obok mnie, sprawia, że robię się o wiele spokojniejsza. „Musisz uciekać, skarbie”, mówi jej głos. „Jak najdalej od drogi. Natychmiast”.

Biorę głęboki wdech i przeskakuję ponad zimnymi, zaschniętymi koleinami prosto w oszronioną trawę. Biegnę, potykając się, gdy zahaczam stopą o powykrzywiane, uschnięte łodygi. Słyszę zjeżdżającego w dół vana, ale nie zwalням tempa. *Nie mogę.* Pędzę tak szybko, jakby od tego zależało moje życie, co w sumie jest prawdą, i nagle wpadam w zimny, mroczny cień rzucany przez drzewa.

Zapuszczam się na tyle daleko w las, by zapewnić sobie osłonę, po czym kucam na ziemi. Nadal się trzęsę. Nie jestem pewna, czy mogę biec bezpiecznie przez ten las. Przez korony skutych mrozem sosen nie wpada zbyt wiele światła. Nie mogę pozwolić sobie na upadek, rozbitcie głowy ani złamanie nogi. Muszę zachować ostrożność. Żałuję, że nie mam przy sobie latarki czy choćby bladego światła rzucanego przez ekran telefonu. Nie mam absolutnie żadnego źródła światła. Zaczyna mi odbijać. Dreszcze przechodzą w prawdziwe drgawki. Jest mi zimno pomimo grubej, puchowej kurtki. *Mojej czerwonej kurtki. Dlaczego założyłam tę idiotyczną czerwoną kurtkę?* Nie mogę jej zdjąć, bo zamarznę.

„Mamo, pomóż mi”.

Tym razem nie słyszę jej głosu, ale znów ogarnia mnie to kojące poczucie bycia bezpieczną. Mama nigdy nie panikuje. Ona planuje. Znajduje broń i przygotowuje się, a kiedy dochodzi do walki, *walczy.* Muszę zachowywać się teraz jak *ona.*

Zagłębam się w ciemność, idąc powoli. Na swojej drodze znajduję

całkiem sporą odłamaną gałąź o masie i grubości kija baseballowego. Na dodatek koniec gałęzi jest najeżony ostrymi drzazgami. Chwytam ją mocno w dłonie i idę dalej. Nie potrafię określić stron świata. Jest zbyt pochmurnie. Zaczynam szukać mchu – w końcu zawsze rośnie po północnej stronie drzew, prawda? – a kiedy wreszcie jakiś znajduję, zaczynam iść w kierunku, który najprawdopodobniej zaprowadzi mnie do Norton. Muszę tylko dotrzeć do autostrady i zatrzymać pierwszą lepszą osobę.

Van jedzie dalej. Słyszę, jak przesuwa się po drodze. Klekocze i skrzypi, a hamulce piszczą na zakręcie.

Zatrzymuję się, gdy dociera do mnie, że robię dokładnie to, czego się spodziewa. Dla własnego bezpieczeństwa kieruję się do Norton. Schodzę po wzgórzu.

Jednak z tego, co zdążyłam zauważyć, nasze drogi przetną się, gdy wyjedzie z zakrętu. Będzie w stanie mnie znaleźć. Tutaj zasłona drzew jest gęsta, ale im dalej w dół, tym bardziej się ona przerzedza. Moja czerwona kurtka będzie się odznaczać na tle krajobrazu niczym pochodnia.

Muszę wspiąć się wyżej. Porywacz miał mnie dokądś zabrać. Może nawet do miejsca, w którym mieszka. A jeśli to jakaś chata czy coś w tym stylu, może w niej być telefon, komputer, a nawet krótkofalówka.

Nie chcę tego robić. Robi mi się niedobrze, gdy odwracam się od czegoś, co może mi zapewnić bezpieczeństwo, w zimne, mroczne nieznanne. Wiem jednak, że nie będzie się tego spodziewał.

Zapuszczam się daleko między drzewa, cały czas mając na oku drogę. Van nie wrócił. Pewnie szuka mnie u stóp wzgórza. Powoli zaczynam czuć się lepiej. Dreszcze ustępują. Choć ciągle jestem przerażona, to przynajmniej mam ze sobą kij i już nie potykam się o własne nogi.

Jeśli coś się stanie, zacznę uciekać. Jestem szybka. Dam radę.

Dostrzegam w oddali błysk metalu. To chyba ogrodzenie. Serce zamiera mi na sekundę, po czym bije mocniej, bo ogrodzenie oznacza, że coś się za nim znajduje. Miałam rację. Tu faktycznie coś *jest*.

Kolejny raz sprawdzam drogę. W oddali co jakiś czas ukazuje się błysk szkła, który, jak mi się wydaje, pochodzi od vana. Zjechał prawie na sam dół. Muszę zaryzykować. Jeśli uda mi się dotrzeć do drogi, będę mogła szybciej się przemieszczać.

Wychodzę z ukrycia. Biegnę tak szybko, że zaraz ścięgną mi pękną, ale moje ciało zna tego rodzaju wysiłek, zostało dobrze wytrenowane, więc po chwili przechodzi płynnie w ruch typowy dla biegu długodystansowego, a ja z łatwością pokonuję odległość. Wzniesienie pnie się ostro w górę. Płuca zaczynają mnie palić w połowie drogi, ale wychodzę zza szerokiego, wznoszącego się zakrętu i widzę, że droga rozwidła się w coś na kształt zatoczki do zawracania.

Koniec trasy.

Stoi tu grube ogrodzenie z zespawanych ze sobą kawałków złomu, przerdzewiałego w paru miejscach tak bardzo, że stało się cienkie jak papier. Wiszą na nim wiekowe tablice z napisami NIE WCHODZIĆ i WSTĘP WZBRONIONY. Jedna z nich trzyma się na wątlej śrubce, która wygląda, jakby miała zaraz wypaść. Nie zauważam niczego po drugiej stronie płotu. Przechodzę ponad nim i nasłuchuję szczekania psów. Psy od razu zdradziłyby moje położenie, a gdyby zaatakowały, to nie mam pewności, czy byłabym w stanie je prześcignąć. Idę pochylona i trzymam się skraju drzew, które za ogrodzeniem nadal są gęste i zbite, i biegnę wzdłuż ledwie widocznych kolein na drodze prowadzącej aż do płotu. Nie bardzo wiem, czy powinnam tak robić, ale jedno wiem na pewno: zgubienie się w tych lasach, i przy tej pogodzie, oznacza pewną śmierć. Gdy zacznie padać śnieg, zwyczajnie zamarznę.

Zauważam chatę tylko dzięki błyskowi rozbitego szkła w oddali. To zapadająca się, na wpół zniszczona rudera z powybijanymi oknami i wyrwanymi drzwiami. Nikt tu nie mieszka. Od lat nikogo tu nie było. Zwalniam i przyglądam się jej bacznie, bo mam absolutną pewność, że jeśli kiedykolwiek istniało jakieś nawiedzone miejsce, jest nim właśnie *ta chata*. Otacza ją ponura aura, coś w rodzaju upiornej siły. *W tym miejscu umierali ludzie. Wciąż słychać ich krzyki.*

„Daj spokój”, myślę sobie. „Jeśli w środku nie ma telefonu, nadal możesz zejść ze wzgórza. Ale musisz najpierw sprawdzić”.

Przechodzę przez zachwaszczoną ziemię, która kiedyś była ogródkiem. Jest tu zakryta, okrągła dziura, która prawdopodobnie służyła dawniej za studnię lub szambo. Bok domu porastają splątane krzaki róż usiane kolcami wielkości zwierzęcych pazurów. Nie ma żadnych kwiatów.

Drzwi są otwarte, więc wchodzę do środka. Serce mi wali i jestem *pewna*, że ktoś tu jest i na mnie czeka. Tak bardzo chcę stąd uciec, że aż nogi mi drżą. Zanurzam się w mrok i ledwie powstrzymuję się od krzyku, gdy dostrzegam błysk czegoś, co wygląda jak czyjeś oczy w kącie pomieszczenia.

Ale to nie oczy. To kamera wideo. Nowy sprzęt, a nie grat z epoki magnetowidów z lat osiemdziesiątych, z których ta chata niemal żywcem została wyjęta. Są też włączniki światła, podłączone do małego agregatu prądotwórczego. *Co to, do diabła, jest?* Strach w tym miejscu jest tak silny, że prawie czuję jego posmak na języku. Wszystko, dosłownie wszystko każe mi uciekać, wydostać się stąd i nigdy nie wracać.

Zatrzymuję się jak wryta, gdy moim oczom ukazuje się różowe łóżko z baldachimem stojące po drugiej stronie pokoju. Wygląda na nowe. Jest starannie pościelone, z różową, falbaniastą narzutą i pluszowymi, białymi poduszkami. Jest odrażające, okropne

i nawet się do niego nie zbliżam. Nie mogłabym, nawet gdybym chciała. Cofam się w kierunku kamery i świateł i znajduję zamknięty laptop leżący na wierzchu wypaczonej skrzynki na jabłka. Otwieram go, a system uruchamia się bez proszenia o hasło. Jest połączenie z internetem dzięki przenośnemu, radiowemu modemowi USB.

Znajduję komunikator i dziękuję w duchu mamie za to, że kazała mi zapamiętać numery telefonów. Szybko wpisuję numer Kezii, Javiera, Connora, każdy, który tylko przychodzi mi na myśl, i proszę ich, by namierzyli sygnał radiowy tego połączenia. Nie umiem im powiedzieć, gdzie jestem, ale jeśli komputer wysłał sygnał, to powinno zadziałać. Adres IP łatwo podrobić. Sygnał radiowy musi zostać przekierowany do wieży. Trudniej go sfalszować.

Sprawdzam inne programy i znajduję FaceTime. Włączam go szybko i dzwonię pod numer Kezii. Akceptuje połączenie w ułamku sekundy i po chwili z niewyraźnej plamy poruszających się pikseli na ekranie pojawia się jej twarz.

– Lanny? Jezu Chryste, gdzie jesteś?

Ni z tego, ni z owego wybucham płaczem. Jej widok sprawił, że wszystko staje się realne, i już nie jestem w stanie się kontrolować. Chcę, żeby ktoś po mnie przyszedł. *Teraz*. Próbuję coś powiedzieć. Przez kilka sekund nie jestem w stanie niczego wykrztusić.

– Nic mi nie jest, ale przyjdźcie po mnie! *Proszę!* – udaje mi się w końcu powiedzieć.

– Zrobimy to, obiecuję. Powiesz mi, gdzie jesteś?

– Dość wysoko – mówię, ocierając łzy, których gorące strumienie płyną nieprzerwanie po moich policzkach. Głos mi się załamuje. Słysząc w nim przerażenie. – Nie widziałam drogi. Jestem w jakiejś starej chacie. Nie wiem, do czego służy, ale... – Podnoszę laptop i obracam nim, żeby pokazać im pokój, światła, kamerę

i łóżko.

Gdy znów odwracam go w swoją stronę, Kezia wygląda na wstrząśniętą. Po raz pierwszy, odkąd ją znam, widzę na jej twarzy autentyczny strach. Próbuje coś powiedzieć i nie jest w stanie. Przęłyka ślinę i próbuje ponownie.

– W porządku. Zaraz ci powiem, co musisz zrobić. Nie rozłączaj się. Namierzymy twój sygnał.

– To sygnał radiowy. Wydaje mi się, że na szczyt prowadzi tylko jedna droga. Jesteśmy gdzieś na zachód od Norton. Droga przypomina wielkie, zakrzywione „S”, pnące się w górę.

– Świetnie – mówi, uśmiechając się nieznacznie. – To świetnie. Znajdziemy cię. Czy możesz w jakiś sposób zamknąć drzwi chaty?

Przęłykam głośno ślinę. Z nosa mi cieknie, więc wycieram go brzegiem koszulki. Oczy mam spuchnięte i obolałe. Mam ochotę zwinąć się w kulkę w kącie, ale wstaję i podchodzę do drzwi razem z laptopem.

– Nie mają zamka.

– Możesz je czymś podeprzeć?

Odkładam laptop na podłogę i się rozglądam. Próbuję przyciągnąć łóżko, ale jest wielkie i ciężkie. Udaje mi się je odsunąć zaledwie na kilkanaście centymetrów. Wracam przed komputer i widzę, że rozmawia z detektywem Presterem. I z kimś jeszcze.

To Connor.

Mój brat ma zabandażowaną głowę. Na jego podbródku widzę zaschniętą krew. Gdy tylko pojawia się na ekranie, pierwszą rzeczą, którą mówi, jest:

– Lanny? Nic ci nie jest?

– Nie. – Dociera do mnie, że szepczę. – Jestem cała. Ja tylko... – Przęłykam ślinę. – Boję się, że on wróci. – Nagle do głowy przychodzi mi straszna myśl, więc wstaję i rozglądam się dokoła. Tym razem dokładnie. Nie ma tu żadnych schowków. Żadnych

ukrytych miejsc, w których mógłby schować się mój ojciec. – Czy tata powiedział ci, że spotka się z tobą *tutaj*?

– Nie – mówi Connor. Wygląda wyjątkowo żałośnie. – Miał się ze mną spotkać w naszym starym domu. Nie chciałem, żeby tak się stało, przysięgam, ja tylko... – Zaczyna płakać, jakby serce mu pękło. – Powiedział, że mnie kocha.

Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak to jest, ani jak ważne to dla niego było. Chcę jedynie objąć go ramionami i tulić do siebie, aż przestanie czuć się tak koszmarne. Aż znów będzie moim wkurzającym, młodszym bratem.

To on bez przerwy cierpiał w milczeniu, a ja nie miałam o tym zielonego pojęcia.

– Wracaj, proszę – mówi Connor, przełykając łzy. – Proszę. Musisz wrócić.

Odsuwa się od kamery. Kezia pochyla się nad monitorem. Widzę, jak przez sekundę przygląda mi się z troską, po czym znów skupia na mnie całą swoją uwagę.

– Skarbie, musisz znaleźć sobie kryjówkę. Jeśli w środku żadnej nie ma, to opuść chatę. Namierzamy sygnał i wyślemy na miejsce policję najszybciej, jak się da. Zostanę tu i przez cały czas będę przy tobie. Weź ze sobą laptop i nie wyłączaj go.

Laptop musi być otwarty, a to trochę niewygodne, ale opuszczenie chaty odczuwam jako ogromną ulgę. Trwa ona zaledwie parę sekund, bo po chwili zaczynam się zastanawiać, gdzie jest van. Czy tu wróci? Przez zasłone drzew niczego nie widać. Nie słyszę żadnych dźwięków.

A jeśli porywacz wróci na piechotę? Musiałam zostawić kij na miejscu.

– Nie ma tu żadnego miejsca na kryjówkę – informuję Kezię przybitym głosem. – Tylko chata i drzewa. – Obracam dokoła kamerą w laptopie.

– Zatrzymaj – mówi Kezia. – Co to takiego?

Zerkam w stronę tego, co ominęłam.

– To chyba jakaś studnia. Mam ją otworzyć?

– Sprawdź, czy to nie jest przypadkiem piwnica. Ale nie schodź na dół. Tylko zajrzyj.

Wyciągam rękę i łapię za metalową pokrywę, po czym odsuwam ją na bok. Nie widać zbyt wiele. Z boku stoi rozklekotana, metalowa drabina, ale nie jestem w stanie określić, czy na dole znajduje się jakieś pomieszczenie.

Zwiększam jasność ekranu do maksimum, minimalizuję okno Skype'a i otwieram pustą, białą kartę. Potem przechylam laptop niezgrabnie ponad krawędzią i świecę po dnie.

Dziura nie jest tak głęboka, jak mi się zdawało. Jeśli była kiedyś studnią, woda wypełniała ją do połowy wysokości. Jakieś cztery i pół metra dalej drabina kończy się betonową podłogą.

Na dole leży sterta białych patyków. Całe mnóstwo patyków. Nie wiem, co to jest, dopóki nie zauważam bladego, zaokrąglonego kształtu czegoś, co wygląda jak...

...jak czaszka.

Patrzę na kości.

Prawie upuszczam laptop. Słyszę w uszach wysoki, piskliwy syk, cofam się chwiejnym krokiem i szybko siadam na ziemi. Laptop upada obok mnie, ale pokrywa się nie zamyka. Wszystko jest niewyraźne i dziwne, a ja mam wrażenie, że unoszę się nad ziemią.

„Zaraz zemdleję”, myślę. Co za idiotyzm. Niby czemu miałabym zemdleć? Serce nie bije mi jak oszalałe, tylko ledwie łopocze w piersi. Mam mdłości. Zimny pot wystąpił mi na karku, twarzy, szyi, pod piersiami i pachami. Cuchnie.

Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Lanny!

Mrugam powiekami. Kezia od dłuższego czasu wykrzykiwała

moje imię. Odwracam się w stronę laptopa. Przechylam go tak, by w kamerze było widać moją twarz, i klikam na okno Skype'a. Kezia przesłoniła sobą praktycznie cały ekran.

– Tu są martwi ludzie – mówię. – W studni. Nie żyją.

Widzę, jak nerwowo przełyka ślinę. Znowu chce mi się płakać. Wszystko wygląda jak z koszmaru. Nie wiem, czy zostały mi jakieś łyzy. Nie czuję nic prócz zimna.

– Jedziecie po mnie? Proszę, przyjedźcie. Błagam.

– Jedziemy – zapewnia mnie Kezia. Ma łyzy z oczach. Widzę, jak spływają po jej policzkach. – Oddychaj, skarbie. My... – Robi pauzę, aby wsłuchać się w słowa wykrzykiwane przez kogoś w tle. Bierze głęboki, uspokajający oddech. – W porządku, udało się nam namierzyć twój sygnał. Jedziemy do ciebie, Lanny. W tej chwili. Wyślę Connora z detektywem Presterem, a ja zostanę z tobą na linii. Nigdzie się stąd nie ruszę. Nie zostawię cię samej.

– Nic mi nie jest. – Moja odpowiedź jest automatyczna. Jest zupełnie odwrotnie. Cieszę się, że nie zakończyła połączenia. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nikt teraz na mnie nie patrzył. Pewnie zaczęłabym krzyczeć. Albo... rozpląnęłabym się w powietrzu. To miejsce sprawia wrażenie, że ludzie po prostu w nim... znikają.

Kezia powtarza, że jestem bezpieczna, ale wcale się tak nie czuję.

Siedzę i gapię się w otwarty dół do chwili, w której słyszę wycie zbliżających się policyjnych syren. Przez cały ten czas wydawało mi się, że wiem, czym jest zło. Mama wiedziała. Ja tylko udawałam. Teraz już wiem, że to ten pokój w chacie. Sterta kości. Zło czai się w cichym miejscu, pogrążone w ciemności.

– Widzisz radiowozy? – pyta Kezia. – Wjeżdżają pod górę. Policja już po ciebie jedzie. Nie przejmuj się tamtym mężczyzną w vanie. Złapali go na dole przy głównej drodze. Został ujęty. Nie robi ci krzywdy.

Kiwam głową. Odwracam wzrok od studni. Patrząc na nią i mówię:

– On chciał przyprowadzić tu Connora. Prawda?

Nie odpowiada.

Cieszę się, że tego nie robi.

Rozdział dwudziesty czwarty

Sam

Mike Lustig i ja siedzimy w kawiarni, w której został mi zwrócony laptop. Gdy na niebie wschodzi ołowiane słońce, do środka wchodzi paru klientów. Gęsta pokrywa chmur zaczyna się przersedzać. Do południa lód stopnieje, ale podróżowanie nadal będzie utrudnione. Za godzinę zaczynają startować samoloty z lotniska, które jest teraz zapchane masą unieruchomionych pasażerów.

Gwen zniknęła. Nie możemy jej namierzyć. Straciliśmy na to wszelkie szanse w momencie, w którym van zniknął za wzgórzem i rozpląnął się w powietrzu. Nie mam żadnego sposobu na rozładowanie smutku i wściekłości, prócz duszenia ich w sobie. Rozsadza mnie od środka, ale na razie *muszę* wytrzymać.

Musimy znaleźć sposób na dotarcie do Melvina Royała, którego oni nie będą w stanie przewidzieć.

Mike i ja ignorujemy oznaki powolnego przebudzenia się do życia zewnętrznego świata, siedząc w kącie i oglądając wideo, próbując znaleźć coś, *cokolwiek*, co mogliśmy przeoczyć. Tablet ma dwa wejścia do słuchawek, a Mike ma swoją parę. Gdy pierwszy raz

docieramy do końca nagrania, Mike kiwa głową i zatacza kółko dłonią. *Jeszcze raz*. Włączam film od początku. Oglądamy go raz po raz, tak że kompletnie straciłem rachubę krzyków, błagalnych próśb, pytań i odpowiedzi. Nie dostrzegam niczego, czego bym już nie widział.

I wtedy to zauważam.

To raczej przebłysk wspomnienia, niż coś związanego z nagraniem, przywołanego widokiem brudnego osiemnastokółowca przejeżdżającego za oknem kawiarni. Począwszy od tego przypadkowego widoku, zmienia się cała moja perspektywa, i w końcu to do mnie *dociera*. Znam powód, dla którego to wszystko się dzieje. Dlaczego czułem ten ciężar niemal od samego początku.

Chciałbym móc powiedzieć, że czuję ulgę. Tak jednak nie jest. Przerazenie sprawia, że wnętrzości skręcają mi się w supeł. *To nie może się dziać naprawdę. To niemożliwe.*

Mike dostrzega to we mnie, gdy zdejmuję słuchawki, i zatrzymuje obraz w połowie wrzasku.

– Co jest? Co się stało?

– Pomyliliśmy się. Nie. Nie, to *ja* od początku byłem w błędzie. – Głos mam ochryply i zniekształcony. *To moja wina*. Ten fakt rozpościera się przede mną niczym czarny kanion bez dna. – Chryste, to wszystko przeze mnie, Mike. To...

– Stary, skup się. Co przeoczyłem?

– Niczego nie przeoczyłeś – mówię. – Chodź. Musimy jechać. *Natychmiast*.

Stoję już obok stolika. Mike bierze tablet i wpycha słuchawki do kieszeni.

– Dokąd jedziemy?

– Na lotnisko.

– *Lotnisko?* Stary, tylko mi nie mów, że połknąłeś ich przynętę i jedziesz do Kansas. Jesteś na to za bystry...

Chodnik został posypany solą kamienną, która chrzęści pod podeszwami moich butów, gdy idziemy w stronę jeepa. Powietrze jest ciężkie, mam wrażenie, jakbym nawdychał się lodowych kryształków, ale przez zwały chmur przebija się intensywny, słoneczny blask. Lód niedługo się stopi. Myślę o tym dlatego, że próbuję ustalić logistykę całej operacji. To lepsze niż poczucie winy, bo gdy raz wpadnę w tę przepaść, już nigdy nie wydostanę się z niej żywy.

– Pozwól, że zadam ci pytanie. Jaką nazwę miał z boku tamten osiemnastokołowiec, którego widzieliśmy wczoraj na drodze dojazdowej?

Mike zatrzymuje się, patrząc na mnie ponad dachem jeepa.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Zeszłej nocy jechaliśmy za białym vanem. Znajdował się jakieś osiemset metrów przed nami, gdy doszło do wypadku z udziałem pick-upa, pamiętasz? Gdy przejechaliśmy przez wzgórze, zobaczyliśmy czerwonego sedana, innego czarnego jeepa, który jechał za szybko, i policyjnego SUV-a z włączonymi reflektorami. Oraz osiemnastokołowca.

Marszczy brwi, a ja jestem pewien, że uważa, iż całkiem postradałem zmysły. Może to prawda. Może popadnięcie w obłęd to jedyny sposób, aby to wszystko pojąć.

– No i co z tym osiemnastokołowcem?

– Rivard Luxe – wyjaśniam. – Ciężarówka na tamtej drodze miała z boku logo Rivard Luxe. Mike, jest wystarczająco duża, aby pomieścić w środku vana.

Widzę to, gdy mrugam powiekami: wymyślne, połączane litery na brudnym boku ciężarówki, wiszące przede mną jak obraz na telebimie. Najżywsze wspomnienie, jakie kiedykolwiek miałem. Zauważyłem to, ale nie *zwróciłem uwagi*. Byłem za bardzo skupiony na Gwen i vanie, żeby dostrzec to, co miałem tuż pod

nosem.

Mike nadal niczego nie kapuje. Otwieram drzwi po stronie kierowcy i wsiadam. Mike zajmuje drugi fotel i mówi:

– Nawet jeśli masz rację, to co, do diabła, ma wspólnego ta ciężarówka z nagraniem, które właśnie obejrzelismy?

– Kiedy rozmawialiśmy o nagraniu za pierwszym razem, spytałem, czy kojarzysz nazwisko Rivard. Powiedziałaś wtedy, że Ballantine Rivard jest sławny. Od tamtej pory założenia, które przyjmowaliśmy, były błędne. Oglądając wideo, znów popełniliśmy ten sam błąd.

– Jezu – mówi Mike, przeciągając słowo, które brzmi tak nabożnie, że prawie przypomina modlitwę. – Tamten prywatny detektyw nie został zatrudniony przez Ballantine’a Rivarda. Facet na nagraniu powiedział tylko *Rivard*.

– Dokładnie – mówię, odpalając jeepa. – W ogóle nie został zatrudniony przez starego Rivarda. Zatrudnił go jego syn. Ten, który nie żyje.

– A to nie jest przypadek – dodaje Mike. Teraz już rozumie. Wszystko. – *Ja pierdolę*.

Obaj znamy już prawdę. Problem w tym... jak możemy to wykorzystać?

Istnieje powód, dla którego obecność Mike’a u boku jest mi potrzebna. Bycie agentem federalnym FBI wiąże się ze znacznymi przywilejami.

Mike przeprowadza prywatną rozmowę na zapleczu z kierownikiem linii lotniczych, który w magiczny sposób przekazuje nam dwa bilety pomimo natłoku pasażerów. Dzięki jego odznace błyskawicznie przechodzimy przez kontrolę osobistą

i zajmujemy miejsca w klasie biznesowej na pokładzie samolotu lecącego do Atlanty.

Przypominają mi się aksamitne fotele w odrzutowcu Rivarda, którym poleciliśmy do i z Wichity, i jestem wściekły, że dałem się na to nabrać. Przez cały czas analizuję sytuację. Teraz już wszystko rozumiem, każdy kolejny krok. Ballantine Rivard przeszedł sam siebie, żeby nas zwieść, wyprowadzić w pole, grozić Gwen, zasiać wątpliwości i strach, które miały nas poróżnić.

Założyłbym się o grube pieniądze, że syn Rivarda nie został zaszczuty na śmierć przez Absaloma. A przynajmniej nie w sposób, który opisał nam jego ojciec.

– Rivard nie będzie chciał z nami rozmawiać – stwierdza Mike. – Za cholerę nie dostanę nakazu opartego na przypuszczeniu i poszlacie bez żadnych dowodów.

– To zrozumiałe. – Głos mam zgorzkniały i wściekły, i tak się czuję, bo wyszedłem na skończonego durnia. Porzuciłem przekonanie o winie Gwen. Nie mam pojęcia, czemu w ogóle się ku niemu skłaniałem, nie licząc tego, że byłem już uwarunkowany, by w nią wierzyć. Była ze mną szczerą. To *ja* kłamałem. *Ja* pojawiłem się w jej życiu z zamiarem zniszczenia go.

A ponieważ już do tego doprowadziłem, muszę ją odnaleźć i pomóc poskładać je na nowo. To jedyny sposób, w który w ogóle mogę zacząć wynagradzać jej to, co zrobiłem.

– Jak się zapatrujesz na to, by pomóc mi bez użycia odznaki? – pytam Mike’a, a on wzdycha.

– Pewnie i tak niedługo przestanę ją nosić, gdy cała ta sprawa dobiegnie końca. FBI nie lubi, gdy agenci nie działają zgodnie z przepisami, a ja, bracie, robiłem to na potęgę. Zostanę jednak i ci pomogę. – Nie odzywa się przez chwilę, pewnie zajęty analizowaniem kolosalnego błędu, który nas tu zaprowadził, po czym pyta: – Myślisz, że Rivard stoi za śmiercią swojego syna?

– Musi. Ta wieża to jego forteca, a jeśli chcesz znać moje zdanie, to sklepy są niczym więcej jak zakrojoną na szeroką skalę operacją służącą do prania brudnych pieniędzy. Czarny rynek Absaloma to jego prawdziwy biznes. Nie zamierzał pozwolić, aby ktokolwiek zabił jego kurę znoszącą złote jaja. Jego syn albo za bardzo zbliżył się do prawdy, albo zaczęło go dręczyć sumienie, to tłumaczy jego „samobójstwo”.

Opieram całe mnóstwo przypuszczeń na ciężarówce i przecuciu, ale to wszystko wydaje się prawdą. Całość wreszcie zaczyna nabierać dla mnie sensu.

Wiedziałem, że coś mi nie pasuje w tym przebiegłym staruszk. Czuję to od samego początku – najpierw sposób, w jaki bez wysiłku oszukał nas, byśmy trafili do jego wieży jak po sznurku, a potem nakłonienie nas do spełnienia jego żądań w Wichicie. Pragnął wiarygodnego sposobu na odkrycie drugiego, sfałszowanego nagrania obwiniającego Gwen, a Suffolk prawdopodobnie zaczął sprawiać problemy. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

To wszystko sięga głębiej, niż sobie wyobrażałem. Melvin Royal, choć jest podłym mordercą, stanowi dla Absaloma kolejne narzędzie – spełniające własne, chore fantazje – a Rivard był gotów mu za to zapłacić. Jestem oszołomiony i przepełniony wstrętem z powodu skali całego tego koszmaru i okrucieństwa.

– Nie obchodzi mnie, co musimy zrobić – odpowiadam Mike’owi niskim, martwym głosem. – Rivard ma nam wyśpiewać, gdzie jest Gwen. Za wszelką cenę.

– Za wszelką cenę – powtarza Mike. – Ale najpierw musisz się przygotować, synku. Oszczędzaj tę zادیorność na odpowiednią chwilę.

Siedzę w pełnej zniecierpliwienia, nerwowej ciszy, w trakcie której samolot jest odladzany, czekamy na swoją kolej na pasie

startowym i w końcu wzbijamy się w niebo ku Atlancie.

Lądujemy o trzeciej. Powietrze jest rześkie, a pogoda ledwie zasługuje na miano jesieni, nie wspominając już o zimie, którą zostawiliśmy daleko w tyle. Wypożyczamy kolejnego SUV-a na kartę kredytową Mike'a, który dorzuca do tego koszt pełnej polisy ubezpieczeniowej.

– Chrzanić to – mówi. – Nie będę się przejmował nowym lakierem.

Dojeżdżamy do budynku Rivard Luxe i parkujemy w podziemnym garażu w części dla gości. Siedzimy przez chwilę w aucie, a Mike mówi:

– Masz choć cień pojęcia, co właściwie zamierzamy zrobić?

– Jasne. Po prostu staram się wymyślić lepszy pomysł, bo przy obecnej taktyce bardzo możliwe, że zapewnimy sobie sąsiednie cele w więzieniu. Mike... Mówię tu o przestępstwie federalnym.

– Kiepsko się przyłożyłeś do ułożenia tego planu. Cóż, powiedziałem już, że w to wchodzę, więc jedźmy z tym koksem. Nie podawaj żadnych szczegółów. Nie chcę nic wiedzieć.

Zdaję sobie sprawę, że odczuwa każde tyknięcie zegara, podobnie jak ja. Nie wiadomo, gdzie jest Gwen, a ja w głębi duszy nie mogę się powstrzymać, by nie wyobrazić sobie, co może się z nią teraz dziać. Muszę odciąć się od tych myśli. Jeśli tego nie zrobię, wpadnę w pośpiech, podejmę złe decyzje, a cały nasz wysiłek pójdzie na marne.

– W porządku. Chcę, żebyś poszedł na drugą stronę ulicy do sklepu całodobowego, który widzieliśmy na rogu. Kup czapkę z daszkiem, podkładkę do pisania, brązową teczkę, butelkę wody, okulary słoneczne i długopis. Jeśli będą mieli jakieś bluzy

z kapturem, weź dwie – jedną dla mnie, drugą dla siebie. A tak przy okazji, masz przy sobie rękawiczki, których używacie na miejscu zbrodni?

– Oczywiście – mówi, sięgając do kieszeni kurtki. Wyciąga parę i podaje mi ją. – Domyślam się, że chcesz, żebym zapewnił nam przebranie. Coś jeszcze?

– Zasypkę dla dzieci.

– W co my tu właściwie pogrywamy, hę?

– Zamknij się i idź po to.

– A ty dokąd się wybierasz, gdy ja będę robił zakupy?

– Do punktu ksero na końcu ulicy. Spotkamy się tu ponownie za piętnaście minut.

Po upływie kwadransa stoję obok SUV-a z grubą, kartonową kopertą na dokumenty w ręku. Mike zbliża się od strony podjazdu, niosąc plastikowy worek wyładowany rzeczami. Kupił wszystko, nawet bluzy.

Gdy wsiadamy do wynajętego wozu i zamykamy drzwi, wyjmuję z koperty stertę skserowanych dokumentów.

– Masz. Przypnij to do podkładki.

– Jasne. – Wsuwa kartki pod sprężynowy zacisk. – To formularze do podpisu. Jak rozumiem, zajmujemy się jakąś dostawą. To nas zaprowadzi wyłącznie do recepcji.

– Musimy zmusić ich do ewakuowania wieżowca. W budynkach takich jak ten alarmy przeciwpożarowe są przypisane do odpowiednich stref, więc na początku ewakuowane są tylko konkretne piętra. Uniemożliwia to zamknięcie całego budynku jednocześnie i ułatwia ewakuację. Ale żeby włączyć alarm przeciwpożarowy na jego piętrze, musielibyśmy znaleźć się w jego apartamencie albo centrum ochrony.

– To niemożliwe.

– Wiem. I dlatego musimy sprawić, by cały budynek ewakuował

się w tym samym czasie. Rivard musi przyjść do nas. – Wyciągam rękę. Widzę, jak dociera do niego, że założyłem lateksowe rękawiczki, które dał mi wcześniej. – Zasyпка.

– Niech to szlag – mówi, mimo wszystko podając mały pojemnik.
– Chyba nie mówisz poważnie, Sam. *Kurwa mać*. Zostawiłeś na tej kopercie jakieś odciski?

– Nie.

Wsypuję hojną porcję zasyпки do brązowej koperty i biorę trochę wody z butelki, żeby zwilżyć brzeg i zakleić ją. Potem wsuwam wszystko w grubszą, kartonową kopertę, odwracam i przyklejam wydrukowaną nalepkę, którą stworzyłem w punkcie ksero. Widnieje na niej fikcyjny, ale wyglądający na oficjalny adres lokalnej kancelarii prawniczej, oraz napis OSOBISTE I POUFNE: BALLANTINE RIVARD, a w osobnej linii PILNE: OTWORZYĆ NATYCHMIAST.

– Zaufaj mi, nie chcę mieć sąsiednich cel.

– Dobra, co mam robić? – pyta Mike.

– Zaczekaj tu. Tylko jeden z nas musi pojawić się na kamerze.

Zasuвам bluzę, zakładam czapkę i okulary przeciwsłoneczne. Wkładam kopertę pod formularze, więc jedyne co muszę trzymać to podkładka, a potem zdjąć rękawiczki. Muszę uważać na to, czego dotykam. Podkładka jest w porządku. Nie mogę dotknąć papieru ani przesyłki.

Mike wie, że robię to, żeby trzymać go od tego z daleka, na wypadek gdyby wszystko się posypało.

– Nie podnoś głowy i nie zdejmuj okularów. Całe szczęście jesteś przeciętnie wyglądającym białym facetem.

Przechodzę szybko przez lobby. Za chwilę koniec pracy, więc mnóstwo ludzi kieruje się już w stronę drzwi wyjściowych. Mknę prosto jak strzała w kierunku recepcji. Nie rozpoznaję nikogo na służbie i przesuwam podkładkę po kontuarze w stronę siedzącego

za komputerem mężczyzny, który ledwie zaszczyca mnie spojrzeniem.

– Przepraszam – mówię. – Proszę podpisać. Paczka dla... – udaję, że zerkam na naklejkę – Ballantine’a Rivarda. Poufne i do rąk własnych. Pilna przesyłka.

Zachowuje się dokładnie tak, jak tego oczekiwałem. Czemu miałoby być inaczej? Bazgrze podpis, wpisuje datę i swoje nazwisko, a potem bierze kopertę bez żadnych zachęt z mojej strony. Odsuwa podkładkę. Facet w marynarce z logiem Rivard Luxe wygląda na wkurzonego.

– Świetnie – mówi. – Wiesz, że dochodzi prawie piąta?

– To fajnie. Ja sam mam jeszcze cztery przystanki, zanim skończę pracę.

Udało się. Szybkim krokiem opuszczam budynek i okrążam parking. Wsiadam do SUV-a i rzucam podkładkę na tylne siedzenie. Mike ma na sobie nową bluzę.

– Poszło całkiem sprawnie. Jaka jest standardowa procedura ewakuacyjna w takim budynku?

– W wieżowcu? Gdy ktoś zidentyfikuje w przesyłce zagrożenie w postaci wążlika, włączane są alarmy, wzywa się ekipę odkazającą w kombinezonach, policję, FBI, wszystkich. To jeden wielki bajzel. Ochrona w budynku ewakuuje wszystkich, wszystkie piętra, na bezpieczną odległość. Klimatyzacja zostaje wyłączona. To istny cyrk na kółkach, a im większy budynek, tym większy chaos.

Brzmi idealnie.

– A ja właśnie popełniłem akt terroryzmu – mówię.

– *My* popełniliśmy – poprawia mnie. – Lepiej, żeby to, kurwa, zadziało.

– Rivard na pewno ma prywatną windę. Sprowadzą go na dół właśnie w ten sposób. Musimy ją znaleźć.

– Już wiem, gdzie ona jest. Gdy Rivard wmieszał się w całą

sprawę, sprawdziłem go od podszewki. Nie znalazłem zbyt wiele, ale pamiętam windę. Znajduje się o jedno piętro nad nami w podziemnym garażu. Wyjście jest zabezpieczone, ale nie musimy wchodzić do środka. Sami wyjdą.

Kiwam głową.

– Rozbroimy faceta i zmusimy go do gadania. Masz z tym jakiś problem?

– Żadnych – mówi Mike. – Lepiej znajdziemy twoją panią.

Mija kolejnych nerwowych dwadzieścia minut, po których włączają się alarmy, a ja nie mogę przestać myśleć o tym, gdzie może być Gwen. Jeśli jest w Wichicie, jeśli Absalom na samym początku przekazał nam prawdziwe informacje... ale dlaczego miałyby to zrobić? Nie, to kolejna próba wyprowadzenia nas w pole. Nie może być inaczej.

Mimo to nie potrafię uciszyć natrętnych myśli. Gwen jest sama i pewnie uważa, że ją porzuciłem i zdradziłem. Każda sekunda naszego czekania odlicza się w kroplach krwi i krzykach, a ja muszę się mocno wysilić, żeby trzymać nerwy na wodzy. Siedzenie w bezruchu wydaje się kolejną zdradą.

Czekamy w rogu przy nieoznakowanym, prywatnym wyjściu i w końcu naszym oczom okazuje się wjeżdżający na rampę i parkujący na niej elegancki, ponadwymiarowy mercedes SUV. Został zaprojektowany tak, by pomieścić wózek inwalidzki, a kierowca wysiada, by otworzyć tylne drzwi i wysunąć z podwozia próg podjazdowy.

Wymieniam się spojrzeniami z Mikiem, który wzrusza ramionami. Szoferem jest czarnoskóry mężczyzna zbliżony wzrostem i posturą do budowy ciała Mike'a. Ta część garażu jest

względnie pozbawiona pojazdów – pewnie wstęp ma się tu wyłącznie za okazaniem odpowiedniej przepustki – więc nikt nie wszedł do środka ani nie opuścił tego miejsca od momentu, w którym zajęliśmy pozycje. To spore ryzyko.

Ale jest tego warte.

Gdy nieprzytomny szofer zostaje związany i ukryty za ścianą oporową, Mike wychodzi na otwartą przestrzeń i przybiera niezmordowaną pozę osoby nawykłej do czekania. Czapka zakrywa mu twarz, a z mojego doświadczenia wynika, że ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć. Kształty, nie rysy twarzy. Gdy drzwi się otwierają, ze środka wylewa się masa ochroniarzy – jest ich więcej, niż bylibyśmy w stanie zdjąć bez konieczności sięgania po broń, ale nie wydaje mi się, byśmy nawet wtedy trafili na samą górę. W tej chwili nie musimy już tego robić.

Wózek inwalidzki Ballantine’a Rivarda wyjeżdża na pełnej prędkości. Ma na sobie ciemnoniebieski garnitur i bladożółty krawat. Ani śladu po wygodnym dresie. Jest wściekły. Widzę to z fotela pasażera, na którym siedzę przygarbiony. Wszystkie szyby są zaciemnione, co w tej chwili działa na naszą korzyść. Wyciągnąłem broń, na wypadek gdybym jej potrzebował, bo wszystkie nerwy w moim ciele strzelają jak fajerwerki i mam świadomość, że wystarczy, by trafił się choć jeden bystry ochroniarz, żeby wszystko poszło na marne.

Jednak oni wcale na nas nie patrzą. Są zajęci szukaniem zagrożeń na zewnątrz. Rivard ignoruje swoich ochroniarzy, zatrzymuje się, odwraca wózek tyłem i wjeżdża na rampę na wstecznym. Ma w tym doświadczenie. Siedzi zwrócony plecami do fotela kierowcy, a ja słyszę trzask zapinanych przez niego pasów bezpieczeństwa. Mike wsuwa rampę w podwozie i wsiada na przednie siedzenie. Rivard ledwie na niego zerknął.

– Dokąd? – pyta Mike Rivarda.

– Do budynku zarządzania kryzysowego. Jedź – rzuca Rivard opryskliwym tonem.

Mike kiwa głową, jakby dobrze wiedział, gdzie się on znajduje, a cała operacja przebiega wyjątkowo gładko. Rivard w dalszym ciągu nie zorientował się, że Mike nie jest jego kierowcą, i nie ma pojęcia o siedzącym z przodu milczącym pasażerze. Martwiłem się, że jeden z jego ochroniarzy będzie chciał wsiąść do samochodu i nam towarzyszyć, ale oni poszli w stronę całkiem innego pojazdu.

Wyjeżdżamy z garażu. Rozstawiono tu barierę, ale mężczyźni na służbie – którzy nie są policjantami, jeszcze nie – przepuszczają nas. Budynek nadal jest ewakuowany. W biurach Rivard Luxe pracuje blisko dwa tysiące ludzi, co zakłóci ruch uliczny Atlanty na wiele godzin. *Jeśli nas złapią, z całą pewnością pójdziemy do więzienia. Za terroryzm i porwanie.*

Minie trochę czasu, zanim ktokolwiek zorientuje się, że Rivard zaginął, ale w tej chwili zegar tyka nie tylko dla Gwen... dla nas również.

Nie mam pojęcia, kiedy dotrze do niego, że coś jest nie tak – prawdopodobnie w momencie, w którym Mike nie pojedzie oczekiwaną trasą – ale ponieważ obserwuję go we wstecznym lusterku, widzę, jak wyjmuje z kieszeni telefon. Przykładam mu lufę do głowy.

– Rzuć to – rozkazuję mu. – Natychmiast.

Telefon spada na podłogę i prześlizguje się aż pod tylne drzwi. Rivard milczy przez chwilę. Gdy w końcu się odzywa, w jego głosie nie słyhać ani odrobiny strachu.

– Pan Cade. Chyba powinienem się spodziewać, że pan wróci. Myślałem jednak, że posłuży się pan bardziej konwencjonalną metodą.

– Cieszę się, że cię rozczarowałem. Gdzie ona jest?

– Żona Melvina Royała?

– Gwen.

– Masz na myśli Ginę. Ona zawsze będzie jego żoną. Chyba zdążyłeś już to sobie uświadomić.

Czuję, jak moje mięśnie napinają się, i muszę bardzo się postarać, aby się rozluźnić.

– Na serio *chcesz* zarobić kulkę? – pytam. – Wystarczy, że będziesz mówił tak dalej.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego zostałem wzięty za zakładnika?

– Powiesz mi, dokąd Absalom zabrał Gwen.

– Nie mam pojęcia. – Ten wyraźny, gruby akcent z Luizjany wydaje mi się teraz czystą kpina. Nigdy wcześniej nie miałem ochoty zdiełać starca kolbą przez łeb, ale pokusa jest całkiem silna.

– Niby skąd miałbym to wiedzieć?

– Sam? – Głos Mike'a jest cichy, ale pełen napięcia. – Stary, wyluzuj. Dokąd jedziemy?

– Do miejsca, w którym zostawił Rodneya Sauera. Idealnie pasuje do sytuacji.

Rivard się nie odzywa. Pewnie zastanawia się, w jakie struny powinien uderzyć, ale żadnych nie znajduje. Cały czas trzymam broń przy jego głowie i każę mu unieść rękę do góry. To starzec. Ramiona zaczynają mu drżeć, a im dłużej jedziemy, tym bardziej drżą mu ręce. Świetnie. Chcę, żeby się zmęczył i zaczął bać.

Parkujemy w pogrążonym w półmroku zaułku między dwoma magazynami. Wszystko w tej dzielnicy jest opuszczone i w ruinie. Jedynym lokatorami są szczury i gołębie.

Gdy Mike przejmuje broń i trzyma go na muszce, ja otwieram drzwi, zabieram jego telefon i wyjmuję baterię. Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, by tak bogaty człowiek nie miał w telefonie zabezpieczenia w postaci lokalizatora, więc znajduję odpowiednią cegłę i rozbijam go na kawałki, po czym wrzucam je do błotnistej

kałuży. Wyładowanie złości na aparacie przynosi odrobinę ulgi.

Wchodzę do środka i klękam, by zrównać się z Rivardem. Wyraz jego twarzy zmienia się, gdy zaczyna mi się bacznie przyglądać. Tężeje, a przez ułamek sekundy widzę pod skórą czaszkę, a w oczach otchłanie piekła.

– Pójdiesz za to do więzienia, i to na długo – mówi. – A ja nadal będę wolny. Wiesz o tym.

– Wiem tylko, że jeśli zaraz nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, umrzesz tu – odparowuję. Mówię serio. Zabrnąłem w to już wystarczająco daleko.

– Zabijesz bezbronnego staruszka na wózku? To chore.

– Żebyś wiedział. Miliony dolarów na twoim koncie wzięły się z czegoś znacznie gorszego. Myślisz, że nie mamy o niczym pojęcia?

– Wkładam mu pistolet pod brodę. – Tak się składa, że wszystko wiemy.

Rivard szybko przenosi spojrzenie na Mike'a. Wygląda na zdenerwowanego. Mike zdążył już pozbyć się kurtki ochroniarza z logiem Rivard Luxe i cisnąć ją na tył vana, a teraz zasuwa bluzę.

– Hej, poznaję cię. Jesteś agentem federalnym – mówi. – Nie możesz mu na to pozwolić!

– Czyli na co? – pyta Mike. – Groźbę terroryzmu, porwanie czy morderstwo? Dwa pierwsze to moja działka. Ostatnie to już wyłącznie twój problem. Morderstwo nie jest przestępstwem federalnym.

Usta Rivarda są blade i zaciśnięte w wąską kreskę. Przeskakuje oczami od jednego z nas do drugiego. Chyba zaczyna do niego docierać, jak bardzo ma przesrane.

– To ty jesteś Absalom – mówi Mike. – Reszta to tylko sługusy. Jesteś jak rozdęty, biały robak żywiący się trupami. Od jak dawna ciągnie się ten proceder? Od pięciu lat? Dziesięciu? Domyślam się, że jeszcze zanim Melvin Royal powiesił swoją pierwszą ofiarę.

Odkrycie, jak wykorzystać czarny internetowy rynek, by znaleźć klientelę i zarobić własne pieniądze, musiało być jak dobranie się do strumienia szczerego złota.

Rivard milczy. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, cała Atlanta zmieniłaby się w grzyb atomowy. Nie obchodzi mnie jednak dowiedzenie się prawdy o Absalomie.

– Gwen. Mów. Natychmiast. Bo przysięgam, że zacznę odstrzeliwać ci kolejne części ciała. Będę miły. Zacznę od tych, których rzekomo już nie czujesz. – Stukam pistoletem w jego rękę. Jego uniesione ręce trzęsą się teraz jak szalone, gotowe w każdej chwili opaść. – Trzymaj ręce w górze. Liczę do pięciu, a potem tracisz nogę.

Ton mojego głosu jest prawie normalny, ale nie ma nic normalnego w żrącej nienawiści, która we mnie płonie. Wydawało mi się, że Melvin Royal był potworem, i faktycznie nim jest, ale ten człowiek... on wykorzystuje potwory do zarabiania pieniędzy. Jeśli będę musiał pociągnąć za spust, niespecjalnie mnie to obejdzie.

– Nie ma jej tu, panie Cade – mówi, oblizując blade usta. Jego język wygląda jak robak pełzający po ranie. – Przecież wie pan, gdzie ona jest. Absalom panu powiedział, tak jak mu kazałem.

Zaczynam odliczać, nie mrugnawszy nawet okiem. Nie wierzę mu. Nie ma jej w Wichicie.

Gdy docieram do pięciu, zaciskam palce na spuście, a Rivard wykrzykuje:

– Przestań! W porządku! Skoro już chcesz wiedzieć, to ci powiem! Tylko *blagam*, pozwól mi opuścić ręce!

– Wiesz co? – mówi Mike, wyciągając kajdanki. – Ułatwię ci to.

Grymas wściekłości na twarzy Rivarda potwierdził moje przypuszczenia, że miał jakiś plan, a gdy Mike przykuwa jego dłonie do pasa utrzymującego wózek w miejscu, przeszukuję starucha.

W kieszonce na piersi znajduję mały, elegancki pistolet. Załadowany. Rzucam go Mike'owi.

– Grawerowany – mówi. – Tylko dupki umieszczają na broni swoje inicjały. No dalej. Strzelaj.

Rivard zaczyna się pocić. Wszystko, na co liczył, zaczyna się sypać. Musi wiedzieć, że nie żartuję. Jeśli nie nabierze takiego przekonania, dowie się, gdy jego odstrzelona rzepka wyląduje na podłodze.

– Dobrze, już dobrze – mówi tym aksamitnym głosem, który jednocześnie podszyty jest desperacją. – Uspokójmy się wszyscy. Każdy z nas jest człowiekiem rozsądku. A ja potrafię być bardzo rozsądny. Znasz środki, jakimi dysponuję. Co dokładnie mam dla was zrobić? Wydać kilku z naszych bardziej kreatywnych dostawców? Z przyjemnością. Jestem pewien, że FBI uzna mnie za *wyjątkowo* przydatnego.

– Założę się – mówi Mike. – I wiesz co? Rozpracujemy ich wszystkich bez twojej pomocy. Strzelaj, Sam.

– Przecież i tak nie czuję nóg. Strzelenie w nie to czysta parodia!

– Myślę, że widok wnętrza twojego kolana może wyrzucić odpowiednie wrażenie. Jeden, dwa...

– O północy odbędzie się płatny pokaz!

– A niby czemu miałyby nas to obchodzić?

– Tak to załatwiamy – tłumaczy. – W przypadku... materiałów o najwyższej oglądalności. Pokaz na żywo, tysiąc wirtualnych wejściówek, pięćdziesiąt tysięcy dolarów za jedną.

Gotuję się z obrzydzenia. Zaczynam rozumieć, do czego zmierza. To czysty horror.

– Masz dwie sekundy, żeby powiedzieć, w jaki sposób to pomoże mi znaleźć Gwen.

– To ona! – wypluwa z siebie, wzdragając się na widok wyrazu mojej twarzy. Zalewająca mnie nienawiść jest tak silna, że

przyprawia mnie o mdłości. *Tak bardzo* mam ochotę zabić tego typu, że czuję tego posmak na języku. Morderstwo ma ostry, metaliczny posmak, jak gryzienie folii aluminiowej. – Ona i Melvin Royal. Chcieliśmy mieć to na taśmie. Występ zaczyna się o północy. Nagrania sprzedamy później, ale pokaz na żywo jest... wyjątkowy.

– Pieprz się – mówię, zbliżając się niebezpiecznie do granicy pociągnięcia za spust. Fala nienawiści, która we mnie wzbiera, prawie zagłusza mój zdrowy rozsądek. – Gdzie to jest?

Choć wydaje się to niemożliwe, *uśmiecha się*. Na jego czole błyszczący pot.

– Może pan wykupić miejscówkę, panie Cade. Pokaz jeszcze nie zdążył się wyprzedać do końca. Wydaje mi się, że zostało nam jeszcze pięć biletów.

„Zastrzel go. Zastrzel natychmiast ten śmierdzący kawał padliny”. Nie wiem, czyj głos mi to podpowiada, ale chyba należy do mojej siostry. Zrobiłbym to, gdyby Mike nie wkroczył do akcji pod koniec tej ostatniej szyderczej wypowiedzi i nie przywalił Rivardowi z pięści prosto w usta. Zaskoczenie wyrywa mnie z obezwładniającej chęci mordy. Mike właśnie ocalił mu życie. I mnie. Mam wrażenie, że zaraz skóra mi eksploduje. Jest jak pojemnik na bombę, która wybucha we mnie z o wiele większą siłą rażenia, niż jest on w stanie pomieścić. Nigdy w życiu nie czułem podobnej nienawiści, nawet wobec Melvina Royała. Wszystko jest nią skażone i ma jej posmak.

Cios Mike’a sprawia, że Rivard odskakuje gwałtownie na wózku, a jego usta są całe zakrwawione. Wygląda na zszokowanego i bezbronnego, a ja nagle dostrzegam w nim żalosego, starego człowieka.

Zdejmuję palec ze spustu.

– Powiem panu jedną prawdziwą rzecz, panie Rivard – mówi Mike, a ja rozpoznaję charakterystyczną nutę w jego głosie. Należy

do Mike'a, który zabija. Mike'a, który wyprowadził mnie ze strefy działań wojennych, gdy mój samolot spadł na terytorium wroga. Mike'a, który zabił każdego drania, który wszedł nam w drogę. – Z nas dwóch to Sam Cade jest tym miłym facetem. Radzę ci lepiej przemyśleć swoje następne słowa, bo nie dbam już o odznakę, karierę ani o to, ile czasu będę musiał spędzić w więzieniu.

Wierzę mu. Nie wiem, czy przypadkiem nie kłamie, ale wiem, że Rivard z pewnością nie ma o tym pojęcia. Odczuwam dziką radość z widoku prawdziwego, płynnego strachu w jego oczach.

– Luizjana, za Baton Rouge. Stoi tam pewien opuszczony dom, tuż nad strumieniem Killman Creek. Plantacja Triton. Właśnie tam odbędzie się pokaz. – Próbuje się uśmiechnąć. – Jestem wam potrzebny. Potrzebujecie mnie do tego, żebym mógł rozkazać wstrzymanie show. Nie dotrzecie tam na czas.

– Nie musimy – mówi Mike. – To jedna z wielkich zalet współczesnej pracy policji. Muszę jedynie wykonać odpowiedni telefon, a wszyscy zostaną aresztowani na miejscu.

Rivard nie wygląda na ostatecznie pokonanego. Obnaża zęby w krwawym uśmiechu.

– W Luizjanie? Nie wydaje mi się. Mamy w kieszeni całe mnóstwo tamtejszej policji i nie jesteśmy nieostrożni. Nie macie żadnej pewności, że funkcjonariusze po drugiej stronie słuchawki *cokolwiek* zrobią. Nawet jeśli się wam poszczęści i znajdziecie uczciwego glinę, teren jest świetnie strzeżony. Nigdy nie wydostaniecie jej stamtąd żywej. Ani Melvina. Potrzebujecie mnie do...

Mike wyszarpuje kosztowną, jedwabną chustkę z kieszeni Rivarda i wpycha mu ją do ust, po czym szybko zrywa mu krawat i wciska po kawałku jako knebel.

– Mam dość słuchania twojego głosu – mówi, po czym odwraca się do mnie. – Zadzwoń do jednego gościa. Przetrzyma Rivarda

u siebie przez jakiś czas, dopóki nie zgromadzimy odpowiedniej ilości dowodów, aby go przymknąć.

W gardle mam sucho od gniewu i adrenaliny. Dopiero po dwóch próbach mój głos brzmi normalnie.

– Wierzysz mu co do policji?

– Sądzę, że to możliwe. Najgorsze, co moglibyśmy teraz zrobić, to zadzwonić do miejscowej policji i dać jego ludziom cynk, żeby przyjechali na miejsce.

– Myślisz, że mówi prawdę? Że może wszystko odwołać?

– Myślę, że jeśli dopuścimy go do telefonu, pierwszy telefon, który wykona, spali to miejsce do gołej ziemi i zabije wszystkich w środku – mówi Mike. – Karaluch taki jak ten wie, jak przetrwać, pierwszy i ostatni.

Mike wychodzi z vana i wykręca numer, a ja słyszę, jak Rivard wydaje z siebie zduszone odgłosy, ale ignoruję go. Jest bez znaczenia. Próbuję oszacować, jak daleko jest z Atlanty do Baton Rouge i jakie mamy szanse, że możemy znaleźć się tam za kilka godzin. Raczej kiepskie. Loty na Zachodnim Wybrzeżu zostały wstrzymane przez wichurę, a nawet jeśli Mike'owi uda się ponownie użyć magicznych sztuczek FBI, wichura przesuwana się na południowy zachód, co znaczy, że znajduje się między nami a miejscem, do którego musimy dotrzeć. Spowoduje okropny chaos.

Za wszelką cenę musimy wydostać stamtąd Gwen. Sama myśl, że przebywa w tamtym domu, z *nim*, sprawia, że przechodzą mnie ciarki, a żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Nie obchodzi mnie, jak to się stanie, chcę jedynie, aby była bezpieczna. Chcę znów trzymać ją w ramionach i powiedzieć, jak potwornie mi przykro, że pozwoliłem, by to się jej przydarzyło.

Każda upływająca minuta oznacza, że zmniejszają się szanse na to, że kiedykolwiek mi się to uda.

Pierwsza rozmowa Mike'a trwa dość krótko, a kiedy kończy,

mówi:

– Mój człowiek jest już w drodze. Sprawি, że van i Rivard znikną, dopóki nie powiem inaczej.

– Rozumie, kim jest Rivard?

– Tak. To godny zaufania gość. Jest mi winny przysługę.

Ciekawe, jaka osoba może być godna zaufania w starciu z bogactwem Rivarda, ale muszę wierzyć, że się nie myli.

– Co z policją?

– Zadzwońię do biura FBI w Nowym Orleanie. Rivard może i posiada na własność połowę tamtejszej policji, ale ja znam ludzi z NOLA. Nie mógł ich przekupić.

Tyle że gdy połączenie dobiega końca, od razu widzę, że rozmowa nie poszła po jego myśli. Czuję, jak skacze mi ciśnienie, łomocząc w skroniach.

– I jak? – pytam.

– W Nowym Orleanie mają teraz prawdziwy problem. Alarm terrorystyczny. Mój człowiek twierdzi, że nie ma możliwości, by nam pomogli. Kazali dzwonić po miejscowych.

– A co z policją stanową?

– Większość z oddziałów zostanie uszczuplona i wysłana do Nowego Orleanu w ramach pomocy. Poza tym mamy tu ten sam problem, co w przypadku miejscowych służb. Nie wiemy, kogo przekupił Rivard, a ja nie mam tam żadnych przyjaciół, na których mogę liczyć.

Patrzę na zegarek. Właśnie minęła szósta. Nadawane na żywo zabójstwo Gwen rozpoczyna się o północy.

Mamy siedem godzin, żeby do niej dotrzeć. Zmiana strefy czasowej zapewnia nam jedną dodatkową godzinę.

„Wytrzymaj”, myślę. „Na Boga, Gwen, wytrzymaj dla mnie. Obiecałaś. Wytrzymaj”.

Rozdział dwudziesty piąty

Gwen

Gdy znów się budzę, odkrywam, że tym razem leżę na łóżku.

Natychmiast dopada mnie fala mdłości. Zwijam się w kłębek, próbując ją powstrzymać. Głowę rozsadza mi taki ból, że chyba zaraz pęknie mi czaszka. Drżę na całym ciele – ale nie z zimna, ale w efekcie ubocznym po wstrzyknięciu środków odurzających. Gdy dreszcze pomału zaczynają ustępować, a nieznośne palenie w żołądku się zmniejsza, dochodzą do tego pozostałe rzeczy. Boli mnie to samo co przedtem, ale jeszcze bardziej. Plecy mam zdarte do żywego. Szorstkie deski skrzyni zostawiły na nich pełno drzazg.

Gdy otwieram oczy, próbuję zmusić swój ospały mózg, by powiedział mi, gdzie jestem. W pomieszczeniu jest ciemno, ale udaje mi się dostrzec białą pościel wokół mnie. Jest lekko wilgotna i wydziela zapach czyjejś skóry. Stopniowo dociera do mnie smród pleśni i zwierzęły odór zakopanych ciał. Woń rozkładu.

Strach powraca niemrawo, zbyt zmęczony, by dawać o sobie znać... ale przynosi ze sobą zrozumienie sytuacji. Cel.

Przekręcam się, by zmniejszyć okropny skurcz w biodrze, i czuję, jak łóżko ugina się pod wpływem ruchu, który w ogóle nie należy do

mnie. Zastygam nieruchoma. *Ktoś leży obok mnie.* Czuję zwierzęce gorąco bijące z jego ciała, a mój wewnętrzny instynkt krzyczy, żebym się nie ruszała, tak jakbym mogła dzięki temu sprawić, że stanę się niewidzialna. Leżenie w bezruchu w niczym mi nie pomoże.

Muszę sobie pomóc.

Próbuję się odsunąć z nadzieją, że uda mi się ześlizgnąć po cichu z łóżka, ale zatrzymuję się, gdy dociera do mnie, że nie mogę poruszać lewym nadgarstkiem.

Tym, który tak strasznie mnie boli.

Jest przykuty do starego zagłówka z kutego żelaza. Najwyraźniej coś sobie złamałam, pewnie jakąś małą kość w śródreżcu, bo próba pociągnięcia za więzy, choć delikatna, kończy się eksplozją bólu tak potwornego, że zapiera mi dech. Chcę krzyknąć, ale nie mogę.

Nie mam na sobie swoich ubrań. Ktoś przebrał mnie w starą koszulę nocną ze sztywnego materiału. Nylon jest kruchy w dotyku, jakby zaraz miał się rozpaść na kawałki pod wpływem bardziej agresywnego ruchu.

Światła za oknem jest coraz mniej. Słońce powoli zachodzi. Odwracam głowę i jestem w stanie odróżnić tylko zarys twarzy leżącego obok mnie mężczyzny.

Chyba nie powinnam być zdziwiona, że jest nim Melvin Royal, ale mimo wszystko jestem. Patrzenie, jak śpi sobie beztrosko, jest dla mnie takim szokiem, że mam wrażenie, jakbym otrzymała cios prosto w serce. Śmiertelny cios. Czuję krzyk wzbierający w gardle.

„Zabij go”, to następna myśl, która wypełnia pustkę w mojej głowie. Zginam prawy łokieć i rzucam się na niego. Próbuję wbić mu go w gardło i napierać całym ciężarem ciała do momentu, aż usłyszę chrzęst pękającej kości gnykowej. Przez sekundę wydaje mi się, że zaraz osiągnę cel. Czuję, jak mój łokieć napiera na jego gardło. Zaczynam dociskać... i wtedy czuję, że Melvin przetacza się

na drugi bok i odsuwa ze *śmiechem*.

Wbijam w niego paznokcie, szorując po każdym skrawku jego ciała, którego jestem w stanie dotknąć, zrywając mu paski skóry, gdy ucieka. Szarpię dziko za unieruchomiony nadgarstek, a każde pociągnięcie ręką wywołuje eksplozję przeszywającego bólu, jak wybuchające w dłoni fajerwerki. Mam to gdzieś. Szalejąca we mnie furia jest silniejsza niż strach i ból – silniejsza niż *cokolwiek* innego.

Melvin, który zdążył przetoczyć się na drugi koniec wielkiego łóżka, gapi się na mnie, gdy bezskutecznie miotam się na swoim brzegu. Podpiera się na łokciu i obserwuje mnie z przyprawiającą o mdłości fascynacją. Płonę z wściekłości niczym świeca, co nie pozostawia zbyt wiele miejsca na inne emocje takie jak strach, dezorientacja czy wstręt.

Chcę go zwyczajnie w świecie zabić.

– To tak mi dziękujesz za ostatni komfortowy odpoczynek? – pyta.
– Powinienem był umieścić cię w piwnicy. Tak, żebyś przez chwilę pomartwiła się obecnością szczurów i karaluchów. – Wykręca się i spogląda na głębokie, wryte paznokciami bruzdy, które zostawiłam mu na boku. Jest szczupły. Wysportowany. Pewnie spędzał czas w więzieniu na podnoszeniu ciężarów, ale jego skóra ma błądy odcień stworzenia zamieszkującego jaskinię. Pamiętam, że mógł wychodzić na spacerki tylko raz w ciągu dnia na godzinę. I tak nie na wiele się to zdało. Zapuścił brodę. Nie licząc tych zmian, wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam.

Jest zdolny do wszystkiego, o czym doskonale wiem. Widziałam to w postaci rozkładającego się mięsa, połamanych kości i zasychającej krwi, rzeźby zrobionej z agonii i przerażenia. Jednak przestałam się już kulić ze strachu.

– Wsadź mnie do piwnicy. Szczury i karaluchy to o wiele lepsze towarzystwo – mówię, choć przypomina to bardziej warkot.

Ciekawe, czy mam przekrwione oczy. Takie odnoszę wrażenie. Czuję się, jakby każda żyła w moim ciele eksplodowała furia. – Ty *draniu*.

Wzrusza ramionami, a jego leniwy, zimny uśmiech sprawia, że mam ochotę zetrzeć mu go z gęby.

– Byłaś taką miłą kobietą, kiedy cię poślubiłem. Popatrz, co zrobiło z tobą bycie singlem. Nie podobają mi się te mięśnie, Gina. Gdy zacznę ciąć, pozbędę się ich w pierwszej kolejności. Lubię, gdy moje damy są delikatnej budowy.

Płomień mojego rozpalonego do białości gniewu załamuje się nieco, ale celowo karmię go obrazami jego ofiar. Wolę być rozwścieczona niż przerażona, a w tej chwili to mój jedyny wybór. Zdecydowałam się na to, na tamtej drodze w Tennessee, kiedy już myślałam o rzuceniu się pod koła i zakończeniu tego koszmaru. Powiedziałam Samowi, że prędzej oddam w ten sposób własne życie, dzięki czemu Melvin będzie miał zajęcie, po to, by mógł go znaleźć.

Wściekłość jest lepsza niż strach. Za każdym razem.

– Nie jestem jedną z twoich dam. – Zastanawiam się, ile kości będę musiała sobie złamać, żeby uwolnić rękę. Trzy? Cztery? Zapiął kajdanki wyjątkowo ciasno. Zachowuje się jednak zbyt spokojnie. Wygląda na przygotowanego. To pułapka. Wydaje mi się, że *chce*, żebym zrobiła sobie krzywdę.

– Jesteś moją żoną, Gina.

– Już nie.

– Nigdy nie przyjąłem tego do wiadomości – mówi, jakby to rozwiązywało cały problem. Patrzy na zegarek stojący na stoliku nocnym po swojej stronie łóżka. – Już prawie siódma. Powinnaś coś zjeść. Czeka nas bardzo długa noc.

Zauważam, że ma na sobie wyblakłe spodnie od pizamy. Są na niego odrobinę za duże. Są stare, tak jak koszula nocna, w którą

mnie ubrał.

– Gdzie jesteśmy? – pytam. – Jak udało ci się mnie tu ściągnąć?

Nie jesteśmy w Tennessee. Tak mi się wydaje. Inaczej tu pachnie. Powietrze jest jakieś cięższe i w dodatku cieplejsze.

– To miejsce należy do mojego przyjaciela. Dawniej stał tu wspaniały budynek. Jego przód wyglądał jak Biały Dom, ale teraz nie sposób tego stwierdzić przez zgniliznę i porastające wszystko pnącza opornika. A co do tego, jak się tu znalazłaś... powiedzmy, że ktoś trochę mi w tym pomógł.

– To plantacja – zgaduję, bo z wszystkiego bije aura jak z powieści southern gothic, a obecność opornika tylko to potwierdza. – Myślisz, że jesteś panem jakiejś rozpadającej się posiadłości?

– Pomyśl o tym jak o wyjątkowym miejscu, w którym nagrywane są specjalne pokazy. To tu są kręcone filmy na zlecenie. Moi znajomi mają w okolicy jeszcze parę innych planów zdjęciowych. Kilka udało ci się nawet znaleźć. Jednym z nich był magazyn. A drugim chata, którą wysadziliście w powietrze.

Specjalne pokazy. Pamiętam najmroczniejszy rodzaj handlu, w jakim specjalizował się Absalom: morderstwach, gwałtach i torturach uwiecznionych na taśmie.

– Byłeś jego częścią. Częścią Absaloma.

– Byłem klientem, który awansował do roli dostawcy. Miałem talent. Przez blisko dziesięć lat robiłem w tym świetną karierę. Byłem bardzo ostrożny. Jednak wydaje mi się, że na końcu zachowałem się bezmyślnie. Powinienem był umieścić tę ostatnią ofiarę na dnie jeziora, kiedy jeszcze miałem czas. Gdybym sprzątnął garaż poprzedniego wieczora, tak jak zamierzałem, nadal bylibyśmy małżeństwem. – Klepie materac. – Nadal dzielilibyśmy wspólne łóżko. Wiem, że za tym tęskniłaś. Tak jak ja.

Brzmi zupełnie normalnie. Wygląda na zadumanego. To strasznie

dezorientujące. Kim bym dzisiaj była, gdyby miał nade mną władzę przez tych ostatnich pięć lat? Co zrobiłby naszym dzieciom? Nie chcę sobie tego wyobrażać, ale mimo wszystko to robię: biedna, bierna Gina Royal, bojąca się spojrzeć komukolwiek w oczy, przemykająca przez życie ze zgarbionymi ramionami i mentalnością ofiary. Niepokazująca swym dzieciom niczego prócz bezwzględności posłuszeństwa.

Co prawda moje dzieci są pokrzywdzone, ale walczyłam o nie. Zadbaliśmy, by były silnymi, niezależnymi, młodymi ludźmi. Nie może im tego odebrać. Ani mnie.

– Zgwałcisz mnie? Bo jeśli spróbujesz, rozszarpie cię na kawałki.

– Nigdy bym ci tego nie zrobił. Nie matce moich dzieci. – Zirytowałam go trochę. Przeciąga się i stara się, aby wyszło mu to naturalnie, ale widzę, że jest sfrustrowany. Nie gram roli zastraszonej ofiary. Nie *ulegam* mu. – Choć nie dostrzegam jej w tobie zbyt wiele. Spójrz, do czego się doprowadziłaś. I po co to wszystko? Żeby przeżyć? Nie było warto, Gina, szczególnie że i tak umrzesz w ten sposób. – Jego oczy pokrywa szklista warstwa podobna do lodu. Już zaczął masakrować mnie w swojej głowie.

– Pieprz się. – Zaczynam majstrować przy obręczy kajdanek. Ból jest oślepiający, niczym fontanna czerwono-żółtych rozbłysków płonących jak fosfor, gdy przekręcam nadgarstek. Coś pęka z wilgotnym młasnieniem, a wrażenie jest tak obezwładniające, że przez cudowny ułamek sekundy niczego nie czuję. Zupełnie jakby moje ciało starało się dać mi czas na ucieczkę.

Łamię kolejną kość. Palce płoną mi z bólu tak, jakbym je podpaliła. Z moich ust wrywa się okrzyk, ale jest przepełniony wściekłością. Zwycięstwem. Ból to życie. Ból to zwycięstwo.

Uwolnię się i zabiję go.

– Gina – mówi łagodnym głosem. – Spójrz na mnie. Przykro mi, że to musi odbyć się w ten sposób, przed kamerami. Nie chciałem

tego. Chciałem, żebyśmy byli tylko we dwoje. Jednak Absalom chciał zapłaty za to, co dla mnie zrobili. I co jeszcze zrobią.

– Przepraszasz mnie? – Nie mogę się powstrzymać. Parskam gorzkim, rehotliwym śmiechem. – Boże, i co jeszcze? Jak ci się zdaje, co takiego zrobi dla ciebie Absalom? Wywiezie z kraju? Urządzi gdzieś kącik z nowymi ofiarami? Ty idioto, oni cię wykorzystują. Gdy dostaną to, czego chcą, ciebie też zabiją.

– Nie nazywaj mnie idiotą – mówi, a łagodność wyparowuje z jego głosu, zastąpiona lodowatą nutą. – *Nigdy* tego nie rób. Wykiwałem cię, Gina. Oszukiwałem cię przez cały czas. – Opuszcza podbródek, prawie zamykając oczy. Nie ma w nich śladu człowieczeństwa. Został już tylko potwór. – Brady do mnie dzwonił. Wiedziałaś o tym?

Czuję się, jakbym otrzymała cios pod tarczę, którą się osłaniam, a cały mój wspaniały, wyzwalający gniew ulatnia się w ułamku sekundy. Przestaję próbować się uwolnić. Nie chcę mu ustąpić ani na krok, ale nie mogę się powstrzymać, aby nie spytać:

– O czym ty mówisz?

– O naszym synu. Bradym. – Melvin siada na brzegu łóżka. – Zaaranżowałem przekazanie mu telefonu, gdy porwał go nasz przyjaciel Lancel – pamiętasz? Ten telefon był dla niego liną ratunkową, gdyby jej potrzebował. Okazało się, że tak. Najpierw ty go porzuciłaś. Potem odkrył, że go okłamywałaś. Wystarczająco dużo wątpliwości, by je wykorzystać, nakłonić do rozmowy. Prawie się udało. – W krzywym grymasie jego ust pojawia się obrzydzenie. – Zrobiłaś z naszego syna słabą, żalostną szmacianą kukłę. To wszystko przez ciebie. W tej chwili jest dla mnie całkiem bezwartościowy. Teraz będę musiał go zahartować.

To nie jest spokojny, uprzejmy Melvin, którego znają inni ludzie. Nawet nie ten, którego *ja* znałam jeszcze w Wichicie. Nigdy nie powiedziałałby takich rzeczy o własnym synu. To toksyczny muł

z dna czarnego jeziora wylewający się z jego ust. Słuchanie, jak mówi o moim synu, sprawia, że robi mi się niedobrze, i zarazem wprawia mnie w przerażenie.

– Kłamiesz. Nie mogłeś z nim rozmawiać – mówię, bo to jedyna nadzieja, której mogę się uczepić. – Powiedziałyby mi o tym.

– Nie skorzystał z telefonu od razu – trzymałaś go na wystarczająco krótkiej smyczy. Ale kiedy raz zaczął, nie mogłem przestać. – Na jego usta wypływa kolejny zimny uśmiech. – Jaki ojciec, taki syn.

Nagle przypominam sobie, kto znalazł to okropne nagranie. *Connor*. To nie był przypadek. To nie była sprawka Absaloma. To Melvin zrobił to naszemu synowi. Celowo.

– Ty *skurwysynu*.

– Nie moja wina, że zostawiłaś go z obcymi ludźmi – mówi Melvin. – Przez ciebie stał się bezbronny. Łatwy do złamania, a mnie się to udało. Chciałem, by dziś nam towarzyszył. Uznałem, że to będzie dla niego odpowiednie doświadczenie, patrzeć, jak się łamiesz, a potem mógłbym zabrać go ze sobą i nauczyć, jak być silnym. Ale to się nie udało. Zamiast Brady'ego mamy Lily.

Wiadomości nadchodzą zbyt szybko. To dla mnie za wiele. Nie mam czasu, by wpaść w szok. Tonę w nich.

– Masz na myśli Lanny? – Powiedziałam jej imię i żałuję, że to zrobiłam, bo wreszcie widzi pęknięcia w moim pancerzu. Wyzierający spod niego strach. Żywi się nim. – Wcale jej nie masz.

– Racja. Nie mam. Przeszkodziła, gdy odpowiedzialny za transport człowiek Absaloma miał zabrać naszego syna. Teraz siedzi na szczycie wzgórza, w kolejnym z naszych... wyjątkowych miejsc. – Wzrusza ramionami. – Powiedziałem, żeby wykorzystali ją w jakiś sposób. Jej wartość rynkowa byłaby większa, gdyby była młodsza, ale...

– *Zamknij się!* – wrzeszczę przenikliwym głosem, który zaskakuje

nawet mnie samą.

Jestem ociężała i zmarznięta, jakby moje ciało już zaczynało się poddawać. Chcę, by wrócił wcześniejszy gniew. Strach jest zbyt przytłaczający. *Lanny, moja cudowna, kochana córeczko, gdzie jesteś, co on ci zrobił...*

Jakimś cudem przypominam sobie o tym, że Melvin Royal jest kłamcą. Oszustem. Manipulatorem. I doskonale wie, gdzie znajduje się moja niechroniona słabość. Dzieci są jego sposobem na to, by mnie zranić. Muszę wierzyć w to, że są bezpieczne. *Muszę.*

– Jesteś okropną matką – mówi, przerywając napiętą ciszę. – Odbiorę ci syna i znów uczynię go swoim dzieckiem. Mam już twoją córkę. Rozmyślaj o tym do czasu, aż po ciebie przyjdę.

Wie, kiedy zadać cios i się wycofać. Wstaje i podchodzi do drzwi, a ja po raz pierwszy uświadamiam sobie, że ta sypialnia zawiera inne meble – starą, wypaczoną komodę, na wpół zjedzone przez pleśń obrazki w ramkach. Pęknięte lustro, które pokazuje świat w dwóch zniekształconych kawałkach.

Moje odbicie w nim jest przepołowione, tak jakby już zaczął mnie niszczyć.

Wiem, że powinnam się uwolnić. Że powinnam walczyć. *Muszę walczyć.*

Ale kiedy Melvin wychodzi, jedyne, co jestem w stanie zrobić, to leżeć na łóżku i czuć przebiegające przez moje ciało dreszcze. Przykrywam się prześcieradłem, bo zimno wydaje mi się przenikliwe, pomimo gęstego, ciepłego powietrza. Chcę, by wróciła moja wściekłość.

Ciekawe, czy ktoś wie, gdzie jestem. Czy Sam mnie szuka i czy w ogóle obeszło go to na tyle, by spróbować.

Może to jest właśnie mój koniec.

Może, zanim kompletnie mnie zniszczy, uda mi się kupić bezpieczeństwo dzieci za własną krew.

To wszystko, o czym mogę teraz marzyć.

Rozdział dwudziesty szósty

Sam

Kosztuje go to trzy złamane palce, ale w końcu Rivard zgadza się zadzwonić na małe lotnisko i kazać obsłudze przygotować dla nas jego prywatny samolot. Dzięki temu udaje nam się obejść chaos związany z odwołanymi lotami komercyjnych linii, ale mamy inny problem: przygotowanie samolotu i uzupełnienie paliwa jest czasochłonne, a kiedy w końcu wchodzimy na pokład, okazuje się, że na miejscu nie ma jeszcze pilota. Powinien zjawić się w ciągu następnej godziny.

Mówię stewardesie, aby wzięła sobie płatny dzień wolny. Nie będziemy potrzebować drinków ani posiłku. Wygląda na zaskoczoną, ale nikt nigdy nie sprzecza się, gdy w grę wchodzi nieoczekiwany bonus, więc po jej szybkim wyjściu zostajemy na pokładzie we dwójkę. Mike przygląda mi się, gdy sprawdzam czas. Jest już prawie ósma czasu środkowoamerykańskiego. Czas przelotu do Baton Rouge wynosi około półtorej godziny, ale fatalne warunki pogodowe oznaczają, że będziemy musieli zmienić kierunek i okrążyć miasto, co potrwa co najmniej kolejne pół godziny. Jeśli nie wyruszymy przed dziewiątą, dotrzemy tam

dopiero w okolicach jedenastej w nocy i nie starczy nam czasu na dojechanie to miejsca, w którym przetrzymywana jest Gwen. *Powinniśmy byli spróbować nakłonić Rivarda do odwołania pokazu.* Wiem jednak, że i tak by nas oszukał. To byłby jego jedyny pewny sposób na zemście się.

W każdej zmarnowanej przez nas sekundzie może polać się krew.

– Przejmuję samolot – oznajmiam. Mike kiwa głową. Spodziewał się tego. Wie, że umiem go pilotować, a maszyna jest zatankowana i gotowa do lotu. – Zamknij drzwi i lećmy wreszcie.

Zajmuję fotel pilota i rozpoczynam kontrolę przed wylotem. Kokpit jest trochę inny – elegantszy i bardziej zautomatyzowany niż u większości modeli – ale sterowałem już tyloma samolotami, że wszystko staje się jasne po jednym rzucie okiem. Mam za sobą dziesiątki tysięcy wylatanych godzin. Obsługa tego samolotu to bułka z masłem. Wprowadzam kurs, a komputer pokładowy automatycznie ładuje statystyki meteorologiczne i dopasowuje go. Miałem rację. Dwie godziny lotu. Wiem, jak przygotować samolot do startu, i wcale mnie nie dziwi, że wieża nie zauważa zmiany pilota. Lotniska tak małe jak to utrzymują się z ludzi, którzy znają się na swojej robocie. Uruchamiam łączność i każę Mike’owi zająć miejsce, po czym wykołowuję samolot na pas. Skupienie się na pracy trzyma na wodzy nerwy, a także wyobrażenia tego, co dzieje się z Gwen, przynajmniej na chwilę.

Start jest jak zwycięstwo, jak poczucie, że wreszcie pokonujemy Absaloma w jego własnej grze. Zdaję sobie sprawę, że to tylko iluzja. Przebywanie w chmurach to wolność dla mnie, a wibracje samolotu składają się na znajomy, kojący rytm, utrzymując strach w ryzach.

Włączam autopilota i opuszczam kabinę pilota, by porozmawiać z Mikiem.

– Co jeszcze możemy zrobić?

– Dzwoniłem do biura FBI w Baton Rouge – mówi. – Dwójka stacjonujących tam agentów koordynuje współpracę z Nowym Orleanem, więc spróbuję ze Shreveport. Prawdopodobnie będziemy musieli skorzystać z pomocy policji stanowej. To nasza ostatnia deska ratunku, bo nie mam pewności, czy potraktują to poważnie, ale powoli kończą się nam możliwości.

Zostawiam go, by wykonać parę telefonów. W tej chwili nie pozostaje mi nic innego jak czekać, a nie jestem w tym szczególnie dobry.

„Nie przestawaj walczyć, Gwen. Nie przestawaj”.

Rozdział dwudziesty siódmy

Gwen

Moja rozpacz trwa do momentu, w którym nerwowa, chuda kobieta wyglądająca na narkomankę, z ramionami pokrytymi bliznami po ukłuciach igły, przynosi mi wodę. Gdy tylko ją dostrzegam, dociera do mnie, jak bardzo jestem spragniona, więc biorę butelkę i łapczywie wypijam zawartość.

To błąd. Zaczynam zdawać sobie z niego sprawę, gdy narkotyki trafiają do mojego organizmu. W przeciągu zaledwie paru minut czuję, jak w moich żyłach rozlewa się ich chemiczna fala i choć próbuję przeciągnąć do końca złamaną dłoń przez obręcz kajdanek, nie potrafię się skupić. Ból cały czas mnie powstrzymuje i bez względu na to, jak bardzo udaje mi się skoncentrować, moje wysiłki idą na marne.

Gdy narkotyki zaczynają działać, dyszę, pocę się, pojękuję, a wszystko wokół mnie jest rozmazane i niewyraźne. Mam halucynacje. Pająki w pościeli. Oczy na suficie. Przerazenie jest jak żywa istota w moim wnętrzu, próbująca się z niego wydostać. Wyobrażam sobie, jak wrywa mi dziurę w skórce, wybuchając gęstymi, czarnymi strugami, które duszą mnie i oślepiają.

Utratę przytomności witam z otwartymi ramionami.

Nie wiem, ile godzin minęło. Gdy w końcu odzyskuję świadomość, okazuje się, że nie jestem już skuta. Moja lewa dłoń jest spuchnięta, ledwie mogę nią poruszać. Narkotyki sprawiają, że mam problemy z koncentracją i jestem osłabiona. W zasięgu mojego wzroku znów pojawia się chuda kobieta. Krzyczy na mnie wściekłym głosem, a potem z grubsza wyciera mnie mokrym ręcznikiem. Zdejmuje ze mnie koszulę nocną i ciska w moją stronę ubraniami. Nie potrafię ubrać się sama, więc robi to za mnie, przebierając mnie jak szmacianą lalkę, po czym wymierza mi policzek, gdy zaczynam kłaść się na łóżku, i każe mi się położyć na podłodze. Jest mi wszystko jedno.

Ledwo do mnie dociera, że przykuwa mnie do grubej, żelaznej nogi łóżka. Tracę przytomność, zanim udaje mi się pomyśleć, co dalej.

Gdy budzę się następnym razem, umysł mam o wiele jaśniejszy. Moja lewa dłoń jest okropnie spuchnięta i zakrwawiona, na powrót zamknięta w kajdankach. Nie mam szans jej wyciągnąć. Strasznie ją zmasakrowałam, a mimo to dalej nie udało mi się uwolnić.

Muszę znaleźć sposób na to, jak się stąd wydostać i wrócić do dzieci. Ich twarze są tak wyraźne, że mogłabym wyciągnąć do nich dłoń i ich dotknąć. Ogarnia mnie uczucie straty tak potężne, że rozrywa mnie od środka. Wybucham płaczem. *Straciłam je. Straciłam dzieci.*

Walę lewą dłoń w podłogę, a ból eksplodujący w moim ciele zapiera mi dech w piersiach. Uniestwia smutek i wbija ostrą drzazgę czujności w mój ospały mózg.

Powtarzam tę czynność.

Przygryzam wargę, by powstrzymać się od krzyku. Moje ciało dygocze od wysiłku, jakim jest stłumienie go w środku. Przez chwilę wydaje mi się, że zaraz rozpadnę się na kawałki, ale tak się

nie dzieje. Gdy ból mija, przejaśnia mi się w głowie. Ból pomaga. Wypędza resztki narkotycznej mgły.

Jestem w tym samym pokoju. Łóżko też jest to samo. Czy naprawdę obudziłam się tu z Melvinem u boku, czy to był jakiś ohydny, wywołany narkotykami sen? Boże, dopomóż, chciałabym w to wierzyć, ale wiem, że to nieprawda. Melvin faktycznie tu był.

To wszystko jest ponurą prawdą, a ja muszę *wziąć się w garść*, bo kończy mi się czas.

Powiedział coś o dzieciach. Coś okropnego. Próbuję wrócić do tego wspomnienia, ale ucieka mi jak dym, za co prawie jestem wdzięczna, bo pamiętam jedynie *uczucie* rozpacz, a nie konkretny obraz.

Skupiam się na tym, co przede mną. Na nabrzmiałej, pokiereszowanej dłoni. Na obręczy kajdanek wbijającej się w spuchnięte ciało. Na purpurowych czubkach palców.

Druga obręcz jest zapięta wokół żelaznej nogi łóżka.

Gapię się na nią przez długi czas, a potem powoli dociera do mnie, dlaczego to robię.

Mogę ją zsunąć.

Łóżko jest ciężkie, ale noga? Jest cieńsza niż obręcz kajdanek. Jeśli uda mi się podnieść łóżko, będę mogła ją z niej zsunąć. Ćpunka zachowała się bezmyślnie. Pewnie uważa, że już się poddałam.

Przysuwam się kawałek po kawałku, ostrożnie, by nie narobić hałasu, i podnoszę się powoli, opierając cały ciężar łóżka na plecach i unosząc je do góry. Pozycja jest niewygodna i sprawia mi niewymowny ból, a ja muszę skupić się na tym, by moje drżące z wysiłku mięśnie nie poddały się i nie pozwoliły łóżku zwalić się z hukiem na podłogę... powolutku zsuwam pustą obręcz i opuszczam plecy centymetr po centymetrze, aż nogi łóżka znów dotykają podłogi. Bezgłośnie.

Gdzieś w głębi domu rozlega się dźwięk dzwonka. Nie, to bicie zegara. Przegapiłam kilka z uderzeń, więc nie umiem określić, która jest dokładnie godzina, nie licząc tego, że musi być już po dziesiątej. Możliwe, że dochodzi jedenasta. Albo północ.

Nagle słyszę skrzypienie desek podłogowych. Jestem gotowa. „Muszę działać szybko”, myślę sobie w duchu. Chce mi się płakać. Jestem zagubiona i wyczerpana, ale nadal mam w sobie tę cząstkę ze stali, w którą zamienił mnie Melvin. „Działaj szybko. Jeśli to dziewczyna, zamachnij się metalową obręczą w jej twarz. Powal na ziemię. Odbierz jej broń, jeśli jakąś przy sobie ma. Nie zatrzymuj się”.

Nie wiem, dokąd mogę pójść. Nie wydaje mi się jednak, żeby istniała jakakolwiek droga ucieczki.

Ale nie mam zamiaru się zatrzymać.

Sztywnieję, gdy słyszę zbliżające się kroki.

To nie ćpunkę dostrzegam jako pierwszą. To Melvin, a widok jego krzywego uśmiechu ponownie wstrząsa mną do głębi.

– Patrzcie, kto się obudził – mówi. – Annie, podnieś ją. Musimy zacząć o czasie.

Zacząć o czasie, tak jakby to była jakaś broadwayowska produkcja, a on był kierownikiem sceny.

Zrywam się z podłogi z całym impetem, na jaki mnie stać, i robię zamach kajdankami w stronę jego twarzy, ale to nie wystarcza. Potykam się i tracę równowagę, a on z łatwością robi unik. Łapie mnie za przedramiona i popycha w stronę Annie, która chwyta moją lewą rękę i ściska ją tak mocno, że kolana się pode mną uginają. Nie krzyczę. No, prawie.

– Rób, co ci każe – mówi. – Idź.

Popycha mnie do przodu, trzymając moją poranioną rękę w żelaznym uścisku i przypominając o tym, że może mi zadać ból, kiedy tylko chce. Gdy wychodzimy z pokoju, uświadamiam sobie, że

jesteśmy na drugim piętrze, gdzie stoi drewniana poręcz, z której rozciąga się widok na pomieszczenie na dole. Wszystko tu cuchnie zaniedbaniem i zgnilizną, a podłoga skrzypi przy każdym kroku. Przed nami widać wielką, ziejącą dziurę, przez którą zapadł się do środka sufit. Woda ścieka z poczerniałych, zmurszałych krawędzi i rozpryskuje na połamanych deskach. Nad moją głową rozciąga się zachmurzone nocne niebo, a kiedy przekrzywiam głowę, krążące w moim ciele narkotyki sprawiają, że czuję się tak, jakbym zaraz miała ulecieć pomiędzy blade, migoczące gwiazdy.

Annie prowadzi mnie wokół dziury do balustrady, która jest w tak samo opłakanym stanie co podłoga. Gdyby zatrzymała się bliżej balustrady, zepchnęłabym ją. Na pewno by się połamała, a ona zleciałaby z hukiem do znajdującego się poniżej atrium.

To *ja* stoję przy barierce. „Skacz”, myślę sobie. „To lepsze niż okropieństwa, które dla ciebie zaplanował”.

Wiem jednak, że upadek by mnie nie zabił. Boję się, że złamię nogę i stracę wszelką szansę na uciezkę albo walkę.

Potykam się o porwany dywan i upadam tak nagle, że Annie mnie puszcza. Udaje mi się podeprzeć na rękach. W lewej ręce eksploduje przeszywający ból. Z moich ust wyrywa się krzyk. Przetaczam się na prawy bok... a moje palce napotykaają na leżący luzem kawałek deski podłogowej. Jego koniec jest usiany drzazgami. Wyczuwam pod palcem ostro zakończony odłamek. Nie waham się ani sekundy. Wbijam w niego palce i ciągnę, aż w końcu się odrywa. Chwytam go w dłoń, gdy Melvin unosi mnie do góry szarpnięciem za włosy. Nie korzystam z niego – jeszcze nie. Przyciskam go płasko do prawego nadgarstka, poza zasięgiem wzroku.

„Zaczekaj, aż będziesz mieć pewność. Drugiej szansy nie będzie”.
Wiem, że to, co mnie czeka, będzie powolne, brutalne i straszne, ale *najgorsze* jest to, że wiem, iż przetrzymanie tego nie przyniesie mi

niczego dobrego. Nie sędzę, by ktokolwiek mi pomógł. Muszę pomóc sobie sama. Tak długo, jak będzie skupiony na mnie, nie będzie zajęty szukaniem moich dzieci.

Dzieci.

Przypominam sobie wreszcie, co powiedział Melvin. *Brady do mnie dzwonił. Mamy Lily.* Zalewa mnie fala czystego przerażenia, pokrywa mnie jak warstwa zimnego miodu. *Nie. Nie. Nie.*

Zbliżamy się do zamkniętych drzwi, a ja zwalням. Annie wykręca brutalnie mój lewy nadgarstek, ale teraz nie robi to już na mnie tak wielkiego wrażenia, ponieważ pojawił się znacznie większy ból. Jeszcze większy strach. Nie mogę do tego dopuścić. Nie mogę pozwolić, by *dopadł moje dzieci.*

Melvin wysuwa się naprzód i otwiera drzwi. Dżentelmeński gest w wykonaniu potwora.

To sala tortur. Nie muszę nawet rozglądać się dokoła, żeby to wiedzieć. Jest to dla mnie równie oczywiste i nieuchronne co nadejście zimy. Oszczędzam sobie patrzenia na szczegóły.

Patrzę na dziewczynę. Dziewczynę, która stoi na owalnym, zakrwawionym dywaniku z metalową pętlą zaciśniętą na szyi. Dziewczynę z ufarbowanymi na czarno, sklejonymi od potu włosami, które opadają jej na twarz.

Przez jedną potworną, irracjonalną sekundę wydaje mi się, że to Lanny.

Z moich ust wrywa się wrzask. Jest przepelniony agonią, smutkiem i przerażeniem, które są tak autentyczne, że mam wrażenie, jakbym została rozszarpana od środka, a one wylewały się ze mnie jak krew. Tłumię swój krzyk sekundę później, ale wiem, co to dla niego oznacza.

Dziewczyna to nie Lanny. Nie jest moją córką. Ale jest czyjąś córką.

Stoi na palcach, wysilając się, by zachować równowagę, bo jeśli

choć odrobinę się rozluźni, pętla wbije się w jej szyję. To przemyślana i okrutna tortura, tak samo jak reszta narzędzi wiszących na tablicach z kołkami, ułożonymi na ścianach w określonym porządku. Na drewnianym stole roboczym stoją otwarte skrzynki na narzędzia, z kluczami, śrubokrętami i obcęgi... wszystkie ułożone kolorami w schludnych rzędach w szufladach.

Melvin jest precyzyjny w swoim barbarzyństwie.

W pokoju są jeszcze dwie osoby. Jeden mężczyzna poprawia oświetlenie, ignorując dziewczynę i jej straszną walkę. Drugi poprawia ostrość kamery wideo na statywie. Obaj wyglądają zupełnie *normalnie*. Świadomość, że to dla nich wyłącznie *praca*, mrozi krew w żyłach. Kolejny zwykły dzień.

– Cholera – mówi facet od kamery. – Nie kręciłem. Szkoda, że nie udało mi się nagrać tego krzyku. To było coś.

– Ile do startu? – pyta Melvin.

– Dziesięć minut. Możesz zacząć od sobowtóra córki, byle krótko. Płacą za główną atrakcję, nie za wstęp.

Wydaje się taki... *normalny*. Ma na sobie hawajską koszulę w nadruk z dziewczynami w spódniczkach hula, szorty bojówki i sandały. Jednak nic tu nie jest normalne. Żaden z tych ludzi nie ma duszy. Każdemu czegoś brakuje.

Odwracam głowę. Melvin stanął obok mnie. Wpatruje się w biedną dziewczynę z okropną, chorą fascynacją, ale odrywa się od tego zajęcia, by przenieść owo spojrzenie na mnie. To najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Źrenice jego oczu zwężyły się, a w świetle z tamtego pokoju wyglądają niemal na... czerwone. Oczy bestii.

– Wygląda zupełnie jak nasza córka, prawda? Nasza Lily.

Nie mogę oddychać. Nie mogę ruszyć się z miejsca. Przede mną stoi coś tak niebezpiecznego, że odbiera mi mowę. Wiedziałam, że

był zły do szpiku kości. Nigdy nie sądziłam, że był tym *czymś*. Tam... niczego nie ma. Niczego, co mogłabym zidentyfikować jako ostatni skrawek człowieczeństwa.

– Tak – mówię drżącym szeptem, ale nie ze strachu, tylko z wściekłości. – Ale ta dziewczyna to nie Lanny. Krzywdzenie jej jest bezcelowe. Efekt nie będzie taki sam.

– Czyżby? – Przygląda mi się tak, jak ptak przygląda się robakowi. – Pozwolę ci wybrać.

Operator zdążył włączyć po cichu kamerę. Jestem oślepią, gdy światła nagle rozbłyskują mi prosto w twarz. Mimo to nie mrugam. Nie mogę. Jeśli okażę choć cień słabości, będzie miał nade mną przewagę.

– Co takiego? – Mały odłamek drewna wciska się głęboko w moją skórę, pozostawiając po sobie wgłębienie. Przenoszę ciężar ciała na lewą stopę. Robię wszystko, by nie widział mojej prawej ręki.

– Uwolnię ją, jeśli zgodzisz się zająć jej miejsce. Ale musisz *tego chcieć*, Gina. Musisz *poprosić*. Błagać mnie o to. Jeśli to zrobisz, puszcze ją wolno i pozwolę odejść. Dotarcie do drogi zajmie jej całą wieczność. Całe mnóstwo czasu, zanim ktokolwiek ją znajdzie i wysłucha, co ma do powiedzenia. To dziwka narkomanka. Możliwe, że nikt jej nie uwierzy. – Jego usta drgają, rozciągając się w leniwym uśmiechu. – Ale przeżyje. Wiem, jak bardzo uwielbiasz ratować ludzi.

Powietrze zamienia się w moich płucach w truciznę. Udało mu się. Dobrze wie, co zaraz zrobię. Ale zanim to następuje, mówię:

– Nigdy nie dostaniesz Connora.

– Och, Connor jest cały twój – odpowiada. – Ja wezmę *Brady’ego*. Możesz być tego pewna. Jak brzmi twoja odpowiedź? Bo tak czy inaczej, dziś wieczorem umrzesz. Ta dziewczyna nie musi. Czas ucieka, Gina. Wybieraj.

Nie chcę już patrzeć w te przerażające oczy. Przymykam powieki

i mówię:

– Proszę, Mel. Uwolnij ją. Błagam.

Słowa parzą mnie w usta. Co gorsza, właśnie nazwałam go Melem. Po raz pierwszy od dnia, w którym nasze życie zostało kompletnie zniszczone. Ciekawe, czy zauważył.

– Grzeczna dziewczynka – mówi, a ja nagle czuję na skórze uderzenie gorąca. Przyłożył mi dłoń do policzka. – W porządku. Nic jej nie będzie. Zawsze wiedziałem, że się poddasz, jeśli znajdę właściwą motywację.

Pochyla się w moją stronę. Jego oddech owiewa mi skórę. Delikatnie przesuwa palcami po moim podbródku i ustach. Mam zamknięte oczy. *Boże, nie mogę spojrzeć. Nie mogę.* Drzę. Narkotyki sprawiają, że kręci mi się w głowie i płaczą mi się nogi. Chciałabym, żeby Annie znów wykręciła mi złamaną rękę, tylko po to, by przejaśniło mi się w głowie.

– Opuśćcie dziewczynę na dół – rozkazuje. Nie mówi do mnie, ale jego usta są tak blisko policzka, że muskają moją skórę. – Zabierzcie ją stąd. Zaprowadźcie do drogi i każcie jej uciekać.

Czar pryska, ale nie przeze mnie. To odgłos uruchamiającej się z wizgiem wyciągarki oraz zdławiony okrzyk dziewczyny, która zanosi się płaczem.

– O Boże, dziękuję, dziękuję...

– Wynocha – mówi Melvin. – Albo cię zabiję.

Słyszę odgłos biegnących stóp. Dziewczyna ucieka.

„Teraz”, myślę sobie. „Teraz”. Nie mogę spuszczać. Stoi tuż obok mnie.

Otwieram oczy i poprawiam uchwyt na swoim drewnianym sztylcie.

Ktoś wybucha śmiechem.

Zaskakuje mnie to. Melvina również. Oboje patrzymy w stronę drzwi. Annie stoi oparta o futrynę i sądząc po jej wyglądzie, jest

naćpana jak Messerschmitt. Chichocze, przyglądając się, jak dziewczyna ucieka, by ratować swoje życie.

– Ja pierdolę – mówi. – Myślałam, że jesteś pieprzonym twardzielem. A ty puszczasz ludzi wolno i zawierasz jakieś umowy. Przecież ta żałosna suka i tak jest już twoja.

– Mówisz o mojej żonie, Annie – mówi Melvin. Ton głosu ma spokojny, ale jego oczy... jest zagłębiony w chorej fantazji, którą starannie pielęgnował. – Nie obrażaj mojej żony.

– Jej? – Usta Annie wykrzywiają się w grymasie. – Ona jest nikim.

– Nie. Jest moja.

Gdy zrywa się z miejsca, przypomina to atak węża, zbyt szybki, by można go było dojrzeć ludzkim okiem. Rozbija jej głowę o futrynę, uderzając jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, w serii ruchów tak szokująco brutalnych, że nie jestem nawet w stanie pomyśleć, by zareagować, zaatakować go i spróbować uratować jej życie. Jest jak tygrys, jak krwawa furia, a ja zamieram z przerażenia. Wszyscy stoją jak skamieniali, nawet ekipa filmowa, która musiała tu widzieć okropieństwa, jakich nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

Nie chcę na to patrzeć, ale nie mogę zamknąć oczu. To równie nieuchronne jak nocny koszmar.

Annie osuwa się bezwładnie na podłogę z oczami zalanymi krwią. Zaczyna pełznąć w moją stronę.

Odsuwam się. Nie mogę pohamować instynktu. W środku wyję z paniki. Szaleje we mnie czarne tornado rozpaczy, bo mój wąski kawałek drewna jest niczym, *niczym* w porównaniu do tego szaleństwa. To kłamstwo, które sobie wmawiałam. Nic nie jest w stanie powstrzymać Melvina Royała.

Melvin przechodzi ponad Annie, bierze z półki śrubokręt i jednym, potężnym ciosem wbija go w jej czaszkę.

A potem zupełnie traci nad sobą kontrolę.

Ciemnieje mi przed oczami. Nie widzę tego. Nie mogę o tym wiedzieć. Mój umysł próbuje się od tego odciąć, ukryć się niczym dziecko w labiryncie. Krzyczę, ponieważ Annie nie może, nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, a jedyne, czego chcę, to *uciec* stąd.

Jednak nie dam rady go ominąć. Gdy tylko się ruszę, zostanę kolejną ofiarą.

Gdy Melvin nieruchomieje, to dlatego, że się zmęczył, a nie skończył. Widzę to w sposobie, w jaki faluje mu klatka piersiowa i drży dłoń. Zmasakrowana kobieta leżąca na podłodze jest praktycznie nierozpoznawalna od szyi w górę.

Operatorzy kamery i oświetlenia nie wydali z siebie żadnego dźwięku i nie drgnęli z miejsca. Oni również zamarli w bezruchu, tak jakby mieli świadomość, że znajdują się w obecności zwierzęcia, które z łatwością mogłoby ich pożreć. Gdy Melvin przysiadła na piętach, przenosi spojrzenie na operatora kamery. Cały ocieka krwią Annie. Nadal trzyma w ręku śrubokręt.

– Nagrywaj – mówi do kamerzysty i, *mój Boże*, brzmi zupełnie normalnie, jak mężczyzna, którego poślubiłam. Który przysięgał kochać, miłować i chronić. – Dopiero się rozkręcąm.

Czuję, jak wychodzę z siebie. To nie jest omdlenie. Wiem, że nie mogę uczynić się aż tak bezbroną. Czuję, jak umysł opuszcza moje ciało, unosi się w powietrze jak balon, który jest tylko luźno przywiązany do ciężkiego, trzęsącego się worka skóry i kości. Z tej odległości, patrząc z góry, nie czuję przerażenia ani wstrętu. Nie patrzę. W jakiś sposób muszę wierzyć, że moje dzieci nadal żyją. Że są bezpieczne. Że Samowi nic nie jest.

Że ludzie nadal żyją w świetle.

Jednak tutaj, w mroku, jestem wszystkim, co stoi pomiędzy Melvinem a ludźmi, których kocham.

I nic nie może tego zmienić.

Gdy otwieram oczy, nadal jestem w tym ohydny, martwym miejscu, a Melvin Royal odwraca się w moją stronę. Jego zakrwawiona twarz emanuje spokojem, a usta rozciągnięte w uśmiechu wyglądają na głodne.

– Gina, wybacz, ale tak to się musi skończyć...

Rzucam się do przodu i wbijam mu ostry kawałek drewna prosto w oko.

Drzazga wchodzi głęboko, rozrywając delikatną powierzchnię, a ja czuję rozlewający się na palcach ciepły płyn ze środka. To wszystko, co mam. I co mogę zrobić. Wiem, że to za mało. W moim wnętrzu zalega absolutna cisza.

Zapada prawie idealny spokój.

Drzazga pęka mi w dłoni, gdy Melvin wydaje z siebie wrzask i się odsuwa. Żyje. Jest oślepiiony na jedno oko i cierpi niewyobrażalny ból, ale żyje.

Wyszarpuje ostry kawałek drewna z rozerwanego oka i krzyczy z wściekłością.

Cisza w moim wnętrzu zostaje przełamana, a wraz z nią powraca ryczący strach, czarny i zimny jak deszcz ze śniegiem, a ja wiem, że zostały mi sekundy, dosłownie *sekundy* na to, by się uratować.

Rzucam się do przodu. Mam wrażenie, jakbym biegła w zwolnionym tempie, każdy ruch jest krystalicznie czysty i *zbyt wolny*. Coś w moim wnętrzu krzyczy: „Szybciej, szybciej, na litość boską, biegnij, uciekaj!”.

Wymijam go, zanim dociera do niego, że ruszyłam się z miejsca, ale jest tylko o krok lub dwa za mną, wykrzykując moje stare imię, martwe imię, a ja wiem, że jeśli uda mu się mnie dopaść, nie będzie żadnych starannie przemyślanych tortur, które zostaną uwiecznione na taśmie po to, by Absalom mógł się wzbogacić. To będzie prawdziwa, krwawa jatka, tak jak w przypadku Annie.

Melvin rozerwie mnie na strzępy.

Widzę, jak operator kamery wychodzi z pokoju za nami. Wziął ze sobą kamerę i nagrywa, jak biegnę w stronę schodów. Słyszę ryk Melvina. Brzmi tak, jakby za moimi plecami otworzyły się wrota piekieł.

Śrubokręt, którego użył, by zabić Annie, wytoczył się na korytarz, kopnięty tam w którymś momencie, a ja schylam się i podnoszę go z podłogi, nie zatrzymując się nawet na sekundę. Ktoś wbiega po schodach, za nim ktoś inny, i ma w ręku broń.

Potrzebuję jej.

Nie czuję już bólu w nadgarstku, ani niczego innego. Płonę z furii. Doznaję nagłego przyływu sił i zmniejszam odległość szybciej, niż sądziłam. Wbijam śrubokręt w szyję ochroniarza, a pistolet upada na podłogę, gdy zatacza się do tyłu i zaczyna spadać ze schodów. Skaczę po broń, przekręcam się na plecach, a w tym czasie widzę, jak Melvin robi ostatni krok w moją stronę. Przycisnął prawą rękę do zakrwawionego, okaleczonego oka, ale w ostatniej chwili zauważa broń i skacze w bok, gdy wycelowuję i oddaję strzał. Z adrenaliną czy bez, wstrząs odrzutu sprawia, że moją rękę przeszywa potworny ból. Krzyczę z bólu i wściekłości. Pudłuję. Brakuje dosłownie centymetrów, bym w niego trafiła. Oddaję kolejny strzał.

Melvin ucieka do pomieszczenia, w którym zamierzał mnie zabić. Ma tam mnóstwo narzędzi. Może nawet broń. Nie mogę się teraz zatrzymać, nawet jeśli nadgarstek odpadnie mi od ręki. Muszę *utrzymać pistolet i strzelić*, ból nie ma żadnego znaczenia.

Oddaję kilka kolejnych strzałów w ścianę, przebijając ją na wylot. Nie wiem, gdzie się podział. Serce wali mi tak mocno, że przypomina miotającego się, umierającego ptaka w klatce, ale moje myśli są wyciszone. Skoncentrowane. Prawie spokojne. Pistolet w mojej dłoni to półautomat, więc mieści w sobie minimum siedem

kul. Wystrzeliłam cztery.

Operator kamery nadal mnie nagrywa. Chyba nie do końca rozumie, że nie należy tylko do *ekipy filmowej*. Jest współwinnym w całym tym makabrycznym procederze. Pewnie myśli, że jego kamera to coś w rodzaju magicznej tarczy.

Strzelam do niego. Upada, martwy. *Pięć kul.*

Gramolę się do przodu. Nogi mam jak z waty, ale jakimś cudem udaje mi się podtrzymać. Niezdarnie obchodzę dziurę na środku podłogi, przechodzę ponad martwym kamerzystą, i modlę się, by w magazynku była jeszcze choć jedna kula, którą będę mogła posłać w głowę Melvina.

Docieram do drzwi sali tortur. Na owalnym dywaniku leży zwinięty nieruchomo w kłębek mężczyzna. To technik oświetlenia. Trafiłam go którymś ze strzałów, które przebiły ścianę.

Melvina tu nie ma. *Zniknął.*

Po lewej znajdują się drzwi. Wcześniej ich nie zauważyłam, bo blokował je statyw kamery. Statyw leży teraz przewrócony na boku, a obok niego stoi strzelający iskrami laptop.

Wyczuwam za plecami czyjaś obecność. Jakiś szybko poruszający się cień.

Obracam się na pięcie i pociągam za spust.

Uświadamiam sobie o ułamek sekundy za późno, że to nie Melvin.

To Sam.

Pistolet klika.

Magazynek jest pusty.

Sam oddycha z trudem, zatrzymując się z poślizgiem. Wpatruje się we mnie dzikim wzrokiem, stojąc w poszerzającej się kałuży krwi Annie. On również ma broń. Mierzy z niej do mnie, jakbym była jakimś niebezpiecznym stworzeniem, któremu nie może ufać.

– Odłóż to, Gwen! – krzyczy po chwili. – Odłóż broń!

Upuszczam pistolet, który trafia mnie w nogę, wywołując

wystarczająco mocny ból, by wyrwać mnie z chwilowego transu. Wszystko dopada mnie w jednej chwili, nawałnica emocji, których nawet nie rozumiem. Nie mogę się skupić, zataczam się i dygoczę na całym ciele. Powraca ból. A wraz z nim strach.

– On nadal tu jest! – krzyczę do Sama. – Melvin! On ciągle tu jest!

Sam spogląda w dół na zmasakrowane ciało Annie z wyrazem czystego przerażenia na twarzy. Sekundę zajmuje mu oderwanie od niej wzroku i skupienie go na mnie.

– Nie. Leży na korytarzu. Nie żyje.

– Co takiego?

– Oberwał kulę w oko. Już wszystko dobrze. Gwen. On nie żyje.

Łapie mnie, gdy osuwam się na niego. Ogarnia mnie tak przemożne uczucie wyczerpania, że wydaje mi się, że za chwilę umrę. Serce wali mi jak młot. Moje ciało nadal jest gotowe do ucieczki i walki, choć nie ma już nic, o co mogłabym walczyć. Wstrząsa mną płacz, nieopanowany i pełen rozpacz.

– Trafiłeś go – szepczę do Sama. – Dziękuję ci. Boże, dziękuję.

Trzyma mnie w tak ciasnym uścisku ramion, że mam wrażenie, jakbyśmy stąpiali się w jedno. Chcę tego. Pragnę.

– Nie – mówi. – Ja go nie zastrzeliłem. Ty to zrobiłaś. Prawda?

Jedną, porażającą chwilę zajmuje mi zrozumienie tego, co powiedział, i dlaczego to takie ważne.

Nie strzeliłam Melvinowi w oko. Dźgnęłam go. Przez ilość wylanej krwi rana mogła wyglądać na śmiertelną. Jak postrzał w oko. Jedyne, co musiał zrobić Melvin, to położyć się na podłodze i pozwolić, by Sam przeszedł obok niego.

Chwytam pistolet Sama i używam jego ramienia jako podpory, bo za jego plecami biegnie potwór. Bestia. W oczach ma śmierć.

Melvin rzuca się z nożem wycelowanym w plecy Sama.

Zatrzymuję go, posyłając mu w czoło trzy kule.

Zgina się w kolanach, a potem upada na twarz. Nadal oddycha. Widzę, jak jego plecy unoszą się i opadają, i mam ochotę umieścić w nich jeszcze jedną kulę, ale Sam odwraca się i wyjmuje mi z ręki broń.

Dobrze, że to robi, bo pewnie postrzeliłabym agenta Lustiga, który ukazuje się w drzwiach z wyciągniętą bronią. Sam opuszcza pistolet, a Lustig obejmuje wzrokiem naszą dwójkę, a potem patrzy na umierającego mężczyznę rozciągniętego na podłodze. Na trupa obok światła. Na zmasakrowane ciało Annie.

– Chryste Panie – mówi, opuszczając broń. – Dobry Boże, co tu się, do cholery, dzieje?

Cała nasza trójka stoi w milczeniu. Lustig klęka obok Melvina. Patrzymy, jak plecy mojego byłego męża unoszą się jeszcze trzy razy w oddechu, po którym następuje przeciągłe, chrapliwe westchnięcie przechodzące w ciszę.

Bestia nie żyje. *Nie żyje*. Czuję... Co właściwie? Ulgę? Nic z tych rzeczy. Jestem zwyczajnie wdzięczna. Może po jakimś czasie poczuję satysfakcję, zaspokojenie pragnienia zemsty, ukojenie po palącej mnie od dawna wściekłości.

W tej chwili jestem tak wdzięczna, że wybucham niekontrolowanym płaczem. Nie mogę przestać.

– Proszę – udaje mi się wyjąkać. Wyciągam dłoń w stronę Sama, a on ponownie obejmuje mnie ramieniem. – Błagam, powiedz, że nic im nie jest, proszę...

– Są całe i zdrowe – szepcze mi do ucha. Ma w sobie spokój, którego w tej chwili potrzebuję. – Connorowi nic nie jest. Lanny też. Jesteś bezpieczna. My jesteśmy bezpieczni. Oddychaj.

Kolana uginają się pode mną, gdy jesteśmy w połowie zbutwiałych schodów, a on znosi mnie na rękach na sam dół. Jestem taka zmęczona. Nie umiem już utrzymać otwartych powiek. Gdy udaje mi się do tego zmusić, widzę, jak sadza mnie na fotelu

pasażera sedana. Patrzą na zgniły, zrujnowany, kolonialny splendor Triton Plantation House. Faktycznie wygląda jak Biały Dom, nadgryziony zębem czasu. Przy drodze płynie strumyk, leniwie tocząc swoje zapchane mułem wody. Typowy, bagnisty obszar Południa Stanów.

Sam i Lustig stoją przy samochodzie, rozmawiając przyciszonymi głosami. Obaj są w absolutnym szoku. Słyszę to w ich głosach. Ale mnie nic już nie zaszokuje. Nigdy więcej.

– Rivard miał rację. Policja stanowa w ogóle nie dojechała na miejsce. Gdybyśmy nie zdążyli na czas... – Lustig urywa. – Co za rzeź. Bóg jeden wie, ile ciał tu znajdziemy. Ile mogą mieć takich miejsc?

– Tuziny – mówi Sam. – Ale dorwaliśmy Rivarda, a kiedy prawda o tym wyjdzie na jaw, wszystko zawali się jak domek z kart. Znajdziemy ich. Wszystkich.

Wolałabym, żeby spalili to miejsce do gołej ziemi. Wszystko, prochy i kości. Wiem jednak, że tu chodzi o coś więcej niż moje zachcianki. Po prostu jestem taka zmęczona, że czuję, jak zimne łyzy spływają mi po policzkach. Wycieram je drżącą, zakrwawioną prawą ręką.

To krew Melvina.

Melvin nie żyje.

Mike Lustig pochyla się i mówi:

– Powinnaś podziękować naszemu chłopakowi, Samowi. Uratował ci życie.

– Nie – poprawiam go. Czuję, jak odpływam. – To ja uratowałam jego.

Zasypiam.

I nie mam żadnych snów.

Rozdział dwudziesty ósmy

Gwen

Miesiąc później

Dla większości ludzi wyglądam, jakbym wyzdrowiała. Bardzo się staram, ze względu na dzieci. Jeśli nadal czuję się w środku krucha jak szkło, wydaje mi się, że tylko Sam to dostrzega. Sam, który widzi wszystko. Dawniej by mi to przeszkadzało, ale teraz cieszę się z tego faktu. Rozmawiam z nim. Chodzę nawet do psychologa, który specjalizuje się w leczeniu urazów psychicznych. Poprawia mi się. Dzieciom również. Zadbaliśmy o to, by chodziły na własną terapię, bez względu na to czy przyznają, że jej potrzebują, czy nie.

Nie robię już Patrolu Psycholi, ale kiedy pytam, Sam cichym głosem mówi mi, że ci fanatycy działają z jeszcze większą nienawiścią i zjadłością niż kiedykolwiek. Pomimo mojego sprzeciwu znów staję się głównym tematem artykułów i historii na blogach. Niektórzy uważają mnie za bohaterkę. Wielu jest zdania, że wywinęłam się od morderstwa. Jest jedna rzecz, którą muszę zaakceptować: nie mogę się już przed tym ukrywać.

Symbolem tego jest ów dom w Stillhouse Lake, który odzyskujemy z powrotem jako naszą własność. Nie jesteśmy tylko

we czwórkę, pomagają nam przyjaciele. Javier i Kezia. Jej ojciec, Easy Claremont. Detektyw Prester i kilku oficerów policji z Norton, których znam już po imieniu. Przyszło również kilkoro przyjaciół dzieciaków ze szkoły wraz z rodzicami. Wszyscy zrobili zrzutkę, żeby odmalować elewację naszego domu i pozbyć się okropnych pamiątek z przeszłości.

Spodziewam się, że niedługo uderzy w nas fala nowej nienawiści, ale na razie ten dom jest dla nas twierdzą.

I dziś remont zostanie ukończony.

– Mamo! – Connor trzyma w dłoni coś, czego nie widzę z drugiego końca pokoju. – Czy to śmieci?

– A wygląda jak śmieci? – wołam, zmuszając się do uśmiechu. Odwzajemnia go. Jest pełen wahania i błędnie lekko po paru sekundach, ale to jakiś początek. Mamy dużo do zrobienia, Connor i ja. Przed nami mnóstwo pracy. Obwinia się o zbyt wiele, a teraz opłakuje ojca. Wiem, że Melvin na to nie zasługuje, ale tu nie chodzi o niego. Chodzi o Connora i pozwolenie, aby przeszedł przez wszystkie fazy smutku za człowiekiem, który nigdy tak naprawdę go nie kochał. – Dzięki, skarbie. Może zrobisz sobie przerwę?

– A może ty ją sobie zrobisz, co? – pyta Sam, wyjmując mi ze zdrowej ręki worek ze śmieciami. Lewa jest obandażowana i na szynach. Boli jak jasna cholera, ale lekarz mówi, że się zgoi. Prędzej czy później. – Bo musisz odpocząć. Przestań się forsować.

Ma rację. Wszystko gotowe. Sam i Lanny wspólnymi siłami pomalowali zniszczone ściany w kuchni, a Kezia i Javier zainstalowali nową szybę w oknie. Connor i ja pozbieraliśmy ostatnie śmieci. Zastony w oknach na razie są zaciągnięte. Chcę spojrzeć na śnieg i lekko skute mrozem jezioro. Na zewnątrz jest czysto, tak czysto jak chyba jeszcze nigdy nie było.

Lanny siedzi ze swoją dziewczyną – pewnie jeszcze się tak nie nazywają, ale widzę spojrzenia, którymi się wymieniają – i noszą

identyczne, plecione bransoletki. Gdy wydaje jej się, że nie patrzymy, wiem, że trzyma Dahlię za rękę. Lanny tego potrzebuje. Chce być kochana. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Będę ją kochać i bronić jak lwica, ale nie umiem dać jej tej delikatności i czułości, a wygląda na to, że Dahlia jest w stanie to zapewnić, przynajmniej na razie. Zatrzymuję się, by uściskać córkę, bo niby dlaczego miałabym tego *nie* robić, a ona pozwala się przytulić przez jedną, długą chwilę, po czym odsuwa się do tyłu i przewraca umalowanymi na czarno oczami. Całuję jej czarne włosy i staram się nie myśleć o dziewczynie wiszącej na pętli. Tej, która prawdopodobnie uszła z życiem. Pytałam o nią. Nie znaleźli jej, ale mimo to nie zginęła na plantacji.

Może trafiła w bezpieczne miejsce. Może po tym wszystkim spotkało ją coś dobrego.

Sam czeka na mnie z piwem, które biorę z wdzięcznością i siadam obok niego na nowej kanapie. Stara była cała brudna, a poza tym nadszedł wreszcie czas. Czas na nowe rzeczy. Świeży start.

– Dzwonił Mike – mówi Sam, po czym upija spory łyk piwa. Connor siada obok niego, a kiedy Sam obejmuje go ramieniem, nie wzdraga się. Wyciąga książkę i zaczyna czytać, ale to normalne. Uświadamiam sobie, że to nowa książka. Taka, której nigdy wcześniej nie widziałam. Wydaje mi się to niesłychanie istotne, choć nie do końca wiem dlaczego. – Przez jakiś czas będzie zajęty w Waszyngtonie, ale pozdrawia nas. Asystent wykonawczy Rivarda poddał się w momencie, w którym dowiedział się, że Rivard został aresztowany. Przekazał Mike’owi klucze do królestwa.

– Do wszystkiego? – pytam, posyłając mu wymowne spojrzenie. Po upływie miesiąca trauma po Baton Rouge czasami przypomina mi koszmar, który ponownie jawi się jako coś bardzo realistycznego. Wspomnienia pustych, wygłodniałych oczu. Pistolet klikający w mojej dłoni. Nadal czuję drgania odrzutu rozchodzące

się po ręce i całym ciele. Czuję krew na twarzy. Biorę głęboki wdech. – Jesteś pewien? Naprawdę *wszystko*?

– Prawie tysiąc aresztowań w przeciągu zaledwie jednego tygodnia – potwierdza. – Na całym świecie. Wliczając w to osoby, które kupiły bilety na pokaz tamtego wieczora.

To kod, który dobrze rozumiem. *Pokaz*. Ten, na którym miałam zostać zamęczona torturami na śmierć. Wzdragam się lekko i przysuwam bliżej, by ogrzać się w jego ciepłe.

– Brzmi obiecująco.

– Dorwą ich wszystkich. Rivard był biznesmenem. Prowadził drobiazgową księgowość. Policja zatrzymuje nawet internetowych trolli. – Parska nieco gorzkim śmiechem. – Nie żeby to zmniejszyło ilość nienawistnych maili zalewających twoją pocztę, ale daj temu trochę czasu.

– Więc u Mike’a wszystko w porządku?

– Mike jest nowym pupilkiem FBI i chyba mu się to podoba. Aha, jeszcze jedno. W końcu przyszły wyniki analizy kryminalistycznej nagrań. Oba są fałszywe, rzecz jasna. Nie żebyś musiała udowadniać nam coś w tej kwestii. – Zerka na Kezie, Javiera i dzieci, a ja czuję wzbierającą w środku wdzięczność.

W ciągu ostatniego miesiąca każde z nich przyszło do mnie i powiedzieli, kiedy i jak uświadomili sobie, że byli w błędzie. Jak można się było tego spodziewać, moja córka przyszła do mnie jako ostatnia.

Sam przeprosił pierwszy. I tak nie miał za co przeproszać. Dzieci owszem, *uwierzyły* mi, ale najpierw musiały usłyszeć to od kogoś z dorosłych, zanim same nabrały pewności, by o tym powiedzieć. Wydaje mi się, że odziedziczyły tą niechęć to okazywania słabości po mnie. Mam nadzieję, że teraz będę mogła pokazać im coś innego.

Przekrzywiam głowę w bok i patrzę na niego. Całuje mnie w czoło. To szybkie muśnięcie ust sprawia, że robi mi się cieplej.

I jest wyjątkowo słodkie. Jestem za to niewymownie wdzięczna.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – mówi, przysuwając swoją butelkę. Stukamy nimi, wznosząc toast. – Jutro FBI wystosuje publiczne oświadczenie oczyszczające cię ze wszelkich zarzutów. To już oficjalny koniec.

Wzdycham cicho. To był drobny problem, biorąc pod uwagę całą resztę, ale cieszę się, że został rozwiązany.

– Oboje dobrze wiemy, że to nieprawda – mówię. – Zawsze znajdują się jacyś ludzie, którzy w to nie uwierzą. W żadne słowo.

– W pojedynku między jakimś zarośniętym no-lifem z Instagrama a tobą wiedziałbym, na kogo postawić kasę – mówi. Upija kolejny łyk piwa, a ja widzę, że stara się zachować swobodę i nonszalancję, gdy dodaje: – A co do mojej chaty, wygląda na to, że właściciel chce, bym podpisał kolejną umowę najmu wraz z początkiem następnego miesiąca. Czynsz też wzrasta.

– Rozumiem.

– Więc wszystko wskazuje na to, że niedługo będę bezdomny. – W jego głosie słychać zawołowane, subtelne pytanie. Uśmiecham się, ale nie podnoszę wzroku.

– To byłoby straszne.

– Strasznie smutne.

– Domyślam się, że potrzebujesz domu.

– Skoro już o tym wspomniałaś... Masz coś na oku?

Lanny i Dahlia szepczą między sobą. Chichoczą.

– Na litość boską, niech pani to z siebie wyrzuci – mówi Dahlia. –
Wszyscy już *wiemy*.

– Zgadza się – wtrąca Connor, przewracając kartkę. – To całkiem oczywiste.

– No dobrze, już dobrze. Panie Cade, może się pan tu wprowadzić.

Przechodzi mnie dreszcz, ale mówię serio. To dla mnie olbrzymi

krok. Wyraz zaufania, co do którego nie byłam pewna, że jeszcze kiedykolwiek będę mogła kogoś nim obdarować.

– Jesteś pewna?

Tym razem unoszę wzrok. Spojrzenie Sama jest łagodne i pełne dobroci. Oddech więźnie mi w gardle, bo dostrzegam w jego oczach coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. Przygląda mi się uważnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Jestem pewna – mówię.

Kiedyś ciągnęło się między nami pole minowe, ale wszystkie bomby zniknęły, wysadzone w powietrze, a została dobra ziemia. Dobre miejsce, by zacząć budować. Będzie to wymagało pracy, ale nigdy się tego nie bałam.

– Obiad! – woła Kezia z kuchni. – Nie ugotowałam go, więc wszystko w porządku, przysięgam – mówi.

W przeciągu ostatnich paru tygodni powszechnym tematem do żartów stał się niewytłumaczalny talent Kezii Claremont do rujnowania absolutnie wszystkiego, co próbowała ugotować. To autentyczny dar.

– I tak się postarała. Przypaliła tosty – mówi Javier, gdy Kez zanosz do stołu wielki półmisek z pieczonym kurczakiem i warzywami. – Jedzmy, zanim Rekrut wszystko pożre.

Rekrut przewraca się na bok na dźwięk swojego imienia i oblizuje pysk. Głaskam go, a on chrząka w zadowoleniu i zamyka oczy. Doszedł do siebie szybciej niż ktokolwiek z nas.

– Połóż wszystko na stole – mówię, po czym wyswobadzam się z ramion Sama, żeby założyć kurtkę, czapkę i rękawiczki. – Pójdę tylko sprawdzić pocztę. Zaraz wracam.

– Uważaj na siebie! – wołają wszyscy chórem. Sam przygląda mi się, by sprawdzić czy nie potrzebuję towarzystwa. Kręcę przecząco głową.

Uśmiecham się, schodząc – ostrożnie – ze wzgórza. Dom jest

zabezpieczony. Jest czysty i nowy, wszystko to, co złe, zniknęło. Wiem, że ma to symboliczne znaczenie. Rany w końcu się zagoją, a do tego potrzeba czasu, troski i miłości.

Ale przecież jesteśmy rodziną. Przetrwaliśmy.

Otwieram skrzynkę. W środku jest mnóstwo listów. Przystaję obok kosza na śmieci na końcu podjazdu i wyrzucam katalogi reklamowe i inne śmiecie, aż w dłoni zostaje mi tylko leciutka sterta rachunków oraz list. Spoglądam na ostatnią kopertę i zamieram w bezruchu. Przez chwilę nie oddycham. Gdybym potrafiła zatrzymać swoje serce, zrobiłabym to.

To pismo Melvina. Zerkam na znaczek pocztowy.

Ktoś wysłał go po jego śmierci. Pewnie ktoś od Absaloma. Ostatni cios zadany z ciemności.

Patrzę na sposób, w jaki wykaligrafował moje imię starannymi, dużymi literami, i przypominam sobie szal, w który wpadł, gdy zabił Annie. Nie mogę o tym zapomnieć. Nigdy.

Myślę o tym przez chwilę, po czym wkładam resztę kopert do kieszeni kurtki i schodzę jeszcze kawałek dalej ze wzgórza, przecinam drogę i wychodzę na brzeg Stillhouse Lake.

Woda jest szklista i nieruchoma, na jej powierzchni widać zamrożone fale. Rozglądam się dokoła i znajduję spory kamień rozmiaru grapefruita. Trzymam list od Melvina w gojącej się lewej dłoni, a prawą rzucam kamieniem. Z łatwością przebija cienką warstwę lodu, odsłaniając mroczną, zamarzającą toń.

Znajduję następny, nieco mniejszy, i przeszukuję kieszenie. Stos listów był owinięty gumką recepturką. Wykorzystuję ją, by zawinąć list od Melvina wokół kamienia.

Wrzucam obciążony, nieprzeczytany list do wody. Przez sekundę widzę jasny fragment papieru, wyobrażając sobie, że atrament zaczyna się rozpuszczać. Za kilka godzin to co napisał przepadnie, a z papieru zostaną tylko unoszące się na wodzie rozmokłe

kawałki.

– Mamo? – woła od strony domu Connor. Odwracam się i macham do niego. – Mamo?

– Już idę – odkrzykuję.

Ostatnia cząstka mojego byłego męża spoczywa na dnie jeziora. Już nikt nigdy się nie dowie, co chciał powiedzieć Melvin.

Jeśli smaży się teraz w piekle, to może właśnie ta świadomość zabolii go najbardziej.

Ścieżka dźwiękowa

Wybieram muzykę dla każdej napisanej przez siebie książki, ponieważ to pomaga mi znaleźć właściwe tempo fabuły. Skoro te utwory zainspirowały mnie, pomyślałam, że ucieszy was muzyka, która towarzyszyła historii Gwen w *Mój ojciec jest mordercą*.

Mam nadzieję, że spodoba się wam to doświadczenie tak samo jak mnie. Pamiętajcie, proszę, o jednym: piractwo krzywdzi muzyków, a serwisy muzyczne wcale nie zapewniają utrzymania. Bezpośrednie kupno piosenki bądź albumu w dalszym ciągu jest najlepszym sposobem na okazanie waszego uwielbienia i pozwala tworzyć nowe rzeczy.

Eminence Front, The Who

Sledgehammer, Peter Gabriel

Poker Face, Lady Gaga

Staring at the Sun, TV on the Radio

Games Without Frontiers, Peter Gabriel

Hate the Taste, Black Rebel Motorcycle Club

Box Full o'Honey, Duran Duran

Red Rain, Peter Gabriel

Time of the Season, The Ben Taylor Band
Mama, Genesis
Welcome to the Circus, Skittish
Beneath Mt. Sinai, The Stone Foxes
Whatcha See Is Whatcha Get, The Dramatics
Human, Rag'n'Bone Man
Believer, Imagine Dragons
Jockey Full of Bourbon, Joe Bonamassa

Strona internetowa Rachel Caine zawiera więcej informacji o jej książkach, terminarz występów i inne: www.RachelCaine.com.

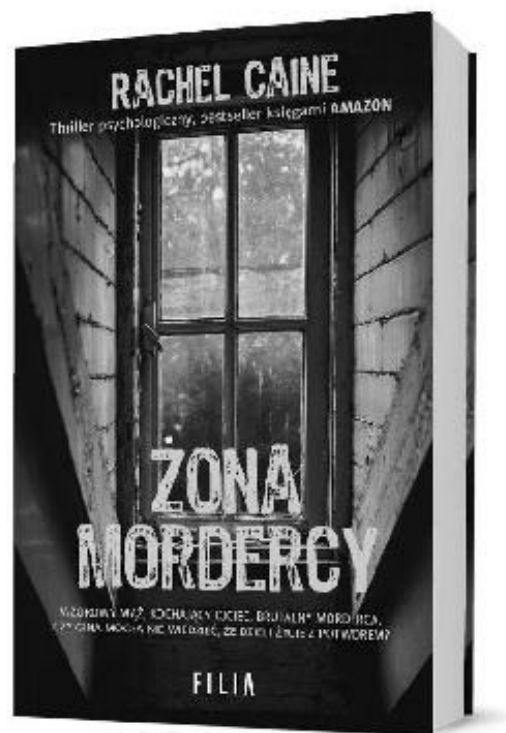
Aby obserwować ją w mediach społecznościowych, wejdź na:

Twitter: @rachelcaine

Facebook: rachelcainefanpage.

Podziękowania

Ogromne dzięki dla mojego przyjaciela Steve'a Huffa oraz mojej konspiratorki Anne Aguirre. Wyrazy szczególnego podziękowania należą się wszechmocnej Liz Pearsons i wspaniałej ekipie T&T, która zwyczajnie wymiata.



Czuły mężczyzna, kochający tata, seryjny morderca.
Mąż Giny Royall okazał się potworem.
Czy mogła o tym nie wiedzieć?

FILIA

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)
[Rozdział siedemnasty](#)
[Rozdział osiemnasty](#)
[Rozdział dziewiętnasty](#)
[Rozdział dwudziesty](#)
[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)
[Rozdział dwudziesty drugi](#)
[Rozdział dwudziesty trzeci](#)
[Rozdział dwudziesty czwarty](#)
[Rozdział dwudziesty piąty](#)
[Rozdział dwudziesty szósty](#)
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)
[Ścieżka dźwiękowa](#)
[Podziękowania](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Killman Creek*

Text copyright © 2017 Rachel Caine LLC

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with GRAAL, SP. Z.O.O.

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo FILIA

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcie na okładce: © Lee Avison/Arcangel

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-625-0

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl